TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

KWIECIEŃ 1946

ROK II

ZESZYT 4

TWÓRCZOŚĆ

KWIECIEŃ

1946

TREŚĆ ZESZYTU

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI: DOROTA
BOGUSŁAW KUCZYŃSKI: ZŁE DNI WŁOSKIEGO FASZYZMU
TADEUSZ HOŁUJ: TAKA PIOSENKA / NA PEWNO / O TYM WIERSZU
TADEUSZ BOROWSKI: DZIEŃ NA HARMENZACH
KRYSTYN OLSZEWSKI: TRANSPORT SOSNOWIEC—BĘDZIN
GRZEGORZ TIMOFIEJEW: LIŚĆ / POWRÓT Z PASTWISKA / STUDNIA
STEFAN OTWINOWSKI: POMYŁKA
ROMAN BRATNY: LOSY
ARNOLD SZYFMAN: WOJNA ZA FRONTEM
SPRAWY I TROSKI: „NARÓD BEZ PRZESTRZENI"
SPRAWOZDANIA
LISTY
NOTY

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

ROK II

ZESZYT 4

KWIECIEŃ 1946

10.000 EGZEMPLARZY

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

M — 12108

DOROTA

Po tobie pozostały mi tylko wyrzuty sumienia.

Nie mam nawet żadnego wspomnienia, które by cię przedstawiało w naturalnej wielkości, prostą i pogodną, nieokaleczoną oddaleniem.

Te wszystkie, które w czułym świetle lampy z mroku mej pamięci potrafię wywołać, są tak niewyraźne, że twarzy twojej nie mogę się na nich doszukać. Jakby czas tędy tylko płynął i tylko twoje rysy spłukał.

Ręce twoje zbielały jak śnieg. Tak, jakby ani jedna kropla krwi nigdy przez nie nie przeszła. Są tak pozbawione wrażliwości, iż gdy witasz się ze mną, wydaje mi się, że ściskam przedmiot, który nie posiada jeszcze swego przeznaczenia.

Usta twoje zatarły się całkowicie. Jakby milczenie, którym się musiały później posługiwać, wytrawiło ich wygląd ze wspomnienia.

Twoja nienaturalna śmierć sprawiła, że nawet przestrzeń, która cię ogarniała, zapadła się i nie pozostał widomy ślad twojego pobytu.

Gdy wchodzisz do pokoju, w którym jestem, słyszę skrzyp otwieranych drzwi i czuję powiew powietrza, jak rozrzuca kartki na biurku. Lękam się wtedy unieść powieki, by nie napotkać twojego wzroku. Chociaż wiem, że w oczach twoich rozlega się ciemność, to światło nieistnienia, na które nie reagują moje oczy.

Machinalnie powtarzam twoje imię, jakbym chciał zażegnać nim słowa, z którymi się do mnie zwrócisz. Chociaż wiem, że z warg twoich nie narodzi się już żaden dźwięk i słuch najbardziej wydoskonalony nie napotka nawet szelestu twojej sukienki.

Tak bardzo mnie przeraża wzrok, którego nie ma, i słowa, które nie będą wypowiedziane!

A ty jesteś tak samo nieśmiała jak dawniej i nawet jeszcze bardziej. Ciało twoje nie odważyło się przejść przez próg i na próżno moje serce, które mimo wszystko wciąż jeszcze bije bezinteresownie, przyśpiesza uderzenia, jakby chciało rozkuć cię z więzów odległości.

Ty zresztą nie masz pewnie wcale zamiaru pytać mnie, czy uczyniłem wszystko możliwe, by zapobiec twojej śmierci.

Niepotrzebnie raz jeszcze upewniam cię o staraniach, które nie dały rezultatu. Niepotrzebnie raz jeszcze spowiadam się ze strachu o samego siebie, który udaremnił mi nawet myśl o poświęceniu dla ciebie wolności. (Może dawałoby ci to jakieś szanse w walce z nimi o życie).

Ty już dawno postanowiłaś o tym. Już w chwili, kiedy zatrzymali cię w tramwaju z bibułą w torbie, zdecydowałaś, że wszystko skończone.

A to wszystko bardzo wiele, więcej niż dla mnie wszystko kiedykolwiek znaczyło: Życie, do którego byłaś tak przywiązana, że promień słońca twój najczarniejszy smutek rozjaśniał do uśmiechu. Studia, które kończyłaś świetnie na konspiracyjnym uniwersytecie. Miłość, nieuświadomiona jeszcze, a już unosząca się nad każdym twoim gestem powiewem subtelniejszym od najbardziej delikatnego powonienia. Wolność, której żadna przemoc nie była w stanie zabić w tobie.

I wtedy, w styczniu 1944 roku, kiedy jedyną obroną mogło być przedłużanie śledztwa, dla ciebie na Pawiaku i na Szucha jedynym wybiegiem było uparte milczenie.

I chociaż wiem, wiem na pewno, że wzrok twój ciążący na powiekach nie wypomina mi ani bohaterstwa, ani wyrzeczenia, nie umiem przyjąć cię serdecznie, nie potrafię zdobyć się na gościnność i ofiarować ci jednej myśli niezatrutej.

A ty pewnie jak dawniej nie możesz ośmielić się, by przerwać moje milczenie.

Nieistniejącymi palcami skubiesz strzęp nicości, jaki ci z sukienki pozostał i zastanawiasz się nad słowami, które by wypowiedzieć.

Kartki na moim biurku trącane powiewem poruszają się jak twoje wargi i jak one są pozbawione krwi.

Układam je dokładnie i unieruchamiam przyciskiem lub książką, którą mam pod ręką. Tak samo wtedy słowa twoje tłumiłem rzeczowym pytaniem.

Jestem jeszcze bardziej okrutny i zmartwienie twoje bagatelizuję nieuwagą. Bo nie potrafię nawet dzisiaj zdobyć się na rzetelność i nie umiem powiedzieć ci prawdy, tak jak wówczas nie umiałem. A jak ją ukryć przed tobą, która najbardziej niedostrzegalne zmarszczki myśli rozprostujesz i odczytasz?

Gdy stoisz przede mną niewidoczna i niewyobrażalna nawet, jest mi, jakbyś mi swoje serce włożyła do piersi. Moje nigdy tak nie bolało.

Nie znając pojemności mojego wzruszenia, na oślep uderza gwałtownie i za każdym uderzeniem krwawi.

Jakimż to cudem się stało, że kule, które zamordowały twoje życie, ominęły serce twoje, iż ocalało i nie utraciło tej siły, jaką mu rozpacz dała?

Już powietrze, którym zarosło twoje westchnienie, spaliło się, a światło, z którego się twój kształt ulotnił, wyświetliło się wielokrotnie.

Już zmysły twoje na zawsze sprzymierzyły się z żywiołami i żadna otchłań ani wysokość nie wzruszą twojej równowagi.

Już krew twoja od dawna przepływa posłusznie uregulowanym łożyskiem przez serce Ziemi.

A ty wciąż zamartwiasz się i rozpacz twoja wbrew nieodwołalnym prawom przyrody egzystuje jeszcze.

Mimo całego wysiłku jaki czynię, by uwagę moją rozproszyć i rozrzucić ją na wszystkie wiatry i strony świata, do świadomości mojej dochodzi twój głos tak samo niematerialny i tak samo nieodparty jak głos sumienia.

Kartki na moim biurku poruszają się i żadnym przyciskiem nie zdołam ich unieruchomić. Twoje wargi są jak one pozbawione krwi.

„Dopiero szesnaście lat skończył, taki dziecinny i niedoświadczony. Gdy go zabierali w nocy ze Wspólnej, nawet swetra nie włożył. Byłby poszedł bez czapki, gdyby mu jej jeden z tamtych nie wcisnął na głowę.

Taki drobny i wątły, a oni żadnej paczki, nawet ciepłego okrycia nie chcą dla niego przyjąć".

Gdy żyjąc na innych niż dawniej prawach, przeciskasz się przez tkankę drzewną, lub gdy usiłujesz w po-

wietrzu wyżłobić sobie drogę dokoła słońca, droga twoja jest krzyżowa.

Chociaż wzrok wypłynął ci z oczu, słuch rozpadł się, a mrówki rozniosły dotyk twój po dalekich krajobrazach, doznajesz wciąż niepokoju gwałtowniejszego od wybuchu bomby, od drżenia rąk, od pożaru światła, jaki gwiazda spadająca wznieca.

I jak to dzisiaj wytłumaczę, iż nie miałem dość siły, by ci powiedzieć, że brat twój już wtedy nie żył?

Istnieję w epoce, kiedy rozsądek przezwyciężył ostatecznie ludzką skłonność do optymizmu. Nie mogę mieć nawet tej nadziei iluzorycznej, że spotkamy się kiedyś.

Jeśli oddech mój napotka ułamek twojego tchnienia, lub proch mój przemiesza się z twoim, nie będzie to miało żadnego dla nas obojga znaczenia.

Przestrzeń między nami będzie ciągle wzrastać, jakby materia uwzięła się, by nas rozdzielić. Nawet nie jesteśmy w stanie określić wzajemnego położenia miejsc, w których przebywamy.

Jeśli idzie o mnie, nie ustanę w wysiłkach, mimo wszystko.

Bezczynną, opuszczoną przez ludzkość aparaturę cudu i nadprzyrodzoności gotów jestem uruchomić sam i pracować nawet na własną zagładę.

Podjąć zlekceważone wzruszenia, powrócić na opuszczone obszary wyobraźni i poezję użyć znów za narzędzie do wykonywania rzeczy niemożliwych!

Bo między nami nie może istnieć uczucie inne, niż uczucie tkliwości.

Przecież to było tylko sprawą przypadku, że nie zdołałem powiedzieć ci słów, które winienem był powiedzieć. Że nie umiałem pośpieszyć ci z pomocą. Że nie potrafiłem wyzwolić od rozpaczy i zabezpieczyć ci nieistnienia pozbawionego niepokoju.

Nawet na twój gryps ostatni, pisany 17 czerwca, w przeddzień rozstrzelania, nie zdążyłem odpowiedzieć i pewnie nie dowiedziałaś się nigdy o sukcesach wojsk sprzymierzonych na zachodzie i wschodzie Europy. A tak bardzo mimo wszystko musiałaś oczekiwać na każdą nowinę, którą by można przetłumaczyć na nadzieję uwolnienia.

Wierzę, mimo wszystko wierzę, że potrafię wzruszeniem moim przezwyciężyć wszystkie przeszkody, jakie świat rzeczywisty i rozsądek człowieka spiętrzyły między nami.

Że słowa moje przełamią milczenie śmiertelne i że odpowiesz mi mową mniej przejmującą i zawierającą bardziej wyrozumiały sens niż głos sumienia.

Że objawisz mi się konkretnym wzrokiem, słuchem, lub uśmiechem we wspomnieniu i dłonią wyczuję dotyk twojej ręki przy minionym uścisku.

A gdy usłyszę skrzyp otwieranych drzwi i powiew, ta nowa postać twego ciała mnie owionie, nie będę umierał z przerażenia. Będę pewien bowiem, że nie włożysz mi już nigdy swojego serca do piersi.

ZŁE DNI WŁOSKIEGO FASZYZMU

I

HANNIBAL ANTE PORTAS

PAMIĘTNA DATA.

Dnia 14 maja 1943 roku skończył się trwający kilka miesięcy odwrót wojsk włoskich w Afryce. Poddały się tam ich zdziesiątkowane resztki i stworzyły w ten sposób możliwość zaatakowania Włoch bezpośrednio. Wojska Sprzymierzonych znalazły się wówczas u drzwi kraju, ale rząd tamtejszy nie zaalarmował z tego powodu ludności, nie będąc pewny w jaki sposób ludność odpowiedziałaby na ten alarm. Wydawało się bowiem, że ludność Włoch nie uważała nadciągania nieprzyjacielskich wojsk za katastrofę dla swego kraju.

Ta data jednak, czternastego maja, była datą fatalną dla rządów tamtejszych, dla włoskiego faszyzmu i dla jego twórcy Mussoliniego, o którym wówczas jego przeciwnicy mówili z przekąsem, że kilka miesięcy wcześniej, będąc pewny swego zwycięstwa w Afryce, wysłał tam samolotem pięknego białego konia, by odbyć na nim tryumfalny wjazd do Egiptu.

Ten tryumf, którego Mussolini był pewny i do którego czynił przygotowania, nie byłby pierwszym jego tryumfem, bowiem jakiś czas przedtem ofiarował on przecież swemu królowi cesarską koronę podbitej Abisynii i królewską Albanii. Spowodował także, że delegacje różnych krajów, jak za dawnych czasów przychodziły, by całować królewską rękę i w pokorze prosić włoskiego króla, by zechciał łaskawie wyznaczyć kogoś z rodziny do panowania w ich krajach. Król wyznaczał na to stanowisko swego kuzyna-księcia, książę szykował się do podróży, odkładał ją jednak, gdyż chodziło właśnie o tę Jugosławię, kraj zbyt niebezpieczny, mimo że podbity, w której mimo okupacji ginęło co dzień więcej włoskiego wojska, niż w całej Afryce, gdzie była wojna i wielka ofensywa.

Abisynia była już wyzwolona. Walki toczyły się w Grecji, walki toczyły się w Albanii i w Jugosławii, także i w górach pobliskiej Francji, były to jednak walki partyzantów przeciw stałym wojskom okupacyjnym. Odbywały się one daleko, nie przedstawiały niebezpieczeństwa wojskowego, gdy to natomiast, co stało się w Afryce, miało swoją bardzo groźną wymowę. Poddawały się tam bowiem włoskie wojska najlepsze, najlepiej wyekwipowane,

edyne mające za sobą zwycięstwa i poddawały się pod naporem sił druzgocących. Mało kto wówczas we Włoszech ich poddania się nie zrozumiał jako **memento mori** dla włoskiego faszyzmu, jego twórcy Mussoliniego i jego „Imperium".

Tego dnia także zdarzyło się, że w Rzymie dano sygnał alarmu przeciwlotniczego, rzecz, która nie zdarzała się tam często, i dano ten sygnał jakby dla przypomnienia mieszkańcom miasta, że wojna toczyła się na świecie rzeczywiście. Jak do tego czasu bowiem, niewiele ją w Rzymie odczuwano. Rzymianie w tym czasie nie wierzyli jeszcze w rychły upadek tamtejszego reżimu, zbyt silnie trzymającego władzę nad krajem, ani też nie wierzyli, by cokolwiek złego mogło kiedykolwiek przydarzyć się ich miastu osławionemu bliskością neutralnego Watykanu i wobec szanowanej przez wszystkich na świecie historyczności ich „Wiecznego Miasta".

Mówili też, z prawie dziecinnym zaufaniem — rzeczywiście do swego miasta przywiązani i z niego dumni i ceniący je ponad wiele innych rzeczy — że Rzym jest zbyt piękny na to, by ktokolwiek zechciał i odważył się go niszczyć. Mówili to jednak często z odrobiną niepokoju, zwłaszcza gdy w rozmowie nieostrożnie im wspomniano o zniszczeniach innych miast bez względu na ich wartości historyczne, bez względu na to, czy i o ile ich ludność ponosiła winę w tej wojnie, a także bez względu na przywiązanie ludności do tych miast. Z tego względu także było rzeczą nieprzyjemną dla rzymian wspomnieć sobie, że to oni sami, Włosi, i to bardzo niedawno, prosili o „honor" wzięcia udziału w bombardowaniu miast bardzo dalekich, ale leżących właśnie w kraju, którego wojska zbliżały się teraz do włoskich granic.

PIERWSZE NIEPOKOJE.

Następnego dnia, jeszcze pod wrażeniem poddania się wojsk w Afryce i pod wrażeniem alarmu z dnia poprzedniego, znowu usłyszano w Rzymie syreny. Tym razem na ulicach nie widziało się już poprzedniego zaufania.

„Oto się zaczyna" mówiono biegnąc pospiesznie do schronów.

Przebiegająca obok mnie kobieta płakała.

Matki z przerażeniem nawoływały dzieci.

Widać było, że coś się tej nocy w pojęciu tych ludzi zmieniło.

Dziwne wrażenie robili żołnierze wysiadający z ciężarowych aut, którymi ich przywożono do punktów obrony przeciwlotniczej. Byli zdenerwowani, uzbrojeni, tak jakby do normalnej lądowej bitwy, a nie przeciwlotniczej. Każdy z nich miał karabin i ręczne granaty, których nie posiadał dawniej i którymi nic nie mógłby zrobić przeciw samolotom. Wydawało się więc, że albo komenda obawiała się nalotu spadochroniarzy, co nie było przecież prawdopodobne, albo też rząd obawiał się rozruchów w mieście. Z szeptów ludności wynikało, że zostali oni uzbrojeni przeciw ewentualnym rozruchom.

Po tym dniu niespokojnym także i w nocy był długotrwały alarm i tej nocy

słyszano w Rzymie dawno nie notowane wybuchy pocisków artylerii przeciwlotniczej.

Rano rozeszła się wiadomość, że owej nocy nad Rzymem długo krążyły samoloty angielskie i amerykańskie rozrzucając ulotki propagandowe. A więc były nad Rzymem! To w jego historii nie zdarzało się często.

Rano stało się także wiadome, że samoloty te zbombardowały niedaleki port Civitavecchia. Mówiono, że port ten został zrównany z ziemią. Mówiono, że wywoziło się stamtąd wiele pociągów z rannymi, że było wiele tysięcy zabitych, że wyleciały w powietrze statki z wojskiem, załadowanym do wyjazdu na Sycylię i Sardynię. Po tej wiadomości wielu rzymian wywiozło rodziny na prowincję. Nie miano już poprzedniego zaufania do „Wiecznego Miasta". Cały dzień dworce były oblężone przez ludność przerażoną bliskością zniszczonego portu i oblężenie to nie zmniejszyło się ani wieczorem ani nocą.

Następnych dni jednak wiadomości o wojnie docierały do Rzymu tak jak dawniej odpowiednio spreparowane przez radio, które załatwiało się z nimi w ciągu kilku krótkich minut, między wesołą piosenką i muzyką taneczną, jak o tym później pisano z wyrzutem. Były każdego dnia jednakowo spreparowane i usypiały czujność i niepokój ludności. W ten sposób podając, że Neapol został zbombardowany po raz siedemdziesiąty, dodano jako jedyny komentarz:

„Nieszczęsne miasto".

Na tym skonstatowaniu poprzestano, nie zamierzając w takiej chwili budzić zbyt wielkiego zainteresowania wojną i zwycięstwem, o którym tyle i tak pewnie mówiło się poprzednio ze strony rządu. Toteż także i wtedy w pewnych sferach o tym wszystkim mówiło się żartobliwie i bomby nazywano „bombeczkami".

Rzymianie więc niepokoili się głównie rzeczami najbliższymi i głównie tym, że miasto zaczynało być odcinane od reszty kraju. To odczuwało się coraz bardziej. Z południem, wobec ciągłego przerywania linij kolejowych, komunikacja była coraz trudniejsza. Pociągi przychodziły nieregularnie i w większości służyły celom wojskowym i wojennym. Z północą miasto łączyło się tylko dwoma liniami kolejowymi, przeciążonymi nadmiernie. W każdej chwili one także mogły być przerwane, i wiadomo było, że w razie przerwania tych linij kolejowych Rzymowi groziłby głód. Jego okolice były bardzo słabo zaludnione i wyjątkowo ubogie, jedne z najuboższych w Europie. A Rzym w owej chwili stawał się coraz bardziej przeludniony wobec napływu ludzi szukających w nim schronienia. Ilość mieszkańców zbliżała się do podwójnej, dowóz kurczył się z dnia na dzień. Wreszcie brakło nawet owoców, o które zawsze było najłatwiej i życie każdego dnia stawało się cięższe. Nie była to rzecz łatwa do zniesienia dla rzymian lubiących dobre i obfite posiłki, które zredukowano im do połowy, do jednej trzeciej, do jednej piątej. Brak żywności powiększał się każdego dnia, odczuwany nawet przez bogatych mimo ich bogactwa, gdy jednocześnie rzeczywisty głód cierpiany przez biedotę miejską, przez robotników i inteligencję stawał się coraz ostrzejszy.

Coraz częściej zdarzało się w tym mieście, że ludność złorzecząc demonstrowała na placach rynkowych. Zaczęło się to jednego dnia na placu Wiktora Emanuela, a zaczęło się od wybuchu zniecierpliwienia. Kobiety, które czekały tam na przywóz jarzyn już od ósmej rano, a niektóre, bardziej zapobiegliwe, od czwartej, rozgoryczone długim i próżnym oczekiwaniem na żywność, rozgromiły owego dnia policjantów i rozebrały jarzyny przywiezione wreszcie o jedenastej.

Następnego dnia rzecz podobna powtórzyła się na innych rynkach.

Potem zabrakło w Rzymie także i wina. Tego nikt nigdy nie oczekiwał i nie przewidywał i nie mógłby sobie wyobrazić, że w żadnej z tysiąca winiarń rzymskich nie można będzie dostać nawet odrobiny wina, którego robotnik tamtejszy wypijał normalnie bardzo dużo.

Bez **fiasko** na stole w Rzymie nie wyobrażano sobie przecież posiłku.

Mówiono, że to farmerzy wstrzymali dostawę, nie chcąc sprzedawać wina po oznaczonej cenie i czekają na jej zwyżkę. W mieście tymczasem coraz to rozchodziła się plotka to tu, to ówdzie, że w tej lub w owej dzielnicy wino to wreszcie było w sprzedaży. Tłum wybiegał na ulicę cisnąc się do winiarń. Wina jednak nie było ciągle. Nie pijąc ludzie przypominali sobie dawniejsze czasy, kiedy to litr kosztował osiem soldów. Ostatnio tylko za pół butelki tego samego wina płaciło się w nielegalnej sprzedaży cenę stokrotnie wyższą.

II

ZŁE DNI WŁOSKIEGO FASZYZMU

Z różnych miast Północnych Włoch dochodziły wiadomości o demonstracyjnych strajkach robotników wyniszczonych głodem. Wzięli oni sobie próbny sygnał alarmu dawany co dzień o godzinie dziesiątej rano za znak do porzucenia pracy. Przez pewien czas nie dawano więc tego sygnału, wysyłając jednocześnie do fabryk wojsko i aresztując przywódców robotniczych. Strajki więc nie powtarzały się więcej, mówiło się jednak, że po odejściu wojska z fabryk brakło wiele karabinów ręcznych i maszynowych, amunicji i granatów, które ukryli robotnicy przygotowując się do mogącej wybuchnąć rewolty antyfaszystowskiej.

Ludzie w pozostałej części kraju myśleli o tych miastach z nadzieją zmian, wiedząc, że każdy strajk i demonstracja pogłębiały już istniejące rozdźwięki między samymi faszystami, osłabiały ich pozycję i ośmielały przeciwników.

O faszystach mówiło się już wówczas, że nie czuli się tak pewni jak kiedyś. Wiedziano, że członkowie dawnych bojówek faszystowskich, okrwawieni udziałem w wyprawach przeciw robotnikom i ich związkom i mający nieraz wiele ofiar na sumieniu, przygotowywali sobie fałszywe dokumenty. Mówiło się o nich, że uciekali z miejsc, w których kiedyś popełniali swe zbrodnie, by w trudnej dla siebie chwili nie znaleźć się pod ręką tych, którzy pamiętali te zbrodnie i szukaliby odwetu. Mówiono o nich, że wysyłali swe rodziny do Północnych Włoch, w pobliże szwajcarskiej granicy, by wraz z tymi rodzi-

nami móc ją przekroczyć w odpowiedniej chwili. Wiedziało się, że faszyzm, w najgorszym dla niego razie, będzie starał się przedłużyć obronę na Północy, właśnie tam, przy tej granicy szwajcarskiej oblężonej przez uciekinierów z trzech stron, bo z niemieckiej, francuskiej i włoskiej, tej granicy, która w ówczesnych snach niektórych ludzi była granicą między śmiercią i życiem.

W Rzymie zwyczajnym, nie faszystowskim, który nie zamierzał umierać dla faszyzmu, ani „bronić go zębami", do czego faszyzm wzywał, w zwyczajnym Rzymie, wśród tamtejszej ludności o wojnie mówiło się niechętnie. W Rzymie wówczas wiadomo było, że wojna jest smutna bez względu na jej wyniki, nieprzyjemna, niewygodna, niepotrzebna. Ta niewygoda wojny, nieprzyjemnej i niepotrzebnej wojny, była tam inaczej odczuwana niż w innych krajach, bardziej po ludzku. Oto ludzie z wysp na przykład, tych miejsc najbardziej atakowanych przez lotnictwo, nazywali godzinę piątą po południu „godziną bólu żołądka", bo to o tej godzinie przychodziły najczęstsze i najcięższe naloty, przed których potęgą nie znajdowano obrony, i to ze zbliżaniem się tej godziny doznawano bolesnych skurczów żołądka i rozwolnienia, których jako zwykłej reakcji nerwowej ludzie przestali się wstydzić. Ludzie nie mieli entuzjazmu dla tych spraw i dla całej tej sprawy, w której ginęło zbyt wielu młodych chłopców i dokonywało się zbyt wiele zniszczeń, i przypominało to opowieści o Francuzach, którzy wysyłali delegacje z burmistrzami na czele do komendantów własnych oddziałów wojskowych będących w odwrocie, by zechciały się jak najprędzej przenieść gdzie indziej, albo po prostu wycofać dalej i w żadnym razie nie bronić się w ich mieście, ani w jego pobliżu.

„Idźcie dalej" mówili i chętnie dostarczali benzynę do aut lub naprawiali uszkodzoną kolej, aby własne bohaterskie wojsko poszło sobie bić się gdzie indziej.

Włosi nie mieli także złudzeń co do własnej potęgi wojskowej. Wiadomo było, że broń jest marna. Wiadomo było, że marynarka wojenna obawiała się wyjść na morze wiedząc, że pierwsze jej wyjście byłoby także ostatnim. We Włoszech istniał jeden statek-lotnisko. Ale ukrywał on się w porcie, tam także zresztą nie będąc bezpieczny. Było lotnictwo, zwłaszcza silne lotnictwo myśliwskie, wiedziano jednak, że każdy lotnik włoski wylatujący na tych lekkich i skonstruowanych z drzewa samolotach był samobójcą.

ATAK NA WYSPY.

Mijały piękne dni lata, w ciągu których coraz bardziej jasne stawało się, że klęska faszyzmu była nieunikniona i coraz bliższy dzień wyzwolenia dla jednych, katastrofy dla drugich, albo zwykłej zmiany rządu dla innych. Chodziło tylko o to, żeby rzecz odbyła się jak najbardziej bezboleśnie, gdy wojna natomiast, zamiast się oddalić lub przenieść gdzie indziej, zbliżała się coraz bardziej i coraz bardziej szła „na całego". Oto jednego z tych dni zostały zaatakowane nie tylko przez lotnictwo, ale także i przez artylerię wojennych okrętów małe wyspy Pantellaria i Lampedusa. Ludzie tam uciekali w głąb tych maleńkich lądów pod ogniem artylerii sięgającym od jednego

brzegu do drugiego. Poddały się te wyspy bez obrony po kilkudniowym bezużytecznym i nieprzerwanym ogniu z powietrza i z morza, w czasie którego wyglądały na wulkany ziejące ogniem setek i tysięcy bomb. Poddały się bez oporu i podobno jedynym rannym pośród atakujących był żołnierz ugryziony przez zdenerwowanego tym wszystkim osła.

„BOMBKI" I „BOMBECZKI".

Komunikat wojskowy z jednakową co zawsze obojętnością podawał wiadomości o nalotach na Południowe Włochy i Sycylię, redukując liczbę zabitych i rannych do kilku lub kilkunastu. Z tych komunikatów można by było mieć prawie wrażenie, że wypadki rozgrywały się w jakichś bardzo dalekich krajach albo też w odległej przeszłości. Nic w nich nie było o strasznych warunkach życia tamtejszej ludności, kryjącej się po grotach i lasach, cierpiącej głód i choroby, brak chleba i wody. Wiadomo było, że przylatywały tam wiele razy w ciągu dnia i nocy ciężko opancerzone bombowce, przeciw którym nie mogły obronić ani prymitywne karabiny maszynowe, ani działa nie mające amunicji, ani samoloty, którymi wylecieć odważali się tylko najmłodsi i najmniej doświadczeni lotnicy. I wiadomo było, że te żartobliwie bombkami i bombeczkami spuszczane na kraj ładunki, to były tony materiałów wybuchowych. W spokojnym Rzymie opowiadano sobie ze zgrozą o tym, co się działo prawie tuż pod jego murami, na południu. Mówiono, że ranni musieli tam czekać po wiele dni, najczęściej w miejscu gdzie ich dosięgły pociski. Odwożeni do przepełnionych szpitali nie znajdowali w nich miejsca ani pomocy. Nieraz na pół przytomni i nieraz umierający musieli zrywać się ze swych noszy i legowisk w pociągach, by uciekać, gdy rozpoczynał się nowy atak. W Rzymie opowiadano sobie też o operacjach robionych tam, na Sycylii i w bliższej Kalabrii nocą, przy zapalonych kartkach papieru, wobec przerwania dopływu światła i braku świec, obok jakiejkolwiek beczki, która po kilku godzinach tej pracy wypełniała się ludzkimi ramionami i nogami rzucanymi tam w pośpiechu przez sanitariuszy. Operacje robiono, gdy bomby padały w pobliżu i musiano je przerywać wobec braku wody, jakiegokolwiek światła i medykamentów.

Takimi wiadomościami karmili się rzymianie, wiedząc, że każdego dnia niebezpieczeństwo to mogło przyjść do nich samych, że trzeba będzie tak jak tamci ludzie iść precz, zacząć tułaczkę, kryć się po lasach i przytulać się po bruzdach do ziemi, żyć w brudzie, niewygodach, o głodzie i w niepewności życia, w tym, jednym słowem, co działo się na południu Włoch, od Neapolu w dół, gdzie panował zamęt, głód i drożyzna. Niepokój ten nagle powiększył się jeszcze bardziej, gdy wśród ludności rzymskiej rozeszło się podawane z ust do ust powiedzenie angielskiego ministra spraw zagranicznych, że Rzym nie miał być oszczędzony.

Ta wiadomość, wraz z inną, najmniej oczekiwaną, że ludności zabroniono wyjazdu nad morze, nad którym się na coś gorączkowo przygotowywano,

jeszcze raz przypomniała rzymianom, że była wojna, że wojna zbliżała się do nich i mogła nie oszczędzić także i ich miasta.

CISZA PRZED BURZĄ.

Mimo ciągłych niedobrych wiadomości jeszcze długie tygodnie minęły w Rzymie spokojnie. Dopiero w nocy z czwartego na piąty lipca był znowu długotrwały alarm przeciwlotniczy i wkrótce po jego pierwszym sygnale rozpoczął się gwałtowny ogień artylerii przeciwlotniczej i słyszeć się dały ciężkie i odległe wybuchy bomb spadających w stronie niedalekiej Ostii.

Na pierwszy sygnał alarmu ludzie śpiący w ubraniach i przygotowani do opuszczenia domów pobiegli masowo i pospiesznie do schronów. Tym razem biegli w ciszy, tak jakby nie chcąc przywoływać na siebie nieszczęścia.

W chwilę po pierwszych sygnałach alarmu zaczęły się nad uciekinierami rozrywać granaty i po murach uderzać odłamki. Dały się słyszeć odosobnione okrzyki przerażenia, które jeszcze bardziej pogłębiały wrażenie ciszy.

Tej to nocy po raz pierwszy słyszałem głośne złorzeczenia przy schronach. Krzyczała kobieta. Krzyczała, wielokrotnie powtarzając te dwa słowa: „Zabijcie Mussoliniego".

Aresztowano ją, wywlekając spośród tłumu; głos jej jednak słychać było długo, mimo że wlokąc ją zatykano jej usta chustką. Te same słowa zobaczyłem w kilka minut później napisane na murze schronu. Ludzie mówili głośno o aresztowanej kobiecie. Mówiono, że wojna dotknęła ją ciężej niż innych, że była uciekinierką z południowego miasteczka, w którym straciła wszystko i wszystkich.

PROPAGANDA I FAKTY.

W niecały miesiąc po poddaniu się wysp Pantellaria i Lampedusa komunikat włoski podał, że z powietrza przez spadochroniarzy i z morza przez lądujące wojska została zaatakowana Sycylia. Właśnie tam, na tej nieszczęsnej wyspie, już od miesięcy doświadczanej gorzej niż przez trzęsienie ziemi i niż przez wybuchy wulkanów, rozpętało się podobne do wulkanicznego piekło. Mówiło się o prawdziwym zrównaniu z ziemią Taorminy, w której mieściła się komenda tamtejszej obrony, mówiono o przerwaniu linij telefonicznych na całej wyspie, o unieruchomieniu wszelkiego transportu, o chmurach samolotów przemierzających wzdłuż i wszerz już nie niebo nad wyspą, ale najbliższą przestrzeń nad ziemią.

Jednym ze złudzeń rzymian było to, że nieprzyjaciel zawaha się przed atakowaniem kraju uniedostępnionego przez morze i będzie czekał na zmianę rządu, ustępstwa. Jednym ze złudzeń było także, że wojna rozstrzygnie się wcześniej, zanim jeszcze stanie się konieczne atakowanie Włoch, i że rozstrzygnie się gdzie indziej. Jednym ze złudzeń było także to, że kraj jest łatwo obronny, mogąc być tylko zaatakowany z morza.

Propaganda włoska przez długi czas niezmęczenie przekonywująca o naj-

pewniejszym zwycięstwie mówiła przecież, że każdy śmiałek musiałby „wyszczerbić sobie zęby“ na murach fortecy, jaką był włoski ląd. I rzeczy tej można było uwierzyć. Ciągle pisało się także o wielkich stratach tamtych wojsk, o głodzie w tamtych krajach i o strajkach nękających przemysł tamtych krajów. Ludzie nie wierząc w zwycięstwo, wierzyli jednak w obronę. Zawód był ciężki i nadszedł z chwilą, gdy została zaatakowana Sycylja. Od początku widać było jak się ten atak zakończy. Teraz wyglądały na kpiny dawne słowa propagandy o tym, że atakujące wojska zostaną sromotnie zepchnięte do morza, nie zdoławszy wysadzić na ląd ani jednego żołnierza, że nie ujdzie z pogromu ani jeden statek, że byłaby to impreza nie tylko ryzykowna, ale hazardowa, straceńcza, która okryłaby na zawsze wstydem nieopatrznych śmiałków, zakończywszy się dla nich nieuniknioną, straszliwą klęską.

Oto jeszcze kilka dni wcześniej propaganda mówiła, że do imprezy tej musiano by użyć co najmniej kilka tysięcy statków. I skądże miały je wziąć tamte wojska, skoro w ciągu trzech lat codzień im zatapiano po kilka tysięcy ton, znacznie więcej niż kraje te razem wzięte mogły, według prasy włoskiej, wyprodukować.

Przeciwnik musiałby mieć setki tysięcy żołnierzy, gdy tymczasem ludność Włoch przekonywana była co dzień, że tamte rządy nie potrafiły nawet przeprowadzić mobilizacji w swoich krajach.

Jakżeż, czytało się nawet o tym, że nie byli tam karani ludzie, którzy ze względów ideologicznych nie chcieli służyć w wojsku, ci okryci śmiesznością przez prasę faszystowską pacyfiści.

Żołnierze tamtych krajów zresztą nie mogli mierzyć się z żołnierzem włoskim. Tamci, to byli ludzie, którzy umieli tylko uciekać. Ich wodzowie umieli tylko przegrywać bitwy. Musieliby zresztą mieć tysiące dział, tysiące samolotów, tysiące tanków i niezmierzone ilości amunicji, by odważyć się na podobną wyprawę. A jakżeż mogli je wyprodukować w swych krajach, skoro były one dręczone ciągłymi strajkami i opozycją ludności. I jakżeż mogliby przewieźć to wszystko przez morze, skoro przez Atlantyk nie mógł przejechać żaden statek, nawet najbardziej opancerzony, a każdy, który ośmielił się zaawanturować na morze Śródziemne, musiał skończyć na jego dnie. Mimo to wszystko bitwa raz rozpoczęta na długiej części sycylijskiego wybrzeża trwała ciągle.

DECYDUJĄCE CHWILE.

Następnego dnia ludzie czytali uważnie poranne dzienniki, rozważając każde ich słowo i starając się wychwytać każdą myśl ukrytą w niedomówieniach i między liniami artykułów. Tego dnia robotnicy, urzędnicy i dziewczęta pracujące po biurach i po sklepach stanęli wielkim tłumem przed barami i sklepami posiadającymi głośniki radiowe, by o pierwszej godzinie usłyszeć komunikat wojskowy. Na ulicy wszystko zamarło w chwili, gdy radio zaczęło podawać swój zwykły sygnał czasu. Ludzie byli cisi, zatro-

skani, zatrwożeni. Zawiedli się oczekując wiadomości decydujących. Komun kat nie podawał nic i tylko mówił mętnie, że w jakichś, niesprecyzowanyc punktach wycofywały się atakujące wojska. Wiadomość była jednak tak nie jasna, że mało kto uwierzył w jej prawdziwość.

Dopiero w dwa dni później, czwartego dnia bitwy o Sycylię, przestan w tym komunikacie ukrywać prawdę. Mówiło się otwarcie, że bitwa tar trwała ciągle i z wzrastającą gwałtownością, że wysadzone na ląd wojsk rozszerzały zdobyty teren. Atakujące wojska złamały opór włoski, doszły a do doliny Katanii. Znaczyło to, że po kilkudniowej walce znaczna część wysp została zajęta, ale znaczyło to także, że wojska przeszedłszy z Egiptu do Tu nisu i z Tunisu na Sycylię, mogły tak samo lada chwila uderzyć na włosk ląd. Tego dnia nastroje w sferach związanych z faszyzmem w Rzymie przy brały charakter paniki. Pakowano rzeczy, więcej się z tym nie kryjąc, wycc fywano pieniądze z banków, płacono najwyższe ceny za zagraniczne waluty uciekano lub przygotowywano się gorączkowo do ucieczki. Jedni, bardzie przerażeni, przekonywali innych, jeszcze opornych, mówiąc, że wojna już był przegrana. I to oni, faszyści, powtarzali teraz z ironią te słowa, które wykrzy kiwali poprzednio na wiecach i akademiach:

„Zwyciężymy".

Ci pytali jedni drugich:

„Co teraz będzie?"

Oskarżali się wzajemnie, złorzeczyli wodzom i przerażeni mówili: „Ludność nas wymorduje".

Na murach rzeczywiście, zbyt często jak dla nich, widywało się te napisy „Wystrzelajcie faszystów. Wszystkich faszystów".

Nie uspokoił ich autor artykułu ogłoszonego tego dnia w jednym z dzienni ków faszystowskich, mówiąc o prawdopodobieństwie rozszerzenia się walki na ląd. Zdanie to, po raz pierwszy podane w prasie włoskiej i podane w takie chwili, zrobiło na ludności wielkie wrażenie. Okazywało się bowiem, że rze czywiście wojna, nie dość że przegrana, miała się toczyć właśnie w samych Włoszech, a nie jak dawniej gdzieś w Afryce, Grecji, Hiszpanii lub Jugosławi i miały być niszczone nie miasta Abisynii, ale Rzym, Neapol, Mediolan, Genua, Turyn. I to właśnie Włosi mieli uciekać i kryć się jak dzikie zwierzęta

FASZYSTOWSKA PANIKA.

Faszyści, czując że stracili wszystko, wybuchali gniewem i obelgami po adresem własnego rządu i własnego wodza. To oni mówili wreszcie to, c od dawna mówiła ludność, że Mussolini był zdziecinniały, że z powodu syfilis miał rozmiękczenie mózgu, że był obłąkany od kilku lat, że należało go unie szkodliwić wtedy, gdy zaczynał się wiązać z niemieckim narodowym socja lizmem. To oni także zaczynali mówić, że należy go zabić i każdego dni wzajemnie bardziej się przekonywali, że chodzi o nic więcej tylko o człowieka który wepchnie mu nóż w plecy, by na niego zwalić wszelką odpowiedzialnoś i uratować innych.

Jednego z tych dni słyszałem kilkakrotnie przy różnych okazjach powtórzone w Rzymie te same słowa:

„Ktokolwiek go zabije i rzecz się skończy".

Mógł to być ktoś z jego otoczenia i wydawało się nawet, że będzie to ktoś z najbliższych mu ludzi. Na murach pojawiły się napisy malowane wielkimi literami przez opozycję faszystowską:

„Niech żyje hrabia Galeazzo Ciano".

Wydawało się, jak gdyby w ten sposób wskazywano na zięcia, jako na ewentualnego zabójcę i następcę.

Napisy te jednak pojawiały się w okolicach, gdzie stały wille bogatych faszystów, a nie na przedmieściach robotniczych, w których w napisach „zabijcie wszystkich faszystów" podkreślano słowo „wszystkich". Wiadomo już jednak było, że faszyzm nie był więcej podtrzymywany nawet przez samych faszystów.

TRZY OSTRZEŻENIA.

Ludności tymczasem wydawało się, że niebezpieczeństwa grożące miastu mogły być natychmiastowe. Mówiło się o możliwości okupowania rzymskich lotnisk przez spadochroniarzy, o możliwości lądowań koło Rzymu i marszu na Rzym. Nie myślano już także o tym, że nietykalność ich miasta zostanie uszanowana ani z powodu jego piękna, ani historyczności, ani z powodu bliskości Watykanu. Myślano tylko o tym, że przez Rzym dniem i nocą przejeżdżały transporty niemieckiego i włoskiego wojska śledzone przez samoloty, i z niepokojem myślano o tym, że to właśnie pod osłoną neutralności Watykanu krył się rząd i komendy wojskowe. Upewniano się, że Rzym zostanie zaatakowany.

Trzy alarmy przeciwlotnicze, które poprzedziły zaatakowanie Rzymu, były przez ludność uważane za pewnego rodzaju ostrzeżenia.

Długi alarm w nocy z piątku na sobotę siedemnastego lipca zastał mnie na ulicy w pobliżu na pół zawalonego tunelu, który został zamieniony na schron, mimo że jego sklepienie zawaliło się kiedyś pod swoim własnym ciężarem. Cały tunel był zapchany szczelnie przez kilka tysięcy ludzi, którzy wszystkie godziny alarmu musieli przestać na nogach, gdyż tylko niewielu znajdowało sobie miejsce do spania na wilgotnej ziemi, na której rozkładano do spania gazety i szmaty. Ubrania po kilku godzinach spędzonych w tej wilgoci były mokre. Dzieci kaszlały. Tak samo było w głębokich tunelach pod skałą Palatynu, to samo w trzecim wielkim skalnym tunelu pod ogrodami zakonu Maltańskiego, koło znanej przez dawnych turystów winiarni utrzymywanej przez Angelę Sabatini.

Drugi alarm spędziłem z kilkoma przypadkowymi przechodniami w pustym Koloseum, trzeci, ostatniej nocy przed bombardowaniem Rzymu, w pięknym rzymskim parku koło modnej i zamkniętej o owej godzinie kawiarni. Usłyszeliśmy najpierw kilka krótkich i nieudolnych zająknięć się niedobrze funkcjonującej syreny i potem jej długi i jak zwykle sześć razy powtórzony sygnał. Do schronu było zbyt daleko, pozostaliśmy więc w pustym o tej porze

ogrodzie. Granaty rozrywały się nad nami, znacząc swoje drogi na niebie drobnymi iskierkami rozżarzonych żelaznych pyłków, sunących powolnie w prostych rzędach. Wkrótce później park zaczął się zaludniać mieszkańcami pobliskich dzielnic. Nie ufając schronom i piwnicom, woleli w czasie ewentualnego niebezpieczeństwa znaleźć się w otwartym miejscu. Nie dziwiłem się temu, znając większość rzymskich schronów.

Ten ostatni alarm odwołano dopiero nad ranem. Na ulicach pod sklepami zaraz się zaczęły tworzyć kolejki kobiet oczekujących na żywność, choć godzina dopiero była trzecia rano i choć sklepów nie otwierano przed ósmą. Pokładły się na chodnikach rzędem, rozkładając koce i tak czekały. W ten sposób spędzały noce. Tego samego dnia, dziewiętnastego lipca, nowy alarm dany o jedenastej trwał znowu w ciągu trzech godzin. Wydawało się, że miał on być tak jak i inne bezkrwawy, ale to po tym alarmie komunikat włoski powiedział:

„Późnym ranem zrzucono na Rzym wiele bomb".

Rzym nie został oszczędzony. Ludzie niosąc ze sobą wszystko, co mogli zabrać i prowadząc dzieci, poszli jak i w innych miastach oblegać schrony, by znaleźć w nich miejsce na noc. Tłum tych, którzy nie znaleźli miejsca, stał w ciągu całej nocy przed wejściami, powiększył się jeszcze bardziej, gdy przed północą dano jeszcze jeden sygnał alarmowy. Ta noc jednak, piękna księżycowa noc, przeszła spokojnie.

W Rzymie brakło wody, nie funkcjonowały telefony, nie było mleka. Spóźniały się auta z warzywem i z pieczywem, autobusy przejeżdżały puste, bo tego dnia mało kto poszedł był do pracy. Tylko schrony oblężone były w dalszym ciągu przez tych, którzy spędzili w nich noc i przez tych, którzy uciekli z dzielnic zburzonych poprzedniego dnia, a mówiono, że ludzi tych było ponad sto tysięcy. Przykro było widzieć ich twarze szare z niewyspania i smutku, smutno też było widzieć to co jedli: kawałek chleba i cebuli albo gotowanego warzywa, bo masło, jajko, mięso to były dla robotnika i jego rodziny rzeczy już wówczas od dawna prawie nieznane.

III

UPADEK MUSSOLINIEGO

„MORDERCA, ZABÓJCA".

Już trzeci dzień brakło w Rzymie wody. Trzeci dzień odgrzebywano rannych i zabitych, ale praca ta była zaledwie rozpoczęta, daleka od końca. W całej dzielnicy przykolejowej, tak jak pierwszego dnia, stały na ulicach rozbite tramwaje, leżały powyrywane żelazne słupy, gmatwały się po ulicach porwane druty elektryczne. Auta z trudnością posuwały się wąskimi przesmykami między gruzem i dołami.

Zabitych odgrzebywano ciągle i ciągle coraz więcej. Owijano ich w co bądź, gdyż nie było trumien, odnoszono i odwożono na cmentarz.

Ludzie stojąc i patrząc mówili głośno to, co myśleli i za co poprzednio zabijano. Nie zwracali uwagi na obecność żołnierzy, oficerów, policjantów i milicjantów faszystowskich.

Na pytanie jednej z kobiet, gdzie zostaną umieszczeni bezdomni, druga odpowiedziała głośno, mimo że była otoczona zwartym tłumem:

„Wypędzą kanalię i umieszczą ich w jego domu".

Kanalią miał być Mussolini.

O nim, o faszyzmie i o faszystach mówiło się wiele w ciągu tych dni. Na murach pojawiły się hasła przeciwfaszystowskie szerzone przez partie opozycyjne. Potajemnie lub na oczach wszystkich pisano obelgi przeciw Mussoliniemu i przywódcom faszystowskim.

Mussoliniego nazywano w nich najczęściej mordercą, bandytą, złoczyńcą, rogaczem.

Pisano:

„Śmierć mordercy".

„Śmierć bandycie".

„Śmierć złoczyńcy".

„Śmierć rogaczowi".

„Zamknąć w szpitalu wariata".

Tłum nie brał udziału ani w naprawianiu ulic, ani w usuwaniu gruzów. Jedyną radą i jedynym ratunkiem w tym nieszczęściu było według tłumu wypędzić precz Mussoliniego i skończyć wojnę. Toteż tłum tylko stał, tylko patrzył i najwyżej komentował. Zawsze z ironią i nienawiścią. Łatwo wybuchał obelgami.

Przerażenie ogarnęło ludzi odwiedzających przykolejowe dzielnice, gdy znajdując się tam usłyszeli syreny alarmu. Tłum pobiegł w stronę centrum miasta tłocząc się w ciasnych przejściach i złorzecząc, ale też i korzystając z okazji, by zaatakować kilku faszystów, którzy chwilę przed alarmem rozlepiali afisze z wielkim napisem:

„Wytrzymać".

To słowo „wytrzymać" wykrzykiwano obelżywie za faszystami.

Alarm nie trwał długo. Ludzie, mówiąc z ironią o wszystkim co rządowe, powtarzali, że alarm ten był fałszywy, że dano go tylko po to, by zapędzić ludzi do piwnic na czas, gdy przywódcy faszystowscy wizytowali zburzone dzielnice.

Po alarmie, powiększając niepokój, podano w radio pierwsze liczby dotyczące bombardowania Rzymu. Powiedziano, że w nalocie tym brało udział ponad pięćset bombowców, że zrzucono ponad siedemset tysięcy kilogramów bomb.

Ten pierwszy atak miał miejsce w dzień po wielkim przemówieniu nowego sekretarza faszystowskiej partii. Ludność mówiła o nim ze wstrętem powtarzając, że miał na sumieniu wielu zabitych w czasie, gdy faszyzm walczył o władzę. Straszna to była mowa, wysłuchana ze śmiechem i drwinami, gdy

Scorza, głosem tragicznym, brzmiącym jak głos człowieka tonącego, powtarzał w niej wielokrotnie ten ponury refren:

„Wytrzymać, wytrzymać".

W dwa dni później podobnie przemawiał inny mówca. Ludność, biorąc to przemówienie za zły prognostyk, uwierzyła, że rano powtórzy się nalot. Toteż tego dnia gospodynie rzymskie już od najwcześniejszego rana przygotowały obiad i zabrawszy go ze sobą, udały się wraz z rodzinami do schronów. Tego dnia mało kto pojechał do pracy. Rano było pusto na ulicach Rzymu i opustoszały też całkowicie dzielnice położone przy rzymskim węźle kolejowym, tym już sławnym San Lorenzo.

ZNISZCZONE DZIELNICE.

W tramwaju, którym tam pojechałem, ludzie mówili, że w dzielnicy tej dawał się już czuć silny zapach trupi rozkładających się pod gruzami ciał. Mówiono, że ciał tych znajdowało się wiele po zawalonych piwnicach, mówiono o kilku tysiącach lub o kilkunastu szepcząc, że rząd nie chciał podać prawdziwej liczby, by nie powiększać oburzenia ludu. Ludność bowiem powtarzała coraz to uporczywiej:

„Anglicy uprzedzali, by usunąć się z pobliża węzłów kolejowych. Dlaczego rząd tego nie ogłosił?"

Trupi zapach czuć było rzeczywiście zaraz w pierwszych ulicach dzielnicy. Pracowano tam bardzo powoli, by nie powodować zawalenia się murów i śmierci tych, którzy żyjąc jeszcze czekali ratunku. Ciągle bowiem słyszano jęki, wołania o pomoc i ciągle straszliwe, szarpiące nerwy złorzeczenia. Po dokopaniu się jednak do piwnic najczęściej wydobywano trupy zgniecione wielką masą murów, które zwaliły się na nich. Odpędzano precz ludzi, by tego nie widzieli, bo nieraz były to tylko części ciał, nieraz ciała całkowicie zniekształcone, którym brakło głów, nóg albo ramion, nieraz widziało się tam po kilka ciał zgniecionych razem w makabrycznym uścisku.

Noc zastała mnie w tej dzielnicy na rozmowie z biedakami, którzy musieli tam pozostawać, by pilnować ocalałego dobytku, to jest tych stołów połamanych, szaf, łóżek, krzeseł i garnków pozostałych po katastrofie. Nie mogli od tego odejść, nie mogli tego ze sobą zabrać, nie mieli pieniędzy na opłacenie wozu. Spędzali noce siedząc na ulicy.

Z tymi ludźmi przesiedziałem czas nocnego alarmu w jednej z na wpół rozwalonych piwnic. Czuliśmy tam silniejszy niż na ulicy odór rozkładających się ciał, pozostałych pod zawalonymi częściami tej samej piwnicy. Ludzie spali.

Po alarmie aż do Koloseum doszedłem pieszo.

Smutna to była droga. Na chodnikach siedziały tłumy biedaków z tobołkami i z dziećmi. Widać było ich zmęczenie i wygłodzenie. Twarze mieli poszarzałe i wychudłe, byli brudni, obdarci, w brudnej bieliźnie.

Bezdomni, ewakuowani ze zburzonych dzielnic i ci, którzy obawiali się spędzić noc w domu, siedzieli także i pod arkadami Koloseum.

Rozmawiając z nimi natknąłem się na kobietę apatyczną jak i inni. Siedząc pod murem trzymała na kolanach opuchnięte niemowlę. Powiedziano mi o niej, że straciła pokarm w chwili przerażenia.

Nie miałem pieniędzy, by odwieźć ją z dzieckiem do lekarza, bo moje szczupłe zasoby wyczerpały się w dzielnicy bombardowanej na pomoc nieszczęśliwym. Wróciłem dopiero w godzinę później, by pomóc tej kobiecie, ale już jej nie znalazłem. Człowiek, który zajął jej miejsce, powiedział mi, że poszła ona zanieść dziecko na cmentarz.

ATMOSFERA REWOLUCJI

Tego dnia na ulicach centrum było pusto. Tylko bardzo rzadko widziało się ludzi. Ci byli cisi i zatrwożeni tym, co ich czekało. Mówili, że na Sycylii ludność mordowała władze faszystowskie przed przybyciem wojsk amerykańskich i angielskich. Rząd obawiał się, że rzecz podobna mogła powtórzyć się w kraju i w Rzymie. Toteż w każdej chwili po miastach mógł się rozsrożyć faszystowski i niemiecki terror. Wiedziano, że do Rzymu przybywały coraz to nowe oddziały policji, że uzbrojono cywilnych agentów, sciągano zewsząd faszystowską milicję, zbrojono pewniejszych członków partii. Faszyści chcieli terroru. Inni, bardziej trwożliwi, nie widząc już dla siebie ratunku, wyjeżdżali.

Tak mówiono w sobotę. Tak jak poprzednich dni brakło tego dnia wody. Ludzie w uboższych dzielnicach przestali się myć.

Dzieci były brudne.

Nie funkcjonowały ustępy zawalone kałem.

Dzieci chodziły na ulicę. Ludzie wyrzucali kał w papierze na ulicę.

Ulice zaczynały cuchnąć.

Wiatr niósł do Rzymu wielkie ilości kurzu ze zburzonych dzielnic i coraz większy zaduch rozkładających się ciał.

Kobiety, już wystarczająco zmęczone wystawaniem po kolejkach i spędzaniem wielu godzin w piwnicach z dziećmi, musiały jeszcze podwójnie pracować, by utrzymać czystość w domu i nosić wodę nieraz z bardzo daleka. Trudno im było na czas przygotować posiłek.

Ludzie byli źli. Na próżno zaglądali w bramach do skrzynek pocztowych. Listy z powodu przerwania komunikacji nie dochodziły. Wiedziano, że były bombardowane miasta, ale nie miano wieści od bliskich.

Każdego dnia mógł być nowy nalot na Rzym. Jakie pociągnąłby za sobą konsekwencje, skoro pierwszy zdezorganizował życie na tak długo i skoro po raz pierwszy po dwudziestu latach zachwiał stanowisko rządu?

Komenda wojskowa ogłosiła zarządzenia na wypadek bezpośredniego zagrożenia Rzymu. Te zarządzenia i bombardowanie odwróciły uwagę rzymian od wypadków rozgrywających się na Sycylii. Wiedziano jednak, że poddawały się tam całe oddziały namawiane do tego przez ludność. Posiłki, żywność, uzbrojenie i amunicja nie dochodziły do Sycylii. Tamtejsza klęska była kwestią

dni. Żołnierze nie chcieli się bić. Wiedzieli, że w kraju było gorzej niż na froncie. Byli namawiani do niestawiania oporu przez partie opozycyjne, wiedzieli, że ludność poza frontem czekała niecierpliwie chwili, w której mogłaby oswobodzić się od zbyt długo cierpianej dyktatury ludzi, o których nie mówiono inaczej niż „mordercy", „zabójcy".

Milicjanci faszystowscy wypisywali na murach:

„Duce".

Żołnierze dodawali do tego słowa swoje komentarze. Pisali uporczywie:

„Zabójca".

ZAMARŁE MIASTO.

Cicho było w Rzymie w sobotę wieczorem i w niedzielę rano, kiedy to po mieście poszła wieść o trwającej bez przerwy wielkiej radzie tych „morderców" i „zabójców", o wielkiej radzie faszystowskiej. Każdej chwili mogła przyjść wiadomość o udanym lub nieudanym zamachu stanu, o objęciu władzy przez antyfaszystowską generalicję, albo o rozsrożeniu się faszystowskiego terroru i masakrze opozycjonistów. Liczono się z możliwością załamania się Mussoliniego, nie mogącego się już oprzeć ani na królu, ani na wojsku, ani na ludności, ani na biurokracji, ani nawet na własnych ministrach.

„Ktokolwiek go zastrzeli" mówiono w mieście.

Nie wiedziano jeszcze o wyniku głosowania na radzie faszystowskiej i że Mussolini był już aresztowany. Przypuszczano i takie rozwiązanie sprawy. Ale przypuszczano także i to, co nastąpiło później, po porwaniu Mussoliniego przez Niemców, to znaczy terror i masakrę opozycjonistów, i okupację Rzymu przez wojska niemieckie.

Na ulicach było pusto. Ludzi widziało się tylko na przystankach tramwajowych. Mało kto był po barach i winiarniach. Nie wiedziano nic. Czekano wiadomości.

Rzym robił wrażenie wymarłego miasta. Pusto było także i o godzinie dziesiątej czterdzieści pięć wieczorem, o tej godzinie, o której podawano na świat wiadomość o zaszłych zmianach.

ZMIANA.

O godzinie tej znalazłem się w okrężnym tramwaju. Na jednym z przystanków, był to ostatni przystanek przed Porta Pinciana, wsiadł do tego tramwaju młody człowiek wyglądający na robotnika. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że ludzie w tramwaju nie wiedzieli jeszcze o podanym przed kilkoma minutami komunikacie radiowym. Był podniecony usłyszaną wiadomością. Chciał się nią podzielić z innymi, chciał mówić, ale chciał się też i zabawić nieświadomością innych. Śmiał się do siebie samego i w pewnej chwili powiedział głośno, śmiejąc się:

„Ja bym tego rogacza, mordercę Mussoliniego powiesił i w ten sposób wszystko by się skończyło".

Potem korzystając z osłupienia ludzi dodał jeszcze głośniej niż poprzednio:

„Dość nacierpieliśmy się w ciągu dwudziestu lat przez tę kanalię faszystowską".

Ludzie odstąpili od niego mimo ścisku panującego w tramwaju. W głębi ktoś wybuchnął śmiechem.

„O kim pan mówi?" — spytał ktoś inny, stojący bliżej.

„O tym kanalii Mussolinim" — odpowiedział robotnik tak głośno, że jego słowa słyszano w całym tramwaju. Ludzie zerwali się z miejsc. Ktoś zaczął uporczywie dzwonić na konduktora i krzyczeć, by zatrzymano tramwaj. Ktoś inny krzyknął do robotnika:

„Milcz".

To on rzucił się w stronę robotnika i zaczął się z nim szamotać, mając rewolwer w ręce. Kilku innych rzuciło się do nich, by ich rozdzielić. W tramwaju śmiano się histerycznie, gdy tymczasem robotnik oswobadzając się od atakującego go agenta krzyczał głośno:

„Komunikat radiowy podał do wiadomości, że Mussolini został dymisjonowany. Marszałek Badoglio objął rządy, a król naczelne dowództwo. Nie ma już faszyzmu".

Zatrzymano tramwaj. Była to Porta Pinciana, przy której mieli czekać moi przyjaciele. Popatrzyłem za agentem, który wysiadł na tym samym przystanku. Stał na ulicy oszołomiony tym co słyszał, nie wiedząc co ma ze sobą zrobić. Po czym zaczął biec w stronę placu Fiume, w okolicy którego znajdował się komisariat policji. W tramwaju śmiano się jeszcze.

Ulica była prawie ciemna i całkowicie pusta. Tylko na rogu, ponad kawiarnią, otworzyło się okno i ukazały się dwie kobiety.

„Czy to prawda?" — spytałem nie wyłuszczając nawet co miało być prawdą. Słyszały komunikat radiowy. One także, nie mówiąc co miało być prawdą, odpowiedziały po prostu jednym słowem:

„Tak, to prawda".

W dole, w okolicy hotelu Excelsior, widać było kilku ludzi. Z innych ulic słyszało się pojedyncze okrzyki:

„Niech żyją wolne Włochy".

„Niech żyje król".

Okna były pozamykane. Poza kilku osobami na ulicy pusto. Poza tymi okrzykami cicho.

Jakiś człowiek mający około trzydziestu pięciu lat, ubrany w granatowe spodnie i białą koszulę z zawiniętymi rękawami powtarzał uparcie okrzyki:

„Niech żyją wolne Włochy. Niech żyje król".

I za każdym razem dodawał nawołując ludzi do demonstracji:

„Do Kwirynału".

Ten okrzyk, nawołujący do udania się pod zamek królewski powtarzał uparcie, mimo że nie był on podejmowany przez nikogo innego. Powtarzał ciągle, nie zrażony tym, że oglądano się za nim z ciekawością i nie zrażony tym, że nikt tego okrzyku nie powtarzał. Nie ustawał. I jego upór sprawił wreszcie, że kilka osób zaczęło iść za nim w stronę Kwirynału.

Nie było to jednak łatwe. Nie szedł on bowiem najkrótszą drogą. Wstępował

do innych ulic, krążył po dzielnicy ciągle krzycząc i ciągle chcąc wywołać entuzjazm w zaspanych ulicach. Toteż łatwo stało się zrozumiałe, że był to agent policji mający za zadanie spowodowanie demonstracji na rzecz króla. Prędko utwierdziłem się w tym przekonaniu słysząc w pobliżu królewskiego zamku innych mężczyzn tak samo jak on samotnie nawołujących do prokrólewskich demonstracji. Jednym z nich był ten sam, który przed godziną atakował robotnika w tramwaju. Już się przyzwyczaił do tego, że o Mussolinim mówiono głośno to co myślano. Szedł ulicą prowadząc za sobą grupę ludzi i powtarzał głośno, uparcie, jednostajnie:

„Niech żyje król".

„Niech żyją wolne Włochy".

„Niech żyje Badoglio".

Miał rozchełstaną koszulę, otwartą marynarkę, był bez kapelusza, rozczerwieniony od entuzjazmu spełnianego zadania, głos miał ochrypły.

Ktoś krzyknął:

„Precz z faszyzmem".

Agent przeczekał ten okrzyk, dał mu przebrzmieć i potem podjął swoje:

„Niech żyje król".

„Niech żyją Wolne Włochy".

Widać było, że demonstracje antyfaszystowskie nie należały do jego obowiązków.

Ludzi w stronę zamku królewskiego szło coraz więcej. Pod zamkiem zagęściło się od tłumu. Było tam już kilkaset rozmaitych osób, zapóźnionych przechodniów, ludzi, którzy wyszli z kin i teatrów, chłopaków, uliczników. Stali patrząc na gwardie królewskie i żołnierzy trzymających wartę, czekali na to, co miało nastąpić.

Człowiek ubrany w granatowe spodnie i białą koszulę, ten który przyprowadził ludzi sprzed hotelu Excelsior, wdrapał się na latarnię przed zamkiem królewskim. Trzymał skądś już wydostany sztandar królewski i trzymając go wysoko w ręce chciał podniecić tłum do owacji na cześć króla. Od czasu do czasu, gdy tłum się uciszał, zaczynał on przemówienie. Mógł je jednak tylko zaczynać, ludzie bowiem zaczynali już wznosić okrzyki samodzielnie, przez nikogo nie zachęcani. Mówił więc tylko to:

„Włosi"!

Potem, gdy znowu następowała chwila ciszy, powtarzał ten swój początek przemówienia:

„Włosi"!

Na tym jednak kończył.

Ludzie we Włoszech nie byli przyzwyczajeni do samodzielnego wyrażania swych uczuć. Nie wiedzieli co robić. Stali i patrzyli. Słyszało się tu i ówdzie w grupach namowy bardziej trwożliwych, by iść do domu. Obawiano się, że mogą być awantury, że cała ta historia może się okazać prowokacją. Niektórzy, śmielsi, oświetlali elektrycznymi latarkami balkon zamkowy znajdujący się nad bramą. Król jednak nie wychodził, ani nie pokazywał się w oknie, mimo

e okrzyki na jego cześć zaczęły powtarzać się coraz częściej. Mówiono, że amknął się w Villa Savoya, gdzie miało odbywać się posiedzenie nowej rady inistrów.

Publiczność nudziła się wyraźnie. Kilka kobiet zaczęło obejmować żołnierzy, y imitować rewolucyjne bratanie się tłumu z wojskiem, ale entuzjazm nie hwytał. Ludzie poważniejsi zaczęli się rozchodzić. Pozostawał tłum niedoostków. Śmiano się z jakiegoś staruszka, który trzymał jeszcze znaczek faszytowski w klapie marynarki. Okazało się, że zmieszawszy się z tłumem stoącym przed zamkiem nie wiedział nawet co zaszło.

„Szedłem do domu, zobaczyłem ludzi pod zamkiem, więc myślałem, że się coś stało i poszedłem" — tłumaczył.

Potem dodał nieśmiało:

„Myślałem, że może wojna się skończyła".

Wyśmiewany przez uliczników nie odpowiadał im, tylko rozglądał się nieufnie po twarzach jeszcze nie wiedząc, czy ludzie nie kpią sobie z niego. Potem, ocierając sobie pot z twarzy i karku, zaczął pytać cicho bardziej dorosłych „czy to prawda". Odpowiedziano mu poważnie, że tak. Wtedy starzec, jeszcze nie zupełnie przekonany, powoli odpiął znaczek partyjny. Potrzymał go chwilę w ręce i widząc, że nikt już na niego nie zwraca uwagi, wsunął go do kieszeni.

Tłum chciał robić cokolwiek. Król się nie pokazywał. Nic się nie zdarzyło pod zamkiem. Nie opłacało się tam przychodzić. Mogło to nawet być niebezpieczne, ciągle bowiem nadciągali żołnierze tworząc kordony przed wejściem do pałacu. To niektórych zniechęciło do demonstrowania. Ktoś zaczął nawoływać do demonstracji na rzecz marszałka Badoglio, nowego prezesa rady ministrów. Krzyczano, by iść pod jego mieszkanie. Ale to także nie chwytało. Inni jednak chcieli iść do redakcji faszystowskich dzienników. Ci byli bardziej uparci, mimo że odosobnieni. Ale publiczność obawiała się strzelaniny z faszystami mogącymi się bronić po redakcjach i policji. Przeciwni temu byli także agenci nadciągający z nowymi grupami pod zamek. Ci nie podchwytywali okrzyków, by iść do redakcji dziennika „Praca faszystowska" lub „Dziennik włoski". Mimo to część tłumu poszła za ludźmi nawołującymi do zajęcia dzienników faszystowskich. Część tłumu była już rozgorączkowana i zaczęła się wyłamywać spod opieki agentów. Nie interesowało go już demonstrowanie na cześć i na rzecz króla. Przyjrzałem się grupie ludzi stojącej przy mnie. Była tam jedna kobieta i trzech mężczyzn już rozgorączkowanych. Ale jeden z nich jeszcze raz wzniósł okrzyk na cześć Wiktora Emanuela, drugi trącił go łokciem i mruknął:

„Daj spokój. To wspólnik".

Powiedział to i zaraz wykrzyknął:

„Niech żyją Wolne Włochy".

Tym razem położył nacisk na słowo „Wolne".

Ci trzej zaczęli iść za ludźmi nawołującymi do udania się do redakcji dzienników. Jeden z nich z kobietą szedł chodnikiem. Dwaj inni, trochę nieśmiało,

przyłączyli się do dużej grupy mężczyzn idących ulicą. Najpierw wstydząc się tego co robili i robiąc to nieśmiało, potem zapalając się coraz bardziej i coraz bardziej rozgorączkowani i stanowczy, pomagali zatrzymywać na ulicy auta by sprawdzać kto jedzie.

W ten sposób tłum zaczynał obejmować władzę na ulicy. Ośmielał się coraz bardziej nie napotykając na opór. Policji nie było i nie było wojska. Zaczynało się słyszeć pierwsze okrzyki antyfaszystowskie. Zdania, które przed kilkoma dniami wypisywano na murach w San Lorenzo, tego wieczora słyszało się krzyczane publicznie na głównych ulicach Rzymu.

„Żabójca".

„Morderca".

„Śmierć zbrodniarzowi".

Te słowa słyszało się najczęściej.

Rozgorączkowani chłopcy wdrapywali się na zatrzymywane auta i bili pięściami w ich szyby, gdy nie chciano otworzyć. Wygwizdano urzędnika hiszpańskiego, wszyscy jednak przejeżdżający autami potrafili się wylegitymować. To sprawiało zawód. Tłum chciał dostać do rąk jakikolwiek łup. Tu i ówdzie nie mając celów konkretniejszych, strzelano w powietrze. Wołano przechodzących żołnierzy, by przyłączyli się do tłumu. Nawoływano mieszkańców wyglądających oknami by schodzili na ulicę. Bito szyby w instytucjach faszystowskich. Nie zaczepiano jednak żołnierzy niemieckich.

Tych żołnierzy widziałem kilku w ciągu wieczoru. Przemykali pod murami trzymając się ich jak najbliżej. Rewolwery mieli w ręce, przy piersiach. Rozglądali się niepewnie. Widać było, że i oni zostali zaskoczeni przez sytuację. Szli pośpiesznie. Jak najkrótszymi drogami chcieli dostać się do swych hoteli. Rozczerwienieni byli lub bladzi i zawsze z rewolwerami przy piersi, gotowymi do strzału.

Tłum interesował się jednak raczej autami, którymi mogli uciekać faszyści. Tłum zatrzymując auta krzyczał:

„Nie dajcie uciec bandycie. On jest odpowiedzialny za San Lorenzo".

Nie wiedziano jeszcze, że Mussolini był aresztowany. Łudzono się, że znajdzie się w którymś z zatrzymywanych aut. Jeżeli nie on, to przynajmniej któryś ze znaczniejszych i bardziej znanych faszystów. Ciągle jednak chodziło o niego i ciągle powtarzał się ten okrzyk:

„Nie dajcie uciec mordercy".

Na centralnej ulicy Rzymu, na Corso Umberto, tłum gęstniał. Szturmowano do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Krzyczano, że schronili się tam faszyści. Tłum wtargnął do bramy, został jednak wyparty przez wojsko.

Ulica była zasłana podartymi dziennikami i afiszami propagandowymi. Szturmowano do redakcji bijąc szyby w gablotkach reklamowych i szturmując do wejść. Ale i tam nadjechały auta z wojskiem, które zaciągnęło warty, tworząc kordon przed gmachem.

Zaczęto nawoływać do udania się na plac Wenecji. Tam był pałac zajmowany

oprzednio przez rząd. Ten pałac, z którego balkonu Mussolini wygłaszał przemówienia.

Tłum zgęstniał jeszcze bardziej. Wojska nie było. Nie było policji. Nikt nie stawiał oporu. Niczego nie broniono. Na placu Wenecji chłopcy rzucali kamieniami w okna zamkniętego pałacu. Szturmowali do głównego wejścia, przed którym kilka godzin wcześniej stały warty faszystowskie i które otaczali agenci policji. Nie było agentów. Chłopiec szesnasto- albo siedemnastoletni, znalazłszy gdzieś gruby drewniany pal, bił nim w drzwi. Ten robił wrażenie młodego rewolucjonisty ze starych obrazów. Był rozczerwieniony, bez marynarki, w koszuli rozchełstanej na piersiach. Miał zawinięte rękawy, jeden z nich szeroko rozdarty. Trzymał swój pal oburącz. Bił nim zawzięcie. Potem, zawołany przez innych i widząc, że jego wysiłki nie były podejmowane przez towarzyszy, zaczął tym palem bić w szyby wsuwając go między kraty okien. Pracę swoją wykonywał starannie i systematycznie. Żadnej spośród wielu tych drobnych szyb nie darował. Łomot jego pala słyszało się bardzo długo, najpierw od strony frontowej pałacu, potem w kącie, tam, gdzie znajdowała się biblioteka.

Tam, w tym kącie bardziej zacisznym i mniej pancernym, pali tych pojawiło się więcej. Jeszcze chwila, a wtargnięto by od tej strony do pałacu.

Nadjechały jednak ciężarowe auta z wojskiem. Nadjechały pośpiesznie, tak jak straż do pożaru.

Tłum, jak zwykle w podobnych okazjach, chciał mieć wojsko za sobą. Toteż zaczął wznosić przyjazne okrzyki. Zaczęło się od tego, że ktoś krzyknął:

„Niech żyje wojsko".

Tłum podjął ten okrzyk dodając do niego inne. Ludzie ożywili się, zaczęli znowu wiwatować na cześć króla i Wolnych Włoch. Ale żołnierze, nieprzejednani tym, zaczęli brutalnie i sprawnie odpychać ludzi od murów pałacu i od okien. Dało się słyszeć kilkanaście strzałów. Tłum ogarnęła na chwilę panika.

Po chwili jednak okazało się, że żołnierze nie mieli złych zamiarów w stosunku do manifestantów. Ludzie uspokoili się powoli. Szyb jednak już nie bili. Zaczęli iść w stronę Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, bo rozeszła się wieść, że bronili się w nim faszyści. Rzeczywiście słyszano z tamtej strony strzały. Człowiek zakrwawiony, pierwszy ranny, którego widziałem tej nocy na ulicy, mówił, że wyrzucano tam faszystów oknami. Inny dodawał, że popełniło tam samobójstwo kilku wyższych urzędników faszystowskich.

Ale gdy tłum z placu Wenecji doszedł do zabudowań Ministerstwa, zastał także i tam kordony wojskowe.

Opowiadano sobie, jedni drugich podniecając, że w uboższych dzielnicach rozbijano związki faszystowskie i mieszkania znaczniejszych ludzi reżimu. Mówiono, że znalezionych wyrzucało się tam oknami, że plądrowano mieszkania szukając żywności i że znajdowano jej wiele.

Przeszedłem jeszcze raz miasto. Wszędzie ulice były zasłane dziennikami z przedednia, znalezionymi w redakcjach i w kioskach ulicznych. Na jezdniach

walało się wiele papieru wyrzuconego z rozbitych związków faszystowsk
W wielu domach, gdzie mieściły się te związki, były powywalane drzwi i ok
Wszędzie jednak nadciągało wojsko, wszędzie widziało się kordony żołnie
z bagnetami na karabinach. Ulice zaczęły pustoszeć.

Całą noc krótkofalowe stacje radia włoskiego powtarzały na świat i
wszystkich językach wiadomość o dymisji Mussoliniego. Odczytywano te
proklamacji wystosowanych do włoskiego narodu przez króla i przez m
szałka Badoglio. W proklamacjach tych ciągle jeszcze mówiono jednak o kr
jako o cesarzu Abisynii. Tyle tylko, że opuszczano rok ery faszystowskiej
przednio obowiązującej.

Dopiero w poniedziałek rano tłum zaczął panować na ulicy. Był to już in
tłum. Gdy poprzedniego dnia jego większość stanowiła inteligencja, kobi
i niedorostki, to nazajutrz rano zaczęli przeważać mężczyźni z robotnicz
przedmieść Rzymu. Ulica zaczęła nabierać wyglądu z przedednia rewolucji.

Tłum opanował autobusy, tramwaje, taksówki i napotkane na ulicy a
prywatne, zmuszając szoferów do objeżdżania miasta. Na ulice centralne
częły wychodzić całe przedmieścia. Pokazali się ludzie wygłodniali i obda
Mówiło się, że tego ranka w centrum Rzymu znaleźli się wszyscy ci, któ
musieli opuścić San Lorenzo. Nie widziało się ludzi w kapeluszach. Mało
z demonstrantów był w krawacie i mało kto w marynarce. Widać było bosy
Twarze były rozgorączkowane. Okrzyki na cześć króla zostały zastąpio
okrzykami na cześć Matteotiego. I dopiero tego dnia demonstracje przybr
charakter antywojenny, mimo że proklamacja rządowa kończyła się zdanie
„Wojna trwa".

Tłum odpowiadał na to okrzykami:

„Precz z wojną".

„Niech żyje rewolucja".

„Niech żyją Wolne Włochy".

W okrzykach tłumu widać było, że te Wolne Włochy były inne niż poprze
niego dnia. Tak wyglądał ranek dwudziestego szóstego lipca. Tego ranka je
nak na mieście była już z powrotem policja. Bo zniknęła ona tylko na jed
wieczór. Było wiele wojska. Na placu Wenecji ustawiono rzędem arma
W wielu miejscach przejścia zostały zatarasowane przez kordony wojskov
Ułożono zasieki z worków wypełnionych piaskiem. Ustawiono na rogach u
karabiny maszynowe. Nowy rząd obejmował władzę.

IV

PO UPADKU MUSSOLINIEGO

ROZCZAROWANIE.

W dzień po wieczornej zmianie gazety ukazały się późno, prawie prz
południem, wobec tego, że redakcje były podemolowane i ich skład napręć
zmieniony.

Najpierw, jak się zresztą spodziewała publiczność, zorganizowano druk n

poczytniejszego z dzienników rzymskich „Messaggero". Odbito go jednak tylko na jednej stronie i tylko na jednym arkuszu. Tekst był skąpy i drukowany wielkimi literami. Zawierał fotografie króla i marszałka Badoglio oraz oficjalne komunikaty. To wydanie służyło do rozlepienia na murach.

Wkrótce później ukazało się wydanie innego dziennika, który tak samo opatrzony fotografiami króla i marszałka Badoglio, wzywał ludność do zachowania spokoju i godności oraz do nieutrudniania prac nowego rządu. Pochlebiał tłumowi. W pół godziny później tłum ten został zarzucony pochlebstwami ze wszystkich możliwych stron. Głaskano jego uczucia patriotyczne, uderzano i do jego serca i do kieszeni, do zarozumiałości i tchórzostwa, głaskano go grożąc mu jednocześnie wyraźnie. Widać było, że niepokój ludzi o to co będzie stał się powszechny i że niepokój ten podzielał także i rząd. Niepokój ten widać było także i z proklamacji króla, który zbyt wyraźnie i zbyt gorączkowo podkreślał swoją wspólnotę z włoskim narodem.

Tłum tego jeszcze nie rozumiał, mimo że do spokoju i „zachowania godności" nawoływały go nawet dzienniki skrajnej i rewolucyjnej opozycji antyfaszystowskiej, jak „Mondo", którego pierwszy numer wyszedł wtedy po dwudziestokilkuletniej przerwie.

Wszystko co miało być zrobione zostało już dokonane przez króla. Tak to rozumiał rząd. Tłum tymczasem rozumiał to inaczej i coraz liczniej wylegał ze swych odległych przeludnionych przedmieść. Przeważali w nim mężczyźni i kobiety, których nigdy nie widziało się na centralnym „Corso Umberto", bez marynarek, w rozchełstanych koszulach o zawiniętych rękawach, o rozgorączkowanych twarzach, z drągami w rękach. Wielu miało bagnety, wielu było ubranych na pół po wojskowemu, z bronią. Rekwirowali autobusy i taksówki, objeżdżali w nich miasto nawołując ludność do wychodzenia na ulicę.

Ale zwykli mieszkańcy centrum, publiczność inteligencka i mieszczańska zaczynała już patrzeć na tych ludzi z politowaniem. Tłum już nie przerażał, zaczynano z niego pokpiwać. Wiedziano bowiem, że dzień wolności dany tłumowi już dobiegał końca. Było to prawdą, bo oto wkrótce po ukazaniu się dzienników pełnych pochlebstw, perswazji i gróźb, na murach miasta rozlepiono obwieszczenia komendy wojskowej o stanie oblężenia w Rzymie i prowincji rzymskiej. Robotnicza ludność z przedmieść zbroiła się i wylegała coraz większą masą na ulicę, robotnicy okupowali faszystowskie związki i urzędy. Publiczność z centrum natomiast czytała już obwieszczenia, w których zabraniano większych zgromadzeń niż trzech osób, wychodzenia z domów po zmierzchu i w których nakazywano zamknięcie drzwi i okiennic domów w godzinach wieczornych i nocnych.

Były w tych obwieszczeniach i słowa groźniejsze: każde przekroczenie miało być jak najsurowiej ukarane, wszelki opór miał być natychmiast zgnieciony. Było aktualne to, co powiedział w swej proklamacji nowy prezes rady ministrów: „Wojna trwała".

Na ulicach wraz z wojskiem pojawiła się policja krajowa i kolonialna, zaprawiona do tłumienia rozruchów murzyńskich i etiopskich. Policja ta nie

miała pałek gumowych, ale karabiny maszynowe i tanki. Tanki i karabiny maszynowe ukazały się także przed instytucjami państwowymi. Worki z piaskiem ułożono w oknach. Na rogach ulic ustawiono działa. Wojsko ustawiło na placach karabiny w kozły. Jednocześnie radio podawało ogłoszenie o stanie oblężenia z tą samą częstością, z jaką poprzednio podawało komunikat o upadku Mussoliniego. Tłum, chociaż niechętnie, zaczął wracać do domów. Pisma antyfaszystowskie, wydrukowane w godzinach zamętu, miały nie ukazać się więcej.

Przyszedł wieczór. Całą noc słyszało się to tu to ówdzie strzały karabinowe i ciągły rumor przejeżdżających tanków i aut wojskowych. Ludność zamknęła się w domach.

„NIE MY DECYDUJEMY".

Cicho było w Rzymie następnego dnia. Dziwnie wyglądało miasto. Nie widziało się żołnierzy przydzielonych dawniej do punktów obrony przeciwlotniczej, tych dobrych żołnierzy, z którymi ludność zżyła się od dawna. Ich miejsce zajęły wojska obce, przybywające wprost z koszar, którym zabroniono stosunków z ludnością. Dzienniki ukazały się normalnie i podały przebieg posiedzenia wielkiej rady faszystowskiej, które zdecydowało było samobójczą śmierć faszyzmu. Aresztowanego Mussoliniego tytułowano w komunikatach ekscelencją i z tonu prasy widać było, że rząd zamierzał bronić faszystów przed pogromem, obawiając się, by rozruchy anfytaszystowskie nie zamieniły się w rewoltę.

Nazajutrz, drugiego dnia po upadku Mussoliniego, po zaledwie jednodniowej egzystencji, zostały skonfiskowane dzienniki opozycyjne i zamknięte ich redakcje. Przed małą drukarenką jednego z tych dzienników stały warty. Drzwi były opieczętowane.

Partie antyfaszystowskie w swej deklaracji nazywały króla i marszałka Badoglio wspólnikami faszyzmu i nawoływały ludność do powstania. Ale odezwy te i deklaracje zostały skonfiskowane.

Tylko na tramwajach, autobusach i na murach domów zamiast haseł prokrólewskich pojawiły się masowe napisy:

„Chcemy pokoju".

Pisano:

„Niech żyje rewolucja".

„Precz z dyktaturą wojskową".

„Niech żyje rząd robotniczy".

„Niech żyją Wolne Włochy".

Słowo „Wolne" najczęściej było podkreślone.

Policja i wojsko stały na ulicach i nie wolno było gromadzić się więcej niż trzem osobom. Mimo to ulice były przepełnione a ludność podniecona. Kursowały najbardziej fantastyczne pogłoski. Oto jedna z nich o możliwości powrotu Mussoliniego. Krążyły głosy, że rząd marszałka Badoglio, pod presją

niemieckiej komendy wojskowej, zamierzał oddać jej Mussoliniego. Oznaczałoby to powrót faszyzmu pod okupacją niemiecką.

Trzeciego dnia po upadku Mussoliniego rozeszła się nagle i jednocześnie we wszystkich dzielnicach miasta nieprawdziwa wiadomość o samobójstwie Hitlera. Wiadomość ta podawana była przez ludzi z całym przekonaniem jako rzecz najzupełniej pewna i ogłoszona przez radio, nie ulegająca wątpliwości. Podawano nawet szczegóły, godzinę i rodzaj wybranej przez niego śmierci. Mówiono, że popełnił samobójstwo w swojej kwaterze wojskowej strzelając sobie w skroń z maleńkiego, damskiego rewolweru. Na ulicach, mimo zakazu zgromadzeń, odbywały się manifestacje. Interweniowało wojsko. Hitler żył, w Niemczech nie było żadnej rewolucji, wojna trwała i ludność uspokajała się przestając wierzyć, że ma cokolwiek do powiedzenia. Tak minęło kilka nieprzyjemnych dni oczekiwania na to, co się zdarzy. Rzym spędził je w stanie oblężenia, łapczywie chwytając każdą wiadomość o zamiarach czynników, które w owej chwili decydowały o losach Włoch. Tych czynników było trzy: własny rząd, komenda wojsk niemieckich i najważniejszy, komenda wojsk sprzymierzonych. Ufano, że rząd zamierzał skończyć wojnę. Wiedziano, że nie miał łatwego zadania. Wiedziano jednocześnie o proklamacji dowództwa wojsk sojuszniczych, w której uprzedzano ludność Włoch o bliskim wznowieniu działań wojennych.

Nad Rzymem wisiało więc na nowo niebezpieczeństwo ataku. Na nowo przestano ignorować alarmy lotnicze. Ulice pustoszały pospiesznie na pierwszy głos syreny alarmowej. Tak wyglądał między innymi dzień pierwszego sierpnia, kiedy to, po nocy niespokojnej, w ciągu której we wszystkich dzielnicach słyszało się bezładne strzały, rozeszła się po raz pierwszy wiadomość, że wojska niemieckie stacjonowane w pobliżu Rzymu otrzymały rozkaz marszu na Rzym. Wiedziano, że trzy pełne dywizje niemieckie zbliżały się od strony Neapolu i jeziora Bracciano. Atak mógł rozpocząć się każdej chwili. Miasto miało być okupowane. Wisiała nad nim groźba odwetu faszystów i niemieckiego terroru.

NIEMCY WRÓCĄ, WRÓCĄ NA PEWNO.

Rzym jednak tego dnia nie został okupowany. Rozpoczęły się dni uciążliwych targów między władzami niemieckimi i włoskimi, dni, w których ludność nie wiedziała, czy niebezpieczeństwo już było minęło, czy też groziło ciągle. Mówiło się, że osoby zbliżone do rządu uprzedzały byłych więźniów politycznych, by opuścili miasto. Rzeczywiście większość spośród tych ludzi, ludzi wynędzniałych długoletnim więzieniem i zwalnianych w tych dniach masowo, ukryła się na prowincji.

Zdenerwowanie trwało. Któregoś dnia znowu poszła po mieście wieść, że wojska niemieckie na nowo otaczały Rzym i była to prawda. Niemcy wojskowi i cywilni, zajmujący w Rzymie wiele zarekwirowanych domów i hoteli, rzadko wychodzili odosobnieni i mieli zawsze broń ze sobą. Broń tę w owych dniach rozdawano im szczodrze. W ich sferach panowało każdego

dnia większe podniecenie i zdenerwowanie. Zdenerwowanie to każdego dnia powiększało się także pośród cudzoziemców związanych z Niemcami.

Radość i podniecenie zapanowały w sferach proniemieckich. Tam zbierano się pokryjomu, spiskowano z komendą niemiecką, przygotowywano zamach stanu. Na manifestach rządowych pojawiły się dopisane ołówkiem słowa:

„Niech żyje Mussolini".

Napisów tych dnia, w którym najsilniej groziło niebezpieczeństwo niemieckiej okupacji, było znacznie więcej niż tych, które wolno było pisać i które wypisywano na murach.

TARGI I POGRÓŻKI.

Naprężenie trwało krótko. Przyszedł moment, w którym zaczęło się mówić w mieście, że Niemcy ustąpili. Mówiło się, że ustąpili, ponieważ także i komenda włoska zaczęła ściągać wojska w stronę Rzymu i ustąpili pod groźbą rządu włoskiego, który zdecydowany był w odpowiedzi na okupację Rzymu zawrzeć pokój i wycofać wojska okupacyjne z Grecji, Francji, Jugosławii. Ustąpili. Mówiło się jednak, że na granicy włoskiej pozostało pół miliona ich wojsk przybyłych tam w czasie pertraktacji. Mówiono, że w razie podpisania rozejmu wojska te okupowałyby Włochy. Wydawało się, że miasta północne aż do Rzymu włącznie nieuniknienie zostałyby zajęte. Alianci byli zbyt daleko, by móc przybyć na czas.

PORNOGRAFIA I ŻAŁOBA.

Jakżeż daleko były czasy, gdy traktowało się poważnie hasła Mussoliniego o wznowieniu dawnego, rzymskiego Imperium, o panowaniu na Morzu Śródziemnym, o zabieraniu Korsyki, Nicei, Tunisu, o podbijaniu Grecji czy Abisynii. Każde podobne wspomnienie wywoływało wstyd. Ludzie z nienawiścią i gniewem patrzyli na pozostałe jeszcze na murach, wymalowane wielkimi literami hasła w rodzaju tego, mającego najmniej sensu ze wszystkich i najbardziej jednocześnie faszystowskiego: „Należy się bić". Po co się bić, dlaczego się bić? Tego faszyzm nie wyjaśniał. Należało walczyć. Oto wszystko. Walczyć o cienie dawnego Imperium albo po prostu dlatego, że wojna była piękną, że była „wspaniałym fenomenem kosmicznym", że była „higieną świata", jak wyjaśniał poeta faszyzmu, Marinetti.

Obecnie chodziło o to, żeby jakoś z niej wyjść i wydawało się, że ludność będzie chciała z niej wyjść sama, nie czekając decyzji władz.

Prasa, żeby odwrócić uwagę ludności od tych spraw, publikowała co pikantniejsze historie z życia faszystów. W ten sposób przez pewien czas wiele pisało się o licznych, młodych i ładnych kochankach Mussoliniego, potem o nadużyciach finansowych wyższych urzędników partyjnych, potem o schwytaniu osławionego Dumini, uczestnika napadu na Matteotti. Ale rzeczy te nie interesowały nikogo, najmniej skandale na temat erotycznego życia ex-wodza, bo Mussolini nigdy nie ukrywał posiadania licznych kobiet, raczej afiszując

się tym, by wykazać swoją żywotność. Mussolini został zapomniany prawie natychmiast. Chodziło o tych, którzy aktualnie byli u władzy, a nie o tych, którzy od niej odeszli, i chodziło o niebezpieczeństwo, w którym znajdował się kraj. Wydawało się, że rząd nie potrafił kraju z tego niebezpieczeństwa wyprowadzić.

„Nie ma czasu do stracenia. Musimy decydować sami i natychmiast" — mówiono w Rzymie. Wydawało się, że tym razem ludność nie ustąpi.

PRZED REWOLUCJĄ.

Na nowo mówiono o masowym wyjściu na ulicę i podniecano się najbardziej fantastycznymi pogłoskami, z których najważniejsza była ta o nowym bombardowaniu Rzymu, które mogło nastąpić każdej chwili.

„Spieszmy się, bo ludność nas zmiecie", mówiono sobie w rządzie. Nastroje paniki w rządzie powiększyły się jeszcze bardziej, gdy Rzym rzeczywiście został zbombardowany powtórnie. Żeby uspokoić ludność, puszczono wieść z ręki do ręki, że rząd już rozpoczął rokowania pokojowe. Naprężenie jednak nie ustawało i jego najdobitniejszym wyrazem były niezliczone tłumy, tysiące i dziesiątki tysięcy kobiet, mężczyzn i dzieci, obarczonych bagażem, które zainstalowały się na stałe na placu przed katedrą świętego Piotra przed Watykanem. Obozowała tam cała ludność ze zburzonych dzielnic, ludność z dzielnic położonych przy torach kolejowych, uciekinierzy szukający w Rzymie bezpieczeństwa.

TAJEMNICA NIEDZIELI.

Tego samego dnia tłum ten, pomnożony o nowe tysiące, przyszedł pod Watykan, tym razem jednak by zademonstrować swą radość i wdzięczność za ogłoszenie Rzymu miastem otwartym. Tłum wiwatował na cześć Papieża gorąco, jego staraniom przypisując tę decyzję rządową. Papież przyjmując demonstracje ukazał się kilkakrotnie w oknie błogosławiąc ludność.

Radość więc panowała w tę sobotę. Radość ta była zapowiedziana zresztą kursującą od kilku dni tajemniczą przepowiednią, według której rzymianie mieli w piątek płakać, w sobotę cieszyć się i śmiać się w niedzielę. Piątek rzeczywiście był dla Rzymu dniem głębokiego smutku, a dla wielu tysięcy dniem katastrofy, bo był to dzień ciężkiego ataku lotniczego. Sobota była dniem radości, bo to w sobotę ogłoszono Rzym miastem otwartym. Nie wierzono jednak, by można było śmiać się w niedzielę. Żadna bowiem wieść nie mogła rozwiązać bez krwi, walk i nieszczęścia trudnej włoskiej sytuacji.

OSTATNIE DNI NIEPEWNOŚCI.

Rzym miał być miastem otwartym, decyzję tę ogłosiły jednak tylko jednostronnie władze włoskie. Alianci wymagali uprzedniego usunięcia z Rzymu wojsk, fabryk wojennych, władz wojskowych, nieużywania go jako centrum komunikacyjnego. Drogi podmiejskie więc zaroiły się na nowo od tłumów chcących wyemigrować. Ludność opuszczała miasto jak się dało, wiele kilo-

metrów wędrując pieszo do podmiejskich dworców kolejowych, by tam całe dnie biwakować w polu, czekając na miejsce w przepełnionych pociągach. Inni szli dalej pieszo, prowadząc za sobą swe rodziny i wlokąc ocalały z bombardowań bagaż. Na drogach tych widziało się jak byli wychudli, jak byli obdarci, zabiedzeni. Dzieci oblegały żołnierzy jedzących chleb, twarze miały ziemiste, straszne. Krążyły z blaszankami od jednej kuchni polowej do drugiej, krążyły wielkimi masami, w poszukiwaniu żywności dla siebie i dla rodzin.

„Chleba, chleba" proszono wzdłuż całej drogi.

Samoloty angielskie i amerykańskie dniami i nocami krążyły nad tym na wpół bezpańskim miastem, gdy jego mieszkańcy szli na nowo chronić się i demonstrować przed Watykanem. Jak i poprzednio nie było wody, nie dostarczano mleka i nie wydawano mięsa. Na rynki dowożono tylko niewielkie ilości jarzyn nie wystarczające dla wygłodniałej rzeszy rzymskiej.

ZAMIAST NARODOWEJ ŻAŁOBY.

W takim nastroju był Rzym, gdy przyszła do niego wiadomość, która w innym czasie okryłaby miasto żałobą. Skończyła się mianowicie bitwa o Sycylię. Cała wyspa została zajęta przez wojska sprzymierzonych, mało kto ocalał z pogromu. W Rzymie nie zamknięto tego dnia teatrów, kawiarń i kin. Nie ogłoszono żałoby. Pośród ludu mówiono zwyczajnie:

„Niech się pospieszą".

Pospieszyć się mieli sprzymierzeni i Rząd, kończąc jak najprędzej wojnę. Uwaga była zwrócona w tym kierunku. Przebąkiwano nieśmiało i z nadzieją prędkiego oswobodzenia od duszącej zmory, że wysłannik włoski już był w kontakcie z komendą wojsk sprzymierzonych na Sycylii i że rokowania pokojowe już się rozpoczęły w Lizbonie.

OSTATNIE DNI OCZEKIWANIA.

Smutne były te dni, rzeczywiście przygnębiające. Jak już mówiłem, nad Rzymem i jego okolicą każdego dnia i każdej nocy krążyły samoloty albo niemieckie albo amerykańskie i angielskie, krążyły jak nad pustynią lub ziemią niczyją, nie spotykając ani oporu, ani protestu. Nie atakowały miasta i jego okolic, gdyż nie było to już potrzebne. Były jednak ciągle obecne, w roli przednich straż wojsk, które gotowały się do ataku. W mieście tymczasem każdego dnia krążyły nowe wieści o tym, że tysiące okrętów wojennych już przygotowanych do inwazji zbliżało się do południowych wybrzeży, gdy jednocześnie z północy gotowała się inna inwazja ciągle wzmacniających się wojsk niemieckich, wspomaganych przez piątą, ex-faszystowską kolumnę, jak o tych ludziach mówiło się w tym czasie. Pocieszające było tylko to, że rząd przygotowywał się do jakichś wielkich wydarzeń. Tym razem ludność powitała z radością okupowanie fabryk przez wojsko i pojawienie się wojsk na ulicach. Wielkie wydarzenie bowiem mogło być tylko jedno: podpisanie pokoju. Dzienniki pisały otwarcie przeciw przymierzu z hitleryzmem

otwarcie odmawiały z nim solidarności. O wojnie pisały tak, jak przedstawiała się ona naprawdę, nic już nie ukrywając. Nie nazywano więcej bomb bombkami, złorzeczono faszyzmowi, że kryjąc się w cieniu rzymskich monumentów i spod osłony Watykanu nakazywał obronę na pięści i zębami przeciw tankom i latającym fortecom. Pisano, że można było przejechać dziesiątki kilometrów przez Włochy i minąć wiele wsi i osad nie napotkawszy ani śladu ludzkiego życia.

Tak przyszedł dzień trzeciego września, w którym stało się wiadome, że wojska angielskie wylądowały już na południu Włoch. Tego samego dnia wiele miast zostało tam zajętych i tego samego dnia rzymianie usłyszeli odgłosy wielkich wybuchów w stronie podmiejskich lotnisk okupowanych pospiesznie przez Niemców gotowych do zajęcia miasta. Raz i drugi poszła między mieszkańcami radosna wieść, że angielskie dywizje spadochronowe wylądowały w porozumieniu z rządem na tych lotniskach i wydawało się, że jakimś cudownym sposobem wszystko zakończy się nagle, jakąś piękną niedzielą z przepowiedni. Wydawało się, że w każdej chwili będzie można zobaczyć maszerujące przez ulicę wojska angielskie, że rozpocznie się bitwa, że skończy się wojna.

Gotowało się coś niesamowitego i w Rzymie, w tym dniu były godziny, w czasie których miasto nagle pustoszało i inne, w czasie których ludność wylegała nagle na ulicę, jak gdyby wielka wiadomość już została ogłoszona. Tak przyszedł dzień siódmego września, w którym ogłoszono o zawarciu na Sycylii zawieszenia broni. Tego samego dnia Niemcy zaczęli swój marsz na Rzym i po rozpaczliwej obronie ludności na przedmieściach opanowali miasto.

TAKA PIOSENKA

Towarzyszom Rosjanom

Z głębi otchłani, z dna rozpaczy,
w niemocy i bezsile naszej,
od czarnej ścianki, kul i knutów
i spod szubienic, nocy bunkrów
ciało zeżarte głodem krzyczy,
powiewa krwawym płatem skóry,
wstęga orderu — trupom — stryczek
szkliste źrenice wbija w chmur pył.
Serca przeszywa śmierci zastrzyk,
płuca milionów gaz przeżera,
w jusze skąpany czasu piasek
odmierza więźniów straszne Teraz.

•

Ja sobie śpiewam — biedny wariat
kukłom z numerem — podłą arię
i do pierwszego wschodu czołgów
ułożę może hymn miast modłów.
Taką piosenkę szczutych zwierząt,
by zawyć ją kiedyś żołnierzom.
Pierwszą patrolkę Wielkiej Armii
śpiewam, niech żyje towarzysz Stalin.

Zwierzęca trwoga dławi gardła,
gdy noce w brzasku stosów stają,
pędzonych w gaz ostatnia skarga
rzęzi po polach wszystkim krajom.
Już w beznadziejnej, krwawej pustce
żywych szkielety się nie żalą,
samotnie giną, szał ich ustał,
zdychają sobie tu, zdychają.

Z głębi otchłani, z dna rozpaczy,
w bezsile i niemocy naszej
śpiewam piosenkę o granicy
idącej ku nam w map chichocie
i będę śpiewał, póki stryczek
nie zdusi mnie przy tej robocie
szydzenia z potęg. Zastrachani,
głusi nie słyszą, że śpiewamy:
niech żyje nam towarzysz Stalin
i pierwszy czołg Czerwonej Armii
i pierwszy w rękach mych karabin
hurrra!

Obóz Oświęcim, wiosna 1944

NA PEWNO

Gołąbeczki, gołąbeczki struchlałe,
drży karabin w posiniałych rączkach,
jeszcze wczoraj na wybrzeżu spałeś
śniąc o niebie jak gołych dziewczątkach.
Jeszcze w nocy posypałeś cyklon
gębę krzywiąc w uśmiechu do eskadr
i wisielcom się śmiałeś i stryczkom
a dziś mundur pozrywał ci przestrach.

Popatrz nam w oczy, oczy pijane nie łżą
milcząc krzyczymy chwałę i zwycięstwo.

I nam trudno usnąć nocą spokojnie
spadochronom zazdroszcząc i łodziom,
jutro może będzie po wojnie,
kto by ze snem do izby wchodził.
Teraz tylko wyżyć i wyczekać,
gdy zapuka do bloku pancerne auto.
Takie jest prawo uwięzionego człowieka,
ach lato ostatnie, lato...

Patrzę ci w ślepia okrutny tchórzu,
to prawda, prawda, prawda, prawda,
że dom twój wczoraj runął i w murze
zakrwawioną onucą zwisa twój sztandar,

że płonie niebo i czarny żużel
sypie na dzieci twoje i grzebie,
patrząc na śmierć nas jeszcze nie umrzesz,
myśl-że struchlały dzisiaj: w y b r z e ż e!

Żołnierzyku, żołnierzyku niewinny,
nie powiewasz komunikatem w łapkach,
trupią główkę schowaj dla innych,
dla mnie i dla mego brata
w słonej wodzie biegnącego ku nam,
abyś tysiąckroć umarł.

Popatrz w ogień i dym, tyś go zapalił tu
i proch spalonych ciał woła cię u łun.

Złuda była w rozmowach o wolności i wojnie,
gdyśmy żegnali maszerujących w śmierć,
teraz nie usnę już spokojnie,
teraz, gdy wiem
na pewno
na pewno

Obóz Oświęcim, 1944, inwazja.

O TYM WIERSZU

Sobie, aby wyróść,
towarzyszom, by nie pomarli
śpiewam zły głód
i czasy kaźni.
Ręce pełne śmierci
zamykały oczy milionom,
przywracają spod śniedzi
braterstwo walki i zgonu.
Teraz, kiedy żyję,
nie uwierzą ci, co nie byli
w gorzką historię,
jaką odkryli.

Lata były ostre,
opowieść o mnie samym
wywołującym wiosnę
z dna klęski i chwały.

Ziemia, zawsze powróć
do niej, śpiewanej w stu mowach:
kwitnący ogród
w piszczelach i prochach.
Ziemia, nie odłączysz
od niej, mnie — płaczącego gniewem,
za łopot chorągwi,
muzyczny grzebień,
na którym chłopcy
wygrywają swobodę,
za ziemię i wodę.

Nocą, kiedy gasły
jak światła wszystkie trwogi,
mowa o miastach
w łunach pożogi.

Patrzą drobne chłopaczki
wątłe ciałka dające igle,
wierszowi nie inaczej
żyć ani ginąć.
Pięści mapy pieszczące
łamią słowa jak ciało żywe,
czarnej gorączce
już ich nie wyrwę.

Słowa — ostatnia wola,
nie inaczej mówiła się tam,
czytano rodał
zamykający bramy.
Mój wiersz bramy otwierał
dla żołnierzy salw niesłyszanych
i krew przelewał
i lizał rany.
Słyszał kiedy śpiewa
front, niedościgła dziewczyna,
rzeki i drzewa,
szubienic szyna.
Kula — nie ręka mdła
zadawała więźniom uroki.

Powstał i jest
wiersza kulopis.

Kraków, czerwiec 1945.

DZIEŃ NA HARMENZACH

Dotychczasowe piśmiennictwo polskie na temat więzień i obozów koncentracyjnych ukazuje najczęściej, że na dnie przymusowego upodlenia człowiek pozostawał jednak człowiekiem. Widnieje w tym piśmiennictwie chęć obrony przed złem, wyrażająca się w wynoszeniu człowieczeństwa ponad czysto naturalistyczną prawdę opisu. „Apel" Andrzejewskiego, „Kantata" Żukrowskiego, wstrząsający dokument Pytlakowskiego „Dwadzieścia cztery godziny śmierci" — oto przykłady. Ta obrona przed złem jest świadectwem zdrowia moralnego.

System zbrodni niemieckich na tym jednak polegał, by w zbrodnię wciągać również jej ofiary. Żydzi posiadali w ghettach swój „samorząd", milicję, obozy koncentracyjne „administrowały się" same. I tutaj, na pograniczu pomiędzy zbrodnią a ofiarą przymuszoną do uczestnictwa w niej powstawały najbardziej skomplikowane zjawiska moralne. Pisze o nich Szmaglewska: „W płomieniach ognia podsycanego ludzkimi ciałami, jak w odczynniku chemicznym różne pierwiastki natury ludzkiej dochodzą do głosu. Często widzi się, że zgubna ogarnia nie tylko idących na śmierć, lecz również i tych, co przy życiu zostają... Sonderkommando, pijani Żydzi traktujący ginących braci, Żydów, tak samo jak SS-mani. Smutny przykład zagubienia się człowieka w płonącej dżungli zwanej Birkenau".

Opowiadaniom T. Borowskiego i K. Olszewskiego, które zamieszczamy dalej, brakuje tego stanowczego przeciwstawienia się złu. Stanowią one raczej świadectwo zjawisk, o których pisze Szmaglewska. Dlatego nie możemy się solidaryzować z sensem moralnym tych utworów, jeżeli zaś je drukujemy, to nie dla samej — niepospolitej — wartości artystycznej. Drukujemy, ażeby zbrodniom niemieckim przeciwstawić pełen naturalistycznej grozy akt oskarżenia, akt, który ukazuje zarazę zła wszczepioną w duszę ofiar.

Red.

I

Cień kasztanów jest zielony i miękki. Kołysze się lekko po ziemi jeszcze wilgotnej, bo świeżo skopanej, i wznosi się nad głową seledynową kopułą pachnącą poranną rosą. Drzewa tworzą wzdłuż drogi wysoki szpaler, a czuby ich rozpływają się w kolorycie nieba. Odurzająca woń bagna ciągnie od stawów. Trawa zielona jak plusz srebrzy się jeszcze rosą, ale ziemia już paruje w słońcu. Będzie upał.

Lecz cień kasztanów jest zielony i miękki. Nakryty cieniem siedzę w piasku i wielkim francuskim kluczem dokręcam złączenia wąskotorowej kolejki. Klucz jest chłodny i dobrze leży w dłoni. Co chwila biję nim o szyny. Metaliczny, surowy dźwięk rozchodzi się po całych Harmenzach i powraca z daleka niepodobnym echem. Oparci na łopatach stoją koło mnie Grecy. Ale ci, ludzie z Salonik i winnych stoków Macedonii, boją się cienia. Stoją więc w słońcu, zdjąwszy koszule i opalają niezmiernie chude barki i ramiona, pokryte świerzbem i wrzodami.

— Ależ pilnie pracujesz dzisiaj, Fadku! Dzień dobry! Nie jesteś głodny?

— Dzień dobry, pani Haneczko! Absolutnie nie. A poza tym walę mocno w szyny, bo nasz nowy kapo... Przepraszam, że nie wstaję z szyn, ale pani rozumie: wojna, Bewegung, Arbeit...

Pani Haneczka uśmiecha się.

— Ależ naturalnie, że rozumiem. Nie poznałabym cię, gdybym nie wiedziała, że to ty. Pamiętasz, jak jadłeś kartofle w łupinach, które dla ciebie kradłam od kur?

— Jadłem! Ależ pani Haneczko, ja się nimi zażerałem! Uwaga, esman od tyłu.

Pani Haneczka sypnęła parę garści zboża z sita zbiegającym się ku niej kurczakom, ale obejrzawszy się, machnęła lekceważąco:

— Ach, to tylko nasz szef. Mam go w tym palcu.

— W takim małym? Strasznie dzielna z pani kobieta. — I z rozmachem walnąłem kluczem w szyny, wybijając na jej cześć melodię: „*La donna e mobile*".

— Ależ człowieku, nie hałasuj! Może byś jednak naprawdę coś zjadł? Właśnie idę do dworu, to ci przyniosę.

— Pani Haneczko, najczulej dziękuję. Myślę, że dosyć mnie pani dokarmiała, jak byłem biedny...

— ...ale uczciwy — rzuciła z lekką ironią.

— ...a co najmniej niezaradny — odparowałem jak umiałem. — Ale, *à propos* niezaradności: miałem dla pani dwa piękne mydła, z najśliczniejszą jaka może być nazwą „Warszawa", i...

— ...i ukradli, jak zwykle?

— I ukradli jak zwykle. Jak nie miałem nic, to spałem spokojnie. Teraz, żebym nie wiedzieć jak owiązał paczki sznurkami i drutem, zawsze rozwiążą.

Parę dni temu zorganizowali mi butelkę miodu, a teraz znów to mydło. Ale biedny będzie złodziej jak go złapię.

Pani Haneczka roześmiała się na głos.

— Wyobrażam sobie. Aleś dziecko! co do mydła, masz się wcale nie martwić, dostałam dziś od Iwana dwa ładne kawałki. Ach, byłabym zapomniała, oddaj ten pakuneczek dla Iwana, to słonina — rzekła, kładąc pod drzewem małe zawiniątko. — A tu patrz, jakie ładne mydła.

Odwinęła papier, dziwnie znajomy. Podszedłem i przyjrzałem się dokładniej: na obu wielkich, jak od Schichta, kawałkach wytłoczona była kolumna i napis *Warszawa.*

Milcząc, oddałem jej zawiniątko.

— Rzeczywiście, ładne mydło.

Spojrzałem na pole ku rozrzuconym grupom pracujących ludzi. W ostatniej, aż koło kartofli, dostrzegłem Iwana: jak pies owczarek naokoło trzody czujnie obchodził swoją grupę ludzi, pokrzykiwał coś, czego z odległości nie było słychać i wymachiwał wielkim, odartym z kory kijem.

— Ale biedny będzie złodziej — rzekłem, nie spostrzegłszy, że mówię w przestrzeń, bo pani Haneczka odeszła już i tylko z daleka rzuciła mi, odwracając na moment głowę:

— Obiad, jak zwykle, pod kasztanami.

— Dziękuję!

I począłem znów dzwonić kluczami o szyny i dokręcać zluzowane śruby.

Pani Haneczka wzbudziła pewną sensację wśród Greków, gdyż przynosi im czasem kartofle.

— Pani Haneczka *gut, extra prima.* To twoja *Madonna?*

— Ależ gdzie *Madonna!* — obruszam się, tłukąc przez pomyłkę kluczem w palec — to znajoma, no, *camerade, filos, compris, Greco bandito.*

— *Greco niks bandito. Greco gut* człowiek. Ale dlaczego ty nic od niej jeść? Kartofel, *patatas?*

— Nie jestem głodny, mam co jeść.

— Ty *niks gut, niks gut* — kręci głową stary Grek, tragarz z Salonik, który zna dwanaście języków z południa — my jesteśmy głodni, wiecznie głodni, wiecznie, wiecznie...

Kościste ramiona przeciągają się. Pod oparszywiałą świerzbem i wrzodami skórą grają dziwnie wyraźnie jakby oddzielone osobno mięśnie, uśmiech łagodzi napięte rysy twarzy, ale czającej się gorączki w oczach nie może zagasić.

— Jak jesteście głodni, to ją poproście. Niech wam przyniesie. A teraz pracujcie, *laborando, laborando,* bo nudno z wami. Idę gdzie indziej.

— A właśnie, Tadeusz, że źle zrobiłeś — rzekł wysuwając się zza innych stary, gruby Żyd. Oparł łopatę o ziemię i stanąwszy nade mną ciągnął:

— Przecież i ty byłeś głodny, więc umiesz nas zrozumieć. Nic by ciebie nie kosztowało, żeby tak przyniosła z kubeł kartofli.

Słowo k u b e ł przeciągnął długo i marząco.

— Ty się Beker odczep ode mnie ze swoją filozofią i zajmij się lepiej zie-

mią i łopatą, *compris?* Ale żebyś wiedział: będziesz zdychał, to cię jeszcze dobiję, rozumiesz? A wiesz za co?

— Za cóż to?

— Za Poznań. A może to nieprawda, że byłeś Lagerältesterem w żydowskim lagrze pod Poznaniem?

— No to co, że byłem?

— A zabijałeś ludzi. A wieszałeś ich na słupku za głupią ukradzioną kostkę margaryny albo za bochenek chleba.

— Wieszałem złodziejów.

— Beker, mówią, że jest na kwarantannie twój syn.

Ręce Bekera kurczowo ujęły trzon od łopaty a wzrok jego począł uważnie obejmować mój tułów, szyję, głowę...

— Ty, puść tę łopatę, nie patrz tak bojowo. Może to nieprawda, że to syn kazał ciebie zabić za tamtych z Poznania?

— Prawda — rzekł głucho. — A drugiego syna powiesiłem w Poznaniu, ale nie za ręce, tylko za szyję, bo ukradł chleb.

— Bydlę! — wybuchnąłem.

Ale Beker, starszy, siwawy Żyd, skłonny nieco do melancholii, był już spokojny i opanowany. Popatrzył na mnie z góry, prawie z pogardą:

— Jak długo siedzisz w obozie?

— O... parę miesięcy.

— Wiesz, Tadeusz, bardzo ciebie lubię — rzekł niespodziewanie — ale ty głodu to tak naprawdę nie zaznałeś, co?

— Zależy, co to jest głód.

— Głód jest wtedy prawdziwy, gdy człowiek patrzy na drugiego człowieka jako na obiekt do zjedzenia. Ja już miałem taki głód. Rozumiesz? — A gdy milczałem i tylko od czasu do czasu stukałem kluczem o szyny i machinalnie oglądałem się na lewo i na prawo, czy nie idzie kapo, ciągnął:

— Nasz lager — tam — był mały... Tuż obok drogi. Drogą chodzili ludzie, ładnie ubrani, takie kobiety. Na przykład w niedzielę do kościoła. Albo młode pary. A dalej wieś, taka zwykła wieś. Tam ludzie mieli wszystko, o pół kilometra od nas. A myśmy brukiew... człowieku, u nas ludzie żywcem chcieli się zjadać! I co, miałem nie zabijać kucharzy, co za masło kupowali wódkę a za chleb papierosy? Mój syn kradł, to go też zabiłem. Ja jestem tragarz, to mam życie.

Przyglądałem mu się ciekawie, jak nowemu człowiekowi.

— A ty, a ty też tylko twoją porcję jadłeś?

— To co innego. Ja byłem Lagerältesterem.

— Uważaj! *Laborando, laborando, presto!* — wrzasnąłem nagle, zza zakrętu drogi bowiem wynurzył się esman na rowerze i przejechał obok nas, przyglądając się uważnie. Natychmiast pochyliły się niżej karki, wzniosły się ciężko trzymane w pogotowiu łopaty, uderzył o szyny francuski klucz.

Esman zniknął za drzewami, łopaty opadły i znieruchomiały, Grecy zapadli w zwykłe odrętwienie.

— Która godzina?

— Nie wiem. Do obiadu jeszcze daleko. A wiesz, Beker, powiem ci coś na odchodnem: dziś będzie na lagrze wybiórka. Mam nadzieję, że razem ze swoimi wrzodami pójdziesz do komina.

— Wybiórka? Skąd wiesz, że będzie...

— Cóżeś się tak wystraszył? Będzie i tyle. Boisz się, co? Nosił wilk... — Uśmiecham się złośliwie, rad z pomysłu, i odchodzę nucąc modne tango, zwane „krematoryjnym". Puste oczy człowieka, z których nagle uciekła wszelka treść, patrzą nieruchomo przed siebie.

II

Szyny mojej kolejki ciągną się wzdłuż i wszerz po całym polu. Tu doprowadziłem je jednym końcem do kupy spalonych kości, przewożonych przez auta z „kremo", a drugi utopiłem w stawie, gdzie ostatecznie kości te lądują, ówdzie wjechałem nimi na górę piasku, który będzie równomiernie rozprowadzony po polu, żeby dać suchy podkład zbyt bagnistej glebie, tam znów położyłem je wzdłuż wału trawiastej ziemi, która pójdzie na piasek. Tory chodzą tak i siak, a tam, gdzie się krzyżują, jest olbrzymia żelazna płyta obrotowa, którą przenosi się raz tu, raz tam.

Tłum półnagich ludzi otoczył ją, pochylił się i wczepił w nią palce.

— *Hooooch*, do góry! — wrzasnąłem, dla lepszego efektu podnosząc sugestywnie rękę jak dyrygent. Ludzie szarpnęli raz i drugi, ktoś przewalił się ciężko przez płytę, sam nie mogąc za bardzo ustać na nogach. Skopany przez towarzyszy wyczołgał się z kręgu i podnosząc piaskiem i łzami uwalaną twarz znad ziemi, jęknął:

— *Zu schwer, zu schwer*... Za ciężkie, kolego, za ciężkie... — Wsadził rozcharataną dłoń w usta, ssał chciwie.

— Do roboty, *auf!* Wstawaj! Ano jeszcze raz! *Hooch!* Do góry!

— *Doguri!* — zgodnym chórem powtarza tłum, pochyla się jak najniżej, wypina zębate jak u ryb łuki kręgosłupów, wypręża mięśnie tułowia. Ale ręce, przytknięte do płyt, zwisają luźne i bezwładne.

— Do góry!

— *Doguri!*

Nagle na ten krąg wyprężonych grzbietów, na zgięte karki, na pochylone aż ku ziemi głowy, na sflaczałe ręce posypał się grad uderzeń. Trzon łopaty bębnił o łby, obijał skórę na kościach i głucho stękał po brzuchu. Zakotłowało się naokoło płyty. Okropny wrzask ludzki buchnął nagle i urwał się, a płyta dźwignęła się do góry i chybocząc się ciężko, zawisła nad głowami ludzi i ruszyła, grożąc w każdej chwili upadkiem.

— Wy psy — rzucił odchodzącym kapo — ja będę wam ale pomagał.

Dysząc ciężko, przecierał ręką czerwoną, obrzękłą twarz o żółtych plamach, i wodził za nimi roztargnionym, bezmyślnym spojrzeniem, jakby tych ludzi widział — po raz pierwszy. Potem zwrócił się do mnie:

— Ty, kolejarz, gorąco dzisiaj?

— Gorąco. Kapo, tę płytę trzeba położyć przy trzecim inkubatorze, prawda? A szyny?

— Poprowadzisz prosto do rowu.

— Ale tam jest wał ziemi po drodze.

— To go przekop. Do południa musi być zrobione. A na wieczór zrobisz mi cztery pary noszy. Może się kogoś poniesie na lager. Gorąco dziś, co?

— Gorąco. Ale, kapo... Dalej, dalej z tą płytą! Do trzeciego domku! Kapo się patrzy!

— Kolejarz, daj mi cytrynę.

— Niech kapo przyśle do mnie pipla. Nie mam w kieszeni.

Kiwa kilkakrotnie głową i odchodzi, kulejąc. Idzie na dwór, na wyżerkę. Ale wiem, że tam mu nic nie dadzą — bije ludzi. Kładziemy płytę. Straszliwym wysiłkiem dociąga się szyny, podważa kilofem, gołymi palcami dokręca się śruby. Głodne, gorączkowe postacie łażą, nieporadne, zgonione, pokrwawione. Słońce wychodzi wysoko na niebo i grzeje coraz dokuczliwiej.

— Która godzina, kolego?

— Dziesiąta — mówię, nie podnosząc oczu od szyn.

— Boże, Boże, jeszcze dwie godziny do obiadu. Czy to prawda, że dziś będzie w obozie wybiórka, że pójdziemy do krematorium?

Już wszyscy wiedzą o wybiórce. Ukradkiem opatrują sobie rany, żeby były czyściejsze i mniejsze, zrywają bandaże, masują mięśnie, spryskują się wodą, żeby być świeższymi i raźniejszymi na wieczór. Walczą o byt ciężko i bohatersko. Innym jest wszystko jedno. Ruszają się, żeby uniknąć bicia, żrą trawę i lepką glinę, aby nie czuć głodu, chodzą osowiali, jeszcze żywe trupy.

— My wszyscy — krematorium. Ale wszyscy Niemcy będą *kaput*. Wojna *fini*, wszyscy Niemcy — krematorium. Wszyscy: kobiety, dzieci. Rozumiesz?

— Rozumiesz, *Greco gut*. Ale to nieprawda, wybiórki nie będzie, *keine Angst*.

Przekopuję wał. Lekka, poręczna łopata „sama" chodzi w dłoniach. Grudy wilgotnej ziemi poddają się łatwo i miękko wylatują w powietrze. Dobrze jest pracować, jak się zjadło na śniadanie ćwierć boczku z chlebem i czosnkiem i zapiło się puszką skondensowanego mleka.

W skąpym cieniu murowanego inkubatora kucnął Kommandoführer, mały wysuszony esmanek w rozchełstanej koszuli. Zmęczył się łażeniem wśród kopiących. Umie boleśnie smagać szpicrutą. Wczoraj ciął mnie dwa razy przez plecy.

— Gleisbauer, co tam nowego słychać?

Śmigam łopatą i przybijam ziemię na wierzchu.

— Pod Orłem padło trzysta tysięcy bolszewików.

— To dobrze, nie? Jak myślisz?

— Pewnie, że dobrze. Bo tam zginęło drugie tyle Niemców. A bolszewicy będą za rok tutaj, jak tak dalej pójdzie.

— Tak myślisz? — uśmiecha się złośliwie i zadaje sakramentalne pytanie:

— Daleko do obiadu?

Wyciągam zegarek, stary, srebrny grat ze śmiesznymi rzymskimi cyframi. Lubię go, bo jest podobny do zegarka ojca. Kupiłem go za paczkę fig.

— Jedenasta.

Cherlak wstał spod muru i spokojnie wyjął mi go z ręki.

— Daj mi go. Bardzo mi się podoba.

— Nie mogę, bo to mój własny z domu.

— Nie możesz? To nie.

Zamachnął się i cisnął zegarek o ścianę. Po czym siada znów w cieniu i podkula nogi.

— Gorąco dzisiaj, co?

Milcząc podnoszę zegarek i zaczynam gwizdać ze złości. Najpierw fox o wesołej Joannie, potem stare tango o Rebece, potem Warszawiankę i Rotę, a wreszcie repertuar z lewej strony.

Właśnie gwizdałem „Międzynarodówkę", wtórując w myśli — *Eto budiet paślednij i rieszitielnyj boj*, gdy nagle przesłonił mnie wysoki cień i ciężka dłoń spadła mi na kark. Podniosłem głowę i zamarłem. Rozpościerała się nade mną olbrzymia, czerwona, obrzękła twarz, a trzon od łopaty niepokojąco chwiał się w powietrzu. Nieskazitelnie białe pasiaki odcinały się ostro od dalekiej zieleni drzew. Mały czerwony trójkąt z cyferką „3277" przyszyty do piersi chwiał się dziwnie i rozrastał się w oczach.

— Co gwiżdżesz — spytał kapo, patrząc mi prosto w oczy.

— To taki bardzo międzynarodowy slogan, panie kapo.

— A znasz ten slogan?

— No... trochę... z rozmaitych stron — dodałem przezornie.

— A to znasz? — spytał.

I ochrypłym głosem zaczął śpiewać *Rote Fahne*. Odrzucił trzon od łopaty, oczy zalśniły mu niespokojnie. Nagle urwał, podniósł kij i pokiwał głową, pół z pogardą, a pół z politowaniem:

— Żeby to prawdziwy SS słyszał, już byś nie żył. Ale ten...

Cherlak pod murem śmieje się szeroko i dobrodusznie:

— I wy to nazywacie katorgą! Trzeba było być jak ja na Kaukazie!

— Kommandoführer, już zasypaliśmy jeden staw kośćmi ludzkimi, a ile zasypano przedtem, a ile poszło do Wisły, tego ani pan ani ja nie wiemy.

— Trzymaj pysk, świński psie — i wstał spod muru, sięgając po upuszczoną szpicrutę.

— Bierz ludzi i idź po obiad.

Rzucam łopatę i znikam za węgłem inkubatora. Z daleka słyszę jeszcze głos kapa, ochrypły i dychawiczny:

— Tak, tak, to są świńskie psy. Trzeba ich wszystkich wybić do nogi. Ma pan rację, panie kommandoführerze.

III

Wychodzimy drogą, prowadzącą przez Harmenze. Wysokie kasztany szumią, cień jest jeszcze zieleńszy, ale jakby suchszy. Jak wyschłe liście. Jest to cień południa.

Przy wyjściu na drogę trzeba koniecznie przejść obok malutkiego domku o oknach z zielonymi okiennicami, które w środku mają niezgrabnie wycięte serduszka, i białych, wpół zesuniętych firaneczkach. Pod oknami pną się delikatne róże o bladym, matowym kolorze, a w skrzyneczkach rosną jakieś dziwne, fioletowe kwiateczki. Na schodkach z ganeczkiem oplecionym ciemnozielonym bluszczem bawi się mała dziewczynka z wielkim, mrukliwym psem. Pies, widocznie znudzony, daje się ciągnąć za uszy, tylko przekręca łbem, oganiając się od much. Dziewczynka jest w białej sukieneczce, ma opalone brązowe ramiona. Pies jest rasy „Doberman" o brązowym podgardlu. To córka Unterscharführera, gospodarza w Harmenz. A ten dworek z różyczkami i firaneczkami to jego dom.

Zanim się wyjdzie na drogę trzeba przebić parę metrów grząskiego, lepkiego błota, ziemi zmieszanej z trocinami i polewanej odkażającą substancją. To żeby nie przywlec żadnej zarazy na Harmenze. Obchodzę ostrożnie z boku to świństwo i wyłazimy społem na drogę, gdzie rzędem poustawiane stoją kotły z zupą. Przywiózł je samochód z obozu. Każde komando ma swoje kotły poznaczone kredą. Obchodzę je dookoła. Zdążyliśmy na czas, nikt nam jeszcze nie ukradł. Trzeba samemu spróbować.

— Pięć naszych, dobrze, zabierać, te dwa rzędy należą do kobiet, nie wolno grandy robić. Aha, jest — monologuję głośno i ciągnę kocioł sąsiedniego komanda, a na jego miejsce podstawiam nasz, o połowę mniejszy, i kreślę nowe znaki kredą.

— Zabierać! — gromko wołam na Greków, którzy gapią się na proceder, pełni zrozumienia.

— Te, coś kotły zamienił! Czekaj, stój! — wołają tamci, z drugiego komanda, którzy też już idą po obiad, tylko się spóźnili.

— Kto ci zamienił? Trzymaj pysk, człowieku!

Tamci biegną, ale Grecy, ciągnąc kotły po ziemi, stękając, klnąc po swojemu „putare" i „porka", popychając się i poganiając się wzajemnie, znikają za żerdzią, oddzielającą świat od Harmenz. Przełażę za nimi ostatni, słyszę jak tamci są już przy kotłach i klną mnie w żywy kamień a moją familię rozstawiają z uporem po kątach. Ale wszystko jest w porządku: dziś ja, jutro oni, kto pierwszy ten lepszy. Nasz patriotyzm komandowy nie wychodzi nigdy poza ramy sportu.

Zupa bulgocze w kotłach. Grecy co parę kroków stawiają kotły na ziemi. Oddychają ciężko jak ryby wyrzucone na brzeg i ukradkiem zlizują palcami cieknącą wąziutkimi strugami spod niedokręconych pokryw lepką, gorącą maź. Znam jej smak, zmieszany z kurzem, brudem i potem rąk, bo sam te kotły nie tak dawno nosiłem.

Stawiają kotły i wyczekująco patrzą mi w twarz. Podchodzę uroczyście do środkowego kotła, wolno odkręcam śruby, przez nieskończenie długie pół sekundy trzymam dłoń na pokrywie i — podnoszę. Kilkanaście par oczu gaśnie w zniechęceniu: pokrzywa. Rzadka, biała ciecz chlupie w kotle. Na powierzchni pływają żółte oka margaryny. Ale wszyscy poznają po kolorze, że pod spodem leżą całe, nieposiekane, włókniste łodygi pokrzyw, o zgniłym kolorze i ohydnym zapachu, że zupa do samego dna jest taka sama: woda, woda, woda... Na moment świat ciemnieje w oczach dźwigających ludzi. Kładę pokrywę na kocioł. W milczeniu znosimy kotły na dół.

Wielkim łukiem obchodzę teraz pole ku grupie Iwana, który zdziera nawierzchnię łąki przy kartoflach. Długi rząd ludzi w pasiakach stoi nieruchomo przy czarnym wale ziemi. Od czasu do czasu ruszy się łopata, ktoś przegnie się, zamrze na chwilę w tym ruchu, wyprostuje się zwolna, dźwignie łopatę i zastygnie na długo w półobrocie, w niedokończonym geście jak zwierzę, zwane leniwcem. Za chwilę poruszy się ktoś inny, machnie łopatą i zapadnie tak samo w bezwładne otępienie. Nie pracują rękoma lecz oczami. Gdy pojawi się na horyzoncie esman lub kapo, albo spod wnęki, gdzie panuje wilgotny cień świeżej ziemi, ciężko wygramoli się dozorca, łopaty szczękają żywiej, choć, póki się da, latają puste, członki poruszają się jak w kinie: śmiesznie, kanciasto.

Włażę wprost na Iwana. Siedzi w swojej wnęce i kozikiem wyrzyna na korze grubego drąga ozdoby: kwadraty, wężyki, serduszka, ukraińskie napisy. Obok klęczał stary, zaufany Grek i pakował coś do jego torby. Zdążyłem jeszcze dostrzec białe pierzaste skrzydło i czerwoną głowę gęsi, dziwnie wygiętą na grzbiet, gdy Iwan, zobaczywszy mnie, rzucił na worek marynarkę. Słonina przemiękła mi w kieszeni i mam brzydką plamę na spodniach.

— Od pani Haneczki — rzekłem krótko.

— Nie mówiła nic? Miała przynieść jajka.

— Kazała ci podziękować za mydło. Bardzo się jej podobało.

— To *haraszo*. Ja je wczoraj kupił od Żyda z Kanady. Dałem trzy jajka.

Iwan rozwija słoninę. Jest wymiętoszona, rozparzona i żółta. Mdło mi się robi na jej widok, może dlatego, że zbyt wiele boczku zjadłem z rana i jeszcze mi się odbija.

— O, *blad!* za takie dwa kawałki tylko tyle dała? Ciasta ci nie dała? — Iwan patrzy na mnie podejrzliwie.

— A wiesz, Iwan, rzeczywiście dała ci za mało. Widziałem to mydło.

— Widziałeś je? — Iwan poruszył się niespokojnie we wnęce. — Trzeba iść ludzi pognać do roboty.

— Widziałem. I za mało ci dała. Więcej ci się należy. Zwłaszcza ode mnie. Postaram ci się oddać. — Chwilę patrzymy sobie twardo w oczy.

IV

Nad samym rowem wyrósł tatarak, a po drugiej stronie, gdzie stoi głupi, ąsaty post z paru trójkątami wysłużonych lat na ramieniu rosną maliny bladych, jakby zakurzonych liściach. Dnem rowu biegnie mętna woda, panoą się w niej jakieś zielone, oślizgłe dziwotwory, czasem ze szlamem wygare się czarnego wijącego się węgorza. Grecy zjadają go na surowo.

Rozkraczam się nad rowem i łopatą powoli przesuwam po dnie. Stoję ostroże, by nie zamoczyć butów. Post podchodzi bliżej, przygląda się w milczeniu.

— Co to będzie tu robione?

— Grobla, a potem oczyścimy rów, panie post.

— Skąd masz takie ładne buty?

Buty mam istotnie ładne: na podwójnej podeszwie, ręcznie szytej, półbuty ardzo wymyślnie na modę węgierską dziurkowane. Przynieśli mi je przyjaciele rampy.

— Dostałem w obozie razem z tą koszulą — odrzekłem wskazując mu na dwabną koszulę, za którą dałem chyba z kilo pomidorów.

— Takie buty dają u was? Patrz, w jakich ja chodzę.

Pokazuje mi buty zmarszczone i popękane. Na nosie prawego łata. Kiwam zrozumieniu głową.

— A nie sprzedałbyś mi tych swoich butów?

Podniosłem na niego wzrok pełen bezgranicznego zdziwienia.

— Jakżeż ja mogę sprzedać panu własność obozu? Jakżeż ja mogę?

Post opiera karabin o ławkę i podchodzi bliżej do mnie, przechylając się ad wodą, która odbija jego postać. Sięgnąłem łopatą i zmąciłem obraz.

— Wszystko wolno, jak nikt nie widzi. Dostaniesz chleba, mam w chlebaku.

Chleba dostałem w tym tygodniu szesnaście bochenków z Warszawy. Poza m za takie buty pół litra wódki murowane. Uśmiecham się więc wyrozumiale.

— Dziękuję, dostajemy w obozie takie porcje, że nie jestem głodny. Chleba słoniny mam dosyć. Ale jeśli pan post ma chleba za dużo, to niech da tym ydom, którzy pracują tam, przy wale. O, ten co nosi darń — rzekłem, wskaując na małego, chudego żydka o kaprawych, załzawionych oczach — to barzo porządny chłopak. Zresztą te buty nie są dobre: zelówka się odrywa. — W zelówce istotnie jest szpara: chowa się tam czasem parę dolarów, czasem arę marek, czasem jakiś list. Post zagryza wargi i patrzy na mnie ze ściągnięmi brwiami.

— Za co ciebie zamknęli?

— Szedłem ulicą, była łapanka. Złapali, zamknęli i przywieźli. Zupełnie ewinnie.

— Wy wszyscy tak mówicie!

— O, nieprawda, nie wszyscy. Mego przyjaciela aresztowali za to, że faływie śpiewał, rozumie pan post; *falsch gesungen.*

Łopata, którą bez przerwy poruszam po dnie mulistego rowu, zaczepiła się

o coś twardego. Szarpię: drut. Klnę brzydko pod nosem a post ogłupiały p trzy na mnie.

— *Was, falsch gesungen?*

— O, to cała historia. Raz w Warszawie, gdy podczas nabożeństwa śpiewar pieśni kościelne, mój przyjaciel zaczął śpiewać hymn narodowy. A że śpi wał bardzo fałszywie, więc go zamknęli. I powiedzieli, że dotąd nie wypuss czą, aż się nauczy nut. Bili go nawet, ale nic z tego, będzie pewnie siedzi aż do końca wojny, bo jest zupełnie niemuzykalny. Raz nawet pomylił mar niemiecki z marszem Chopina.

Post syknął coś i odszedł w stronę ławki. Usiadł, podniósł w zadumie kara bin i bawiąc się zamkiem, zarepetował. Podniósł głowę jakby coś sobie przy pominając.

— Ty, Warszawiak, chodź, dam ci ten chleb, oddasz go Żydom — rzek sięgając po torbę.

Uśmiecham się najprzyjemniej, jak tylko umiem.

Po tamtej stronie rowu ciągnie się linia wart i postom wolno strzelać d ludzi. Za łebek dostają trzy dni urlopu i pięć marek.

— Niestety, nie wolno nam tam chodzić. Ale jeśli pan post chce, to prosz rzucić chleb, ja naprawdę złapię.

Staję w wyczekującej pozycji, ale post odkłada nagle torbę na ziemię, zryw się i melduje przechodzącemu dowódcy warty, że „wszystko bez szczególnyc wydarzeń".

Janek, który pracuje obok mnie, takie miłe dziecko Warszawy, które ni z obozu nie rozumie i chyba do końca nie zrozumie, wygarnia pracowici szlam, układając go równo i starannie po drugiej stronie, prawie wprost po nogi posta. Dowódca warty podszedł bliżej i popatrzał na nas tak jak si patrzy na parę koni, które ciągną wóz albo na pasące się bydło. Janek uśmie cha się szeroko w jego stronę i kiwa porozumiewawczo głową.

— Rów oczyszczamy, panie Rottenführer, bardzo dużo błota.

Rottenführer ocknął się i spojrzał na mówiącego więźnia ze zdziwieniem ta kim, jak patrzy się na pociągowego konia, który nagle przemówi, albo na pa sącą się krowę, która zacznie śpiewać modne tango.

— Chodź no tu — rzekł do niego.

Janek odłożył łopatę, przeskoczył rów i podszedł. Wtedy Rottenführer pod niósł rękę i trzasnął go z całej siły w twarz. Janek potoczył się, chwycił si krzaków malin i wjechał do szlamu. Zabulgotała woda, ja zakrztusiłem si śmiechem. Rottenführer zaś rzekł:

— G... mnie obchodzi, co ty tu robisz nad rowem! Możesz nic nie robić. Al jak mówisz do SS-manna — to masz czapkę zdjąć ze łba i opuścić ręce. — Rottenführer odszedł. Pomogłem Jankowi wyleźć z błota.

— Ale za co ja dostałem, za co, za co? — spytał zdumiony, nic nie rozumiejący.

— Nie pchaj się na ochotnika — odrzekłem — a teraz się oczyść.

Kończymy właśnie szlamowanie rowu, gdy nadszedł pipel od kapa. Sięgam

› chlebak, przekładam bochenek chleba, słoninę i cebulę. Wyciągam cytrynę. ›st z drugiej strony przygląda się milcząco.

— Pipel, chodź tu. Mam. Wiesz dla kogo.

— Dobra, Tadek. Słuchaj, nie masz co do jedzenia? Ale wiesz, coś słod-ego. Albo jajek. Nie, nie, ja nie jestem głodny, jadłem na dworze. Dostałem d pani Haneczki trochę jajecznicy. Morowa kobieta! Tylko chciałaby szystko wiedzieć o Iwanie. Ale wiesz, jak kapo pójdzie na dwór, to mu nic ie dają.

— Niech nie bije ludzi, to mu dadzą.

— Powiedz mu to.

— Od czego jesteś pipel. Nie umiesz organizować. Przypatrz się, jak tu iektórzy gęsi łapią i wieczorem smażą w bloku, a twój kapo zupę je. Smako-vały mu wczorajsze pokrzywy?

Pipel patrzy na mnie badawczo. Jest to młody, ale bardzo sprytny chłopak. Niemiec, był w wojsku, choć ma dopiero szesnaście lat. Szmuglował.

— Tadek, mów od razu, przecie się rozumiemy. Na kogo chcesz mnie na-›uścić?

Wzruszam ramionami.

— Na nikogo. Ale przypatrz się dobrze gęsiom.

— A wiesz, że wczoraj znowu zginęła jedna gęś, a Unterscharführer zbił kapa po pysku i zabrał mu ze złości zegarek? No, idę i popatrzę.

Idziemy razem, bo jest już przerwa na obiad. Gwiżdżą przeraźliwie od strony kotłów i machają rękoma. Jak kto stoi, rzuca narzędzia. Łopaty sterczą na wałach. Z całego pola idą powoli ku kotłom zmęczeni ludzie, chcąc prze-ciągnąć błogą chwilę przedobiednią, głód, który zaraz będą nasycać. Spóź-niona ciągnie za wszystkimi grupa Iwana. Iwan zatrzymał się nad rowem przy „moim" poście i rozmawia z nim długo. Post pokazuje ramieniem. Iwan kiwa głową. Wrzaski i nawoływania przynagliły go do pośpiechu. Przecho-dząc koło mnie, rzuca:

— Zdaje się, że dziś nic nie upolujesz.

— Dzień się jeszcze nie skończył — odparłem.

Rzuca mi z ukosa złośliwe i wyzywające spojrzenie.

V

W pustym inkubatorze pipel rozstawia naczynia, wyciera stołki i nakrywa stół do obiadu. Pisarz komanda, grecki lingwista, kurczy się w kącie, żeby wydać się jak najmniejszym i najbardziej niepozornym. Przez wywalone drzwi widać jego twarz koloru gotowanego raka o oczach wodnistych jak żabi skrzek. Na dworze, na placyku otoczonym naokoło wysokim wałem ziemi, posa-dzono więźniów. Siedli tak, jak stali, po pięciu, szeregami i w grupach. Sie-dzą ze skrzyżowanymi nogami, wyprostowani, ręce opuszczone są do bioder. Podczas wydawania obiadu nie wolno im się ruszyć. Później będą mogli prze-giąć się w tył i położyć się na kolanach towarzysza, ale biada, jeśli złamią

szyk szeregów. Z boku, w cieniu nasypu, niedbale siedzą esmani, maszynowy pistolety położywszy nonszalancko na kolanach, wyciągają z toreb i chlebków chleb, smarują uważnie margaryną, jedzą powoli i odświętnie. Do jednego przysiadł się Rubin, Żyd z Kanady, i cicho z nim rozmawia. Załatwia interes — dla siebie lub dla kapa. Sam kapo, olbrzymi i czerwony, stoi przy kotle.

Biegamy z miskami w ręku niczym najwytrawniejsi kelnerzy. W całkowitym milczeniu podajemy zupę, w całkowitym milczeniu wyrywamy przemocą menażki z rąk, które chcą coś z pustego dna jeszcze wygrzebać, jeszcze przedłużyć chwilę jedzenia, jeszcze raz oblizać miskę, ukradkiem przeciągnąć palcem po dnie. Kapo odskoczył od kotła, wpadł w szeregi: dojrzał. Kopniakiem w twarz obala liżącego miskę, kopie raz i drugi w podbrzusze i odchodzi, depcząc po kolanach i rękach, ale ostrożnie omijając jedzących.

Wszystkie oczy patrzą z wysiłkiem w twarz kapa. Jeszcze dwa kotły: dolewka. Co dzień kapo rozkoszuje się tą chwilą. Za dziesięć lat obozu należy mu się ta pełnia władzy nad ludźmi. Końcem chochli wskazuje, kto zasłuży na dolewkę: nie pomyli się nigdy. Dolewkę dostaje lepiej pracujący, silniejszy, zdrowszy. Chory, osłabiony, wyschły człowiek nie ma prawa do drugiej miski wody z pokrzywą. Nie wolno marnować pokarmu dla ludzi, którzy niedługo pójdą do komina.

Vorarbeiterom należą się z urzędu dwie pełne miski zupy z kartoflami i mięsem, wygrzebanej z dna kotła. Z miską w ręku oglądam się niezdecydowany, czuję na sobie czyjś uporczywy wzrok. W pierwszym rzędzie siedzi Beker, wyłupiaste oczy utkwił pożądliwie w zupie.

— Masz, zjedz, może to ci nareszcie zaszkodzi.

W milczeniu chwyta miskę z rąk i zaczyna łapczywie jeść.

— A miskę postaw koło siebie, żeby pipel pozbierał, bo dostaniesz od kapa w mordę.

Drugą miskę oddaję Andrzejowi. Przyniesie mi za to jabłek. Pracuje w sadzie.

— Rubin, co post mówił — pytam półgłosem, mijając go, aby pójść do cienia.

— Post mówi, że Kijów zajęli — odpowiada cicho.

Zatrzymuję się zdziwiony. Kiwa mi niecierpliwie ręką. Odchodzę w cień, podkładam pod siebie marynarkę, aby nie pobrudzić jedwabnej koszulki, układam się wygodnie do snu. Odpoczywamy jak kogo na to stać.

Kapo poszedł do inkubatora i po zjedzeniu dwóch misek zupy zasnął. Wtedy pipel wyciągnął z kieszeni kawał gotowanego mięsa, pokroił go na chlebie i począł jeść ostentacyjnie na oczach głodnego tłumu, zagryzając mięso cebulą jak jabłkiem. Ludzie porozkładali się w ciasnych szeregach jeden za drugim i zakrywszy głowy marynarkami zapadli w ciężki, niespokojny sen. My leżymy w cieniu. Naprzeciw rozłożyło się komando dziewcząt w białych chusteczkach. Z daleka pokrzykują coś do nas i na migi układają całe historie. Ten i ów kiwa porozumiewawczo. Jedna z dziewcząt klęczy całkiem z boku

a w wyprostowanych nad głową rękach trzyma belkę, wielką i ciężką. Co chwila esman, pilnujący komanda, popuszcza smyczę psa. Pies rwie się do jej twarzy, ujadając wściekle.

— Złodziejka? — domyślam się leniwie.

— Nie. Złapali ją w kukurydzy z Petrem. Petro uciekł — odrzekł Andrzej.

— Wytrzyma pięć minut?

— Wytrzyma. To twarda dziewka.

Nie wytrzymała. Ugięła ręce, rzuciła belkę i upadła na ziemię, głośno zanosząc się płaczem. Andrzej odwrócił się i spojrzał na mnie:

— Nie masz Tadzik papierosa? Szkoda, ot życie!

Po czym owinął głowę w marynarkę, wyciągnął się wygodniej i zasnął.

Układałem się i ja do snu, gdy szarpnął mnie pipel:

— Kapo cię woła. Uważaj, bo zły.

Kapo obudził się, ma czerwone oczy. Przeciera je i patrzy się nieruchomo w przestrzeń.

— Ty — dotknął mi grożąco palcem piersi — dlaczego oddałeś zupę?

— Mam co innego jeść.

— Co on ci dał za to?

— Nic.

Kiwa głową niedowierzająco. Porusza ogromnymi żuchwami jak krowa, żująca pokarm.

— Jutro w ogóle zupy nie dostaniesz. Dostaną ci, co nic innego nie mają do jedzenia. Rozumiesz?

— Dobrze, kapo.

— Dlaczego nie zrobiłeś czterech trag, jak ci kazałem? Zapomniałeś?

— Nie miałem czasu. Kapo widział, co robiłem przed południem.

— Zrobisz je po południu. I uważaj, żebyś sam na nich nie leżał. Ja ci to mogę zrobić.

— Czy mogę już odejść?

Dopiero teraz spojrzał na mnie. Utkwił we mnie martwy, pusty wzrok człowieka, wyrwanego z głębokiego zamyślenia.

— Czego ty tu chcesz? — zapytał.

VI

Spod kasztanów doszedł mnie zadławiony krzyk człowieka. Zbieram klucze i zakrętki, układam tragi jedną na drugiej, rzucam Jankowi:

— Janek, weź skrzynkę — bo się mamusia będzie gniewała — i podchodzę w stronę drogi.

Na ziemi leżał Beker, charczał i pluł krwią, a Iwan kopał go, gdzie popadło: w mordę, w brzuch, w podbrzusze...

— Patrz, co ten chudziaka zrobił! Cały obiad ci wyżarł! Złodziej przeklęty!

Na ziemi leży menażka pani Haneczki z resztką kaszy. Beker jest cały umazany w kaszy.

— Wsadziłem mu ryło do menażki — rzekł ciężko dysząc Iwan. — Dokończ go, bo muszę iść.

— Umyj menażkę — rzekłem do Bekera — i postaw pod drzewem. Uważaj, żeby cię kapo nie złapał. Właśnie zrobiłem cztery nosze. Wiesz, co to znaczy?

Na drodze Andrzej ćwiczy dwóch Żydów. Nie umieli maszerować, kapo połamał im na łbach dwa kije i zapowiedział, że się muszą nauczyć. Andrzej przywiązał im po kiju do nogi i tłumaczy jak może „czortowe wy deti, taj dywyś, ze lewa a ze prawa links, links". Grecy otwierają szeroko oczy i maszerują w koło, ze strachu szurając nogami po ziemi. Ogromny tuman kurzu wzbija się wysoko w górę. Koło rowu, gdzie stoi post, ten od butów, pracują nasi chłopcy, „planują" ziemię, delikatnie ubijając ją i głaszcząc łopatami, jakby była ciastem. Wrzeszczą, gdy idę na przełaj, zostawiając głębokie ślady.

— Tadek, co słychać?

— A nic, Kijów zajęli.

— A czy to prawda?

— Śmieszne pytanie!

Tak drąc się na cały głos omijam ich z boku i idę wzdłuż rowu. Nagle słyszę za sobą wołanie:

— *Halt, halt, du, Warschauer!* — i za chwilę niespodziewanie po polsku: — Stój, stój!

Po drugiej stronie rowu dobiega do mnie pędem „mój post", karabin pochylił jak do szturmu. Jest bardzo podniecony. — Stój, stój!

Stoję. Post przedziera się przez krzaki jeżyn, repetuje karabin.

— Coś ty teraz mówił? o Kijowie? Wy tu plotki polityczne rozpuszczacie! Wy tu tajną organizację macie! Numer, numer, podaj swój numer!

Dygocąc ze złości i wzburzenia wyciąga świstek papieru, długo szuka ołówka. Uczułem, jak ze mnie coś odpływa. Ale trochę ochłonąłem.

— Przepraszam, pan post nie rozumiał. Pan post słabo po polsku rozumie. Ja mówiłem o kijach, które Andrzej przywiązał Żydom na drodze. I że to jest bardzo śmieszne. — „Tak, tak, panie post, właśnie to on mówił" — potwierdza zgodny chór.

Post zamierzył się karabinem, jakby chciał mnie sięgnąć kolbą przez rów.

— Ty jesteś ale zwariowany! Ja jeszcze dzisiaj zamelduję na polityczny! Numer, numer!

— Sto dziewiętnaście, sto dzie...

— Pokaż na ręce.

— Patrz.

Wyciągam ramię z wytatuowanym numerem i jestem pewien, że z daleka nie widzi.

— Chodź bliżej.

— Nie wolno mi. Może post robić meldunek, ale ja nie jestem „biały Wańka".

„Biały Wańka" parę dni temu wlazł na brzozę rosnącą na linii postów, żeby naciąć gałęzi na miotły. Za miotłę można dostać w obozie chleb lub zupę. Post złożył się i strzelił, kula przeszła na ukos przez pierś i wyszła tyłem przez kark. Przynieśliśmy chłopca do obozu. Odchodzę zły, ale tuż za węgłem dogania mnie Rubin.

— Tadek, cóżeś ty zrobił? I co to będzie?

— A co ma być?

— Przecież ty wszystko powiesz, że to ja... Oj, coś ty najlepszego zrobił. Jak można tak głośno krzyczeć? Ty mnie zniszczyć chcesz.

— Czego ty się boisz? U nas nie sypią.

— Ja wiem i ty wiesz, ale *sicher ist sicher*. Pewne jest pewne. Ty, a może dasz te buty dla posta. On się na pewno zgodzi? Nu, ja spróbuję z nim pogadać. Niech mnie to kosztuje. Ja z nim handlowałem.

— A to świetnie, powie się i o tym.

— Tadek, ja czarno widzę przed nami. Ty daj buty, a ja z nim obgadam. To morowy chłop.

— Tylko za długo żyje. Butów nie dam, bo mi szkoda. Ale mam zegarek. Nie chodzi i ma pęknięte szkło, ale od czego ty jesteś. Zresztą daj swój, nic cię nie kosztował.

— Oj, Tadek, Tadek...

Rubin chowa zegarek, słyszę z daleka:

— Kolejarz!

Biegnę na przełaj przez pole. Oczy kapa nabrały złowieszczego wyrazu, a w kącikach ust pojawiła się piana. Ręce, olbrzymie goryle ręce kołyszą się miarowo, a palce nerwowo kurczą się:

— Coś handlował z Rubinem?

— Kapo przecież widział. Kapo wszystko widzi. Dałem mu zegarek.

— Coo? — Ręce powoli poczęły się podnosić ku mojemu gardłu.

Skamieniałem ze strachu. Bez najmniejszego ruchu (to dzikie zwierzę — przemknęło mi w myśli), nie spuszczając z niego oczu wypaliłem jednym tchem:

— Dałem zegarek, bo post chce mi robić meldung na polityczny za to, że prowadzę tajną robotę.

Ręce kapa rozprężyły się zwolna i opadły wzdłuż boków. Szczęka zwisła lekko jak u psa, któremu jest zbyt gorąco. Słuchając opowiadania, niezdecydowanie macha trzonkiem od łopaty.

— Idź do roboty — zdaje się, że ciebie dziś poniosą do obozu.

W tej chwili czyni błyskawiczny ruch, podrywa się na baczność i ściąga czapkę z głowy. Odskakuję, uderzony z tyłu rowerem. Zrywam czapkę. Unterscharführer, gospodarz z Harmenz, zeskakuje z roweru czerwony ze zdenerwowania:

— Co się tu dzieje na tym zwariowanym komandzie? Dlaczego ci ludzie chodzą tam z poprzywiązywanymi kijami? To jest czas pracy!

— Oni nie umieją chodzić!

— Jak nie umieją, to ich zabić! A wie pan, że znowu zginęła gęś?

— Czego stoisz jak głupi pies? — wrzasnął kapo na mnie — Andrej ma zrobić z nimi porządek. *Los!*

Poleciałem ścieżką.

— Andrej, kanczaj ich! Kapo kazał!

Andrzej chwycił kij i uderzył na odlew. Grek zasłonił się ręką, zaskowyczał i upadł. Andrej położył mu kij na gardło, stanął na kiju i zakołysał się.

Odszedłem prędko w swoją stronę.

Z daleka widzę, jak kapo z esmanem idą do mego posta i długo z nim gadają. Kapo gestykuluje gwałtownie trzonkiem łopaty. Czapkę ma nasadzoną na łbie. Gdy odeszli, podszedł do posta Rubin. Post wstał z ławki, zbliżył się nad rów, wreszcie wszedł na groblę. Po chwili Rubin kiwa na mnie.

— Podziękuj panu postowi, że ci nie zrobi meldunku.

Rubin nie ma zegarka na ręku.

Dziękuję i odchodzę w stronę warsztatu. Stary Grek, ten od Iwana, zatrzymuje mnie po drodze.

— *Camerade, camerade,* ten esman to z obozu, prawda?

— Albo co?

— To dziś już naprawdę będzie wybiórka?

I w dziwnej egzaltacji siwy, wysuszony Grek, kupiec z Salonik, odrzuca łopatę i podnosi do góry ręce:

— *Nous sommes les homnes miserables. O Dieu, Dieu!*

Blade, niebieskie oczy patrzą w niebo, które jest tak samo niebieskie i blade.

VII

Podnosimy wagonik. Naładowany do pełna piaskiem wykoleił się na samej „scheibie". Cztery pary wychudłych ramion pchają wóz raz do przodu, raz do tyłu, huśtają. Rozkołysali, podnieśli przednią parę kół, wstawili na szyny. Podkładamy kołek, lora już, już włazi na szyny, gdy nagle puszczamy ją i wyprostowujemy się.

— Zbiórka! — drę się i gwiżdżę z daleka.

Lora bezwładnie opada i kołami zarywa się w ziemię. Ktoś odrzuca niepotrzebny drąg, wysypujemy piasek z lory wprost na „scheibę". I tak się jutro sprzątnie.

Idziemy na „antreten". Dopiero po chwili orientujemy się, że przecież za wcześnie. Słońce stoi jeszcze wysoko. Do czuba drzewa, o które opiera się nosem w porze zbiórki, jest jeszcze kawał drogi. Najwyżej trzecia. Twarze ludzkie są niespokojne i pytające. Stajemy w piątkach, równamy, dociągamy torby i pasy.

Pisarz liczy nas nieustannie.

Od strony dworu idą esmani i te nasze posty. Obstawiają nas wokoło. Stoimy. Na końcu komanda nosze z dwoma trupami.

Na drodze uczynił się większy ruch niż zwykle. Ludzie z Harmenz chodzą tu i tam, zaniepokojeni naszym wczesnym odejściem. Ale dla starych „lagrowców" rzecz jest jasna: w lagrze będzie naprawdę wybiórka.

Parę razy mignęła jasna chusteczka pani Haneczki.

Kobieta zwraca ku nam pytające oczy. Stawia koszyk na ziemi i opiera się o stodołę, patrzy. Idę za jej wzrokiem. Patrzy niespokojnie na Iwana.

Zaraz za esmanami nadszedł kapo i cherlak komandoführer.

— Rozstąpić się i podnieść ręce do góry — rzekł kapo.

Wtedy wszyscy zrozumieli: rewizja. Rozpinamy kurtki, otwieramy torby. Esman jest wprawny i szybki. Przejeżdża rękoma po ciele, sięga do torby. Obok reszty chleba, paru cebul i jakiejś zestarzałej słoniny — jabłka, niewątpliwie z sadu.

— Skąd to masz?

Podnoszę głowę: „mój" post.

— Z paczki, panie post.

Przez chwilę patrzy mi ironicznie w oczy.

— Te same jabłka jadłem dzisiaj po obiedzie.

Wypaproszają z kieszeni kawały słoneczników, kaczany kukurydzy, ziele, szczaw, jabłka, raz po raz podrywa się krótki, ludzki wrzask: biją.

Nagle Unterscharführer wszedł w sam środek szeregu i wyciągnął na bok starego Greka z dużą, wypchaną torbą.

— Otwórz — rzekł krótko.

Trzęsącymi się rękoma Grek otworzył torbę. Unterscharführer zajrzał do środka i zawołał kapa:

— Patrz kapo, nasza gęś.

I wyciągnął z torby gęś o olbrzymich, rozłożystych skrzydłach.

Pipel, który też podbiegł do worka, krzyknął tryumfująco do kapa:

— Jest, jest, a nie mówiłem!

Kapo zamachnął się kijem.

— Nie bij — rzekł, wstrzymując mu rękę, esman.

Wyciągnął z pochwy rewolwer i zwrócił się wprost do Greka, wymownie gestykulując bronią:

— Skąd to masz? Jak nie odpowiesz, to cię zastrzelę. — Grek milczał. Esman podniósł pistolet. Spojrzałem na Iwana. Był zupełnie blady. Spojrzenia nasze spotkały się. Zacisnął usta i wystąpił z szeregu. Podszedł do esmana, zdjął czapkę i rzekł:

— To ja mu dałem.

Wszystkie spojrzenia zawisły na Iwanie. Unterscharführer wolno podniósł pejcz i ciął go po twarzy raz, drugi, trzeci. Potem zaczął bić po głowie. Pejcz świszczał, twarz więźnia pokrywa się krwawymi pręgami, ale Iwan nie padał. Stał z czapką w ręce, wyprostowany, z rękoma wzdłuż bioder. Nie uchylał głowy, chwiał się tylko całym ciałem.

Unterscharführer opuścił rękę.

— Zapisać numer i złożyć meldunek. Komando — odmarsz.

Odchodzimy równym, wojskowym krokiem. Zostaje za nami kupa słoneczników, kępy ziela, szmaty i torby, pogniecione jabłka, a za tym wszystkim leży wielka gęś o czerwonym łbie i rozłożystych białych skrzydłach. Na końcu komanda idzie Iwan, nie podtrzymywany przez nikogo. Za nim na noszach niosą dwa trupy, przykryte gałęźmi.

Gdy przechodziliśmy koło pani Haneczki, zwróciłem głowę w jej stronę. Stała blada i wyprostowana z rękoma przyciśniętymi do piersi. Wargi jej drżały nerwowo. Podniosła wzrok i spojrzała na mnie. Wtedy zobaczyłem, że jej duże, czarne oczy pełne były łez.

Po apelu wpędzili nas na blok. Leżymy na pryczy, wyglądamy przez szpary i czekamy na koniec wybiórki.

— Czuję się, jakbym zawinił w tej całej wybiórce. Ten dziwny fatalizm słów. W tym przeklętym Oświęcimiu nawet złe słowo ma moc stawania się.

— Nie przejmuj się — odrzekł Kazik — daj lepiej coś do tego pasztetu.

— Pomidorów nie masz?

— Nie co dzień świętego Jana.

Odsunąłem przygotowane kanapki.

— Nie mogę jeść.

Na dworze kończą wybiórkę. Lekarz-esman, zabrawszy liczbę i numery zapisanych, odchodzi do następnego bloku. Kazik zabiera się do odejścia.

— Idę kupić papierosów. Ale wiesz, Tadek, jesteś frajer, bo jakby mi kto kaszę wyjadł, to bym go zbił na marmoladę.

W tej chwili na krawędzi buksy wylazła z dołu jakaś siwa, ogromna czaszka i spojrzały na nas zażenowane, mrugające oczy. Potem ukazała się twarz Bekera, zmięta i jeszcze bardziej postarzała.

— Tadek, ja mam do ciebie prośbę.

— Gadaj — rzekłem, przechylając się ku niemu.

— Tadek, idę do komina.

Pochyliłem się jeszcze niżej i zajrzałem mu z bliska w oczy: ale nie były spokojne i puste.

— Tadek, ale ja byłem tyle czasu taki głodny. Daj mi co zjeść. Na ten ostatni wieczór.

Kazik uderzył mnie dłonią po kolanie.

— Znasz tego Żyda?

— To Beker — odrzekłem cicho.

— Te, Żyd, właź tu na buksę i zażeraj. Jak się nażresz, to resztę zabierz ze sobą do komina. Właź na buksę. Ja tu nie śpię, to możesz mieć wszy.

— Tadek — chwycił mnie za ramię — chodź. Mam na bloku świetną szarlotkę, wprost od mamy.

Złażąc z buksy, trąca mnie ramieniem.

— Patrz — mówi szeptem.

Spojrzałem na Bekera. Miał przymknięte powieki i jak ślepiec próżno szukał dłonią deski, żeby wleźć na górę.

TRANSPORT SOSNOWIEC—BĘDZIN

Cały obóz chodził nago. Wprawdzie przeszliśmy już odwszenie i ubrania dostaliśmy z powrotem z basenów, napełnionych rozpuszczonym w wodzie cyklonem, który znakomicie truł wszy w ubraniach i ludzi w komorze gazowej, i tylko bloki, odgrodzone od nas hiszpańskimi kozłami, nie „wyfasowały" jeszcze ubrań, to jednak i ci i tamci chodzili nago: upał był okropny. Obóz ściśle zamknięto. Żaden więzień, żadna wesz nie śmie się przedostać przez jego bramę. Ustała praca komand. Cały dzień tysiące nagich ludzi przewalało się po drogach i placach apelowych, leżakowało pod ścianami i na dachach. Spano na deskach, gdyż sienniki i koce były w dezynfekcji. Z ostatnich bloków widać było FKL — tam też odwszawiali. Dwadzieścia osiem tysięcy kobiet rozebrano i wypędzono z bloków — właśnie kotłują się na „wizach", drogach i placach.

Od rana czeka się na obiad, je się paczki, odwiedza się przyjaciół. Godziny płyną wolno, jak to w upale. Nawet zwykłej rozrywki nie ma: szerokie drogi do krematoriów stoją puste. Od paru dni nie ma już transportów. Część *Kanady* zlikwidowano i przydzielono na komando. Trafili na jedno z najcięższych, na Harmenze, jako że byli wypasieni i wypoczęci. W obozie bowiem panuje zawistna sprawiedliwość: gdy możny upadnie, przyjaciele starają się, by upadł jak najniżej. A *Kanada,* nasza *Kanada,* nie pachnie wprawdzie jak fiedlerowska żywicą, tylko francuskimi perfumami, lecz chyba nie rośnie tyle wysokich sosen w tamtej, ile ta ma ukrytych brylantów i monet, zebranych z całej Europy.

Właśnie siedzimy w kilku na buksie, beztrosko machając nogami. Rozkładamy biały, przemyślnie wypieczony chleb, kruchy, rozsypujący się, drażniący trochę w smaku, ale za to nie pleśniejący tygodniami. Chleb, przysłany aż z Warszawy. Jeszcze tydzień temu miała go w rękach moja matka. Miły Boże, miły Boże...

Wyciągamy boczek, cebulę, otwieramy puszkę skondensowanego mleka. Henri, wielki i ociekający potem, marzy głośno o francuskim winie przywożonym przez transporty ze Strassburga, spod Paryża, z Marsylii...

— Słuchaj, *mon ami,* jak pójdziemy znów na rampę, przyniosę ci oryginalnego szampana. Pewnie nigdy nie piłeś, nieprawda?

— Nie. Ale przez bramę nie przeniesiesz, więc nie bujaj. Zorganizuj lepiej buty, wiesz, takie dziurkowane z podwójną podeszwą. A o koszulce już nie mówię, dawno mi obiecałeś.

— Cierpliwości, cierpliwości, jak przyjdą transporty, przyniosę ci wszystko. Znów pójdziemy na rampę.

— A może już nie będzie transportów do komina? — rzuciłem złośliwie. — Widzisz jak zelżało na lagrze, nieograniczona ilość paczek, bić nie wolno. Pisaliście przecież listy do domu... Rozmaicie mówią o rozporządzeniach, sam przecież gadasz. Zresztą, do cholery, ludzi zabraknie.

— Nie gadałbyś głupstw — usta otyłego, o uduchowionej jak z miniatur Coswaya twarzy marsylczyka (jest moim przyjacielem, ale imienia jego nie znam) zapchane są kanapką z sardynkami — nie gadałbyś głupstw — powtórzył, przełykając z wysiłkiem („poszło, cholera!") — nie gadałbyś głupstw, ludzi nie może zabraknąć, bobyśmy pozdychali w lagrze. Wszyscy żyjemy z tego, co oni przywiozą.

— Wszyscy, nie wszyscy. Mamy paczki...

— To masz ty i twój kolega i dziesięciu twoich kolegów, macie wy Polacy i to nie wszyscy. Ale my, żydki, ale ruskie? I co, gdybyśmy nie mieli co jeść, *organisation* z transportów, to byście tam te swoje paczki tak spokojnie jedli? Nie dalibyśmy wam.

— Dalibyście, albobyście zdychali z głodu, jak Grecy. Kto ma żarcie w obozie, ten ma siłę.

— Wy macie i my mamy, o co się sprzeczać?

Pewnie, nie ma o co się sprzeczać. Wy macie i ja mam, jemy wspólnie, śpimy na jednej buksie. Henri kroi chleb, robi sałatkę z pomidorów. Świetnie smakuje z kantynową musztardą.

W bloku, pod nami, kotłują się ludzie, nadzy, ociekający potem. Między buksami w przejściu, wzdłuż ogromnego, inteligentnie zbudowanego pieca, między ulepszeniami, które stajnię końską (na drzwiach wisi jeszcze tabliczka, że *versuchte Pferde*, zarażone konie, należy odstawiać tam a tam), przemieniają w miły *(gemütlich)* dom dla ponad pół tysiąca ludzi. Gnieżdżą się na dolnych pryczach po ośmiu, dziewięciu, leżą nadzy, kościści, cuchnący potem i wydzielinami, o zapadniętych głęboko policzkach. Pode mną, na samym dole — rabin: nakrył głowę kawałkiem szmaty odartej z koca i czyta z modlitewnika hebrajskiego (tej lektury tu jest...), zawodząc głośno i monotonnie.

— Może by się tak zdało go uspokoić? Drze się jakby Boga za nogi złapał.

— Nie chce mi się z buksy złazić. Niech się drze, prędzej do komina pójdzie.

— Religia jest opium dla narodu. Bardzo lubię palić opium — dodaje z lewej sentencjonalnie marsylczyk, który jest komunistą i rentierem. — Gdyby oni nie wierzyli w Boga i w życie pozagrobowe, już by dawno rozwalili krematoria.

— A dlaczego wy tego nie zrobicie?

Pytanie ma sens metaforyczny, lecz marsylczyk odpowiada:

— Idiota — zapycha usta pomidorem i czyni ruch jakby chciał coś powiedzieć, ale zjada i milczy. Kończyliśmy właśnie wyżerkę, gdy u drzwi bloku uczynił się większy ruch, odskoczyli *muzułmanie* i rzucili się uciekając między buksy, do budy blokowego wleciał goniec. Za chwilę majestatycznie wyszedł blokowy.

— *Kanada! Antreten!* Ale szybko! Transport przychodzi!

— Wielki Boże! — wrzasnął Henri, zeskakując z buksy.

Marsylczyk zadławił się pomidorem, chwycił marynarkę, wrzasnął *raus* do siedzących na dole i już byli we drzwiach. Zakotłowało się na innych bukach. *Kanada* odchodziła na rampę.

— Henri, buty! — krzyknąłem na pożegnanie.

— *Keine Angst!* — odkrzyknął mi już z nadworu.

Opakowałem żarcie, owiązałem sznurami walizę, w której cebula i pomidory z ojcowskiego ogródka w Warszawie leżała obok portugalskich sardynek, a boczek z lubelskiego „Bamtilu" (to od brata) mieszał się z najautentyczniejszymi bakaliami z Salonik. Owiązałem, naciągnąłem spodnie, zlazłem z buksy.

— *Platz!* — wrzasnąłem, przeciskając się między Grekami. Odsuwali się na bok. W drzwiach natknąłem się na Henri'ego.

— *Allez, allez, vite, vite!*

— *Was ist los?*

— Chcesz iść z nami na rampę?

— Mogę pójść.

— To jazda, bierz marynarkę! Brakuje paru ludzi, rozmawiałem z kapem — i wypchnął mnie z bloku.

Stanęliśmy w szeregu, ktoś spisał nam numery, ktoś od czoła wrzasnął „marsz, marsz" i pobiegliśmy pod bramę, odprowadzani okrzykami różnojęzycznego tłumu, który już zapędzano bykowcami do bloków. Nie każdy może iść na rampę... Już żegnano ludzi, już jesteśmy pod bramą. — *Links, zwo, drei, vier! Mützen ab!* — Wyprostowani, z rękami sztywno przyłożonymi do bioder, przechodzimy przez bramę raźno, sprężyście, nieomal z gracją. Zaspany esman, z wielką tabliczką w ręku, liczy ospale, oddzielając w powietrzu palcem każdą piątkę.

— *Hundert!* — krzyknął, gdy minęła go ostatnia.

— *Stimmt!* — odkrzyknięto ochryple od czoła.

Maszerujemy szybko, prawie biegiem. Postów dużo, młodzi z automatami. Mijamy wszystkie odcinki obozu IIB: niezamieszkały lager c, czeski, kwarantanna, zagłębiamy się między grusze i jabłonie *Truppenlazarettu;* wśród nieznajomej, jakby z księżyca zieleni, dziwnie w tym kilkudniowym słońcu wybujałej, omijamy łukiem jakieś baraki, przechodzimy linie wielkiej postenketty, biegiem wpadamy na szosę — jesteśmy na miejscu. Jeszcze kilkadziesiąt metrów — wśród drzew rampa.

Była to sielankowa rampa, jak zwykle na zagubionych, prowincjonalnych stacjach. Placyk, obramowany zielenią wysokich drzew, wysypany był żwi-

rem. Z boku, przy drodze, kucnął maleńki, drewniany baraczek, brzydszy i tandetniejszy od najbrzydszej i najtandetniejszej budy stacyjnej, dalej leżały wielkie stosy szyn, podkłady kolejowe, zwały desek, części baraków, cegły, kamienie, kręgi studzienne. To stąd ładują towar na Birkenau: materiał do rozbudowy obozu i ludzi do gazu. Zwykły dzień roboczy: zajeżdżają samochody, biorą deski, cement, ludzi...

Rozstawiają się posty na szynach, na belkach, pod zielonym cieniem śląskich kasztanów, ścisłym kołem otaczają rampę. Ocierają pot z czoła, piją z manierek. Upał ogromny, słońce stoi nieruchomo na zenicie. — Rozejść się. — Siadamy w skrawkach cienia pod szynami. Głodni Grecy (zaplątało się ich paru, diabli wiedzą jakim sposobem) myszkują wśród szyn, ktoś znajduje puszkę konserw, spleśniałe bułki, niedojedzone sardynki. Jedzą.

— *Schweinedreck* — spluwa na nich młody, wysoki post, o bujnych, płowych włosach i niebieskim marzącym spojrzeniu — przecież zaraz będziecie mieli tyle do żarcia, że nie przeżrecie. Odechce się wam na długo. — Poprawił automat, otarł twarz chustką.

— To bydło — potwierdzamy zgodnie.

— Te, gruby — but posta dotyka lekko karku Henri'ego — *Pass mal auf*, chce ci się pić?

— Chce, ale nie mam marek — odpowiada fachowo Francuz.

— *Schade*, szkoda.

— Ależ *Herr Posten*, czy moje słowo nic już nie znaczy? Nie handlował *Herr Posten* ze mną? *Wieviel?*

— Sto. *Gemacht?*

— *Gemacht.* — Pijemy wodę, mdła i bez smaku, na konto pieniędzy i ludzi, których jeszcze nie ma.

— Te, uważaj — mówi Francuz, odrzucając pustą butelkę, aż pryska gdzieś dalej na szynach — forsy nie bierz, bo może być rewizja. Zresztą na cholerę ci forsa, i tak masz co jeść. Ubrania też nie bierz, bo to jest podejrzenie o ucieczkę. Koszulę bierz, ale tylko jedwabną i z kołnierzykiem. Pod spód gimnastyczna. A jak znajdziesz coś do picia, to mnie nie wołaj. Dam sobie rady i uważaj, żebyś nie oberwał.

— Biją?

— Rzecz normalna. Trzeba mieć oczy w plecach. *Arschaugen.*

Wokół nas siedzą Grecy, ruszają łapczywie żuchwami, jak wielkie nieludzkie owady, żrą łakomie zbutwiałe grudy chleba. Są zaaferowani, nie wiedzą, co będą robić. Niepokoją ich belki i szyny. Nie lubią dźwigania.

— *Was wir arbeiten?* — pytają.

— *Niks. Transport kommen, alles Krematorium, compris?*

— *Alles verstehen* — odpowiadają w krematoryjnym esperanto. Uspokajają się: nie będą ładować szyn na auta ani nosić belek.

Tymczasem na rampie robiło się coraz gwarniej i tłoczniej. Vorarbeiterzy dzielili sobie grupy, przeznaczając jednych do otwierania i rozładowywania wagonów, które przyjść mają, innych pod drewniane schodki i wyjaśniają

n celowe działanie. Były to przenośne, wygodne, szerokie schodki, jakby ejście na trybunę. Podjeżdżały pod nie auta, ludzie mieli wsiadać... Zaeżdżały z warkotem motocykle, wioząc obsypanych srebrem odznak podofierów SS, tęgich, spasionych mężczyzn, o wypolerowanych, oficerskich butach i błyszczących, chamskich twarzach. Niektórzy przyjechali z teczkami, ni mieli giętkie, trzcinowe kije. Nadawało im to służbowy i sprężysty wygląd. Wchodzili do kantyny, bo ów mizerny barak był ich kantyną, gdzie atem pili wodę mineralną — *Sudetenquelle*, a zimą ogrzewali się gorącym vinem, witali się państwowo wyciągniętym po rzymsku ramieniem, a potem ordialnie potrząsali prawice, uśmiechali się serdecznie do siebie, rozmawiali listach, o wiadomościach z domu, o dzieciach, pokazywali sobie fotografie. Niektórzy dostojnie przechadzali się po placu, żwir chrzęścił, buty chrzęściły, rebrne kwadraty błyszczały na kołnierzach, a bambusowe laseczki świstały niecierpliwie.

Różnopasiasty tłum leżał pod szynami w wąskich pasach cienia, oddychał ciężko i nierówno, gadał po swojemu leniwie i obojętnie patrzył na majestatycznych ludzi w zielonych mundurach, na zieleń drzew, bliską i nieosiągalną, na wieże dalekiego kościółka, z której dzwoniono właśnie na spóźniony „Anioł Pański".

— Transport idzie — rzekł któryś i wszyscy unieśli się w oczekiwaniu. Zza zakrętu wychodziły towarowe wagony: pociąg pchał się tyłem, kolejarz stojący na breku wychylił się, zamachał ręką, gwizdnął. Lokomotywa przeraźliwie odgwizdnęła, sapnęła, pociąg potoczył się wolno wzdłuż stacji. W małych zakratowanych okienkach widać było twarze ludzkie blade, zmięte, jakby niewyspane, rozczochrane — przerażone kobiety, mężczyzn, którzy — rzecz egzotyczna — mieli włosy. Mijali powoli, przyglądali się stacji w milczeniu. Wtedy wewnątrz wagonów zaczęło się coś kotłować i dudnić w drewniane ściany.

— Wody! Powietrza! — zerwały się głuche, rozpaczliwe okrzyki.

Z okien wychylały się twarze ludzkie, usta chwytały rozpaczliwie powietrze. Zaczerpnąwszy kilka łyków powietrza ludzie z okien nikli, na ich miejsce wdzierali się inni i tak samo znikali. Krzyki i rzężenia stawały się coraz głośniejsze.

Człowiek w zielonym mundurze, bardziej niż inni obsypany srebrem, skrzywił usta z niesmakiem. Zaciągnął się mocno papierosem, odrzucił go nagłym ruchem, przełożył teczkę z prawej do lewej i skinął na posta. Ten powoli ściągnął automat z ramienia, złożył się i przeciągnął serią po wagonach. Ucichło. Tymczasem podjeżdżały ciężarówki, podstawiano pod nie stołki, rozstawiano się fachowo przy wagonach. Olbrzym z teczką skinął ręką.

— Kto weźmie złoto albo cokolwiek innego nie do jedzenia, będzie rozstrzelany, jako złodziej własności Rzeszy. Zrozumiano? *Verstanden?*

— *Jawohl!* — wrzaśnięto nierówno i indywidualnie, aczkolwiek z dobrą wolą.

— *Also loos!* Do pracy!

Szczęknęły rygle, wagony otwarto. Fala świeżego powietrza wdarła się do środka, uderzając ludzi jakby czadem. Niezmiernie zbici, przytłoczeni potworną ilością bagażu, waliz, walizek, walizeczek, plecaków, tłumoków wszelkiego rodzaju (wieźli bowiem to wszystko, co stanowiło ich dawne życie a miało rozpocząć przyszłe), gnieździli się w strasznej ciasnocie, mdleli od upału, dusili się i dusili innych. Teraz skupili się przy otwartych drzwiach, dysząc jak ryby wyrzucone na piasek.

— Uwaga: Wysiadać z rzeczami. Zabierać wszystko. Wszystkie te swoje klamoty składać koło wagonu na kupę. Palta oddawać. Jest lato. Maszerować na lewo. Zrozumiano?

— Panie, co z nami będzie? — zeskakują już na żwir, niespokojni, roztrzęsieni.

— Skąd jesteście?

— Sosnowiec, Będzin. Panie, co to będzie? — uparcie powtarzają pytania, wpatrując się żarliwie w cudze zmęczone oczy.

— Nie wiem, nie rozumiem po polsku.

Jest prawo obozu, że ludzi idących na śmierć oszukuje się do ostatniej chwili. Jest to jedyna dopuszczalna forma litości. Upał ogromny. Słońce osiągnęło zenit, rozpalone niebo dygoce, powietrze faluje, wiatr, który chwilami przewiewa przez nas, to rozparzone, ciekłe powietrze. Wargi już są popękane, czuje się w ustach słony smak krwi. Od długiego leżenia na słońcu ciało jest słabe i oporne. Pić, och, pić.

Wylewa się z wagonu różnobarwna fala, objuczona, podobna do ogłupiałej, ślepej rzeki, która szuka nowego koryta. Ale zanim oprzytomnieją, uderzeni świeżym powietrzem i zapachem zieleni, już im pakunki wyrywa się z rąk, ściąga się palta, kobietom wyrywa się torebki, odbiera parasole.

— Panie, panie, ale to od słońca, ja nie mogę...

— *Verboten* — szczęka się przez zęby, sycząc głośno.

Za plecami stoi esman, spokojny, opanowany, fachowy.

— *Meine Herrschaften*, moi państwo, nie rozrzucajcie tak rzeczy. Trzeba okazać trochę dobrej woli. — Mówi dobrotliwie, a cienka trzcina gnie mu się nerwowo w rękach.

— Tak jest, tak jest — odpowiadają wielogłośnie przechodząc i raźniej idą wzdłuż wagonów. Jakaś kobieta schyla się szybko podnosząc torebkę. Świsnęła trzcina, kobieta krzyknęła, potknęła się i upadła pod nogi tłumu. Dziecko biegnące za nią pisnęło „mamełe" — taka mała, rozczochrana dziewczynka...

Rośnie kupa rzeczy, walizek, tłumoków, plecaków, pledów, ubrań, torebek, które padając otwierają się i wysypują barwne, tęczowe banknoty, złoto, zegarki; przed drzwiami wagonów piętrzą się stosy chleba, gromadzą się słoiki różnobarwnych marmolad, powideł, pęcznieją zwały szynek, kiełbasy, rozsypuje się po żwirze cukier. Zapchane ludźmi auta odjeżdżają z piekielnym warkotem, wśród zawodzenia i wrzasku kobiet opłakujących dzieci i ogłupiałego milczenia nagle osamotnionych mężczyzn. To ci, co poszli na prawo —

młodzi i zdrowi — ci pójdą na lager. Gaz ich nie minie, ale wpierw będą pracować.

Auta odjeżdżają i wracają, bez odpoczynku, jak na potwornej taśmie. Bez przerwy jeździ karetka czerwonego krzyża. Olbrzymi krwawy krzyż wymalowany na masce motoru roztapia się w słońcu. Niezmordowanie jeździ karetka czerwonego krzyża: to właśnie w niej wozi się gaz, gaz, którym trują tych ludzi.

Ci z *Kanady*, którzy są przy schodkach, nie mają chwili wytchnienia, oddzielają tych od gazu od tych, co idą na lager, wpychają pierwszych na schody, ubijają na aucie, na każde sześćdziesięciu, tak plus-minus.

Z boku stoi młody, gładko wygolony pan, esman z notatnikiem w ręku; każde auto to kreska, jak odjedzie szesnaście aut, to jest tysiąc, tak plus-minus. Pan jest zrównoważony i dokładny. Nie odjedzie auto bez jego wiedzy i jego kreski: *Ordnung muss sein.* Kreski pęcznieją w tysiące, tysiące w całe transporty, o których mówi się krótko „z Salonik", „ze Strassburga", „z Rotterdamu". O tym będzie się już dziś mówiło „Będzin". Ale na stałe uzyska nazwę „Będzin-Sosnowiec". Ci, którzy pójdą z tego transportu na lager, dostaną numery „131-132". Rozumie się tysięcy, lecz w skrócie będzie się mówiło właśnie tak „131-132".

Transporty rosną w tygodnie, miesiące, lata. Gdy skończy się wojna, będą liczyć spalonych. Naliczą cztery i pół miliona. Najkrwawsza bitwa wojny, największe zwycięstwo solidarnych i zjednoczonych Niemiec. *Ein Reich, ein Volk, ein Führer* — i cztery krematoria. Ale krematoriów będzie w Oświęcimiu szesnaście, zdolnych spalić pięćdziesiąt tysięcy dziennie. Obóz rozbuduje się, aż się oprze naelektryzowanym drutem o Wisłę, zamieszka go trzysta tysięcy ludzi w pasiakach, będzie się zwał *Verbrecher-Stadt*, „miasto przestępców". Nie, ludzi nie zabraknie. Spalą się Żydzi, spalą się Polacy, spalą się Rosjanie, przyjdą ludzie z zachodu i południa, z kontynentu i wysp. Przyjdą ludzie w pasiakach, odbudują zburzone miasta niemieckie, zaorzą odłogiem leżącą ziemię, a gdy osłabną w bezlitosnej pracy, w wiecznym *Bewegung, Bewegung*, otworzą się drzwi gazowych komór. Komory będą ulepszone, oszczędniejsze, sprytniej zamaskowane. Będą jak te w Dreźnie, o których już chodzą legendy.

Już się opróżniły wagony. Chudy, ospowaty esman spokojnie zagląda do środka, kiwa głową z niesmakiem, ogarnia nas spojrzeniem i wskazuje wnętrze.

— *Rein.* Oczyścić!

Wskakuje się do środka. Porozrzucane po kątach wśród kału ludzkiego i pogubionych zegarków leżą poduszone, podeptane niemowlęta, nagie potworki o ogromnych głowach i wydętych brzuchach. Wynosi się je jak kurczaki, trzymając po parę w jednej garści.

— Nie nieś ich na auto. Oddaj kobietom — mówi zapalając papierosa esman. Zapalniczka mu się zacięła, jest nią bardzo zaaferowany.

— Bierzcie te niemowlęta, na litość Boską — wybucham, bo kobiety z przerażeniem uciekają ode mnie, wtulając głowy w ramiona.

Dziwnie niepotrzebnie pada imię Boga, bo kobiety z dziećmi idą na auto,

wszystkie, nie ma wyjątku. Wiemy wszyscy dobrze, co to znaczy i patrzymy na siebie z nienawiścią i przerażeniem.

— Co, brać nie chcecie? — powiedział jakby ze zdziwieniem i wyrzutem ospowaty esman i począł odpinać rewolwer.

— Nie trzeba strzelać, ja wezmę.

Siwa, wysoka pani wzięła ode mnie niemowlęta i przez chwilę patrzyła mi prosto w oczy.

— Dziecko, dziecko — szepnęła uśmiechając się. Odeszła, potykając się na żwirze.

Oparłem się o ścianę wagonu. Byłem bardzo zmęczony. Ktoś szarpie mnie za rękę.

— Chodź, dam ci się napić. Wyglądasz jakbyś miał rzygać. *En avant*, pod szyny, chodź!

Patrzę, twarz ta skacze mi przed oczyma, rozpływa się, miesza się, olbrzymia, przeźroczysta, z drzewami, nieruchomymi, nie wiadomo dlaczego czarnymi, z przelewającym się tłumem... Mrugam ostro powiekami: Henri.

— Słuchaj, Henri, czy my jesteśmy ludzie dobrzy?

— Czemu się głupio pytasz?

— Widzisz, przyjacielu, wzbiera we mnie zupełnie niezrozumiała złość na tych ludzi, że przez nich muszę tu być. Nie współczuję im wcale, że idą do gazu. Żeby się ziemia pod nimi wszystkimi rozstąpiła. Rzuciłbym się na nich z pięściami. Przecież to jest patologiczne chyba, nie mogę zrozumieć.

— Och, wprost przeciwnie, to normalne, przewidziane i obliczone. Męczy cię rampa, buntujesz się, a złość najłatwiej wyładować na słabszym. Pożądane jest nawet, abyś ją wyładował. To tak na chłopski rozum, *compris?* — mówi nieco ironicznie Francuz, wygodnie układając się pod szynami. — Patrz na Greków, ci umieją korzystać! Żrą wszystko, co im pod rękę wlizie; przy mnie zjadł jeden słoik marmolady.

— Bydło. Jutro połowa z nich zdechnie na sraczkę.

— Bydło? Ty też byłeś głodny.

— Bydło — powtarzam zawzięcie. — Zamykam oczy, słyszę krzyki, czuję drżenie ziemi i parne powietrze na powiekach. W gardle zupełnie sucho.

Ludzie płyną i płyną, auta warczą jak rozjuszone psy. W oczach przesuwają się trupy wynoszone z wagonów, zdeptane dzieci, kaleki poukładane razem z trupami, i tłum, tłum, tłum... Wagony podtaczają się, stosy łachów, waliz i plecaków rosną, ludzie wychodzą, przyglądają się słońcu, oddychają, żebrzą o wodę, wchodzą na auta, odjeżdżają. Znów podchodzą wagony, znów ludzie... Czuję, jak obrazy mieszają się we mnie, nie wiem czy to się naprawdę dzieje, czy mi się śni. Widzę nagle jakąś zieleń drzew, które kołyszą się wraz z całą ulicą, z barwnym tłumem, ale — to Aleje! Szumi mi w głowie, czuję, że będę wymiotował.

Henri szarpie mnie za ramię.

— Nie śpij, idziemy ładować klamoty.

Już nie ma ludzi. Ostatnie auta suną daleko po szosie wzniecając olbrzymie tumany kurzu, pociąg odjechał, po opustoszałej rampie chodzą dostojnie esmani, świecąc srebrem na kołnierzach. Połyskują glansem buty, błyszczą czerwono nalane twarze. Wśród nich kobieta, teraz dopiero uświadamiam sobie że była tu cały czas, wysuszona, bezpierśna, koścista. Rzadkie, bezbarwne włosy gładko przyczesała w tył i związała w „nordycki" węzeł, ręce wsunęła w szerokie spodnie-spódnicę. Chodzi z kąta w kąt rampy z przylepionym na wyschłe wargi szczurzym, zawziętym uśmiechem. Nienawidzi urody kobiecej nienawiścią kobiety obrzydliwej i zdającej sobie z tego sprawę. Tak, już ją nieraz widziałem i dobrze zapamiętałem: to komendantka FKL'u, przyszła oglądać swój nabytek, bo część kobiet odstawiono od aut i te pójdą piechotą — „na lager". Nasi chłopcy, fryzjerzy z Sauny, pozbawiają je całkowicie włosów i będą mieli wiele uciechy z ich wolnościowego wstydu.

Ładujemy więc klamoty. Dźwigamy ciężkie walizy, pakowne, zasobne, rzucamy je z wysiłkiem na auto. Tam układa się je w stosy, ubija się, upycha, rżnie co się da nożem — dla przyjemności i w poszukiwaniu wódki i perfum, które wylewa się wprost na siebie. Jedna z waliz otwiera się, wypadają ubrania, koszule, książki... Chwytam jakieś zawiniątko: ciężkie, rozwijam: złoto, dwie dobre garście: koperty, bransolety, pierścionki, kolie, brylanty...

— *Gib her* — spokojnie mówi esman, nadstawiając otwartą teczkę, pełną złota i barwnej, obcej waluty. Zamyka ją, oddaje oficerowi, bierze inną pustą i czatuje przy innym samochodzie. To złoto pójdzie do Rzeszy. Upał, ogromny upał. Powietrze stoi nieruchomym, rozżarzonym słupem. Gardła są suche, każde wymówione słowo wywołuje ból. Och, pić. Gorączkowo, byle prędzej, byle do cienia, byle odpocząć. Kończymy ładować, ostatnie auta odjeżdżają, zbieramy skrzętnie znad toru wszelkie papierki, wygrzebujemy spomiędzy drobnego żwiru nietutejszy, transportowy brud, „żeby śladu po tym obrzydliwstwie nie zostało", i w chwili, gdy ostatnia ciężarówka znika za drzewami a my idziemy — nareszcie! — w stronę szyn odpocząć i napić się (może Francuz kupi znów od posta?) — zza zakrętu słychać gwizdek kolejarza. Powoli, niezmiernie powoli wytaczają się wagony, przeraźliwie odgwizduje lokomotywa, z okien patrzą twarze wymięte i blade, płaskie, jakby wycięte z papieru, o ogromnych, płonących gorączką oczach. Już są auta, już jest spokojny pan z notatnikiem, już z kantyny wyszli esmani z teczkami na złoto i pieniądze. Otwieramy wagony.

Nie, już nie można nad sobą panować. Wyrywa się ludziom brutalnie walizki z rąk, szarpiąc ściąga się palta. Idźcie, idźcie, przemińcie. Idą, przemijają. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Niektórzy z nich wiedzą.

Oto idzie szybko kobieta, śpieszy się nieznacznie, ale gorączkowo. Małe, kilkuletnie dziecko, o zarumienionej, pyzatej twarzy cherubinka biegnie za nią, nie może nadążyć, wyciąga rączki z płaczem — „Mamo, mamo!"

— Kobieto, weźże to dziecko na ręce!

— Panie, panie, to nie moje dziecko, to nie moje! — krzyczy histerycznie kobieta i ucieka zakrywając rękoma twarz. Chce skryć się, chce zdążyć między

tamte, które nie pojadą autem, które pójdą pieszo, które będą żyć. Jest młoda, zdrowa, ładna, chce żyć.

Ale dziecko biegnie za nią, skarżąc się na cały głos:

— Mamo, mamo, nie uciekaj!

— To nie moje, nie moje, nie...!

Aż dopadł ją Andrej, marynarz z Sewastopola. Oczy miał mętne od wódki i upału. Dopadł ją, zbił z nóg jednym, zamaszystym uderzeniem ramienia, padającą chwycił dłonią za włosy i dźwignął z powrotem do góry. Twarz miał wykrzywioną wściekłością.

— Ach, ty, *jebit twoju mat', blat' jewrejskaja!* To ty od swego dziecka uciekasz! Ja tobi dam, ty kurwo! — Chwycił ją wpół, zadławił łapą gardło, które chciało krzyczeć, i wrzucił ją z rozmachem jak ciężki wór zboża na auto.

— Masz! Weź i to sobie! Suko! — i cisnął jej dziecko pod nogi.

— *Gut gemacht,* tak należy karać wyrodne matki — rzekł esman, stojący przy samochodzie. — *Gut, gut* Ruski.

— *Małczy!* — warknął przez zęby Andrej i odszedł od wagonów. Spod kupy szmat wyciągnął ukrytą manierkę, odkręcił, przytknął do ust sobie, potem mnie. Parzy gardło: spirytus. Głowa szumi, nogi uginają się, zbiera się na torsje.

Raptem spośród tej całej fali ludzkiej, która parła ślepo w stronę aut jak rzeka pchana niewidzialną siłą, wynurzyła się dziewczyna, zeskoczyła lekko z wagonu na żwir i spojrzała dokoła badawczym okiem, jak człowiek, który czemuś bardzo się dziwi.

Bujne jasne włosy rozsypały się miękką falą na ramiona, strząsnęła je niecierpliwie. Przesunęła odruchowo rękoma po bluzeczce, poprawiła nieznacznie spódniczkę. Stała tak chwilę. Wreszcie oderwała wzrok od tłumu i przesunęła spojrzeniem po naszych twarzach, jakby kogoś szukając. Nieświadomie szukałem jej wzroku, oczy nasze spotkały się.

— Słuchaj, słuchaj, powiedz, dokąd oni nas powiozą?

Patrzyłem na nią. Oto stoi przede mną dziewczyna, o cudnych jasnych włosach, o ślicznych piersiach, w batystowej, letniej bluzeczce, o mądrym, dojrzałym spojrzeniu. Stoi, patrzy mi prosto w twarz i czeka. Oto komora gazowa: wspólna śmierć, ohydna i obrzydliwa. Oto obóz z ogoloną głową, watowane, sowieckie spodnie na upał, wstrętny, mdły zapach brudnego, rozparzonego ciała kobiecego, zwierzęcy głód, nieludzka praca i ta sama komora, tylko śmierć jeszcze ohydniejsza, jeszcze obrzydliwsza, jeszcze straszniejsza. Kto raz tu wszedł, nic, nawet popiołów swoich nie wyniesie za postenkettę, nie wróci do tamtego życia.

— Po cóż ona to przywiozła, przecież i tak jej zabiorą — pomyślałem mimo woli, dostrzegłszy na przegubie ręki śliczny zegarek o drobniutkiej złotej bransoletce. Taki sam miała Tuśka, tylko na czarnej, wąskiej tasiemce.

— Słuchaj, odpowiedz.

Milczałem. Zacisnęła usta.

— Już wiem — rzekła z odcieniem pańskiej pogardy w głosie odrzucając

tył głowę; śmiało poszła w stronę samochodów. Ktoś ją chciał zatrzymać, dsunęła go śmiało na bok i wbiegła po schodkach na wypełnione już prawie uto. Zobaczyłem tylko z daleka bujne, jasne włosy, rozwiane w pędzie.

Wchodziłem do wagonów, wynosiłem niemowlęta, wyrzucałem bagaże. Dokałem się trupów, ale nie mogłem przemóc wzbierającego dzikiego strachu. Uciekałem od nich, ale leżały wszędzie; poukładane pokotem na żwirze, na lementowym skraju peronu, w wagonach. Niemowlęta, ohydne, nagie kobiety, oskręcani w konwulsjach mężczyźni. Uciekam jak najdalej. Ktoś mnie smaga rzciną po plecach, kątem oka dostrzegam klnącego esmana, wymykam mu ię i mieszam się w grupie pasiastej Kanady. Wreszcie znów włażę pod szyny. Słońce pochyliło się głęboko nad horyzontem i krwawym, zachodzącym świałem oblało rampę. Cienie drzew wydłużały się upiornie; w ciszy, która w naturze zapada pod wieczór, ludzki krzyk bił w niebo coraz głośniej i natarczywiej.

Dopiero stąd, spod szyn, widać całe piekło kotłującej się rampy. Oto para ludzi padła na ziemię, spleciona rozpaczliwym uściskiem. On wbił kurczowo palce w jej ciało, zębami chwycił za ubranie. Ona krzyczy histerycznie, przeklina, bluźni, aż przyduszona butem rzęzi i milknie. Rozszczepiają ich jak drzewo i wpędzają jak zwierzęta na auto. Oto czterech z Kanady dźwiga trupa: olbrzymią, opuchniętą babę, klną i pocą się z wysiłku, kopniakami odganiają zabłąkane dzieci, które plączą się po wszystkich kątach rampy wyjąc przeraźliwie jak psy. Chwytają je za karki, za łby, za ręce i wrzucają na kupę, na ciężarówki. Tamtych czterech nie da rady dźwignąć baby na auto, wołają innych i zbiorowym mozołem wpychają górę mięsa na platformę. Z całej rampy znosi się trupy wielkie, nabrzmiałe, opuchnięte. Między nie ciska się kaleki, sparaliżowanych, przyduszonych, nieprzytomnych. Góra trupów kotłuje się, skowyczy, wyje. Szofer zapuszcza motor, odjeżdża.

— *Halt, halt!* — wrzeszczy z daleka esman. — Stój, stój, do cholery!

Wloką starca we fraku, z opaską na ramieniu. Starzec głową tłucze o żwir, o kamienie, jęczy i bezustannie, monotonnie zawodzi: „*Ich will mit dem Herrn Kommendanten sprechen* — chcę mówić z panem komendantem". Powtarza to ze starczym uporem całą drogę, wrzucony na auto, przydeptany czyjąś nogą, przyduszony rzęzi: „*Ich will mit dem...*"

— Człowieku, uspokój siebie, ale! — woła do niego młody esman, zaśmiewając się głośno — za pół godziny będziesz gadał z największym komendantem! Tylko nie zapomnij powiedzieć mu „Heil Hitler"!

Inni niosą dziewczynkę bez nogi; trzymają ją za ręce i za tę jedną, pozostałą nogę. Łzy ciekną jej po twarzy, szepce żałośnie: „Panowie, to boli, boli..." Ciskają ją na auto, między trupy. Spali się żywcem wraz z nimi.

Zapada wieczór, chłodny i gwiaździsty. Leżymy na szynach. Jest niezmiernie cicho. Na wysokich słupach palą się anemiczne lampy za kręgiem światła.

— Wymieniłeś buty? — pyta mnie Henri.

— Nie.

— Czemu?

— Człowieku, ja mam dosyć, kompletnie dosyć!

— Już po pierwszym transporcie? Pomyśl — ja: od Bożego Narodzenia przewinęło się przez moje ręce chyba z milion ludzi. Najgorsze są transporty spod Paryża: zawsze człowiek spotyka znajomych.

— I co im mówisz?

— Że idą się kąpać, a potem spotkamy się w obozie. A ty byś co powiedział?

Milczę. Pijemy kawę zmieszaną ze spirytusem, ktoś otwiera puszkę kakao, miesza z cukrem. Czerpie się to dłonią, kakao zalepia usta. Znów kawa, znów spirytus.

— Henri, na co my czekamy?

— Będzie jeszcze jeden transport. Ale nie wiadomo.

— Jeżeli przyjdzie, to ja nie pójdę go rozładowywać. Nie dam rady.

— Wzięło cię, co? Dobra *Kanada?!* — Henri uśmiecha się dobrotliwie i znika w ciemności. Po chwili wraca.

— Dobrze. Tylko uważaj, żeby cię esman nie złapał. Będziesz tu cały czas siedział. A buty ci skombinuję.

— Daj mi spokój z butami.

Chce mi się spać. Jest głęboka noc.

Znów *Antreten*, znów transport. Z ciemności wynurzają się wagony, przechodzą przez pas światła i znów znikają w mroku. Rampa jest mała, ale krąg światła jest jeszcze mniejszy. Będziemy wyładowywać kolejno. Gdzieś warczą auta, podjeżdżają pod schodki upiornie czarne, reflektorami oświetlają drzewa. *Wasser! Luft!* Znów to samo, spóźniony seans tego samego filmu: strzelają serią automatu, wagony uspokajają się. Tylko jakaś dziewczynka wychyliła się do pół ciała z okienka wagonu i straciwszy równowagę upadła na żwir. Chwilę leżała ogłuszona, wreszcie podniosła się i zaczyna chodzić w kółko, coraz prędzej i prędzej, sztywno wymachując rękoma jak na gimnastyce, łapiąc głośno powietrze i wyjąc monotonnie, piskliwie. Dusząc się — dostała obłędu. Działa na nerwy, więc podbiegł do niej esman, okutym butem kopnął w plecy: upadła. Przydeptał ją nogą, wyjął rewolwer, strzelił raz i drugi: została, kopiąc nogami ziemię, aż znieruchomiała. Poczęto otwierać wagony.

Byłem znów przy wagonach. Buchnął ciepły, słodki zapach. Góra ludzka zapełniała wagon do połowy, nieruchoma, potwornie poplątana, ale jeszcze parująca.

— *Ausladen!* — rozległ się głos esmana wynurzającego się z ciemności. Na piersiach miał zawieszony przenośny reflektor. Zaświecił do wnętrza.

— Co stoicie wy tak głupio? Wyładować — i świsnął kijem przez plecy. Chwyciłem rękę trupa: dłoń jego kurczowo zawarła się wokół mej ręki. Szarpnąłem z krzykiem i uciekłem. Serce mi łomotało, dławiło gardło. Mdłości zgniotły mnie naraz. Wymiotowałem, skulony pod wagonem. Chwiejąc się przekradłem się pod szyny.

Leżałem na dobrym, chłodnym żelazie i marzyłem o powrocie do obozu, o pryczy, na której nie ma siennika, o odrobinie snu wśród towarzyszy, któ-

zy w nocy nie pójdą do gazu. Naraz obóz wydał mi się jakąś zatoką spokoju. Wciąż umierają inni, samemu się jeszcze jakoś żyje, ma się co jeść, ma się siły do pracy, ma się ojczyznę, dom, dziewczynę...

Światła migocą upiornie, fala ludzi płynie bez końca, mętna, zgorączkowana, ogłupiała. Wydaje się tym ludziom, że rozpoczynają nowe życie w obozie i psychicznie przygotowują się na ciężką walkę o byt. Nie wiedzą, że zaraz umrą i że złoto, pieniądze, brylanty, które zapobiegliwie ukrywają w fałdach i szwach ubrania, w obcasach butów, w zakamarkach ciała — już im nie będzie potrzebne. Fachowi, rutynowani ludzie będą im grzebać we wnętrznościach, wyciągną złoto spod języka, brylanty z macicy i kiszki odchodowej. Wyrwą im złote zęby. W zabitych szczelnie skrzyniach odeślą do Berlina.

Czarne postacie esmanów chodzą spokojne, fachowe. Pan z notatnikiem w ręku robi ostatnie kreski, dopełnia liczby: piętnaście tysięcy.

Dużo, dużo aut pojechało do krematorium.

Już kończą. Trupy porozkładane na rampie zbiera ostatnie auto, klamoty są załadowane. *Kanada* objuczona chlebami, marmoladą, cukrem, pachnąca perfumami i czystą bielizną, ustawia się do odmarszu. Kapo kończy ładowanie kotła od herbaty złotem, jedwabiami i czarną kawą. To na bramę dla wachmanów: puszczą komando bez kontroli. Parę dni obóz będzie żył z tego transportu: zjadał jego szynki i kiełbasy, konfitury i owoce, pił jego wódki i likiery, będzie chodził w jego bieliźnie, handlował jego złotem i tłumokami. Wiele wyniosą cywile za obóz, na Śląsk, do Krakowa i dalej. Przywiozą papierosy, jajka, wódkę i listy z domu.

Parę dni będzie obóz mówił o transporcie „Sosnowiec — Będzin". Był to dobry, bogaty transport.

Gdy wracamy do obozu, gwiazdy poczynają blednąć, niebo staje się coraz bardziej przezroczyste, podnosi się nad nami, noc przejaśnia się. Zapowiada się pogodny, upalny dzień.

Z krematoriów ciągną potężne słupy dymów i łączą się w górze w olbrzymią, czarną rzekę, która niezmiernie powoli przewala się przez niebo nad Birkenau i niknie za lasami w stronę Trzebini. Transport sosnowiecki już się pali.

Mijamy oddział SS idący z bronią maszynową na zmianę warty. Idą równo, człowiek przy człowieku, jedna masa, jedna wola.

Und morgen die ganze Welt... — śpiewają na całe gardło.

— *Rechts ran!* Na prawo! — pada od czoła komenda.

Usuwamy się im z drogi.

LIŚĆ

Liść zerwany do czoła przyłóż,
wszystko jedno z jakiego drzewa,
byle tchnący wonią opiłą,
rozszumiały w gęstych ulewach.

Może być to dąb albo jawor,
wonna lipa, kalina, olcha
albo brzoza dziewczęcą zjawą
przechylona w otwartych oknach.

Liść nie krwią tylko sokiem plami.
Bardzo świeży jest i zielony,
jakby lata szumiące dzbany
ktoś postawił u czułej skroni.

A nie poto czoło miałeś,
by o chwałę dębów się kusić
lub wspominać młodzieńczą miłość
i w jaworach piosenki nucić.

Nie dlatego, by szukać w sadach,
jak gorące myśli ostudzić,
i lipowy urok przykładać,
gdy już nadto głowa się trudzi...

Tylko poto, że liść jest świeży
i zielony jest i wilgotny.
I jakgdyby na sercu leży,
a zwyczajnie można go dotknąć.

POWRÓT Z PASTWISKA

Macierzanki drżą i powoje,
gdy je depczą dziewczyny bose.
Jeszcze ciepłe lśniące od znoju
mają w warkocz splecione włosy.

Ogorzałą gromadą naszli
chłopcy niosąc powolność w ruchach.
Biegną konie z soczystych pastwisk
opędzając się przykrym muchom.

Postukują lekko kopyta —
miękko cicho pobrzmiewa echo.
I spokojem tchnie i dosytem.
I cień spełza słomianą strzechą.

Ciężkie krowy schodzą pod wieczór.
Reszta źdźbeł im u pysków zwisa.
Niosą udój słodki od mleczów,
bo czekają dzieci przy miskach.

Zmrok błękitny jak trzoda owiec
kędzierzawi się przy ogrodach.
Koło stawu szumi sitowie.
I na sercu leży ochłoda.

STUDNIA

Tuż pod lasem widnieje studnia.
Musi stara być, bo omszała.
Gdy od skwaru oddychać trudno,
zimna woda jak gwiazda pała.

Wiatr paproci mrocznych naznosił,
modrych dzwonków, maliny, choin...
Stąpaj lekko, aby nie spłoszyć
ciszy, która przy studni stoi.

Kiedy patrzysz w głąb murowaną —
ośniedziała wieje żelazna,
jakby bory na dno zwalano
i przedświty kładziono na wznak.

Trzeszczy próchnem świecące drewno,
rdzawy łańcuch wiadro pociąga...
Myśli toczą się strugą śpiewną
i bryzgami świecą na łąkach.

Woda mroźna jest i odziemna.
Kiedy pijesz, aż bolą zęby.
A najbardziej jest tym przyjemna,
że wybrana z nieznanej głębi.

Obóz Gusen

POMYŁKA

(FRAGMENT POWIEŚCI „CZAS NIELUDZKI")

Szli długą ulicą. Były tu sklepy na przemian złotnicze i ze słodyczami. lica Złota. Pierścionek Anny nie budził entuzjazmu. W sklepach patrzyli a niego przez specjalny okular długo, uważnie, sceptycznie. Jeden ze spe- alistów położył go nawet na swym szklannym pulpicie bez słowa — wtedy Paweł wyjął blaszaną, długą, po tytoniu fajkowym, papierośnicę, spokojnie aczął robić swą sztukę. Sposób na sposób. Teraz z kolei ani Pawła, ani Iarka nic nie obchodził złotnik. Patrzył ze zdziwieniem na spokój niefor- innych klientów. Paweł kręcił spokojnie papierosa, zapalił, pociągnął mocno ilka razy. W myśli Marka stanęły znowu obrazy z wędrówki: w lesie rów rzy szosie i znowu rów przy grobie Aleksandra...

Kupiec otworzył z lekka usta. Zdawało się, że powie coś niegrzecznego, e będzie chciał wyprosić klientów, którzy już nie byli klientami. Ale nie dobył się na słowo. Mógł pomyśleć teraz, że transakcja była fikcją i że in- eres tych dwóch gości jest z typu innych groźnych transakcyj. Ludzie za- zynali się bać własnego cienia. Cóż dziwnego, gdyby złotnik zląkł się aż lwóch obcych, tajemniczych mężczyzn.

...Ludzie zaczynali bać się własnego cienia. Groza w mieście rosła. Ktoś, wyszedłszy do przyjaciół na sąsiednią ulicę, zginął bez wieści, kogoś na roj- nym placu zatrzymało dwóch cywilnych panów, poszedł z nimi zgodnie i nie wrócił do domu ani tego dnia, ani dni następnych, sąsiada złotnika wzięto przedwczoraj od warsztatu pracy, poszedł znowu w towarzystwie dwóch obcych mężczyzn i tyle wiedziano, że szedł w kierunku najpiękniejszej alei w mieście. Aleję tę niedawno nazwano ulicą Policji.

I myśli przyjaciół szły właśnie torem tych nowych tajemnic. Ale dopiero w małej cukierni, pijąc tanią namiastkę kawy, spytał Paweł:

— A śmierci? Boisz się?

Marek namyślał się długo, nie umiał odpowiedzieć aż tak po prostu, jakby trzeba było o tych sprawach rozmawiać z Pawłem. Dziwny człowiek. Spyta tak jakoś — chociaż zawsze w porę, jakby czytał myśli.

— Boję się więcej tego czasu, aniżeli samej śmierci. — I dopiero, gdy po- wiedział — i tak, jakby za wcześnie — zaczął inaczej analizować, niż zwykle. — Jak sobie pomyślę, że przecież ma się ją już. Śmierć znaczy. Jest,

czeka na nas, nieunikniona, własna. Myślę o niej nie bez pewnego wzruszenia... A to, że się boimy, to tak, jakbyśmy się bali tego, że nas ktoś chce zmylić, nasłać nam nie naszą. Spotkanie z obcą musi być straszne. Tak właśnie myślę, co to może być taki strach?

— Koniec końców nie może być pomyłki? Skoro już się umiera, to przecież śmierć okaże się własna.

— Koniec końców.

— Myślisz więc, strach przed śmiercią nagłą.

— Tak. Myślę, umrzeć trzeba. I to nie jest straszne. Ale zabijać nie wolno. Przygotowywać śmierci nie wolno. Organizować śmierci nie wolno. Nikt nie ma prawa. Żadna racja. To tylko nasza rzecz. Nasza własna... To, co oni robią, to jakby nowy szatański falsyfikat. Sposób w sprawie, która nie ma sposobu.

— Tak. Nie można o tym mówić.

I Marek przerwał, zreflektowany słowami Pawła. Siedzieli w milczeniu, patrząc na dziecko gospodyni, które bawiło się gilzami wypalonych papierosów.

— Wtedy w rowie, pamiętasz? Kiedyś nas spotkał po raz drugi...

— O tak, wtedy była wielka ulga. Jedna chwila i wszystko odpadło z człowieka.

— Co wszystko?

— Strach, że się zmyliło drogę. Szedłem w okropnym umęczeniu. Idę — jeden zakręt, drugi zakręt, powinna już być szosa i ludzie. Słabnę z kroku na krok... Ale szosa była dopiero za trzecim zakrętem. I wtedy dojrzałem was.

— I co, poznałeś, że to ci sami, co wtedy w lesie?

— Od razu.

— I od razu wiedziałeś, że dalej pójdziemy razem.

— Tak.

Gospodyni podeszła do siedzących z cichym, tajemniczym pytaniem.

— Panowie wiecie, co się przedwczoraj stało na naszej ulicy?

Podnieśli się jednocześnie.

— Wiemy.

Zapłacili i wyszli z kawiarni.

Kiedy się pożegnał z Pawłem, poczuł głód. I chociaż ze sprzedaży pierścionka nie wyszło nic, wszedł do jadłodajni. Lokali takich powstawało teraz wiele, wszystkie miały charakter przejściowy i urządzenia ich niczym się właściwie między sobą nie różniły. W zwykłym, jak gdyby rodzinnym pokoju siedziało przy nakrytym stoliku dwóch mężczyzn. Kelnerka drzemała przy drugim stoliku — trzeci i czwarty były wolne. Gdzieś, w głębi mieszkania płakało dziecko. Wszędzie było tak sennie — aż dziw, że dziecko płakało. Marek jadł szybko podaną porcję, bo zbliżała się godzina policyjna. Miał jeszcze daleko do domu.

Przed wyjściem sprawdził czas, wtedy poczuł się nagle śledzony. Do tej ory myślał o rozmowie z Pawłem i jedząc zapomniał o sąsiadach przy narytym stoliku. Kiedy kładł palto, siedzący podnieśli się. Schodził ze schoów z uczuciem, że ma ich na piętach. Na ulicy, żeby działać przeciw przykrej iepewności, chciał od razu puścić się pędem do tramwaju. Ale nie mógł uż uciekać, jeden z nich podszedł właśnie i powiedział:

— Pan na nas czekał?

Marek wyjął zegarek.

— Nie, patrzyłem, która godzina.

Ajent powtórzył:

— Pan na nas czekał.

— Gestapo?

— Tak. Pójdzie pan tam grzecznie z nami.

Markowi zdawało się, że ulica kurczy się nagle i podnosi w górę. A mimo to iść było bardzo lekko i zdawało mu się, że podtrzymują go z dwóch stron pod ręce. Szli jednak obok, kończąc rozmowę, którą zaczęli chyba jeszcze w jadłodajni. Dopiero przy zbiegu ulic powiedział jeden z nich:

— Niech pan nie próbuje uciekać. Dostałby pan różaniec w krzyż tak szybko, żeby się pan nie zdążył zatrzymać nawet na tamtym świecie.

Drugi roześmiał się z tego dowcipu — i dopiero w tym śmiechu czuło się zbira.

Nie, nie miał w planie ucieczki. Przeciwnie, całe pragnienie skupiło się w tym, żeby stanąć. Żeby staniem tym ominąć, cofnąć zły krok, który uczynił, wstępując do jadłodajni. W tym miejscu stał niejednokrotnie, czekając na tramwaj. I właśnie ten obraz spokojnego czekania na tramwaj wydał mu się obrazem zupełnego szczęścia. Poczucie tego utraconego szczęścia było tak wielkie, że uwierzył nagle w jego powrót. Wzięli go przecież za kogoś innego. Zanim dojdą tam, trzeba się jeszcze wybronić. Póki się ma jeszcze świeżość człowieka jako tako wolnego, skoro otoczenie potwierdza wolność — trzeba działać. Potem będzie już za późno — za trudno...

— Nie mam nic przy sobie, to pomyłka — przeraził się swego głosu. — Moje dokumenty są w porządku.

— Dokumenty — roześmiali się jednocześnie, chropowato i rozpustnie.

Prędzej czy później tak się stać musiało — szatański splot rozpostarł się i działa. Szedł więc lekko, niesiony strachem, który działał w nim automatycznie, niezależnie od świadomości. Jednocześnie bowiem, mimo paniki, która od czasu do czasu rozsypywała mu pamięć, próbował przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz widział tę znajomą kobietę, która stoi na rogu Mokotowskiej, i nie rozumiejąc jego sytuacji, uśmiecha się zachęcająco. Na pewno widział ją już po przyjściu i wtedy opowiadała mu, że w czasie oblężenia była szarytką, a na ulicę wróciła po skończeniu działań, i to nie od razu, ale dopiero, kiedy miasto przyszło jako tako do siebie — w międzyczasie sprzedawała drobiazgi na Mazowieckiej i z tego żyła bez mała przez miesiąc... Nie dokończył jeszcze tego dochodzenia: ta czy nie ta, w październiku

czy w listopadzie — kiedy nagle ukłonił mu się znajomy aktor i również nieświadomy sytuacji zwolnił kroku, zrobił ruch porozumiewawczy, ale zorientował się, że Marek idzie w towarzystwie dwóch obcych panów, więc poszedł dalej. Gdy aktor zginął na zakręcie ulicy, Markowi zdawało się, że znowu stracił okazję. Wtedy zazdrość pomieszała się w nim ze wstydem: musiał iść posłusznie, jak aresztant, w chwili, kiedy tamten wraca spokojnie do domu na kolację. I w następnej chwili wzruszył się do tego stopnia nad sobą, że w członkach i w stawach poczuł słabość, podobną do tej, która sygnalizuje zbliżającą się chorobę. Smak zbliżającej się choroby przywodzi na myśl konieczność schronienia się pod czyjąś opiekę. W poszukiwaniu tego kogoś bliskiego spotkał się w myślach z Anną i znowu zaczął: zniszczyć tę logikę, wyłączyć się, ratować. Ale ta wola nie mogła zdziałać cudu, nie chodziło jeszcze o śmierć i nie było jeszcze przedśmiertnego strachu — strach był inny, nieznany.

Trzeba ratować ciało, nie ducha. Już za chwilę będzie zakręt ostatni i ten dom. Ta ostatnia ulica była już pusta. Cisza i tylko głośne stąpanie ajentów po trotuarze. Przed zakrętem można jeszcze w lewo, w krzaki koło parku. Niech strzelają. Powietrza i mroku jest dużo. W tej chwili zaszli mu drogę, chwycili mocno pod ręce, i gdy się opierał — jeden z nich wepchnął mu pięść w szczękę. Za chwilę wrzucili zamroczonego do gmachu. Tutaj, mimo, że od razu poczuł się mały, w miarę jak szli w głąb korytarza, stawał się coraz mniejszy w sobie, ginął. Świdrował w nim już tylko jakiś krzyk wewnętrzny, jakieś słowo, które kiedyś — widocznie — trzymało go przy czymś, rozpoczynało coś. Ale brzmienia przypomnieć sobie nie mógł. W takim stanie trwał dłuższy czas. Jakiś przeraźliwy ryk z wnętrza gmachu pomógł mu przyjść do przytomności. Ryk był nagły i nagle ustał. Marek przyglądał się otoczeniu. Siedział na ławce w pokoju biurowym o skromnym, ale normalnym wyglądzie. Stały trzy biurka, dwie amerykańskie szafki, krzesła — wszystko wypolerowane. Czystość urzędowa i smak powietrza, jak w każdym urzędzie. To uspokajało. Gdy kilka razy przeliczył meble w pokoju — poczuł się trochę raźniej i nawet niewiele gorzej, niż w innych poczekalniach — gdyby nie tamten ryk... Weszło do pokoju trzech urzędników. Dwóch nowych w mundurach. Jeden z tych, którzy go przyprowadzili, stał cały czas pod oknem, pilnując go. Robił jakieś notatki. Dzwonił przed chwilą chyba do jakiegoś składu i rozmawiał takim głosem, jakby był przedstawicielem innej zaprzyjaźnionej firmy. Kiedy zjawili się tamci, włożył swój prywatny notes do kieszeni, stanął na baczność przed mundurowymi. Wtedy wstał z ławki również i Marek. Zorientował się, co zrobił i nim dali mu jakikolwiek znak — usiadł z powrotem. Cywil pilnujący podskoczył do Marka, szarpnął go z ławki i kopnął jednocześnie wprawnym ruchem gdzieś zaledwie powyżej kostki. Markowi przypomniał się znowu ten ryk — ale w tym czasie tamci inni zasiedli przy swoich biurkach. Któryś zdjął nawet pokrowiec z maszyny — czcionki zaczęły szczękać rytmicznie. Mimo więc, że stał z bólem w nodze

bał się schylić, żeby rozetrzeć kopnięte miejsce, ten zwykły głos maszyny pomagał mu w dojściu do równowagi.

Imię, nazwisko, lata, rodzice. Wszystko zrazu tak samo, jak zwykle. Zaczęło się dopiero od rubryki „zawód".

— Czym się pan zajmuje?

Bez zastanowienia odpowiedział:

— Niczym.

Wszyscy spojrzeli na niego jednocześnie. Wtedy poprawił się:

— Teraz niczym.

— A przedtem jaki pan miał zawód?

— Przed wojną też właściwie nie miałem zawodu.

Wtedy spojrzeli na siebie. I zaraz drugi cywil wziął gumową laskę, która leżała na stoliku obok maszyny do pisania. Ale nim zdążył zrobić swoje — Marek mówił dalej i nawet, co sam stwierdził ze zdziwieniem, przekonywująco, spokojnie.

— Studiowałem. To znaczy chodziłem na uniwersytet. Byłem aż na dwóch wydziałach. Studiowałem...

Siedzący przy maszynie ruszył znacząco brodą. Podbiegli do niego dwaj inni. Robili teraz szczegółową rewizję. Wszystko wyjmowali z kieszeni, odczytywali wspólnie nawet recepty na proszkach od bólu głowy. Każdy proszek osobno. Treść recepty szła do protokołu. Pozwolili mu usiąść. Teraz zdawało mu się — a przeświadczenie to było wielką ulgą, że jest już obecnie chory. Zaczyna się gorączka, a więc czas, kiedy nowa siła rozpoczyna w człowieku swoje bezwzględne rządy i wyzwala go tym samym ze stanów i obowiązków dawnych. Tamci mamrocząc teraz już wyłącznie w obcym języku byli jak lekarze, radzący między sobą i ani trochę groźniej nie zastanawiali się nad wyrokiem. I znowu wyrok, choć dotyczył choroby — nie miał wpływu na stan chorego. Widział to wszystko, jak kiedyś przed laty, gdy chorował pod okiem matki i pod okiem obrazu, który przedstawiał martwą naturę. Dziwił się i teraz przedmiotom, które w chwili, gdy myślał, że odeszły naprawdę, wracały, powtarzając stary sens planu pokoju. W tych odpływach i przypływach świat robił się na zmianę bardzo gęsty i bardzo rzadki, tak prześwitujący, jakby na chwilę pokazać mógł, że jest zupełnie inny, zupełnie nowy. Ale zanim stało się to, na co czekał Marek, bliski wierze w cuda — ajenci wrócili do śledztwa. Jakby ratując proporcje rzeczy i stanu, zaczęli znowu.

— Imię.

Powiedział przytomnie.

— Nazwisko.

Zupełnie oprzytomniał.

— Imiona rodziców.

Wszystko zgadzało się z dokumentami, które mieli teraz przed sobą.

— Dlaczego pan nie chciał powiedzieć swego zawodu? Tu jest napisane literat.

— Literat.

— Dlaczego tu jest napisane literat?

— Rubryka urzędowa, musi coś być napisane. Przed wojną zacząłem pisać.

— Czy pan jest zmęczony? Może chce pan odpocząć? Zanim zacznie prawdę mówić, może pan odpocząć. My jesteśmy sprawiedliwi, po ludzku z panem chcemy.

Nie, nie chciał odpoczywać. Bał się tego najbardziej. Wszystko, co ma być, niech będzie natychmiast. Zapytał po prostu:

— Śledztwo?

— A panu się zdaje, że gdzie pan jest?

— Tak. Ale ja przecież nic...

Udało mu się powiedzieć to takim tonem, że jeden z nich spojrzał na niego naprawdę po ludzku.

Ale i to było sposobem.

— Gdyby pan po prostu powiedział adres tego blondyna, z którym miał się pan spotkać w kawiarni...

— Blondyna?

— My znamy dobrze pańskiego przyjaciela, po konfrontacji mogłoby się wszystko wyjaśnić.

— Mojego przyjaciela? — powtórzył. I jednocześnie stanął mu przed oczyma obraz Pawła.

— Tak, ten blondyn. Wysokie czoło, duże jasne oczy, usta mocno wywinięte. Tak, to mógł być Paweł...

— Dziś miał się pan z nim spotkać na obiedzie w paszteciarni. My wszystko wiemy. Spotykacie się tam i oddajecie sobie paczki.

— Paczki? — zdziwił się szczerze Marek.

— Gdyby pan nam pomógł w wyjaśnieniu tego, byłby pan zaraz wolny.

— W wyjaśnieniu czego?

— Pański przyjaciel mógłby wszystko wyjaśnić. Dlaczego nie przyszedł wczoraj i dziś na obiad? Gdzie mieszka?

Teraz już dla Marka nie ulegało żadnej wątpliwości, że to była pomyłka. Wzięli go za kogo innego. Tylko przez Zygmunta miał kontakt z organizacją. Z Pawłem nie spotykał się nigdy w tej jadłodajni. Powtórzył to głośno.

— Nie spotykałem się nigdy z Pawłem w tej jadłodajni. Byłem tam po raz pierwszy w życiu.

— Na imię mu więc Paweł.

Jeden zapisał, a dwóch innych zaczęło oglądać znowu kartki notesu. Ale adresu Pawła nie było w notesie. Dlatego, mimo, że powiedział po raz pierwszy coś, czego nie powinien mówić — nie speszył się. Przeciwnie, wiedział już jakim systemem zmierzają do swego celu. Na czym polega transmisja prostych, zdawałoby się nieważnych pytań.

— Prosta droga prowadzi najszybciej do wyjaśnienia nieporozumień — powiedział sentencjonalnie siepacz o możliwościach ludzkiego wyrazu twarzy. — Dobrze, na imię mu Paweł.

Marek rozumiał. Nazwisko mogło paść również automatycznie, z rozpędu.

lczał. Czekali. W pokoju była cisza teraz i tylko gdzieś z oddali dochodziły więki radia. Po chwili siedzący za biurkiem znowu udanym ludzkim ruchem dał Markowi srebrną papierośnicę.

— Niech pan zapali. Nie ma się czego spieszyć. Zrobimy swoje i każdy pójie w swoją stronę. Nazwisko i tak możemy mieć w inny sposób. Jeśli pan e powie jednego nazwiska, zaaresztujemy wszystkich pańskich znajomych edług spisu w notesie.

Marek wysilił znowu pamięć i przypomniał sobie, że w notesie nie ma dnych nazwisk.

— Nie mam żadnych znajomych.

Ten o najbardziej ludzkim wyrazie twarzy przybrał teraz inną maskę.

— Tak, ale my mamy na was sposoby.

Wyjął kartkę z notesu.

— Powiedz, co znaczy ten skrót? Zb. Raf. Żol. Słowackiego 14 m. 44. Cóż o może znaczyć?

Paweł zbladł. To był ten adres Zbigniewa Rafalskiego... Już widział szystko. Pójdą teraz do Rafalskich. Nie można do tego dopuścić. Zbigniew szystko powikła. W niczym mu nie pomoże... Już żyje ich czasem. Dzwonek o godzinie policyjnej, wyważanie drzwi, krzyki, bicie. Żyje raczej tamtym trachem. Jakby nerwy wystarczały na objęcie tych wszystkich kręgów. Jakby roza działała permanentnie. Wszędzie jednocześnie.

— Tak, to nie jest adres — słyszy słowa mundurowego. — To jest coś ważniejszego od adresu. Macie jakieś sprawy z brytyjskim lotnictwem. R. A. F.

Już dalszego sprawozdania Marek nie rozumiał, zdawało mu się, że śni. Do ego stanu pomagały mu razy, które spadały teraz na twarz gęsto i systematycznie. Słyszał jeszcze:

— Teraz skończyły się żarty, wyśpiewasz wszystko, albo wyślemy cię tam skąd się nie wraca.

— Nic nie wiem.

Po następnym uderzeniu spadł z krzesła. Teraz twarz siepacza wydawała mu się znajoma. To był chyba ten sam, który w pamiętny dzień powrotu uderzył chłopca na skraju chodnika. I znowu teraz po raz drugi nie może się zdobyć na żaden gest, nie może nawet krzyczeć, nie może nic pomóc chłopcu i nie może nic pomóc sobie.

Podnieśli go z podłogi i w twarz uderzyli zimną wodą.

— Jak jeszcze raz zemdlejesz, zastrzelimy jak psa.

Marek myślał. Jeśli będę żył, spotkam na pewno pana z rybim wyrazem twarzy. Trzeba mu będzie powiedzieć jak się broni przed takim strachem. Ale to było gorsze od tamtej grozy. Wokół żadnego zjawiska ubocznego, żadnego zbawczego odgłosu. Nowe radio przestało grać. Zaczął więc mówić sam do siebie jakieś słowa. Modlił się cyframi. Liczył, żeby nie zemdleć. To nawet było dobre: pamiętać, żeby nie zemdleć. Ale zorientował się jeszcze, że liczy się po to, aby usnąć. Wykonywał więc czynność odwrotną zamierzeniu. Ale wydobyć się już z niej nie potrafił. Liczył tylko do dziesięciu. Zero stało długo przed

oczyma, wreszcie znowu zjawiała się jedynka. Przy następnym uderzeniu zwiększył tempo liczenia. Kiedy poczuł uderzenie z drugiej strony, stracił rachunek, bo zamiast głowy miał już nie swoją objętość. Tak, jak w gorączce, rosło wszystko — trzeba siedzieć bardzo prosto, bo rozejdzie się, zburzy jakaś miara, która jest jeszcze wszystkim.

Gdzieś jakby w wielkiej dali usłyszał propozycję, której już nie rozumiał.

— No, może teraz pan będzie mówił?

Zamiast słów usłyszał bełkot. Jeden z siepaczy odwrócił się od biurka i powiedział:

— Mówłem, Kurt, bydlę, nie umie jeszcze bić. Nic nie powie, za chwilę zdechnie. Popsuta sprawa od początku. Na pewno przyprowadziliście kogo innego.

Podszedł do Marka, chlusnął jeszcze raz wodę na twarz.

— Tak. Na nic wszystko. To już szmelc.

Wyszedł do drugiego pokoju.

Marek zobaczył teraz przez chwilę tapczan, zabluszczoną ścianę, usłyszał wreszcie wróble ćwierkające w bluszczu i — chociaż nikt go nawet nie trącił — spadł z krzesła..

Paweł, kiedy się pożegnał z Markiem, przeżył również niepokojącą chwilę. Innego rodzaju. Zaraz kiedy stracił go z oczu, chciał biec za nim — bo nie powiedział mu czegoś najważniejszego. Czego? Stał bezradny na rogu ulicy, próbując sformować niepokój w myśli. Nic z tego nie wychodziło. Szedł, zatrzymując się przed wystawami, patrzył — i nie widział nic. I dopiero w pewnej chwili dojrzawszy czerwoną plamę na wystawie zorientował się, że niepokój był poszukiwaniem pretekstu, żeby wszedłszy do Omieckich, nie przerazić Anny. Teraz już wiedział na pewno, że uspokoić go może tylko pójście do Marków, sprawdzenie. Musi sprawdzić, czy Markowi nie stało się coś w drodze powrotnej do domu.

Na rogu Wilczej spotkał znajomą dziewczynę. Poznał ją przez Marka. Poznali się i teraz i szli obok, nie mówiąc nic. Przed bramą znanego już Pawłowi domu zaczęła nieoczekiwanie:

— Przed chwilą widziałam pańskiego przyjaciela. Tego bruneta.

— Marek.

— Nie pamiętam, jak mu na imię.

— Szedł w którą stronę?

— W stronę Alei Ujazdowskich.

Dziewczyna wchodziła już do klatki schodowej i patrzyła zdziwiona na Pawła, nie rozumiejąc co ma znaczyć to jego nagłe zatrzymanie się. Paweł nie powiedział nic, wycofał się jak gdyby ukradkiem z bramy, nie chcąc tłumaczyć się obcej dziewczynie. A teraz miał już prawie pewność. Stało się coś Markowi. W tamtą stronę o tej godzinie nie chodzi się bez powodu. Powód? Paweł szedł teraz szybko w stronę Raszyńskiej. Znalazł się wreszcie przed kuchnią społeczną w dzielnicy Marka. Wtedy strach odpadł — zaczęło się inne zastanowienie: miał przyjść do Omieckich kilka zaledwie minut przed godziną policyjną — jak

ę będzie tłumaczyć, gdy Marka zastanie w domu? Od czego zacznie, gdy okaże się jednak, że Marek nie wrócił — może być i trzecia ewentualność, że Marek wróci zaraz po jego przyjściu. Jak i wtedy usprawiedliwić swoje nieoczekiwane przyjście? Gdy stał tak w obliczu tych bądź co bądź realności, czuł się tak niepewnie, że przez chwilę wszystkie poprzednie lęki i cała jego sytuacja wydały mu się urojeniem, ośmieszającym go nawet. Ten zarodek innej wiedzy, który był w nim, skoro przestał działać — nie dawał mu możności sprytnego zachowywania się w normalnej rzeczywistości. Świat faktów obezwładniał go najbardziej w chwilach takiego p r z e j ś c i a. A rzeczywistość obezwładniała go, ponieważ nie nauczył się posługiwać tylko jej sposobami.

Spojrzał na zegarek — czynił, jak każdy człowiek w chwili, kiedy nie wie co ma ze sobą zrobić.

Za pięć minut godzina policyjna. Poszedł zwolna w kierunku domu Omieckich.

Pukanie do drzwi obudziło psa. Anna poznała, że nie puka Marek. Przez chwilę nie wstawała z krzesła. Pukanie powtórzyło się i pies szczekał już pod drzwiami. Anna zrozumiała nagle, że coś złego stało się z Markiem. Ponieważ do tej pory czytała spokojnie, nie troszcząc się, że późna godzina a męża nie ma w domu — więc teraz razem z nagłością niepokój był podwójny. Kiedy zobaczyła w drzwiach Pawła, powiedziała wbrew przekonaniu:

— Myślałam, że to Marek.

Bezsensem chcielibyśmy przywrócić normalny porządek rzeczy. I wtedy Paweł miał już gotowe zaczepienie.

— Marek zostanie na noc u Rafalskich.

— Co się stało?

Pytanie Anny znaczyło jednak od razu, że w wiadomość Pawła nie wierzy.

— Nic się nie stało. Zwykłe interesy Zbigniewa.

— Co się stało? Niech pan powie od razu. Marek nie zostaje nigdy na noc poza domem.

— Przecież widzi pani, przysłał mnie tutaj — Paweł był już znowu na swej dobrej drodze. Właśnie minęła godzina rozstrzygająca i przeczucia zmieniły się w pewność... Marek nie mógł już wrócić.

To samo głośno powtórzyła Anna.

— Nie może już wrócić.

— Wróci dopiero rano.

I teraz ta pewność Pawła tak jakby uspokoiła Annę. Jeszcze tylko pies siedział pod drzwiami i wyczekiwał. W jego zrozumieniu w e j ś c i e dopiero się zaczęło — osoba najważniejsza nie weszła jeszcze.

Paweł usiadł w fotelu Marka. Był teraz pewny, że rolę, którą narzuciło mu złe przeczucie i czas nieokreślony, gra dobrze. Powinien utrzymać się w tonie przez całą noc, a ranek już poza nim przyniesie rozstrzygnięcie. Trzeba kłamać. Ta noc byłaby dla Anny gorsza, aniżeli najstraszniejsza wiadomość, którą przyniesie dzień jutrzejszy.

Tymczasem był dopiero wieczór i inne dodatkowe kłopoty. Zżycie z tym domem, skoro był w nim Marek, zdawało się Pawłowi zupełne, prawdziwe.

Nie posiadało żadnego kłopotliwego luzu. Ale teraz, gdy była w nim tylko Anna, wszystko nabierało innego wyrazu i domagało się od Pawła wysiłku, do którego nie przywykł.

Właśnie Anna powiedziała:

— Że też ten Marek zawsze musi mnie... — nie dokończyła. Ale Paweł zrozumiał: że nie może postępować jak inni, że musi ją narażać na takie np. rzeczy, jak noc z prawie obcym człowiekiem.

— Proszę się mną nie krępować. Zaraz, jak tylko pani zje kolację, pójdę do kuchni i tam się prześpię. U Rafalskich także sypiam w kuchni.

— Nie, nie... Nie o tym chciałam mówić. Zresztą, ja nie będę spała...

Paweł, żeby utrzymać ją raczej w czym innym, aniżeli w tym lęku, zaczął mówić rzeczy, których nie przywykł obnażać.

— O co może chodzić? Gdzie ja już nie sypiałem. Ojciec chował mnie w tym przeświadczeniu, że nie tylko czeka mnie taki los, ale że życie w takim losie jest najbliższe prawdy...

— O czym pan mówi?

— Prawda, pani nie rozumie. Mój ojciec miał dosyć szczególny pogląd na świat. Owszem, o tym chciałem mówić.

Anna, żeby coś powiedzieć — powiedziała byle co.

— Dawno umarł pański ojciec?

— Dwadzieścia lat będzie już niedługo...

Anna zaczęła nakrywać do kolacji, więc Paweł wstał z fotela.

— Nie, niech się pan nie rusza, zjemy coś.

— Ja przed chwilą jadłem kolację. Tutaj w kuchni, którą pokazał mi kiedyś Marek. Schodzi się kilka schodków, prawie już w suterenie.

Zmusiła go jednak, żeby usiadł przy stole. Ale skoro zabrał się do jedzenia, jadł z apetytem. I dopiero wtedy zobaczyła Anna życie w tym człowieku, którym tak zachwycał się Marek. Zobaczyła uśmiech, który był wyrazem przypadku i wolności, o jakiej tamten marzył. Już teraz przyglądała mu się ciągle. Po co właściwie tu przyszedł? Jaką wiadomość ukrywa? Bo znowu niepokój o Marka domagał się swego.

— Pani ciągle patrzy na mnie z niedowierzaniem, a ja naprawdę nic nie ukrywam. Pójdę, kiedy pani każe, spać do kuchni.

— W naszej kuchence nie ma miejsca — uśmiechnęła się. — Ledwie jedna osoba mieści się stojąco.

— Naprawdę? Wyjdę na jakiś czas, pani się położy. Gdy wrócę, przybiorę sobie w fotelu taką pozycję, o której marzyłem. Nie będę się wiercił, pani może spać spokojnie.

Anna nie chciała już więcej pytać. Ten jego upór też coś znaczył. Są właśnie jakieś niezrozumiałe intencje w tym człowieku. Poza tym może naprawdę chodzi o tę jedną tajemniczą noc i rano Marek wróci. Wraca się przecież. Uczepiła się tej myśli i widziała już wchodzącego razem ze świtem Marka, któremu nic się nie stało. I już chwila po chwili zmieniały się uczucia: po obezwładniającym niepokoju, raczej obok niego, zaczęło podnosić się zwykłe zdenerwowanie.

pretensja, że naraża ją na stan najbardziej przykry. Że wtrącił ją niepotrzebnie w obawy, a sam — być może — przeżywa noc zupełnie spokojną, bez zastanowienia, zapominając o niej, nie rozumiejąc tych uczuć, których ona doświadcza w tej chwili. Te myśli podniecały ją coraz bardziej. Ale w momencie, kiedy bliska była wewnętrznego oburzenia — zwykły niepokój wrócił znowu. Przeładła cała kompensacja. Dopiero po pewnym czasie, teraz już z największą ostrożnością, zaczęła zbierać dla podpory swego uspokojenia wszystkie wypadki z przeszłości. Z dawnej przeszłości. Wieczory strasznej udręki, noce, kiedy czekała długo, poczucie, że ją lekceważy, że może odejdzie — a jednak przecież zawsze wracał. Wraca się przecież. Ale już nowy argument czuwał przeciwko: takich czasów jeszcze nie było. I gra w głowie nie kończyła się rozwiązaniem. Wraca się i w takich czasach. Tylu już nie wróciło. Wraca się. Anna spojrzała znowu w spokojne oczy Pawła.

Tymczasem jest jeszcze ten człowiek i dużo godzin do rana. A więc praktyczny kłopot. Pozostaną chyba w tych fotelach, tak będzie najlepiej, byle więcej nie mówić o tej sprawie.

Rozległ się strzał za oknami. Anna drgnęła i powiedziała głośno, uspokajająco:

— Naprzeciw stoi zwykłe wojsko. Strzelają często w nocy, ale to nie jest groźne.

— Tak — kiwnął głową Paweł i pogłaskał pieska leżącego na kolanach. — To już późno.

Pies nie obudził się. Anna zaczęła opowiadać o ostatnim wypadku na ulicy Asnyka. Zastrzelili w nocy dwie stare kobiety, które kradły węgiel. Ale przeważnie strzelają bez celu. Kiedyś zabili dziewczynę, która myślała, że specjalna przypadłość upoważnia ją do przejścia nocą do szpitala. Jakiś zapóźniony pijak ominął spokojnie kilka posterunków, strzelali do niego kilka razy i dopiero na tej ulicy trafili go w rękę. Nic mu się nie stało.

— Nic mu się nie stało.

Zauważyła, że Paweł nieoczekiwanie usnął jak dziecko. Zegar na biurku Marka cykał teraz głośno. Noc panowała w pokoju wszechwładnie — i każdy szelest, szmer czy rytm przedmiotu rósł w uszach — i straszył.

Obudził Marka gwizd lokomotywy. Kiedy podniósł ciężką i jakby nieswoją głowę, zdążył zrozumieć, że leży gdzieś w dole. Chciał jeszcze raz coś z czymś powiązać, krzyczeć — teraz właśnie. To był ten ostatni jakby obowiązek, który łączył go z poprzednim czasem. Znowu zemdlał.

Gdy ponownie otworzył oczy, poznał, że pochylają się nad nim inne mundury. Byli to polscy kolejarze. Próbowali podnieść go i kiedy zobaczyli ruch powiek — zrozumieli głośno:

— Żyje.

Wtedy uczepił się tego słowa. Przymusił całą wewnętrzną siłę, żeby przekonać ich i siebie, że naprawdę żyje. Z przypływającego znowu życia ten strach był ponad wszystko — żeby go nie zostawili. Krzyczał znowu: — ale głosu nie słyszał na zewnątrz.

Teraz oni spytali go, gdzie mieszka. I znowu dziwił się, że mówią tak cicho, jakby z dalekiej odległości. Nie mógł sprawdzić czy rozumieją jego bełkot. Zrozumieli.

Leżał obok nasypu kolejowego, niedaleko dworca zachodniego. Na ulicę Raszyńską nie było nawet bardzo daleko. Wzięli go i nieśli początkowo bez większego trudu. Ale w miarę kroków ciężył im. Przyśpieszali, żeby, zanim umrze, wrócił do domu.

Było już zupełnie widno. Anna i Paweł spali na dwóch fotelach, przedzieleni stolikiem. Piesek na kolanach Pawła.

— Idą — obudził się pierwszy Paweł.

Pies był już przy drzwiach.

Szli po schodach, a po sposobie jak szli, można było zrozumieć, że coś niosą.

— Niosą go — powiedziała głośno Anna.

Paweł nie słuchał dłużej — zanim zapukali do drzwi, otworzył, odebrał Marka z ramion zmęczonych ludzi. Piesek wdrapywał się po nogach Pawła, sprawdzał na swój sposób.

Marek powracał do życia.

A szedł jakby od owego momentu ciszy z powrotem. Przeważnie snem. Tylko tą drogą nerwy mogły przystosować się na nowo. To, co obejmował w tej półrzeczywistości — w stanie ustawicznej śpiączki — to była rzecz — osoba żywa, bardzo trudna do zdobycia. Ale oparcie w niej było pełne nadziei. Przeważnie była to jakby Anna. Anna z pierwszego okresu znajomości — z czasu największego pragnienia. Tak, jak mu się kiedyś wydawała — a jak widocznie w głębi natury została prawdziwie — piękna i trudna na tle pokoju matki, wśród obrazów i wygodnych mebli. Ale przeszkody teraz, kiedy w rzeczywistości były pokonane — w śnie zwiększały się niepomiernie. Prócz nich, a raczej przeciw nim, wzrastało nieznane mu na jawie uczucie zazdrości i potrzeba okrucieństwa. Powodem był chyba tamten moment. Szukał sobie osoby, na której wykonać mógłby wyrok odwetu za upokorzenie. Nie występował żaden z siepaczy wyraźnie i jednolicie. Owszem, byli i oni właśnie w roli przeszkód, ustawieni bezwzględnie, jak w naiwnej baśni. Rzucali mu kłody pod nogi. Dosłownie. Idzie niby drogą, niby długim, ciemnym korytarzem. Można zrozumieć, że jest to wydłużona szopa — kiedy drwalnik się skończy, będzie jakaś kuchnia, za kuchnią w pokoju z obrazami musi siedzieć Anna... Idzie, ale w szopie coraz ciaśniej; nagle wielki wóz z drzewem. W chwili, kiedy jest blisko wozu, drzewo wali się w wąskie przejście. Szczapy narastają aż do sufitu i o przeciśnięciu się nie ma mowy. Ajent, który dzwonił do firmy, uśmiecha się, podnosząc lewą brew. To on poruszył wóz. Marek bierze się do usuwania przeszkody — wiązać trzeba ostrożnie słowo ze słowem — ktoś mu zaczyna w tym pomagać. Ludzie w mundurach kolejarzy, którzy wzięli się tu nie wiadomo skąd. Kiedy kłody są już jako tako usunięte, przeciska się z trudem między drewnianą ścianą i wozem. Otwiera drzwi. Już niedługo zobaczy Annę, z którą rozstał się przez swój bardzo nieuważny krok. Ale jest już i dalsza pokuta. W kuchni stara kobieta zamiata brudną podłogę: „Tam w drugim pokoju czeka na mnie Anna". Służąca

śmiecha się: „Nie, nie jest tak łatwo, dlaczego tędy?“ Tłumaczy się coraz żarliwiej: „Musiałem ominąć ulicę główną, bo na głównej łapią“. W chwili, kiedy ce się rzucić na kobietę i udusić ją, żeby bronić się w dalszym ciągu przed panką — otwierają się drzwi i zjawia się wybawca. Za chwilę Marek jest już pokoju, w którym powinna być Anna. Nie ma Anny — a raczej jest w innych okojach, i kryjąc się przed nim, coś przed nim ukrywa. Wkradło się coś między nich. I już nie może sobie dać z tym rady. Za dużo i za ciężkie.

Budził się w okropnym stanie. Jeśli nikt nie czuwał przy nim — płakał.

Gdy była noc, chciał budzić Annę i mówić. Gdyby były słowa, którymi można by znaleźć się wśród tego wszystkiego, jak kiedyś w dniach po ślubie. Powrót do porządku wewnętrznego był stokroć cięższy od powrotu do zdrowia fizycznego.

Najczęściej leżał długo w ciszy, podsłuchiwał sen Anny — a to, co przeżył we własnym śnie, zdawało mu się z innej sfery, z innego organizmu. I zdawało mu się, że już swego życia nie pomieści nigdy w tym pokoju.

Gdyby wrócić można było znowu, powierzyć się praktycznemu sposobowi Anny. Nie wyciągać żadnych wniosków z katastrofy. Bo nie da się takich wniosków wyciągnąć.

Tkwił w sferze, która ciągle nie miała powrotu.

Ale były inne noce.

Strach ze snu nie kończył się długo, szedł trybem rzeczywistości. Zwłaszcza wtedy, gdy to, co budziło, nie cichło w chwilę po przebudzeniu. Warkot samochodu. Jeszcze go się słyszy śpiąc — jeśli przejdzie rytmicznie i ścichnie powoli, będzie częścią strasznego snu, nie przerwie go, zmieni się wreszcie w symbol. Gorzej gdy zmilknie nagle. Wtedy sen, który wzrasta w rytmie przyśpieszonym, staje nagle.

Marek budzi się i chciałby przeświadczenia, że w rzeczywistości motor poszedł dalej. Nie — to naprawdę auto zatrzymało się przed domem. Trzasnęły teraz drzwiczki samochodu — słychać już dzwonek do dozorcy. Powietrze szumi w uszach przebudzonego i utrzymuje cichy głos dzwonka. Anna, która ma mocny sen, nie przestaje równym oddechem zwiększać, rozszerzać, rozdmuchiwać sprężystej, dzwoniącej ciszy.

Znowu dzwonek — tym razem naprawdę dłuższy, wyraźniejszy. Budzi się piesek śpiący w nogach Marka. Siada na łóżku i nasłuchuje, czując milczące nasłuchiwanie pana — sam milczy. Ciężkie zamknięcie bramy — już idą na podwórze. Można by policzyć ilość kroków — dozorca idzie pierwszy, znajomy chód — prowadzi. Jest aż pięć klatek schodowych. Ominęli już najbliższą przeciwległą bramę, idą wzdłuż podwórza, ostatnia jest Omieckich. Ta ich wciągnie na pewno. Marek wstaje, za nim pies, ciągle milcząc, zeskakuje z łóżka. Kroki ścichły teraz. Marek ma już rękę na kontakcie górnego światła. Orientuje się w bezsensowności tego odruchu, wraca szybko do łóżka. Widzi, bo ciemność nie jest zupełna, że pies został przy drzwiach. Teraz znowu słychać wyraźnie jak wchodzą już na schody. Marek ma ucho na ścianie i żeby krzykiem nie obudzić

Anny chwyta się rytmicznego wersetu, który od kilku sekund kłębił się gdzieś w głębi głowy: „...ale nie, ale nie ten nieustanny stukot — buty, buty...“ Widzi nawet teraz uśmiechniętą twarz Zygmunta, który lubił bez sensu powtarzać frazę, a „buty, buty“ w jego deklamacji brzmiały jak „budy, budy“. I chociaż tamci mają tylko jeszcze jedno piętro — Marek ma już przed oczyma wszystko dokładnie: przyjaźń Zygmunta, miłość Anny, kilka lat tej przyjaźni i tego współżycia — dużo, dużo, chociaż tamci mają jeszcze tylko jedną kondygnację. Jest i rada Zygmunta: trzeba się bronić, nie dać się zamknąć. Śmierć lepsza od niewoli. Bronić się — jak? Uciekać — gdzie? Schować się... Marek odwraca twarz w kierunku okna. Wielkie, wspaniałe okno. Przypominają mu się znowu słowa — mieszkacie jak w teatrze. W tej chwili tamci mijają drzwi, idą wyżej. Marek zeskakuje z łóżka, chwyta psa, przenosi go na łóżko, przykrywa poduszką. Teraz trzeba ciszy. Skoro poszli wyżej — może w ogóle ominą te drzwi. Gdy tak leży, zaklinając każdy najlżejszy szmer, przytomnieje powoli. Jakim oparciem jest cisza? Nowe maniactwo. I ślad po śladzie tej wzrastającej przytomności spostrzega, że strach przechodzi w nowe nieprzyjemne uczucie, kończy się wstydem. I chciałby teraz jednego, żeby się to nigdy przed nikim nie wydało, nawet przed Anną. Podświadomie działał już wtedy. Dawał niepotrzebny wyraz lękowi — a równocześnie zapobiegał, żeby wygląd nie rozszedł się za daleko. Śmiesznym gestem zewnętrznym wyrażał także swą własną samotność. Nawet więc wtedy, kiedy tylko bał się, nie wiedząc o tym, wstydził się.

Po godzinie, kiedy wracali tamci, słyszał w stąpaniu licznych butów nowy krok. Szedł ktoś pierwszy lekkim krokiem, jakby niesiony pod rękę. Taksamo, jak on kiedyś. Niedawno — i bardzo dawno. Byle nie myśleć o tym. Za lekkim krokiem ciężkie buty żandarmów. Wreszcie znajomy chód dozorcy. Na dole dozorca odłączył się od szeregu. Gasi światło. Potem trzaśnięcie bramy. Samochód odjechał — sen mógłby iść dalszym rytmem. Ale nie wraca. Marek wypuścił psa spod poduszki. Już piesek węszy pod drzwiami — wreszcie zaszczekał. Anna budzi się.

— Co to?

— Nic. Śpij.

Anna godzi się na odpowiedź i usypia w momencie, kiedy jeszcze niezupełnie oprzytomniała. Tak się przynajmniej zdaje Markowi.

Następnego dnia nad wieczorem, gdy Anna była w mieście — zapukał ktoś do drzwi. Marek ściągnął obolałe ciało i dziwiąc się swym krokom, podszedł do drzwi. Pokazała się zdrowa, ogorzała twarz Zygmunta Kroczyńskiego.

— Dziś w nocy myślałem o tobie — powiedział Marek. — Deklamowałem nawet twój ulubiony wiersz: „budy, budy...“

Roześmiali się.

— Powiedz, gdzieś się podziewał?

Zygmunt zrobił ruch, który miał znaczyć, że dużo by o tym mówić.

— Twoja sprawa najważniejsza. Wiem już wszystko, widziałem się z Pawłem. Miałeś, bracie, szczęście... Ja trzymam się na zewnątrz.. — przerwał, bo dopiero

teraz zauważył krok Marka i wtedy jakby go coś porwało. Podniósł w górę ręce, potrząsnął nimi z siłą, potem podniósł zniszczone ciało Marka i zaniósł jak dziecko na tapczan.

— Straszne, straszne — łzy zakręciły się pod powiekami twardego Zygmunta.

Wtedy Marek pomyślał: to, z czym nie mógłby się zdradzić przed Anną — mógłbym powiedzieć teraz jemu. Może by mi to dobrze zrobiło. Poradziłby coś. Znamy się tak dawno. Zawsze mnie swoją siłą wspomagał... Zygmunt, jakby domyślając się monologu przyjaciela, powtórzył teraz trzy razy:

— Cholera ich...

— Mam teraz straszne noce — zaczął Marek. — Dzisiaj znowu. Wścieknie się człowiek. Jak to wytrzymamy.

— Tak, cholera. Żeby można bić.

— Mówisz: na zewnątrz. O to właśnie chodzi. Zrobiłem wtedy jakby zły krok i jestem teraz ciągle jak w kręgu. Obezwładniony, osaczony.

Zygmunt milczał. Po chwili podniósł się z krzesła, zdawało się Markowi, że szepnął: wszyscy tak. Krążył po pokoju, mrucząc przekleństwa. Wszystko po to, żeby szukać rady dla przyjaciela. Od czasu do czasu spoglądał w stronę łóżka.

— Nie można przecież leżeć.

— Tak, chciałbym już jak najprędzej wstać. Tu, zdaje mi się, nigdy nie przyjdę do siebie.

Zygmunt obejrzał teraz pokój dokładnie.

— Nie, to nie o to chodzi. Mieszkanie jest nawet bardzo przyjemne. Wszyscy zawsze podziwiali: mieszkacie jak w teatrze. Tak, ale dziś to mieszkanie właśnie, to mieszkanie jest teraz wewnątrz.

— Aha! — zrozumiał od razu Zygmunt.

Marek ucieszył się tym stwierdzeniem i jednocześnie przeraził. Bo mogło to znaczyć, że i Zygmunt docenia jego niebezpieczeństwo. Obsesja nie jest obsesją. Urojenie ma swoją rację: mogli przecież zostawić sobie jego adres, mogą wrócić po niego.

Ale Zygmunt działał już w myśl intencji najbardziej właściwych sobie. Trzeba coś robić. Nie można radzić bez perspektywy czynu. I jego męczyła atmosfera tego pokoju. Ale tej atmosfery nie rozwikłałby, nie rozświetlił. Nie miał na to w swej naturze sposobu. Dlatego w takich razach radził sobie po prostu. Przebijał splot niepokojący, wychodząc z niego czynnie. Tak też powiedział Markowi:

— Wyprowadzicie się stąd...

— Co? — zdziwił się Marek najbardziej dlatego, że ciągle o tym myślał. A im bardziej o tym myślał, tym mniej wierzył, że będzie można to zrobić, nie naraziwszy się wszystkim konkretnym ludziom — nie mogąc im dać konkretnego powodu dla tej inicjatywy.

— Wyprowadzicie się stąd — powtórzył Zygmunt. — Pomogę wam w tym.

A ten znów, skoro powiedział słowo „pomogę" — poczuł się zupełnie pewny, bo naprawdę wiedział, że w tym będzie mógł już pomóc.

— Temu Zbigniewowi Rafalskiemu powodzi się teraz dobrze, słyszałeś? — jednocześnie myślał, że i ten będzie musiał w razie potrzeby pomóc.

Marek nie domyślał się tego skojarzenia, stanęła mu postać Zbigniewa znowu w okolicznościach wędrówki. Zielona, duża walizka na plecach umęczonego towarzysza. Ta groteskowa plama na tle jesiennych pól, zjeżdżonych dróg i zdziwionych wsi wydała mu się specjalnie bliska. Kochany Zbigniew, który jak nikt inny z każdej ogólnej nauki potrafi niejako mimo woli wysnuć wniosek dla siebie. I tak sto razy ośmieszył się, sto pierwszy wygrał.

— Zrobił interes — powiedział teraz głośno do Zygmunta — na tym pomyśle kontaktu handlowego z wsiami, przez które przeszliśmy wtedy we wrześniu. Nawet mnie chciał zaprzęgnąć do tego interesu. Śmieszny, ale porządny człowiek. Pomaga Pawłowi. Pamiętasz tę jego walizkę?

Zygmunt roześmiał się. Teraz i on widział to samo, co Marek: idą boczną, zjeżdżoną drogą gęsiego. Prowadzi Marek, trzymając się możliwie twardego gruntu na wąskiej ścieżce. Potem idzie Wacław, Klemens... Zbyszek został w tyle. Zostawał ciągle. Wystarczyło, że gdzieś w dali zobaczył człowieka, biegł do niego w nadziei, że dowie się czegoś nowego. Pomoc w strasznym chaosie nadchodzi właśnie z tamtej strony. Jest już blisko ludzkiego punktu, puszcza ręce w ruch, wymachuje, tłumaczy coś w ten sposób — nie trafiwszy na nowy ślad, proponuje, rozwija stary, przeważnie Marka, przekonywuje zdziwionego chłopa, aby siebie przekonać... Potem gonił ich z największą walizką na plecach i szedł już spokojnie za sceptyczną radą Marka aż do czasu gdy okoliczność nie dała mu nowego spotkania.

— Tak — potwierdził Zygmunt. — Tak, to porządny facet. Chociaż czasem potrafił mnie też zdenerwować nielicho... No więc, człowieku, przygotuj się, za kilka dni da się to na pewno zrobić.

— Przeprowadzka?

— Za kilka dni.

Zbierał się do wyjścia, gdy właśnie przyszła Anna z miasta. Od razu od progu powiedziała:

— Nic nie słyszeliśmy w nocy. Było nad nami aresztowanie. Wzięli pana Wierzbickiego. Człowiek Bogu ducha winien.

Dopiero teraz zauważyła Zygmunta. W czasie, gdy witała się z Zygmuntem, Marek miał możność opanować to, co mu powiedziała i to jak mu powiedziała. Nic nie słyszeliśmy, więc nic z tego wszystkiego w nocy nie widziała. Jego strach zostanie wyłączną tajemnicą psa, który już teraz nie ma możności rozszczekania swoich obserwacji.

Zygmunt obiecał przyjść za kilka dni.

W nocy, kiedy znowu jakiś odgłos z ulicy przebudził Marka, zmaltretowane nerwy powtórzyły swój atak. Trwał krótko, bo i powód był zwykły. Strzały — może tylko w powietrze. Ale usnąć było mu znowu trudno. Gdy tak leżał w ciszy, słyszał równy oddech Anny i wsłuchany w ten oddech porównywał. Po jakimś czasie to przeczucie, które zaczęło kiełkować razem z przymusem podsłuchiwania, doszło do nagłej pewności. Chciał krzyczeć, obudzić ją, zdema-

kować: kłamała. I ona wczoraj słyszała wszystko — ale dla sprawy porządku cierpiała w milczeniu, kłamała. Tamten oddech wczorajszej nocy był udany, wczoraj widziała wszystko. Wróciła z miasta z gotowym planem, strach musi mieć swoją granicę, wstyd musi być wstydem. I jedno i drugie musi być wyłączną własnością samotności człowieka.

Marek nie obudził Anny. Bo między dwiema samotnościami ludzkimi stoi porządek takiej niemożności, który znaczy wiele.

Marek nie mógł obudzić Anny.

LOSY

(FRAGMENT POEMATU)

WRZESIEŃ

Zaprzężone w dwa skowronki powietrze
wyminęło, wyminęło wiosnę.
Teraz lato, albo może jesień,
kruki ciągną po niebie w słońca złotym wozie.

Każdym ruchem skrzydełek zasadzały kiełki
przyszłych deszczów jesiennych na wysokim niebie
— o, to były skowronki — a teraz we wrześniu
babie lato opada jak gdyby uwiędłe

deszczu łodygi siwe — późny czas. Olbrzymie
jest przecież ponad nami to niebo, lecz wcale
nie jestże niczym większe, niż najmniejsza żyłka
na Boga czystej skroni. Niby bólu fala

pulsuje huk motorów: mechaniczne konie.
1200 obrotów przebiegało śmigło, jeśli z każdym myśl
czarna nadlatywała, przeraźliwie dzwoniąc
w skroń ludzką choćby jedną, wtedy w godzin kilka

czarne byłyby oczy słowiańskiego ludu.
Ale człowieka życie biegnie popod myślą,
jak prosty pień sosnowy pod przelotnym szumem.
I dlatego, choć śmigło było z drzew, co liście

zabito im po śmierci — choć je człowiek widział,
nie przeczuł, nie zrozumiał ich przyszłego lotu,
choć sam je ścinał przecież. Zaszumiały w śmigłach
brzozy porwane ostro sponad ludzkich grobów,

zatęskniły do liści czerwonych jesienią
jabłka po sadach ciężkich — więc podbiegła krew
umarłych w ziemi zwierząt i ludzi — rumieniec
zdrowy wstąpił na owoc rozszumiałych drzew.

O, ziemio moja niska! — stratują cię krzyże,
miejsce nie udeptane będzie tylko to,
gdzie przystaną zmęczone czekając na przyjście
nowych swoich kompanij, których wiele szło

na cmentarze żołnierskie. Opadł pierwszy liść
— na udeptaną ziemię wezwały nas krzyże
i wiele pojedynków my przegrywaliśmy. —
Opadał pierwszy liść — gdzieś w chacie dziewczyna

krzyknęła, gdy z jej dłoni kartkę kalendarza
szum wielki wyrwał nagle — olbrzymią i krwawą
niby kartę historii.

ZIMA

Może mi los pozwoli — jak gwizd dorożkarza
po ulicach, po deszczu, po kłusie
strofy moje w tym wierszu poczłapią
po tym mieście, po ziemi, choć w kamień obutej.

O miasto moje!
— rąk załamanych tam bramy smutne prowadzą.
Znam ja ich wiele, lecz może zbłądzę
i wózkiem strofy, rymem kozaczym

rytm się zatrzęsie w wybojach cierpień,
to wtedy może tę brodę wspomnień
dostojnie siwą ostro skaleczę,
goląc ją słowem z twarzy pokoleń,

które całować chcą rzeczywistość i kochać ją.
Może skaleczę? Jedźmy. O, dziwne
stoją tu domy — ściany ponadto
mają podwójne — nie, chyba mylę —

mają potrójne. O, niby z kart,
ściany nierówne — przecież są z wspomnień
ludzi tak różnych, tych, których świat
wielki zagarnął spod gruzów domów.

Ta ściana, jasno drżąca w upale
— ktoś ją wspomina w piachów gorączce,
tam, gdzie nie brzozy szumią a palmy,
a druga siwa, inaczej drżąca

to z syberyjskich mrozów i nocy
w świetle księżyca, z westchnień i szronu,
a tamta z mgły jest — tamta to Londyn,
a ta ostatnia to wojewodów

kamień węgielny, jedna cegiełka,
westchnienie ciężkie i łza jak pieniądz
toczy się cicho po chciwych rękach.
Jedziemy dalej — tylko kamieniom

drżą jakieś ręce kiedy je rzucam
na te ruiny, gdzie pacierz klęka
zawsze i ciężko na wargach ludziom
— ich po ramieniu klepała męka,

teraz zgarbieni... Jedziemy dalej.
Już coraz zimniej — widać westchnienia
jak lecą cicho w obłoku pary,
już śniegu płatek zimny jak ziemia

nocami skrzypi jak wielki wóz
— i płyta szyby zna te melodie.
Szyby zamarzły i darmo wróble
chcą je rozświecić ćwierkaniem głodnym.

Oto jest zima — jest rok czterdziesty.
Gdy dzień już do dna wyczerpią oczy
wrogów błądzących, ciekawych nędzy
— nadciąga wieczór. Daremnie nocą

ostatni tramwaj wiezie światełka,
gdy w górze stoi zbyt Wielki Wóz,
aby do miasta ciemnego wjechać
przez załamanych rąk bramy puste.

W nocach gdzieś głucho dudnią pociągi
— te wiozą światła i oczy tamtych
tak pełne ruin, że gdzie odpoczną,
domów spalonych wstaną obrazy,

aż im pochłoną ojczyste miasta
— to będzie koniec, lecz teraz mów...
Świtem syreny. Kominów banda
wstaje w półmroku, idą pod mur

ponurych fabryk. Trud niewolniczy.
Południe teraz. Wśród muzykantów
— tango przejechane przez sygnały aut
jęczy na rękach harmonisty.

Wieczór się zbliża. Piękny jest cicho.
Już się ściemniło,
uszy mróz szczypie w siwe policzki
— ach, dolej jeszcze szklankę, chociaż noc już siwa.

Świt — już syreny. Kominów banda...
— ale ponad tym wszystkim jest pięść:
ręka zwinięta jak przez obawę,
że z niej złe oczy wywróżą śmierć.

SIERPIEŃ

Mury choć stały głuche podsłuchały szept
spiskowców ponad bronią, dziewcząt pełnych serc
spłoszonych, ale mężnych. A czas wtedy szedł,
coraz prędzej ku górze, której imię: sierpień.

Kamień głuchy lecz słyszał, choć było daleko,
jak mówili: wybuchnie, jak mówili: z krwi,
i dłonie zacierali i mówili: prędko,
— a Londyn wokół słuchał owinięty w mgły!

Kamień głuchy szedł jednak ciągle — stroną tą,
gdzie stały już płomienie chybotliwie drżąc.
Domy sunęły cicho — jest lipcowa noc,
ostatnia noc lipcowa otulona mgłą.

Na świerszcza cienkich skrzypcach ciemność się nie mieści
więc spływa. Idą świerszcze. Grają. Lato jeszcze będzie,
w którym ciemność się cicho kładzie pod powieki,
— już słońce ich nie dźwignie idące po niebie.

Idą świerszcze. I grają. Ciemność tną na części,
smykiem głosu cieniutkim wycinają serce
— a to właśnie jaśnieje to uszko dziewczęce,
które słucha tej nocy na balkonie ciemnym.

Miasto idzie — posłuchaj. Elektryczny grzejnik
wraź w usta swemu Bogu, aby krzyczał na wschód
wniebogłosymi chmury. Miasto prędzej biegnie.
Słuchaj — już dzień nadchodzi ku twojemu miastu.

Elektryczne lampiony, słuchaj muzyki,
niech ci zagra patefon w gwiazdy rozstrojone
zbliżającym się świtem. Wypij jeszcze, wypij!
Tramwajem jutro jedziesz na daleką wojnę.

Świerszcze grają. Szumiały kiedyś sosny proste,
myślały, że na trumnę wyrosną młodemu,
lecz mury podsłuchały i prędzej wyrosły.
Noc lipcowa się kończy — świerszczom skrzypce pękły.

A mury już śpiewały taką pieśń płomieni:
„nie dla nas oka błysk, gdy młody robotnik
przeciera oczy ostre swym mocnym ramieniem,
aby ich nie zalały mężne fale potu.

Nie dla nas zębów błysk i ust,
kiedy chcą usta drugie znaleźć i pamiętać,
i gdy sięgają czerwonych nut
aby napisać, że są, że piękne.

Nie dla nas świecy małe płomienie
kiedy poeta noc opisuje.
— My, mury ciemne, mury wojenne
chcemy płomieni, które zbudują

pięść zaciśniętą nad kroplą krwi".
Tak się miał czas dopełnić, co budował czoła
ze zmarszczek bólu prostych, w których tylko myśl
o śmierci mieszkać chciała hucznie i wesoło.

W KRAJU WYSOKICH SYREN

Za drutami pękła bazia wierzbowa
— przytulili się do ziemi drżąc — słyszał kto?!
Tylko niebo wybuchło nagle i wesoło,
ptak je trzymał i puszczał pieśni tnąc

i rozdając tym dwom — w rowie — niepodległym.
Taki pierwszy dzień ucieczki: piękny, młody,
ale przecież już za kusy garniturek zmierzchu
i już widać porankowi dwie dłonie: jeziora.

Już odeszli kilometry, kiedy ich dosięgło
kilka syren nagle lotnych, które dobrze znali
— to syreny samoloty wciąż wabiły,
które często już krążyły nad posępnym krajem.

O! — wysokie były, piękne, bardzo młode
i wołały, biegły i wołały wciąż,
ale tamci w lufach serca wozili chłodne
— więc wołały, biegły i wołały w głos.

I syrena wabiła. Teraz woła także
i idą dwaj beztrosko po twym Vaterlandzie,
który masz ciągle w myślach, więc idą i radzą
niby wśród twego mózgu i myśli bezładne

wzniecają pod twą czaszką — tak się kończy wódz
— z każdym krokiem tych dwóch tam syreny wołają
i śpiewają w powietrzu i wzbijają w ruch
serca młodych pilotów, których pokochały.

Przez kraj wysokich syren ciągnęli na Wschód,
a syreny im do snu młodego śpiewały,
gdy spali gdzieś w pastucha opuszczonej budzie,
lub w stodole, gdzie tyle tylko było siana,

ile o nim myśleli zziębnięci i źli.
Przez kraj wysokich syren, przez kraj co urodził
ludzi, którzy swe ręce obmywali z krwi
mydłem z ciała ludzkiego. Syreny! — wesoło

zawołajcie! usłyszą. Przecież krew nie woda.
To był już dzień ostatni. Widzieli obydwaj,
że zaraz przyjdzie armia, której usta poda
syrena, która krzyczy. I wtedy — zamilknie.

Sandbostel—Paryż—Warszawa, 1945.

WOJNA ZA FRONTEM

(FRAGMENTY PAMIĘTNIKA)

LIKWIDACJA ŻYDÓW

Melodia hebrajska (z Bajrona)

Płaczcie tych, co nad Fratu płakali strumieniem,
Których ołtarz ruiną, Ojczyzna marzeniem,
Płaczcie — strzaskana Judy harfa nieszczęśliwa —
Płaczcie — bo gdzie Bóg mieszkał, bezbożnik przebywa.

I gdzież wreszcie Izrael krew nóg swych obmyje?
I kiedyż hymn Syonu przestanie być jękiem?
Kiedyż znów o zbolałe serca się odbije
Ta pieśń Judy, co świętym poiła ich dźwiękiem?

Gdzież spoczniecie i w którą udacie się stronę,
O błędne pokolenia, niegdyś Bogu miłe,
Ptaszek ma swoje gniazdo, dziki zwierz zachronę,
Wszyscy mają Ojczyznę — Izrael mogiłę.

Franciszek Morawski

Jesień, zima i wiosna r. 42/43 były okresem największych okrucieństw i zbrodni masowych, nie tylko w czasie tej wojny, lecz największymi i najbezwzględniejszymi, jakie zna historia świata — naprawdę totalnych. W żadnej innej dziedzinie rekord niemiecki nie osiągnął takich rezultatów, jak w dziedzinie systematycznie zorganizowanego pastwienia się nad bezbronną ludnością t. zw. Generalnej Gubernii, w szczególności nad Żydami, aż do całkowitego prawie wytępienia ich. Nie wiemy w tej chwili dokładnie, co działo się poza naszym krajem, nie ulega jednak wątpliwości, że znając zasady planowania niemieckiego, przypuszczać należy, iż cele, metody i realizacja były wszędzie te same, lub podobne.

Do tego czasu odbywało się torturowanie i mordowanie ludzi wybitnych, przeszkadzających okupantowi przez samo swe istnienie w jego zamierzeniach opanowania kraju, dalej ludzi należących do konspiracyjnej roboty, a następnie nieposłusznych zarządzeniom władz niemieckich, wreszcie olbrzymiej ilości ludzi właściwie niewinnych, nawet w myśl przepisów okupacyjnych. Poza tym odbywały się sporadyczne rozstrzeliwania różnych, jak najbardziej przypadkowo dobranych grup więźniów i zakładników, w myśl t. zw. zasady odpo-

edzialności zbiorowej, stosowanej w odpowiedzi za zabicie żandarma czy żędnika niemieckiego pastwiącego się nad ludnością polską.

Teraz rozpoczął się okres systematycznego likwidowania, bez pardonu i bez yjątku, całego narodu żydowskiego i nawet ludzi pochodzenia żydowskiego, ioćby chrześcijan od urodzenia, o ile babki ich nie były chrześcijankami, wyordowywania masowego ludności wiejskiej przeważnie chłopskiej, (o miastach ie piszę, bo nie mam danych), pod różnymi pozorami i z różnych powodów, raz masowego przesiedlania jej z odwiecznie zamieszkałych ziem.

Jak już wspomniałem we wstępie do niniejszej pracy, podaję tylko zdarzenia ezpośrednie, lub dobrze mi znane, dziejące się na terenie, w którym w danej hwili przebywałem i zawsze w miarę możności sprawdzone. Te obserwacje dorowadziły mnie m. in. do takiego spostrzeżenia w sprawie likwidacji Żydów, e nie odbywała się ona jednocześnie ani według jednego systemu, co jest dziwne lla niemieckiej, kapralskiej mentalności, lecz może mieć uzasadnienie w jakichś hytrościach i podstępach natury politycznej, albo względach taktyczno-technicznych.

A więc, gdy w końcu 41 roku Żydzi w Warszawie już od roku siedzieli za murami ghetta, które były murami nienawiści i pogardy, Żydzi w Sandomierzu Zawichoście byli jeszcze wolni, mieli swoje sklepy, handlowali, zarobkowali poruszali się swobodnie po mieście. Prawie w rok później w stosunku do Żydów sandomierskich, a w dwa lata później do Żydów warszawskich — Żydzi w Miechowskiem nadal nie znali ghetta, ani większych ograniczeń handlowych. Toteż w lecie 42 r., gdy już przebywałem w Pławowicach, widziałem na folwarku młodych Żydów prowadzących konie na sprzedaż (tak jak przed rokiem w Czyżowie), a w sklepach proszowskich można jeszcze było u Żydów dostać wiele towarów wyborowych, m. in. kawę i herbatę i mydło przedwojenne i pończochy jedwabne damskie i dobre sukna bielskie, a nawet i oryginalne angielskie. A Żydzi kupowali jeszcze zboże i udzielali potrzebującym ziemianom pożyczek, oczywiście w przeliczeniu na zboże lub cukier. I tak było do listopada 1942 r.

Lecz już w początku jesieni codziennie prawie przyjeżdżały do miasteczek ekspedycje gestapo czy innej władzy, szerząc wśród Żydów popłoch zapowiedzią utworzyć się mających ghett. Najsutsze i najtłuściejsze libacje, jakie urządzały dla tych delegacji *Judenraty*, będące przedstawicielstwem Żydów w każdym mieście i miasteczku i codzienne grube łapówki w postaci sztuk sukna, płótna, jedwabiu, dalej złota i biżuterii, poza tym gęsi, kaczek, kur i niezliczonej ilości butelek wódki i wina — odsuwały tylko termin, lecz sama zagłada postanowiona była i nieunikniona.

A Żydzi łudzili się jeszcze interwencją Anglii i Ameryki, które za pośrednictwem jednego z państw neutralnych wywiozą ich stąd, względnie obronią ich groźbą bombardowania Niemiec. Te i tym podobne medytacje rodziły się w zrozpaczonych głowach, pełnych złych przeczuć. Nie zdawali sobie sprawy w swoim nieszczęściu, że nikt ich nie przyjmie, nawet gdyby Niemcy ich wypuścili.

Pogrom ostateczny narodu żydowskiego został zapowiedziany wyraźnie i niedwuznacznie w mowie Hitlera z 30 września 1942 r. „Żydzi kiedyś i w Niemczech śmiali się z moich przepowiedni. Nie wiem czy się jeszcze śmieją, czy też odechciało im się już śmiania. Lecz i teraz mogę ich tylko zapewnić: odechce się im śmiania wszędzie i te moje wróżby sprawdzą się". Dr Goebbels, „Wielki Mistrz" propagandy, powiedział jeszcze wyraźniej: „Jest zdumiewające, z jaką naiwnością, aby nie powiedzieć niepojętnością *(Ahnungslosigkeit)*, dzisiaj jeszcze, w czwartym roku tego gigantycznego zmagania się, niektóre koła w Europie ustosunkowują się do sprawy żydowskiej. Nie chcą i nie chcą uznać, że ta wojna jest wojną rasy żydowskiej i jej narodów pomocniczych przeciw ludzkości aryjskiej, jak też kulturze i cywilizacji zachodniej. Przy tym jest to poza wszelką wątpliwością, że gdybyśmy okazali w rozwiązaniu problemu żydowskiego, szczególnie teraz, w przebiegu tej wojny, choćby najmniejszą słabość, moglibyśmy tym samym w pewnych okolicznościach sprowadzić najcięższe niebezpieczeństwo na nasz naród, państwo i całą Europę... Gdyż ta wojna jest wojną ras. Wyszła ona od żydostwa i zmierza w swoim sensie i według swego planu nie do innego celu, jak zniszczenia i wytępienia naszego narodu".

Gdy się przyjmie przesłanki, wniosek jest jasny. Żydzi muszą być wytępieni, Żydzi przestaną istnieć. A w specjalnym artykule o Żydach dr Goebbels nie tylko „pogłębił" te ideologiczne podstawy, ale dał pełne rozgrzeszenie, przed ostateczną likwidacją Żydów, wahającym się i wątpiącym. Reszta poszła już łatwo, prawie mechanicznie, według programu i rozkazów opracowanych przez specjalny wydział pod kierunkiem Himmlera. A dr Ballensiefen, kierownik niemieckiego „Instytutu naukowego do badań nad kwestią żydowską", wygłaszał po całych Niemczech odczyty o Żydach, jako podżegaczach nowej wojny światowej. Zaś uczeni niemieccy pod przewodnictwem prof. dr Theodora Scheffera zorganizowali na uniwersytecie w Jenie specjalny cykl wykładów o szkodliwości rasy żydowskiej.

W myśl tego planu zaczęto natychmiast w Warszawie wywozić z ghetta po kilka tysięcy Żydów dziennie a potem i więcej! Dokąd — nikt nie wiedział. Rzekomo na jakieś roboty na wschodzie. Po jakimś czasie dopiero wydało się, że wywożono nieszczęsne ofiary w zaplombowanych wagonach, natłoczonych ponad ludzką wytrzymałość i w potwornych warunkach higienicznych (toteż przywożono zazwyczaj większą ilość trupów lub półumarłych), do ustronnych dalekich lasów, gdzie ich gromadnie mordowano, każąc im przed tym kopać dla siebie groby wśród scen rozpaczy przechodzących wszystko, co znały dzieje martyrologii ludzkiej. Albo wywożono ich gdzieś pod Bełżec, a potem do Treblinki, Majdanka lub do Oświęcimia, gdzie w naukowo i pomysłowo skonstruowanych komorach masowo zagazowywano ich trującymi gazami, a potem spalano w specjalnych olbrzymich piecach. Z tłuszczu ludzkiego wyrabiano rzekomo mydła i preparaty chemiczne, a z kości ludzkich jakąś mączkę. Aczkolwiek te ostatnie wiadomości wydają się być tak nieludzkie, że aż nieprawdopodobne, jednak są możliwe, bo i nam w pierwszej fazie wiadomości o komorach gazowych i krematoriach wydały się również niewiarogodne, zmyślone

fantastyczne. Nie mieszczą się one w umyśle normalnego człowieka, lecz umysłach i sercach tej kanalii ludzkiej obłąkanej desperackim szałem nienaliści może się wszystko pomieścić, w przeciwieństwie do słynnego powiedzenia Rousseau: „Ciasne serca nie czują nigdy pustki, bo zawsze są wypełnione czym".

W ostatnich dniach października zaczęło się już rabowanie legalne i nielegalne Żydów w Miechowskiem. Legalne odbywało się tak, że np. naznaczano minie żydowskiej kontrybucję 50 000 zł płatną w ciągu dwóch dni, jako karę za to, że rynek nie był dobrze wymieciony po jarmarku (a sprzątanie ulic i placów należało wyłącznie do Żydów). Innym razem nakazano, oczywiście w trosce o Żydów, by gmina żydowska urządziła w ciągu kilku dni szpital dla zakaźnie chorych, a gdy po kilku dniach „Komisja" stwierdziła, że brak jakichś narzędzi czy naczyń, których nigdzie nie można było dostać, nakładała karę za „sabotaż" w wysokości 30 000 zł. A poza tym przyjeżdżały prawie codziennie samochody z dwoma czy trzema dygnitarzami z Miechowa lub z Krakowa i zabierano najbogatszym kupcom żydowskim najcenniejsze towary, obżerając się dodatkowo i opijając na koszt *Judenratu.*

Toteż bogatsi Żydzi umieścili cenniejsze towary po znanych sobie dworach i u mieszczan (rzadziej u chłopów), polecając je prawie tymi samymi słowami, co Jankiel pani Strażnikowej w „Złotej Czaszce": „Ja nie wiem, Żydów może będą wieszać, albo rozbijać — niech wielmożna pani przyjmie na skład kilka z mych towarów, ja nie chcę kwitu — niech leżą u JWPani w bezpieczu". I oczywiście nie dostawali kwitów. Niektóre z tych towarów Niemcy poznajdywali i zabrali, inne przechowywano starannie, inne wyprzedano na życzenie właścicieli, ale były też i osoby, które po jakimś czasie nie umiały się ściśle wyrachować z depozytów, albo — jak pewien dziedzic z pod Koszyc, który wręcz zaprzeczył cudzej własności, co mu nie wyszło na dobre, bo go tak obito kilkakrotnie i grożono dalszymi represjami, że zmuszony był przenieść się w inne strony.

Wreszcie w pierwszych dniach listopada ogłoszono specjalnymi, wielkimi afiszami (sam je kilkakrotnie w Brzesku Nowym czytałem) z podpisem zastępcy *Kreishauptmanna* Schmidta, że w dystrykcie krakowskim tworzą się ghetta w takich a takich miastach i że Żydzi muszą opuścić swoje dotychczasowe miejsca zamieszkania przed końcem listopada i przenieść się dobrowolnie do jednego z naznaczonych miast. W razie sprzeciwu grozi im przeniesienie przymusowe, bez rzeczy, wzgl. kara śmierci.

Po tym ogłoszeniu Żydzi brzescy jeszcze nie stracili nadziei i łudzeni przez perfidnego szefa gestapo ofiarowali mu wielokaratowy brylant. Po czym w dwa dni później w nocy z 8-go na 9-go listopada otrzymały dwory i gminy wiejskie w okolicy Brzeska telefoniczne polecenie, by dostarczyły do miasteczka na 6-tą rano razem 150 podwód, przygotowanych do wyjazdu do Miechowa.

Większość Żydów, mimo uspokajających afiszów i mimo przyrzeczeń gestapowców, dowiedziawszy się o tym zarządzeniu, uciekła w nocy z miasta, rozbiegając się po okolicznych wsiach, lasach i sitowiach. Z 900 Żydów zamieszka-

łych w Brzesku Nowym, zostało około 350, przeważnie starców, kobiet i dzieci, których wywieziono na 60 furmankach do Miechowa. Rzucanie na wozy przerażonych starych Żydów, niedołężnych i bezradnych kobiet i nieletnich dzieci odbywało się w sposób tak brutalny, że tylko ludzie bardzo mocni nerwowo wśród ludności brzeskiej wytrzymywali ten widok i ten krzyk.

Zaraz pierwszego dnia zastrzelono na miejscu 37 osób, które ociągały się z wyjazdem i uciekały w ostatniej chwili, lub jako ciężko chore znajdowały się w łóżkach Dzieci odłączano od matek i rzucano nimi z wozów lub na wozy, chwytając je za nogi lub za włosy. Płacz i jęki zmieszane z modlitwą miały w sobie grozę biblijną.

Następnego dnia wywieziono dalszych 200 Żydów i Żydówek, którzy się dobrowolnie zgłosili. Jazda do Miechowa była tak koszmarna, że jeden z fornali, z którym rozmawiałem po powrocie z Miechowa, powiedział mi, że teraz opowiadać nie może, „bo pod sercem go boli, gdy to wspomina". W kilka tygodni później opowiedział następujące szczegóły: Jeden z oprawców, jadąc razem z Żydami na jego wozie, bił ich przez cały czas twardym rzemieniem po głowie i po twarzy bez względu na wiek i płeć i bez wykluczenia dzieci. Po drodze strzelano z wozów lub goniono za Żydami kryjącymi się po rowach i wiklinach tej mało lesistej okolicy. M. in. zabito dwoje dzieci, a matkę ich raniono w ten sposób, że kula uderzyła w jedną skroń i wyszła drugą. Kobieta żyła, lecz oślepła. Tak ją z trupkami dzieci zostawiono, a wozy ze skazańcami pojechały dalej!

Co się działo z tymi nieszczęśliwymi wśród całodziennej drogi, to może oddać pisarz tylko najżywszej wyobraźni. Opowiem jeszcze do końca historię tej oślepionej matki. Cały dzień leżała na polu — a był to pierwszy dzień mrozu — przy skostniałych ciałkach dzieci. Gmina kościelecka, ponieważ stało się to na jej terenie, zwraca się do Miechowa z zapytaniem, co ma zrobić z oślepłą, ranną kobietą. Odpowiedź krótka i stanowcza, żeby komendant policji polskiej ją dobił. Komendant odmawia, jego podkomendant również, nawet żandarm niemiecki, stacjonowany chwilowo w Kościelcu odmawia. Wobec tego przychodzi polecenie, żeby ją odwieźć do szpitala. W szpitalu przyjąć nie chcą. Wobec tego wiozą ją do *Kreishauptmanschaft* miechowskiego, gdzie ją nareszcie dobito.

A niebios... niebios
błękitne framugi,
Jakby o zdjętych nie
wiedziały głowach,
Patrzały na to cicho —
obojętne!
Mnie się wszelako
zdawało, że smętne!

W tej samej gminie znaleziono przy jakimś zastrzelonym Żydzie 900 zł, które wójt po naradzie z sekretarzem odnosi i oddaje żandarmowi niemieckiemu,

mu samemu, który tak po ludzku zachował się w poprzednim wypadku. Żandarm przyjmuje pieniądze z zadowoleniem i pochwałą, polecając wójtowi, żeby odkopano trupa i dobrze zrewidowano ubranie i trzewiki, bo tam mogą jeszcze być pieniądze ukryte.

Z pośpiechem niebywałym, bo już 11-go listopada, tj. na drugi dzień po wywiezieniu drugiej partii Żydów, rozpoczęła się w Brzesku Nowym wyprzedaż przez licytację rzeczy i mebli żydowskich, o ile nie zostały rozkradzione i rozgrabione przez rzezimieszków i hałastrę małomiejską — w ciągu pierwszej i drugiej nocy. Rzucono się ku tej licytacji z taką pożądliwością i z taką żarłocznością, że gawiedzi małomiejskiej i chłopskiej aż oczy na wierzch wyłaziły i ślina zasychała na ustach. Nie czuli niestety całej ohydy. W ciągu dwóch dni — tyle czasu trwała licytacja — z wieloletniego dobytku setek ludzi nie zostało ani strzępa. Niektórzy mieszczanie i chłopi bogacili się z godziny na godzinę, kupując bez godności zrabowane rzeczy i z tryumfem i szczęściem niewysłowionym — taszczyli, dźwigali i wieźli zapluskwione kanapy, secesyjne łóżka, pokraczne szafy, lustra w pluszowych ramach, tandetne kredensy, krzesła o trzech nogach i brudne bety żydowskie. Żal było szczególnie tych piastowskich strzech, które zapełniły się tym moralnym i estetycznym plugastwem.

Opowiadano mi, że jeden z ukrywających się Żydów, gdy wrócił po kilku dniach do swego pustego mieszkania, wybuchnął takim rykiem, że obcy i obojętni ludzie nie byli w stanie słuchać tego spokojnie.

Około czterystu Żydów, zbiegłych z Brzeska Nowego, ukrywa się przeważnie po dworach, u chłopów i służby folwarcznej. W jednym dworze na strychu, nad stajnią dano schronienie 18 osobom. Żywiono ich raz dziennie ciepłą zupą i chlebem. Brakowało im szczególnie wody, której dostarczyć było trudno bez zwracania uwagi. Warunki higieniczne straszne. Po tygodniu ludzie ci zmienili się nie do poznania. Jednocześnie niebezpieczeństwo ukrywania ich stawało się coraz większe, gdyż konspiracja była utrudniona przez to, że zbyt wiele osób musiało być wtajemniczonych, a już znaleźli się szpicle z własnej, nieprzymuszonej woli, którzy, zwęszywszy coś, zaczęli śledzić i odgrażać się, że zadenuncjują.

Wobec tego nie było innego wyjścia, jak zawiadomić nieszczęśliwych skazańców, że muszą nocą przenieść się w inne miejsce. I tak się też stało. Na szczęście, bo już na trzeci dzień dowiedziano się od wciągniętej przymusowo do wyłapywania Żydów w Brzesku Straży Pożarnej, której naczelnikiem był rymarz, gorliwie oddany tej sprawie, że już mieli rozkaz przeszukania rzeczonego majątku. Tułacze zaś schronili się do wikliny nad Wisłą pod Bebdowem, gdzie w kilka dni później Straż Pożarna wraz z dwoma przedstawicielami SS wytropiła ich na skutek czyjegoś donosu. Spędzono ich do Brzeska, a stąd odwieziono do Miechowa, gdzie całą partię natychmiast wystrzelano, z wyjątkiem kilku osób, którym udało się uciec po drodze.

Tych uciekinierów szantażują znowu niektórzy młodzi wiejscy nicponie, odbierając np. dwom Żydówkom inteligentnym z Krakowa 200 zł za milczenie. Zaś na drugi dzień rano inni grabieżcy wiejscy odebrali ukrywającym się ko-

bietom resztę pieniędzy (400 zł) oraz zawiniątko z bielizną. A biednemu poczciwemu krawcowi z Brzeska, który w czasie ucieczki odnosi dworom i chłopom materiały, powierzone do roboty, chłopcy wiejscy zabrali paczkę z bielizną osobistą i jedzeniem. Jednocześnie kowal dworski i paru gospodarzy przechowywali u siebie kilku Żydów przez noc, poza tym dali im jeść i pozwolili się ogrzać, lecz nic więcej uczynić nie mogli, bo groziła im kara śmierci za ukrywanie.

W jednym dworze znany przed wojną antysemita ukrywał przez jakiś czas kilkunastu Żydów. I wiele dworów to czyniło, lecz obawa przed terrorem niemieckim była tak silna, a ukrywanie przez czas dłuższy było do tego stopnia niemożliwe, że nawet najbardziej po ludzku usposobione dwory musiały po kolei likwidować te schronienia.

Sytuacja zaś tych resztek jeszcze nie wyłapanych jest beznadziejna. Co mają robić, gdzie się ukryć? Bogatsi uciekli do Krakowa, do Tarnowa, do Bochni i do czasu kryją się. Ale biedniejsi, tropieni i strzelani jak psy wściekłe na miedzach i pod brodłami, giną od szantażów i donosów, a inni od chorób i zimna, po kilku nocach przebytych w wiklinach nadrzecznych, gąszczach i lasach, a inni wreszcie wyczerpani do ostatka sił, sami się zgłaszają i oddają w ręce swoich siepaczy i katów.

W Nagorzanach, w majątku p. Thugutta, przyjechał na czyjeś doniesienie żandarm niemiecki z dwoma policjantami granatowymi, którzy poszli przed świtem wprost pod brodło, gdzie ukrywało się trzech Żydów i dwie Żydówki. Zastrzelono ich we śnie, a ludzie z folwarku ograbili momentalnie pozostałości po zabitych.

Hanka Singer, Żydówka z Mysławczyc, mówiąca wzorową polszczyzną, z rodziny tu dawno osiadłej, znanej i lubianej (ostatnio kupowaliśmy od niej śliwki suszone), gdy ją złapano w sąsiednich Piekarach, prosiła o jedno, by mogła umrzeć na swojej ziemi w Mysławczycach. Żandarmi poszli z nią, lecz nie doszedłszy do celu, zastrzelili ją po drodze.

Do dworu p. Tekli Konarskiej w Topoli przyszedł pewnego dnia bezradny dziesięcioletni żydek Jakubek, którego rodziców zastrzelono. Ulitowano się nad sierotą, przyjęto go i powierzono mu przy pastuchu — pasienie owiec. I tak przetrwał szereg miesięcy. Gdy jednak nadszedł czas ostatecznego wytępienia Żydów i gdy rozniosła się wiadomość, że ma się odbyć rewizja całej okolicy — dano chłopcu 1000 zł, nowe buty i radę, żeby się umieścił gdzieś poza dworem. Chłopiec poszedł. Za parę dni wrócił jednak, gdyż okazało się, że nikt go nie chce przyjąć ani nakarmić, ani nawet sprzedać niczego z obawy przed Niemcami. Jedną noc przespał pod brodłem, a drugą włóczył się po polach. Cóż było robić? Pozwolono mu spać na strychu nad oborą. Naiwny chłopak pokazywał jednak wszystkim to co otrzymał: 1000 zł i buty. Rano znaleziono go nieżywego, szyję miał mocno okręconą drutem. I tak zginął mały Jakubek, a z nim i jego skarb.

O charakterze prawie anegdoty jest ta historyjka o Żydzie, który uciekł do miasta, znalazł schronienie, lecz gdy niespodzianie przyszła policja, schowano go do szafy. Po wyjściu policji, która przyszła z mandatem karnym za nie-

dokładne zaciemnianie okien, okazało się, że Żyd tymczasem umarł w szafie na anewryzm serca. Przerażeni właściciele mieszkania, nie mając innego wyjścia, wynieśli w nocy trupa na schody i tam go zostawili. Rano trupa nie ma, w domu cisza. Dopiero następnego dnia rozeszła się po domu wiadomość, że jakiś nieznany Żyd powiesił się na strychu. — Jeżeli nawet opowiadanie to jest zmyślone, niemniej charakterystyczne w swej tragicznej groteskowości.

Komendant policji granatowej w Brzesku Nowym, wobec znalezienia tam Żydówki z dwuletnim dzieckiem, otrzymuje od władz niemieckich rozkaz zastrzelenia Żydówki (co zostało natychmiast wykonane) i otrucie dziecka. Komendant zwraca się za pośrednictwem sekretarza gminy do lekarza miejscowego, by ten zapisał odpowiednią receptę. Spotkanie z lekarzem odbywa się w restauracji i doktor ulegając usilnym namowom sekretarza, który dowodzi, że sprawa dziecka jest nie do uratowania, natomiast niewykonanie rozkazu narazi gminę, komendanta oraz lekarza na poważne konsekwencje — pisze receptę o takim składzie, że dziecko zasypia wprawdzie mocno, lecz po jakimś czasie budzi się w śmiechu. Wtedy komendant zwraca się już osobiście do lekarza, przedstawia mu przymusową sytuację opartą na terrorze i mimo tych argumentów nie uzyskuje żądanej recepty. Wobec tego udaje się komendant wprost do apteki miejscowej z rozkazem wydania trucizny dla dwuletniego dziecka, lecz apteka odmawia. Nie mając rzekomo innego wyjścia, na polecenie komendy policji niemieckiej w Miechowie sam komendant zastrzelił dziecko, czy też dał rozkaz zastrzelenia jednemu ze swych policjantów. A ma do pomocy kilku, którzy zaprawieni w rzeziach żydowskich nie mają już żadnych skrupułów.

Tenże komendant policji cieszy się wśród okolicznych dworów opinią dobrego Polaka (pono były oficer armii czynnej) i porządnego człowieka, postawionego w tragicznym położeniu, z którego wyjścia nie ma, gdyż niewykonanie jakiegokolwiek rozkazu grozi śmiercią nie tylko komendantowi, lecz i całej jego rodzinie. Również w razie jego ucieczki grozi całej rodzinie śmierć. Oto integralny demonizm, zrodzony z etyki i ideologii nacjonalnego socjalizmu!

Opowiadano mi też o zdarzeniu autentycznym, dla mnie najbardziej ze wszystkich wzruszającym. Do komendanta policji polskiej w miasteczku zgłasza się w połowie grudnia stary Żyd, umęczony i zagłodzony. Na pół żywy ukrywał się w pieczarach i wiklinach nad Wisłą przez kilka tygodni. Prosi teraz komendanta policji, by go zastrzelił. Komendant odpowiada, że tego nie zrobi, lecz odeśle go do żandarmerii w Miechowie. Żyd pada na kolana i łkając błaga, by go zastrzelił na miejscu. Wtedy komendant wyjaśnia mu, że skoro jest zdecydowany na śmierć, to i Niemcy nic innego mu nie zrobią. Na to nieszczęśliwy starzec odpowiada: „Ja się nie boję śmierci, ja się boję Niemców!" Czyż nie jest to najwyższy tryumf „idei" hitlerowskiej! Przezwyciężenie strachu przed śmiercią! Bo jest coś groźniejszego... Swastyka!

Słychać też, że coraz więcej Żydów popełnia samobójstwa lub popada w obłęd. Tych ostatnich, równie jak starych i chorych, zabijają zbiry na miejscu lub gdziekolwiek po drodze i trupy zostawiają nie pochowane na polach.

A co się dzieje z tymi, których wywieźli — nie wiadomo. Przypuszczenia są najtragiczniejsze. Np. przyszła wiadomość któregoś dnia w końcu listopada z Kazimierzy, że zabito tam jednego dnia 280 mężczyzn, kobiet i dzieci żydowskich. Wozami wieziono ich partiami po kilkadziesiąt osób do lasu słonowickiego, tam kazano im kopać groby, ustawić się nad nimi, rozebrać się, po czym kilka salw i koniec. Jeszcze żyjących często i tylko rannych musieli zakopywać junacy polscy z t. zw. *Baudienstu*. A ubrania pomordowanych wysyłano po dezynfekcji na kresy wschodnie jako... premie zbożowe dla... przyjaciół Ukraińców. Przy jednej z takich egzekucyj dnia 20. 11. jeden z Żydów rzucił się na zastępcę *Kreishauptmanna*, tego, który zajmował się specjalne likwidacją Żydów w Miechowskiem i poderżnął mu nożem gardło, jednak nie śmiertelnie, bo Schmidt, odtąd nazywany „ten poderżnięty" dla odróżnienia od innego Schmidta, po kilku tygodniach znowu urzędował.

W tej samej Kazimierzy jeden z Żydów zmaltretowanych psychicznie do ostatnich granic zwrócił się z prośbą do jednego z oprychów, by go zastrzelił od razu. Niemiec z poczciwym uśmiechem odrzekł: „Możesz być spokojny", po czym strzelił tak, by go tylko ranić. Powtarzał te strzały pięć razy i dopiero za szóstym zabił biedaka, wijącego się w bólach i ociekającego krwią z licznych ran.

Jednego z takich dni po wystrzelaniu kilkudziesięciu ludzi poszło kilku SS-ów do dworu pp. Łubieńskich w Kazimierzy i zażądało od administratora majątku koni do Miechowa. Administrator formalista, trzymając się ściśle rozporządzeń, że konie należy dawać tylko za pośrednictwem gminy — odmówił. SS-si kazali się zaprowadzić do dworu, a nie zastawszy właścicieli zaaresztowali siostrę p. Łubieńskiej, p. Różę Platerową, wysiedloną z Litwy i zapytali o jej męża, również chwilowo nieobecnego, a bawiącego w Krakowie. Dowiedziawszy się adresu dali telefonicznie rozkaz zaaresztowania go, po czym kazali się dzieciom p. Platerowej pożegnać z matką, gdyż jej już nigdy nie zobaczą — jak oświadczyli — i zabrali ją ze sobą do Miechowa.

Po drodze naradzali się pijani krwią oprawcy głośno i sadystycznie, czy mają ją pochować w grobach żydowskich, czy gdzie indziej. Jeden twierdził, że jest za wysoka (dość powiedzieć *de domo* Czapska) i tam się nie zmieści, natomiast radził po drodze inne miejsce. Wśród takich rozmów dojechali do Miechowa, gdzie umieszczono ją w więzieniu obok innych ofiar terroru i zwykłych wiejsko-miejskich szumowin. Jednocześnie zaaresztowano w Krakowie męża i syna osiemnastoletniego. Wszystkich po dziesięciu dniach zwolniono, po zainkasowaniu oczywiście poważnej łapówki.

Taki stan trwał długie miesiące zimowe, wiosenne i letnie już 1943 r. Tych Żydów, których nie pomordowano, którzy nie pomarli z głodu i chorób, których nie zagazowano w obozach — zamknięto w ghettach i obozach pracy. Wybrano do roboty ludzi młodych, zdrowych, silnych i specjalnie wykwalifikowanych. Jednak z końcem lata i im ostateczny koniec wyznaczono. Z Krakowa wywieziono już prawie wszystkich, z Bochni z trzech tysięcy zostało jeszcze około 200. Lała się tam krew wśród dymu pożarów, bo Żydzi zabaryka-

dowali się w domach, które zdobywano ogniem i granatami. Nie ma tygodnia, by w okolicy nie zastrzelono jakiegoś Żyda czy Żydówki, ukrywających się jeszcze po stajniach, oborach, chlewach, piwnicach i strychach chłopskich.

Czasem prowadzi ta nagonka do takich absurdalnych mordów, jak ten w Posądzy, gdzie SS-si, podejrzewając służącą, że jest Żydówką (a była tylko na swoje nieszczęście brunetką) nie tylko ją zastrzelili, lecz wymordowali poza tym sześć osób w domu. Gdy delegacja z gminy udała się w tej sprawie do *Kreishauptmanna* miechowskiego, ten znalazł tylko takie usprawiedliwienie: „Musicie zrozumieć, żę oni pracują w bardzo ciężkich warunkach, wśród ciągłego niebezpieczeństwa, więc piją i pewno byli wtedy pijani". I tyle.

To polowanie na Żydów tak się podoba niestety i niektórym kanaliom polskim, że były służący, były polowy, złodziej i dziś notoryczny denuncjant, o którym pisałem w poprzednim rozdziale, gdy się dowiedział o strzelaniu do Żydów w Brzesku (a było to na kilka miesięcy przed dekonspiracją), powiedział do mnie, że gdyby mu dali karabin, to i on chętnie brałby w tym udział. A również nie od tego był rymarz z Brzeską, naczelnik Ochotniczej Straży Pożarnej; znalazłoby się może i więcej wolontariuszy. I czyż dziwić się można, że dzieci służby folwarcznej bawiły się wiosną tego pamiętnego 1943 roku w rozstrzeliwanie Żydów?

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Na ogół wśród chłopów i służby folwarcznej ustosunkowanie do prześladowanych Żydów jest raczej ludzkie i przychylne. Nienawiści żywiołowej, którą okupant stara się wywołać, poza drobnymi wyjątkami — nigdzie nie widać. Obok chrześcijańskiej miłości bliźniego dominuje jednak zmysł praktycznego interesu: jednym ubył klient, lecz jednocześnie i wierzyciel, innym pośrednik, lecz za to i konkurent. Propaganda niemiecka albo nie dochodzi do nich, albo, wobec sceptycyzmu chłopskiego, przechodzi mimo bez większego wrażenia. W każdym razie można stwierdzić, że nie udało się Niemcom nigdzie doprowadzić do pogromów ani rozruchów. Pragnąc jednak być obiektywnym muszę nadmienić, że zdarzały się niestety i takie wypadki, jak np. w Koszycach, że większa grupa mieszczan (pono 50-ciu) wniosła podanie do władz niemieckich z prośbą, by usunięto Żydów z miasta. Zaś w tych samych Koszycach mieszczanin jakiś czy chłop, wziąwszy kilkadziesiąt tysięcy złotych za przechowanie dziecka (zdaje się miejscowego lekarza), wydał je Niemcom na trzeci dzień po zainkasowaniu pieniędzy.

Inaczej ukształtował się ten stosunek wśród inteligencji wiejskiej (o miejskiej nie piszę, bo nie stykałem się z nią w tym czasie). Wielu, trzeba to przyznać, pomagało Żydom w okresie prześladowań, wielu miało słowa litości i miłosierdzia na ustach, ale w sercach i myślach u wielu brak było prawdziwej miłości chrześcijańskiej bliźniego. Świętoszki mówiły o ofiarach żydowskich ze współczuciem, lecz jednocześnie dodawały: „Zasłużyli sobie na to, bo w czasie inwazji bolszewickiej tak samo postępowali Żydzi z nami we Wschodniej Małopolsce". Czy „tak samo", czy sprawiedliwość chrześcijańska i etyka katolicka po-

zwalają na zbiorową odpowiedzialność narodu za czyny jednostek, o to się nie troszczono.

Rozmowy wśród ziemiaństwa o Żydach i problemie żydowskim stoją niestety na ogół na niskim poziomie intelektualnym i politycznym. Wyjątki dość rzadkie. W tym co Niemcy robią z Żydami widzą naturalnie obrazę uczuć ludzkich, oczywiście potępiają katów, lecz i poniektórzy po cichu myślą, że gdy Żydów nie stanie, im będzie lżej i lepiej, szczególnie tym zadłużonym u Żydów. Jedna pani np. mówi: „Nigdy nie byłam antysemitką, ale teraz jestem, gdyż Żydzi bardziej nas nienawidzą niż Niemców". Skąd zdobyła tę wiadomość bardziej niż wątpliwą, trudno dociec. Inna znów pani opowiada, że bogacze żydowscy w ghetto warszawskim cieszą się, gdy ginie biedota proletariacka żydowska. Takich wiadomostek mnóstwo. Stale wysuwany jest też argument (który słyszałem przed rokiem i w Warszawie), że Żydzi w czasie okupacji sowieckiej prześladowali szczególnie ludność polską. Trudno mi to sprawdzić, lecz słyszy się to powszechnie.

Głównym jednak taranem antyżydowskim jest sprawa komunizmu, którego wielka część ziemian boi się, jak diabeł święconej wody. A komunizm, to według nich i przeważającej przedwojennej opinii polskiej — Żydzi. Nawet burżuazja żydowska popiera komunizm dla celów „opanowania świata" (zawsze się to słyszy w tej samej goebbelsowsko-hitlerowskiej redakcji), Francję zgubili Żydzi z Blumem na czele, w Rosji wszystko zrobili Żydzi (nawet Lenin był pewno Żydem, a matka Stalina Żydówką), a i naszą Radę Narodową w Londynie — zdaniem jednego z ziemian — opanowali Żydzi z Liebermanem na czele.

Nawet w okresie najstraszniejszych męczeństw żydowskich znajdywano dowody tchórzostwa Żydów w tym, że gdy Niemcy wywlekali ich i wywozili na śmierć, nie bronili się czynnie, co zresztą, nawet w miasteczkach, nie zawsze odpowiadało prawdzie. Każdy też wypadek donosicielstwa czy szpiclostwa ze strony Żyda był potępiany nie jako wyłączna wina jednostki, lecz narodu. Inteligencja ziemiańska oburzała się też, że młodzież żydowska jest komunizująca, czy komunistyczna, zapominając o tym, co wyrabiano z tymi młodymi Żydami na uniwersytetach naszych przed wojną i jak gazety niektóre pod wpływem doktryny hitlerowskiej nawoływały rząd i społeczeństwo do usuwania Żydów, choćby najwartościowszych i najbardziej polskich, z życia i służby publicznej.

Podobnych dyskusyj musiałem niestety wiele wysłuchać, a czasami i przeprowadzić, i to w dworach należących bezsprzecznie do najkulturalniejszych w Polsce. Moi gospodarze pławowscy (jak i czyżowscy) stanowili oazę liberalizmu i tolerancji, lecz i oni w rzadkich tylko wypadkach podejmowali się niepopularnej dyskusji z obskurantyzmem narodowym, etycznym i politycznym większości ziemiaństwa, uważając ją prawdopodobnie za bezcelową, a może i niebezpieczną dla siebie.

Natomiast wydaje mi się (a mówię to głównie na podstawie spostrzeżeń czyżowskich tutaj dopełnionych), że młodzi ziemianie są politycznie znacznie dojrzalsi, niż starsze pokolenie, sądząc po ich stosunku do problemu bolszewickiego

i żydowskiego. Również wydaje mi się, że antysemityzm w Miechowskiem był na ogół większy niż w Sandomierskiem. Przypuszczam, że zawdzięczać to należy głównie wzrostowi antysemickiej propagandy niemieckiej. Zdefaszyzowanie tych poglądów i tego stanu myślenia będzie szczególnie trudne wobec wpływów prasy okupacyjnej — obojętne czy pisanej po polsku, czy po niemiecku — która wywarła w ciągu długich lat wojny zgubny wpływ na umysłowość czytelników. Niby nikt nie wierzył pogardliwie przezywanym „szmatom", a jednak trucizna propagandowa niemiecka sączyła się do mózgów kropla po kropli i jadem swoim zatruwała organizmy, niestety zdolne do bezkrytycznego przyjmowania wszelkich szczepionek doktryny faszystowsko-hitlerowskiej.

Toteż powtarzano, zwykle bez znajomości źródła, nie tylko wszystkie ujemne wiadomości o Żydach, lecz także wszelkie komunały nacjonal-socjalizmu, stwierdzające np., że żydostwo — to komunizm i bandytyzm. Trzeba będzie długich lat pracy kulturalnej i politycznej, by te chwasty i pokrzywy wyplewić i wyciąć.

A z wiosną 1943 r., gdy w naszych stronach wyłapywano resztki ukrywających się Żydów, dochodziły nas z Warszawy odgłosy pełnej rozpaczy i bohaterstwa dwumiesięcznej obrony w ghetto tamtejszym, jakby dla zaprzeczenia sentencji księdza Robaka, która już stała się maksymą „a żydowska rzecz ręce założywszy czekać". Walka ta doprowadziła do zupełnego prawie wytępienia Żydów w Warszawie i zburzenia nieomal całkowitego wielkiej dzielnicy. A w Krakowie przedstawiciele „narodu panów" porozbijali nagrobki na cmentarzu żydowskim i brukują nimi ulice jagiellońskiej stolicy. I czyż może kto jeszcze wątpić, że... i „Niemcy są ludźmi"?!

PACYFIKACJA I INNE NIEDOLE

„Człowiek, trzeba to przyznać, jest nikczemne zwierzę".

Molière, „Świętoszek"

Zaledwie zdołała przycichnąć kampania antyżydowska, gdy rozpoczęła się t. zw. pacyfikacja wsi. Przewidzieli ją chłopi, bo już w czasie likwidowania Żydów mówili: „Jak się zaprawią na Żydach, to się teraz wezmą do nas".

W różnych okolicach miała ona różny charakter i w różnym odbywała się czasie. Wysiedlania i rzezie w Lubelskiem oraz na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, tej ziemi mogił i krzyżów, przerastały wszystkie inne. Niestety i to, co się działo w Miechowskiem, godne jest poznania i zapamiętania. To zresztą ostatecznie otworzyło chłopom oczy, a może i otworzyło zbyt zatwardziałe i zbyt oskarżycielskie wobec Ojczyzny serca.

Pacyfikacja odbywała się pod hasłami następującymi: wytępienie komunistów, bandytów i złodziei. Te pojęcia prawie się pokrywały w języku i umysłach żandarmerii niemieckiej i SS-ów. Wyłapanie wszystkich karanych sądownie za przestępstwa polityczne i kryminalne, dalej ludzi posiadających nielegalnie broń i radia, wreszcie ukrócenie uboju tajnego — oto był program. Ramy

te zostały w praktyce bardzo rozszerzone, bo zabijano czasem w danej wsi za nieposiadanie papierów we wzorowym porządku, a zawsze za stosunki z t. zw. „desantami".

W połowie lutego 43 r. szaleje po naszej okolicy chwilami w najbliższym sąsiedztwie ekspedycja karna z Miechowa, złożona z 18-tu osób, w czym tylko 3-ch żandarmów niemieckich, resztę stanowią policjanci granatowi. Na czele niejaki Nowak (nie mieszać z Noackiem, zastępcą komendanta gestapo w Miechowie), dziś oficer policji granatowej, a przed wojną przodownik pol. policji w Olkuszu czy w Ojcowie. W zimie „odznaczył się" szczególnie gorliwym i bestialskim mordowaniem Żydów, toteż jest u Niemców *persona grata*. Potrafił też pozyskać zaufanie kolegów i podwładnych, z którymi żyje na bardzo koleżeńskiej stopie, na wyjazdach i polowaniach sypia z nimi w jednej szopie na sianie i jada z jednej misy, nie korzystając z przywilejów oficerskich. Osobnik ten wrócił do Miechowa z kilkudniowej ekspedycji po naszym powiecie, mając na rozkładzie... 120 trupów ludzkich. W tym paru rzeczywistych bandytów, trochę złodziei, kilkanaście osób zabitych za dowiedzione i niedowiedzione nielegalne zabicie świni, kilku za znalezienie przy rewizji jednego kilograma tytoniu, butelki politury lub oleju rzepakowego, albo kilograma skóry. Wielu zupełnie niewinnych, jak pewien były oficer polski, który przyjechał spod Częstochowy w odwiedziny do krewnych w Wolwanowicach i nie umiał inaczej jak chęcią podżywienia się usprawiedliwić swego pobytu, lub ta para małżeńska, która przywiozła z Krakowa sołtysowi z Gruszowa maszynę do szycia i zapłaciła życiem za to przypadkowe spotkanie z katem polsko-niemieckim. Oczywiście, po drodze strzelali do każdego podejrzanego uciekającego lub po prostu kryjącego się przed nimi chłopca czy dziewczyny. Tylko pewien młynarz, który miał niekolczykowaną świnię, wykręcił się z opresji... bimbrem, upiwszy wszystkich, jak świnie.

Pamiętnym będzie na długo pogrom w Nasiechowicach, jednej z pięknie zagospodarowanych, prawie wzorowych wsi w Miechowskiem. Oskarżono część gospodarzy, że żywiła „ludzi leśnych" i „desantów". W szczególności chodziło o t. zw. „bandę sabotażową" kpt. Tatarskiego, która aprowidowała się w okolicznych wsiach. SS-si przyjechali w liczbie około stu ludzi, uzbrojeni w karabiny maszynowe, zaaresztowali dwieście rodzin (m. in. senatora Bielawskiego) i rozstrzelali pod lasem 106 osób bez badania i sądu. Zaś kpt. Tatarskiego, rzekomo komunistę, wydał pono jakiś przeciwnik polityczny. Inni jednak mówią, że kapitan żyje i działa.

W początku czerwca mieliśmy odwiedziny z Sandomierskiego. Przyjaciele nasi przyjechali końmi, uważając taką komunikację za najbezpieczniejszą. Jadąc, gdzieś pod Osiekiem poczuli nagle swąd spalenizny ze wszystkich stron. Gdy wjechali do wsi — przedstawił się ich oczom straszny widok: cała wieś spalona, ognie dogasały, w rowach trupy, na polu stratowanym jęczący ranni, poza tym skrzynie, ławy, łóżka i poduszki.

Rzecz poszła o świnię. Dnia poprzedniego przyjechało kilku żandarmów odebrać świnię zabitą bez t. zw *Schlachtscheinu*. Zabrali ją na wóz z właści-

cielem i pojechali. Po drodze nastąpił napad nieznanych osobników, którzy świnię odbili. Przy wzajemnej strzelaninie padło dwóch żandarmów. Następnego dnia przyjechała ekspedycja karna złożona z kilkudziesięciu SS-ów uzbrojonych od stóp do głów, spaliła wieś i wystrzelała część ludności. Ci, którzy zostali przy życiu, leżą na wymiętoszonych polach żyta i pszenicy, które miały ich karmić i patrzą zamglonym wzrokiem w beznadziejną pustkę dogasających resztek domów, stodół i obór.

W Nagorzanach, na stacji kolejki, w czasie rewizji papierów i bagaży przez żandarmów niemieckich, policjant granatowy spostrzegłszy, że jakaś dziewczynka wyglądająca na osiem lat — ucieka, strzelił za nią trzy razy. W innej wsi przyszedł do baby (oczywiście z donosu) patrol z Niemcem na czele z zapytaniem, czy przed dwoma tygodniami zabiła świnię. Baba zaprzeczyła. Zrobili rewizję i znaleźli pół kilograma kiełbasy i ze dwa kilogramy słoniny. Wyprowadzili młodą kobietę przed dom, kazali się jej rozebrać do naga i zastrzelili ją. W wielu zaś wsiach rozstrzeliwali grupami (zwykle pod komendą Nowaka) złodziejaszków, którzy kiedyś w przeszłości mieli np. dwutygodniowy wyrok za drobne kradzieże.

W Skalbmierzu odkryli radio u sekretarza gminy (znowu z donosu „rodaków"). Sekretarza na miejscu zastrzelili, lecz inni wmieszani w tę sprawę zdołali na szczęście uciec, m. in. trzej księża ze starym kanonikiem, który był poza tym posądzony o wystawianie fałszywych metryk kilku Żydówkom, które również „zdano".

Nielepszą sławą cieszyła się i proszowska banda SS-ów. Jednego dnia zabili niewinnego sklepikarza Kończakowskiego w Kowarach, którego jedyną winą było to, że bojąc się SS-ów schował się przed nimi w zboże. Tego samego dnia dostajemy telefonogram z prośbą, żeby zawiadomić młynarza w sąsiednim Bobinie, że rodzina jego bawiąca w Rzędowicach została tej nocy wymordowana przez SS-ów. Tej samej nocy zabili w okolicy Kowar 26 osób głównie na podstawie starych aktów sądowych polskich i wyroków za kradzieże i inne przestępstwa lub nielegalną działalność polityczną. Innego dnia wymordowali rodzinę Kłębków w Kowarach pod nieobecność syna karanego przed wojną za jakąś kradzież. Nie zastawszy go, zabili matkę, szwagra i dwie siostry: dwudziestoletnią i osiemnastoletnią. Ponieważ zbirom się zdawało, że starsza kobieta leżąca na ziemi jeszcze żyje, więc jeden z nich, by się przekonać o tym, kopnął ją podkutym buciskiem w twarz i wybił jej szczękę. Kobiecina mimo bólu udała, że nie żyje i zbóje odeszły, dając sołtysowi rozkaz pogrzebania czterech trupów. Mimo postrzału w głowę i rozbitej szczęki kobietę uratowano. Ale teraz rozpoczęły się nowe trudności, jak wybrnąć z czworga zabitych, skoro zmarło troje. Sprawa ta jakoś przycichła i kobieta chodzi po świecie.

A koło Kłaja, po drugiej stronie Wisły, zjawił się jakiś przystojny młodzieniec, potrafił obudzić zaufanie, założył kółko zbrojne młodzieży, dostarczył broni, odbywał ćwiczenia wojskowe, wciągnął do organizacji około trzydziestu mężczyzn, poza tym rozkochał w sobie jedną dziewczynę, zaręczył się z nią, po czym „zdał" wszystkich. I co do jednego poszli na śmierć.

W tym samym mniej więcej czasie podpalono i spalono wielki tartak w Kłaju i zatrzymano w ten sposób dalsze niszczenie puszczy Niepołomskiej.

Wręcz tragiczną sensacją była zbrodnia zbydniowska, o której wieść budząca grozę rozeszła się po całej Polsce. Ponieważ jednak książka ta przeznaczona jest i dla ludzi, którzy tu nie byli w czasie wojny, pozwolę ją sobie jednym opowiedzieć, a drugim przypomnieć.

W końcu czerwca odbył się u pp. Horodyńskich w Zbydniowie ślub panny Wańkowicz z synem gospodarza. Po południu państwo młodzi wyjechali, za nimi część gości, reszta została na noc i oczywiście dwór był tego dnia przepełniony. Wieczorem przyjechała niespodzianie ekipa SS-ów i zażądała kwater. P. Horodyński wyjaśnił, że dziś ma gości, którzy przybyli na ślub, wobec czego dopiero po ich wyjeździe może służyć kwaterą. SS-si odjechali do sąsiedniego majątku, pozostającego pod zarządem niemieckiego *Treuhändera*, źle usposobionego dla dworu zbydniowskiego. Ten dowiedziawszy się, że SS-i stamtąd wracają, dodał złośliwie, że tam są zawsze goście i tam odbywają się stale jakieś podejrzane zebrania. Po otrzymaniu tej wiadomości wysłali SS-i do Zbydniowa jeszcze tej samej nocy dwóch prowokatorów mówiących dobrze po polsku, którzy pod pozorem należenia do bojowej organizacji polskiej prosili o nocleg. Gdy im odmówiono, zażądali widzenia się z samym p. Horodyńskim, ten niechętnie do nich wyszedł i powiedział im, że dom jest przepełniony, poza tym ostrzegł ich, że w okolicy są SS-i i radził, by czym prędzej starali się ulotnić, wskazując jednocześnie drogę, którą SS-i odjechali. W dwie godziny później, gdy dwór zbydniowski pogrążony był we śnie — wpadła banda SS-ów i wymordowała wszystkich mieszkańców i gości w liczbie osób dwadzieścia trzy, w czym była i służba.

Niemało też niepokoju wywołało na wiosnę 43 r. tajemnicze zamordowanie Andrzeja Wesołowskiego, właściciela Złotej, jednego z najmajętniejszych ziemian w Pinczowskiem, utrzymującego żywe stosunki z różnymi Niemcami m. in. gestapowcami i rzekomo robiącego na tym wielkie interesy. Jak opowiadano (a trudno było sprawdzić), dostał on jakieś zawiadomienie, czy ostrzeżenie, wraz z żądaniem wpłacenia większej sumy na cele polityczne z oznaczonym dniem, w którym delegaci się zgłoszą. Wesołowski zawiadomił o tym policję niemiecką i ta przybyła do dworu. W czasie obiadu, na którym byli goście, zgłosili się delegaci i po krótkiej rozmowie z Wesołowskim zastrzelili go, po czym, zanim policja przystąpiła do działania, zniknęli i wszelki ślad przepadł. Przyszłość pewno wyjaśni tę zagadkową sprawę.

I coraz częściej słyszy się o masowych egzekucjach publicznych, m. i. na szubienicach, stawianych wzdłuż torów i szos, egzekucjach wykonywanych na przypadkowo aresztowanych grupach ludzi, w odpowiedzi na coraz liczniejsze sabotaże i zabójstwa niemieckich strażników kolejowych.

Władze wyższe wiedzą o tym wszystkim doskonale, wojskowi i urzędnicy cywilni również, jak zresztą świadczą m. in. przytoczone powyżej rozmowy leśników o pacyfikacji, lecz pozwalają na to wszystko i patrzą przez palce na wszelkie nadużycia, gdyż w ten sposób robią sobie powolnych pomocników,

którzy będą bronić siebie i ich do ostatniej kropli krwi przed odpowiedzialnością — która i tak ich nie minie. *Vae victis!*

Jednocześnie przechodziły dwory plagę bandytyzmu, która oczywiście nie wytrzymuje porównania z ekspedycjami w kaskach stalowych. Przede wszystkim nie zabijano ludzi, w bardzo rzadkich tylko wypadkach dochodziło do użycia broni, dość często jednak dla sterroryzowania dworu, zwłaszcza, gdy wyczuwali opór — bili! Bandyci zabierali po prostu co się dało, a gdy mogli dostać większe pieniądze, zadowalali się tylko tym. Niekiedy można się było z nimi ułożyć, potargować, uwzględniali czasem sytuację wysiedlonych i tym niczego nie zabierali, lub tylko część rzeczy. W pewnym dworze z 1 000 zł zabranych oddali 500, przekonawszy się, że to dwór niebogaty i więcej pieniędzy nie posiada.

Mieli też w swym gronie specjalistów od bicia świń i uskuteczniali operację szybko i zręcznie, wywożąc połcie słoniny. Niejednokrotnie z wizyty takiej korzystali i pomysłowi ziemianie, zabijając w nocy drugą kolczykowaną świnię dla siebie, z zawiadomieniem władz następnego dnia, że bandyci zarżnęli i wywieźli dwie świnie.

Z bandytyzmem, który z czasem stał się ciężką plagą — jeszcze jedną plagą — okupanci absolutnie nie walczą i tym ostatecznie dyskredytują stan bezpieczeństwa kraju oraz wiarę w ich siły i organizację. Najchętniej zabijają ludzi nieuzbrojonych i niewinnych.

Dobrze charakteryzuje paradoksalność sytuacji następujące autentyczne zdarzenie. W jednym z dworów, po północy, dzwonek telefonu. Rozespany gospodarz pełen niepokoju biegnie do aparatu. Rządca z pobliskiego folwarku komunikuje, że przed chwilą byli bandyci i zabrali dwie krowy. Gospodarz uradowany woła: „To chwała Bogu!" I tu wzięli Niemcy rekord. Każdy wolał z dwojga złego mieć do czynienia z bandytą, niż SS-em.

Inną odmianę ekspropriacji dworów uprawiali t. zw. „Jędrusiowie". Nazwa pochodzi od niejakiego Jędrusia, rzekomo płk. Jędrychowskiego, który z czasem urósł w legendzie na Janosika Świętokrzyskiej Puszczy. Będą o nim napewno pisać ci, którzy się z nim stykali i z jego bandą i z jego czynami, może nawet pieśni śpiewać. Do nas dochodziły tylko odgłosy i myślę, że w najlepszym razie rotograwiury, a może oleodruki.

Oczywiście był piękny, był szlachetny i bohaterski. I Jędrusie byli tacy sami. Oni trapili Niemców, oni wykonywali ważne akty sabotażowe, a od ziemian żądali zasiłków, na co wydawali czasem kwity z szumnymi i kwiecistymi pieczęciami. Biednym natomiast pomagali, nieszczęśliwych wspierali, żyli po lasach, nazywano ich też czasem „ludźmi leśnymi", lub „z lasów". Ponieważ ich działalność miała punkty styczne z robotą oficjalnej Walki Podziemnej (np. sabotaże), więc niekiedy trudno było rozpoznać i odróżnić czyny jednych od drugich, wyjąwszy ekspropriacje ludzi prywatnych, czego Kierownictwo Walki Podziemnej surowo zabraniało, ogłaszając to ciągle w komunikatach oficjalnych. W naszych stronach zjawili się Jędrusie dopiero w końcu 42 r.

Było śród nich pono wiele osób z inteligencji, które wolały, bo musiały żyć bez *Kennkarty*.

Znowu inną odmianą są tzw. „alianci", którzy buszują w okolicach Puszczy Niepołomskiej, zatrzymując pociągi i rabując wagony. A czego tam nie ma: Skrzynie z nabojami rewolwerowymi i karabinowymi (te przeznaczają dla siebie i bojówki politycznej), skrzynie z bombami lotniczymi (te zostawiają na miejscu), bydło (wypuszczają), skrzynie z konserwami (np. sam szpinak — brr!), a pewnego razu znaleźli nawet skrzynię z trupem pułkownika niemieckiego (tego czym prędzej zakopali w lesie). Pociągów tych pilnują zazwyczaj żołnierze w niemieckich mundurach z kałmuckimi pyskami. Gdy takiemu obywatelowi Asserbejdżanu przyglądali się kiedyś zdziwieni obywatele bocheńscy, ten odburknął po rusku z akcentem kaukaskim: „Szto ty durak, germańskowo sołdata nie widział?"

Z początku za każde zabójstwo Niemca czy też sympatyka Niemców następowały liczne ofiary. Potem, jakby im nie starczyło sił, lub pragnęli zmiany kursu — coraz mniej ofiar. Wreszcie od wiosny 43 r. — cały szereg wypadków, zupełnie bez reakcji. Już nie tylko nie ma zemsty zbiorowej, lecz często nie ma nawet poszukiwania winnych, szczególnie, gdy chodzi o donosicieli i konfidentów.

W Proszowicach sprzątnięto pewnego dnia szkodliwego i niebezpiecznego prowokatora i szpicla policji niemieckiej, niejakiego Czabana — nikt nie przyjechał nawet na śledztwo.

W Kościelcu i w szeregu gmin obito wójta i sekretarza, a dokumenty szczególnie tyczące się ewidencji tych, którzy mają wyjechać na roboty do Niemiec, spalono — i cisza. W Wolwanowicach pewnej nocy zniszczono w mleczarni maszyny, wirówkę połamano, pasy pocięto — żandarmi przyjechali, zobaczyli i odjechali. Kontrolera mleczarskiego, niejakiego Bujakowskiego, tak gorliwie służącego okupantom, że nawet choremu dziecku chłopskiemu nie chciał przyznać pół litra mleka — obito do utraty przytomności, a skończyło się na protokole ...i zniknięciu Bujakowskiego.

Konfidenta Primulkę, przez którego zginęło wielu ludzi w okolicach Kościelca, sami SS-i zastrzelili, gdy im zaczął robić konkurencję i grabił na własną rękę, a jak inni twierdzą, nasza Organizacja Wojskowa... dała łapówkę SS-om, żeby go zabili.

Pewnego dnia cały oddział junaków, pochodzących z tych stron, „rozszedł się" i chłopcy powrócili do domu — a przeszło im to na razie bezkarnie.

Dawniej za zastępstwo na wyjazd do Niemiec płacono 15 000 zł, a dzisiaj nie chcą dać nawet 4 000. Wobec tego „fachowi" zastępcy tracą wygodną egzystencję, bo dawniej wyjeżdżali na roboty i po tygodniu, najwyżej dwóch, wracali utartymi drogami spokojnie do domu, a gdy się to nie udało, pakowali sobie kąkol do oka, prezentowali komisji lekarskiej sztuczną jaglicę i w ten sposób uzyskiwali zwolnienie. I ten dochodowy handel niewolnikami przestał się opłacać.

A wszystko to przez jakiś przedziwny optymizm infekcyjny, który z wiosną 43 r. ogarnął całą Polskę, bez dostatecznie uzasadnionych powodów. Toteż 3 maja odbywały się w niektórych okolicach rewie oddziałów wojska polskiego (tego niestety na własne oczy nie widziałem), w Rzeszowie pono sam *Kreishauptmann* dostał zaproszenie na taką rewię, ale się spóźnił. W połowie maja flecista, o którym wspomniałem w poprzednim rozdziale, na życzenie nasze grał w nocy przed pałacem „Jeszcze Polska nie zginęła" i inne hymny i pieśni patriotyczne, a wieś słuchała przy bramie parku i biła oklaski (gdy w pół roku później piszę te słowa, konstatuję, że dziś nie byłoby to już możliwe). W początku czerwca w środku wsi Topola śpiewano chóralnie hymn narodowy, a 6 czerwca w niedzielę wypisany był u wejścia do kościoła w Skalbmierzu, wielkimi literami, taki napis: „Śmierć okupantom, śmierć zdrajcom! Niech żyje wolna Polska 1918—1943!". A nastrój ten był tak podniecający, że zdawało się nam, że już... już...

A gdy pewnego dnia koło godziny 6 rano przejeżdżała przez Pławowice jakaś tajemnicza bryczka, a w niej czterech młodych ludzi w granatowych baskijkach, z przypiętymi orzełkami i z karabinąmi w ręce (jedni twierdzili, że z czterema, a inni że z jednym), wpadły do mego pokoju dwie kukułki Ela i Ala i z okrzykiem radości wołały: „Niech pan wstaje, wojsko polskie jedzie!" A gdy tego samego dnia w pobliskim Bobinie zgłosili się w nocy jacyś tajemniczy ludzie i zażądali koni, a rano tych czterech w baskijkach granatowych podjechało pod dwór i poprosiło o śniadanie, nawet ludzie trzeźwi mieli wrażenie, że to chwila osobliwa... Ale te nastroje wnet minęły, wróciliśmy do przytomności i śledziliśmy niecierpliwie dalszy bieg wypadków.

Objawy tchórzostwa niemieckiego i wzrastającego rozkładu były coraz widoczniejsze. — Niemiec, kierownik jednego z *Liegenschaftów* w Chroberskiem, po walkach w Chrobrzy i w Górach uznał za najbezpieczniejsze miejsce zamieszkania... więzienie, gdzie dobrowolnie przyjeżdżał na noc.

Łapownictwo przybierało już nieskrywane formy, które przed rokiem szukały jeszcze pośredników i pozorów. Np. jeden z wyższych urzędników niemieckich z Gen. Gubernatorstwa w Krakowie przyjechał do fabryki w Sędziszowie dla zaakceptowania typu wozów. Dyrekcja postanowiła go sobie zjednać i po dobrym, mocno alkoholem zakropionym obiedzie, oświadczyła, że pragnie dla uświetnienia pobytu ofiarować mu jakąś pamiątkę, zastrzega się jednak, że to nie będzie miało charakteru łapówki *(Bestechung)*. To „zręczne" sformułowanie podobało się niesłychanie panu przedstawicielowi władzy, bo przecież, jak rozumował głośno, on nie zaakceptował jeszcze żadnego typu wozu, ma zupełnie wolną rękę i możność postąpienia tak, jak będzie za właściwe uważał. Po czym dodał, że pragnąłby posiadać złoty kieszonkowy zegarek firmy Schaffhausen. Oczywiście typ wozu przedstawiony przez dyrekcję został zatwierdzony, a w kilka dni później oryginalny Schaffhausen wraz ze złotym łańcuszkiem zadyndał na brzuszku dygnitarza.

W powiecie bocheńskim *Landkomissar* tak się zaprzyjaźnił z osiemnastoletnią sekretarką swoją, panną Baśką, która nim kompletnie rządziła, że

pod jej wpływem jest już prawie patriotą polskim i cieszy się, gdy „desanty" i „jędrusie" zaczynają brać górę, bo wtedy on może bezpiecznie jeździć nocami i bawić się z Baśką, podczas gdy żandarmeria niemiecka siedzi w mysich dziurach, za drutami kolczastymi, i nie śmie nosa wystawić. *Kreishauptmann* zwalcza go za to wszystko i stara się Baśkę utrącić, lecz nic zrobić nie może, bo *Landkomissar* jest starym hitlerowcem i ma swoje wysokie partyjne wpływy.

A Niemców pada co dzień więcej. W Warszawie bywa niekiedy po kilkunastu dziennie, to samo w Radomskiem, Lubelskiem i Krakowskiem. Giną gestapowcy, giną SS-i, giną prześladowcy z *Arbeitsamtu*, giną *Kreishauptmani*, *Kreislandwirci*, *Bezirkslandwirci*, giną policjanci z *Bahnschutzu*, giną różne kategorie oprychów niemieckich, a jednocześnie donosiciele, prowokatorzy, szpicle, granatowi policjanci i różni wójtowie, sołtysi i burmistrze, wysługujący się zdradziecko okupantowi. I m. in. zginął nareszcie z błogosławionej i bohaterskiej ręki kat miechowski Nowak, który celnie trafiony męczył się strasznie przez kilka dni. A Miechowskie odetchnęło.

Toteż dział tych nekrologów w *Krakauerce* — zresztą, bardzo niepełny — nazwałem kiedyś wesołym kącikiem i nazwa ta przyjęła się w naszej okolicy. Aż pewnego dnia skasowali go, bo był... zbyt wesoły.

Pamiętnik ten pisałem
między lipcem a grudniem 1943 r.

ARNOLD SZYFMAN

„NARÓD BEZ PRZESTRZENI"

„POWIEŚĆ DYDAKTYCZNA" FASZYZMU HITLEROWSKIEGO

Nie ma drugiej książki beletrystycznej, którą by wszystkie władze nazistowskie tak propagowały, jak powieść Hansa Grimma *Volk ohne Raum (Naród bez przestrzeni)*. Wydana po raz pierwszy w r. 1926, doczekała się po r. 1933 jednego wydania po drugim. We wszystkich państwach podbitych i sprzymierzonych wymuszono jej przekład. Do neutralnej zagranicy wysyłano tanie wydanie specjalne. Niemiecka Księgarnia Wojskowa wydała ją w jednym tomie na bibule. Jako osobna odbitka ukazała się *Wyprawa Erckerta z Narodu bez przestrzeni* w nakładzie 300.000 egzemplarzy. *Duden* nazywa Grimma mistrzem stylu. Niejaka Maria Lorenz zestawiła tomik pt. *Wiara i doświadczenie* (300.000 egzemplarzy nakładu) ze złotych myśli i wypowiedzi Grimma. Jakiś Edgar Kirsch napisał książkę *Hans Grimm i człowiek nordycki*.

Ale to wszystko nie skłoniłoby nas do obszernego sprawozdania z tej książki, gdyby była ona tylko tym co zapowiada jej tytuł: zwykłą powieścią o tendencjach faszystowskich. Jest tymczasem czymś więcej: jest „powieścią dydaktyczną" hitleryzmu.

AUTOR

„Niniejsza niemiecka opowieść jest, moim zdaniem, opowieścią polityczną i ukazuje nam nasz los niemiecki, takim, jakim nie ukażą go szkoły ani *partie*[1], ponieważ nie potrafią tego czy też nie chcą". Oto pierwsze z dwóch zdań, składających się na przedmowę do pierwszego wydania z r. 1926. Grimm nie był jeszcze wówczas członkiem NSDAP. Znajomi jego zapewniają, że został nim dopiero w r. 1933 czy nawet później, i to wbr w woli. Opisują Grimma jako człowieka wprawdzie zakutego, upartego, ale uczciwego, który na swój sposób traktuje swe zadanie literackie bardzo serio. Mniejsza o to: nie ma chyba drugiej książki beletrystycznej, która mogłaby późniejszemu historykowi dać tyle wskazówek do zrozumienia psychologii niemieckiego mieszczucha, opętanego faszyzmem hitlerowskim, do naświetlenia politycznej drogi, którą prowadził Hitler (i to nie tylko on sam) masy niemieckie przez kilkanaście lat aż do katastrofy wojny hitlerowskiej.

Trzydziestotrzyletni Hans Grimm powrócił w roku 1907, po 13 latach pracy w koloniach jako kupiec i farmer i zaczyna pisać. „W roku próbnym a także później", opowiada, mówiąc o sobie w trzeciej osobie, „pisał Grimm afrykańskie opowiadania, bo jeśli sztuka oznacza umiejętność, to twórczość rozpoczyna się od gruntownej znajomości rzeczy". Grimm nie zna Niemiec, albo raczej: już ich nie zna. Ale „także pełna ludzi i różnorodna była niemiecka ojczyzna! Jednak uważał, że zadanie pisarza przy wielkim i cudownym podziale pracy narodu zaczyna się od poznania przyczyn i skutków życia własnego kraju: a ponieważ literatura niemiecka w udawanym, zakłamanym i nieudolnym epigonizmie Goethego odgrodziła się nazbyt wygodnie od narodu i epoki, stała się dlatego taka błaha, nieważka i nic nie znacząca".

Planowo przystępuje Grimm, jeśli można mu wierzyć do dzieła: kilkuletni pobyt w Monachium, studia ekonomiczne, statystyka i „dookolne fakultety uniwersyteckie" (??), następnie Instytut Kolonialny w Hamburgu. Celem jest gospodarstwo „na dolnosaskiej wsi przodków", tam miał „poznać to co nieprzemijające". Grimm spodziewał się być również we fabule pisarzem niemieckim, tak jak Grecy byli greccy, Anglicy angielscy, Rosjanie rosyjscy, pi-

1 Wszystkie podkreślenia nasze — przyp. aut.

sarzem, który by umiał tak odzwierciedlić swój naród, żeby się on w każdej okoliczności we wspólnocie i u celu poznał, pokochał i podźwignął".

Wykonanie tego planu w Hamburgu przerywa pierwsza wojna światowa. W drugim roku wojny 42-letni Grimm jest rekrutem. Ale o tym trzeba znowu posłuchać jego samego: „Prawie bezwiednie widział świat niemiecki do tej pory jako oficer, że się tak wyrażę — bowiem w Afryce każdy biały jest wobec siebie oficerem — gdy w październiku 1916 został nagle rzucony w gnój, w zależność i bezsilność tłumu".

W krzywym zwierciedle etapu poznaje Grimm (jak mu się zdaje) „naród niemiecki: zniechęconych, zmęczonych wojną, nieufnych względem niego żołnierzy, ordynarnych feldfeblów, bogatych dekowników". Tak mu się rzecz przedstawia.

Rok 1918 przeżywa Grimm bez jakiegokolwiek zrozumienia. Poszkodowany przez inflację wycofuje się do Lippoldsberg (nad Wezerą) jako drobny rolnik do zapadłego klasztoru i pisze tam, jak opowiada w powieści, według relacji „Corneliusa Friebotta", (którego zna z Afryki) swoją jedyną wielką powieść, właśnie ów *Naród bez przestrzeni.*

Ideologiczne stanowisko autora jest niedwuznaczne. Ale ponieważ jako pisarz jest względnie uczciwy — może jedynie z braku umiejętności, bo gdy skłamie, kłamie ogromnie niezręcznie — powstaje w decydujących miejscach pewien „realizm wbrew woli", który nadaje powieści w oczach krytycznego czytelnika tę wartość poznawczą, jaką przyznaliśmy jej powyżej.

KSIĄŻKA

Tytuły czterech ksiąg, na jakie autor podzielił powieść, mianowicie: *Ojczyzna i ciasnota, Obca przestrzeń i błądzenie* (płdn. Afryka), *Niemiecka przestrzeń* (Niemiecka Afryka Płdn.-Zachodnia) i *Naród bez przestrzeni* — wskazują wyraźnie tendencję polityczną i miejsce akcji, ale nie znaczą, że Grimm próbuje przerobić naród w wielości jego postaci na „bohatera kolektywnego".

Bardzo rzadko tylko popada Grimm w dekadencką metodę „montażu", dając jak gdyby na marginesie polityczne lub wojskowe sprawozdania, nie mające nic wspólnego z bohaterami. Na ogół trzyma się prawie wyłącznie formy klasycznej.

Jedynym bohaterem 2-tomowej powieści, liczącej 1400 stron, jest Cornelius Friebott, któremu autor na niektóre odcinki akcji dodaje liczne figury uboczne. Spośród nich wybijają się właściwie tylko cztery: towarzyszka zabaw dziecinnych Ilsabeth, burska farmerka Carlotta Prinsloo, następnie wierny przyjaciel, farmer i poszukiwacz diamentów, Rosch oraz przyjaciel i duchowny przeciwnik Martin Wessel. Kochanka młodości Melsene snuje się przez życie Friebotta, jako trwałe wspomnienie, nabierając znowu realnego kształtu pod koniec powieści za pośrednictwem swojej córki o tym samym imieniu. Nawiasem mówiąc autor występuje sam pod swoim nazwiskiem w dwóch decydujących dla bohatera momentach powieści.

Oto w krótkich słowach jej treść: miłość młodzieńca i zawód. Terminatorka stolarska. Friebott dostaje się do marynarki cesarskiej. W Wilhelmshafen odnajduje przyjaciela młodości, Wessla, jako socjalistyczno-demokratycznego działacza. W Zanzibarze poznaje jako marynarz kontrast między wilhelmowskimi Niemcami a Anglią. Chory na malarię wraca do ojczyzny. Praca w kamieniołomie, następnie przy stolarce w hucie, potem w kopalni w Bochum. Podczas pogrzebu ofiar katastrofy gazowej Friebott wygłasza spontaniczne oskarżenie; proces polityczny, więzienie — emigracja do Afryki Płdn. Praca u „socjalistycznego" przedsiębiorcy Petrusa Potgietera. Dorywcza praca na farmie, którą Friebott porzuca po zabójstwie w rodzinie właściciela. Dorywcze zajęcie u żydowskiego znachora wędrującego po kraju. Następnie dłuższy pobyt na farmie Onverwacht u wdowy Prinsloo, z którą zawiera rodzaj wolnego małżeństwa. Wojna Burów z Anglią. Friebott zgłasza się na ochotnika. W bitwie pod Elandslaagte ranny, następnie kilka lat w niewoli na Elbie. Powrót do Afryki Płdn. (Johannesburg), gdzie spotyka przyjaciela młodości Martina Wessla, który założył tam i prowadził socjalistyczny klub robotniczy. Wspólna praca przyjaciół jako stolarzy budowlanych. Z ojczyzny przyjeżdża Ilsabeth, towarzyszka zabaw dziecięcych ich obu i prowadzi im gospodarstwo. W końcu wychodzi za mąż za Wessla.

Friebott udaje się do Niemieckiej Afryki Płdn.-Zach. i osiada tam jako farmer razem z dalekim kuzynem George Friebottem. Uczestniczy znowu jako ochotnik w tzw. „wyprawie Erckerta", ostatniej walce eksterminacyjnej z tubylcami. Tam spotyka dawniejszego towarzysza z wojny burskiej, Roscha, który znalazł pokaźne pole diamentów. Friebott pożycza mu pieniądze i jako wspólnik wplątuje się w awanturniczą i pełną dramatyczności klasowej aferę z poszukiwaczami diamentów. Kuzyn Georg rozbudował tymczasem farmę i żeni się z z Gretą Bor, córką niemieckiego farmera, która woli właściwie Corneliusa. Po 16-tu latach jako posiadacz okrągłej ćwierci miliona marek wyjeżdża Friebott na jakiś czas do Niemiec. Odwiedza najpierw

towarzysza z wojny burskiej, lekarza doktora Reinharta w Kamienicy. Bierze udział w Dniu Partyjnym SPD (Socjalistyczna Partia Niemiec), gdzie następuje wykluczenie imperialisty kolonialnego Gerhardta Hildebranda. Odwiedzając strony rodzinne poznaje córkę swojej ukochanej z lat młodzieńczych, trzynastoletnią Melsenę. Dziecko zakochuje się w nim. Friebott wraca do Afryki. Wybucha wojna światowa 1914—1918. Jako byłego ochotnika w wojnie z Anglią spotykają Friebotta po zajęciu niemieckiej Płdn.-Zach. Afryki różne nieprzyjemności. Z tego też powodu wycofuje się na odludną farmę przyjaciela Roscha. Ale pewnego dnia zastrzelił tam tubylca. Po zabójstwie następuje proces, sąd skazuje go. Awanturnicza ucieczka z więzienia do Portugalskiej Afryki. Stamtąd po zakończeniu wojny powrót do Niemiec. Melsene czekała na niego. Pobierają się i krążą jako mówcy wędrowni po kraju, aby „narodowi bez przestrzeni" ukazać kolonie jako rozwiązanie „istotnego zagadnienia Niemiec". Przy tym ktoś rzuca we Friebotta kamieniem, który rani go śmiertelnie. Martin Wessel został zastrzelony w Afryce przez Pinkertonów podczas ucieczki jako przywódca strajku. Ilsabeth wraca zgorzkniała do Niemiec.

Oto w zarysach bardzo barwna, miejscami bardzo ciekawie opowiedziana treść powieści, którą na wstępie nazwaliśmy „powieścią dydaktyczną".

Trzeba tu wysunąć pewne zastrzeżenie. Nie dlatego, że chodzi o „wychowanie" w duchu faszyzmu hitlerowskiego, ale dlatego, że u Corneliusa Friebotta właściwie wcale nie chodzi o prawdziwe wychowanie, tzn. o pokonywanie wewnętrznych przeszkód, o istotne przerobienie człowieka. W Friebotcie właściwie wszystkie już istniejące, w stronę nazizmu skłaniające się tendencje zostają wzmocnione i rozwinięte przez życie (takie, jakie autor bohaterowi podsuwa). Tendencje te są, że się tak wyrazimy, wszystkie obnażone do korzeni. I to właśnie nadaje książce tę doniosłość jako źródło poznania dla każdego, kto postawi pytanie: jak naród niemiecki, jak Niemcy mogły zajść tam, dokąd zaprowadził je Hitler?

Czyżby Cornelius Friebott uosabiał naród niemiecki? Nie, oczywiście że nie. Jednostka nigdy nie może „uosabiać" całego narodu. A już tym mniej może być o tym mowa, gdy nie jest „bohaterem kolektywnym", lecz, jako bohater prawdziwej powieści, indywidualnością do najdrobniejszym szczegółów. Ale będzie on zawsze — oczywiście w twórczości realistycznej — pomimo nie wiedzieć jakich indywidualnych czy egzotycznych odchyleń, typowym przedstawicielem swojego narodu, może dzięki tym właśnie odchyleniom najbardziej typowym.

U Grimma obserwujemy ciekawy proces literacki. Wszędzie tam, gdzie przemawia jako autor, daje absolutnie nazistowski obraz świata. Znana teza Hitlera o „narodzie bez przestrzeni", wygłaszana w niezliczonych przemówieniach, poparta cyframi ludności i obliczeniami metrów kwadratowych, snuje się przez całą powieść jako *idée fixe*, granicząca często ze śmiesznością (gdyby w Niemczech było dość miejsca dla wszystkich amatorów polowania, nie byłoby kłusowników). Słuszności tej i innych teoryj nazistowskich chce Grimm dowieść na konkretnych warunkach życiowych i na ludziach żyjących w tych warunkach. Ale mimo wszelkich wykoszlawień, mimo tendencyjnego wyboru fragmentów, i mimo że Grimm próbuje koncentrować całe światło na swoich „dodatnich" postaciach, a wszystek cień na „ujemnych" — siła rzeczywistości triumfuje nad autorem po większej części, przy opisywaniu okoliczności realnych, a prawie w zupełności przy tworzeniu głównych bohaterów. Pozytywny element zamienia się w negatywny, „światło" Grimma zamienia się w cień, a jego „cienie" w światło. Oczywiście tylko dla tego czytelnika, który potrafi odiąć wszystkie hitlerowskie bzdury i bujdy, składające się na połowę książki. Ale któryż przeciętny czytelnik, zwłaszcza w Rzeszy Hitlerowskiej mógł, a przede wszystkim chciał sobie na to pozwolić? Nie zmniejsza to, lecz powiększa jeszcze ideologiczne niebezpieczeństwo tej powieści.

ZDEKLASOWANY

Jakimże człowiekiem jest wreszcie Cornelius Friebott?

Towarzysz z wojny burskiej, człowiek liberalny i życiowo mądry, lekarz Reinhart charakteryzuje 35-letniego Friebotta w sposób następujący: „Nie mogę w nim zatrzeć przeznaczenia i głupoty, zarozumiałej cnoty i fałszywego pochodzenia, jednym słowem tego wszystkiego, co charakter wypacza i wykoleja, przeinacza i wykręca". Autor wyraża się o młodym robotniku fabrycznym Friebotcie, że jest zarazem prosty i skomplikowany: „Cornelius Friebott był prosty i skomplikowany; prosty na skutek obecnych warunków, a skomplikowany z powodu długiej tradycji starego, kontemplacyjnego rodu."

„Zarozumiała cnota" i „fałszywe pochodzenie", mówi lekarz. Autor nazywa bohatera „skomplikowanym", podając tę samą przyczynę, chociaż już troszkę przybraną w brunatny mistycyzm rodowy: „fałszywe pochodzenie". My nazwiemy ją środowiskiem.

Pradziad — proboszcz wiejski; dziad — nauczyciel dziwak; ojciec — gospodarz małorolny, niemal że proletariusz. „Gdyby twój dziad miał odrobinę więcej szczęścia, mógł był

być przywódcą ludzi, a tak wyśmiało go paru błaznów," opowiada ojciec Corneliusa dziecku. On sam lubi dumać, czyta i zbiera niecodzienne i „drogocenne" książki. Przypadkiem dowiadujemy się później tytułu jednej z nich: *Czasy niemieckiego cesarstwa* Giesebrechta. Matka jest zgorzkniałą, twardą mieszczką prowincjonalną, bez poczucia humoru. Dom rodzinny to chałupa drewniana setki razy łatana, ochrzczona przez sąsiadów ironicznie „Dobrą Nadzieją."

Oto „fałszywe pochodzenie" bohatera Friebotta, o którym autor zapewnia nas stale od nowa, że jest chłopem, z krwi i kości, chłopem i jeszcze raz chłopem. „Ale ja nie chcę być proletariuszem i ojciec mój nie jest proletariuszem! A czy twój ojciec chciałby być nazwany tym obcym słowem?" zapytuje namiętnie młody marynarz Friebott przyjaciela, socjalistycznego demokratę Wessla. „Wessel roześmiał się: „Ach, nie chcesz? Myślę, że nie jesteś taki odosobniony w tym!"

Bezustannie, w ciągu całej grubej powieści Friebott daje dowód, że duchowo nie jest zdolny do stwierdzenia choćby najprostszych faktów bez ressentymentów, tym mniej do przetrawienia myśli obcych, zwłaszcza z przeciwnego obozu. Zamiast tego duma sobie. Wypowiada strasznie zagmatwane i przeraźliwie banalne zdania, ale za to przeważnie z nieprawdopodobną pyszałkowatością. Udaje głębokiego myśliciela, bo Grimm kazał mu przeczytać — akurat! — Sombarta, Naumanna, Calwera i Helffericha. „Koleżeństwo w drobnych przysługach pojawia się tutaj szybko... ale z koleżeństwem myśli rzecz ma się inaczej. Schylać się ciągle na dół, to przecież nie koleżeństwo", skarży się Friebott pruskiemu urzędnikowi kolonialnemu. Ale Grimm wyraża się o tym aroganckim filisterstwie, (a styl jego jest tu niemal demaskujący): „Cornelius Friebott, który miał zdolności człowieka wykształconego i sposób mówienia człowieka wykształconego i który był człowiekiem wykształconym w określonym i prawdziwym znaczeniu tego słowa..." (!) To zdanie obliczone jest oczywiście na czytelnika, który myśli, mówi i czuje prawie tak samo jak Friebott i spotyka się tutaj z wyraźnym potwierdzeniem swojego „wykształcenia". Antypoda Friebotta, socjalistyczny demokrata Martin Wessel może wypowiadać prawdy nie wiem jak trafne i przez wydarzenia powieści sto razy potwierdzone, może być charakterem czystym, dobrym synem, wspaniałym towarzyszem, dzielnym bojownikiem: to nic, wszystko to spłynie po sfilistrzałym czytelniku, ponieważ Grimm każe Wesselowi „śpiesznie" utykać i „człapać" (miał wypadek), każe mu mówić „to papierowo suchym, to karczemnie krzykliwym, to talmudystycznie chytrym tonem przywódców partyjnych i ich pism..." Któryż z czytelników chciałby, zwłaszcza po takim schlebianiu jego głupiej zarozumiałości, jeszcze zastanowić się długo nad tym o czym Wessel mówi? Innymi słowy: Grimm daje najpierw prawdę, a potem zbija ją komentarzami lub przefarbowuje ją jak dr Goebbels. I to z żelazną konsekwencją poprzez całą powieść.

Mniej więcej z początkiem powieści na Friebotta, młodego robotnika w kamieniołomach, pada podejrzenie, że jest „czerwony". Reakcja jego jest następująca: „Podłe dusze chciały skrzywdzić" „troje ludzi z Dobrej Nadziei czystych, dumnych i dziwnych" — to znaczy jego i rodziców. Fabryka jest dla Friebotta w pewnym śnie miejscem, „gdzie jeden pracuje tuż przy drugim, gdzie nie najporządniejsi, lecz najpodlejsi nadają ton i wywołują śmiech", i — co go zawsze najbardziej boli — „mają ostatnie słowo". Kiedy przyjaciel Wessel zostaje z powodu prowadzenia strajku bezprawnie odstawiony przymusowo z Afryki do Niemiec, „porządny" Friebott reaguje następująco: „Myśl o nim była dla Ilsabety mimo żalu myślą rozweselającą". I tę ohydną radość z cudzego nieszczęścia interpretuje Grimm u aspołecznego Friebotta nacjonalistycznie, przeciwko Anglii.

Ale wszystkie te szczegóły są stosunkowo drobne. Friebott potrafi zdobyć się jeszcze na całkiem inne rzeczy. W kopalni stwierdzono obecność gazów. Zarząd, zamiast zaradzić [illegible], u żąda odczytu lekarza, mającego „dowieść" nieszkodliwości gazów. Towarzysze postanawiają zbojkotować zebranie. Ale: „Friebott poszedł, nie z braku poczucia solidarności, tylko dlatego, że głupota przymusu i nietajone pogróżki podnieciły go". Prawie dosłownie tak samo uzasadnia „robotnik budowlany" Hitler w *Mein Kampf* swoje nie solidarne postępowanie i odmowę wstąpienia do zrzeszenia! — Pierwszym warsztatem pracy Friebotta w Afryce Płdn. jest małe, zmechanizowane przedsiębiorstwo rzemieślnicze. Towarzyszami pracy są 2 Anglicy, 1 Szkot i 1 Finlandczyk. Ani jeden z nich nie jest specjalistą albo jest nim co najwyżej w bardzo słabym stopniu. Pewnego dnia motor nie funkcjonuje. Miejscowy ślusarz wyjechał na wieś. Wobec tego Friebott chce się zabrać do naprawy. Koledzy dają mu do zrozumienia, żeby się z łaski swojej nie brał do naprawy. Friebott ani rusz nie rozumie, dlaczego. Nie rozumie nawet wtedy, kiedy mu Finlandczyk Rautanen tłumaczy: „Mam panu wytłumaczyć w pańskim języku ojczystym, że to grzech odbierać człowiekowi okazję roboty, która mu się słusznie należy. Niech pan to sobie raz na zawsze zapamięta!". Friebott dąsa się. Tak chętnie pokazałby, co to jest *Tüchtigkeit* (dzielność). Wkrótce potem towarzysze pracy są znowu zmuszeni do wytłumaczenia mu, że pracując

własnymi, lepszymi narzędziami „psuje im akord"; żądaja, ażeby używał tego samego co oni hebla i tej samej piły. Friebott znowu niczego nie rozumie. Jest tak daleki od jakiegokolwiek poczucia solidarności, że odpowiada naiwnie: „Czyż ja korzystam coś na tym? Jeśli jest z tego jakaś korzyść, to ma ją warsztat lub majster". (W tym wypadku przedsiębiorca). Będąc sam, duma i m dytuje: „Coś jest ze mną nie w porządku. Ale co?" I Grimm podsuwa mu iście genialnie idiotyczną odpowiedź: to dlatego, że jest Niemcem! Wszyscy inni — Anglicy, Szkot, Finlandczyk — są takimi szowinistami, że nienawidzą nawet niemieckich narzędzi! Tak bardzo nienawidzą, że przeforsowują u majstra zwolnienie Friebotta.

NIEMĘSKI

Ale również w czysto prywatnej dziedzinie życia Nelius Friebott jest marną figurą. W słowach nie może się dość nachwalić swojej rzekomej miłości synowskiej, zwłaszcza do ojca. Kiedy po pierwszym więzieniu chce wyemigrować, ojciec daje mu na drogę swoje z trud m zapracowane oszczędności. (Miały służyć do zakupienia pary wołów, żeby starzec zamienił się znowu z proletariusza w chłopa). Dobry syn zaś nie napisze nawet później do ojca, chociaż wie, jak drogie jest każde jego słowo dla starca. Ponieważ Cornelius nie pisuje, pisze za niego do jego rodziców kochanka, farmerka Prinsloo i wysyła im, zubożałym i zaharowującym się na śmierć, po kryjomu paczki. — Cornelius postępuje wprost przeciwnie niż demokrata Wessel, nie opływający bynajmniej w dostatki, z którego Grimm zresztą różnymi tanimi sztuczkami robi postać niesympatyczną. Siostra Wessla mówi do Friebotta, odwiedzającego ją w ojczyźnie w roku 1913: „Marcin posyła matce i nam wszystkim pieniądze. Musi mu pan też powiedzieć albo napisać, że matce wiedzie się dobrze".

W stosunku do kobiet Cornelius Friebott okazuje się dziwnie żałosną i niemęską figurą. Historia jego młodzieńczej miłości do Melseny przypomina mocno komicznego mimo woli „Michacla" Goebbelsa i jego stosunek do Herty Holk: mężczyzna opowiada androny, a zdrowa dziewczyna szuka sobie tymczasem innego; on zaś pociesza się zagniewany: właściwie nie była nawet warta takiego byczego chłopa jak ja. Melsena czeka i czeka na pocałunek a Nelius... opowiada długie legendy o Zbawicielu! Dopiero później dowiaduje się, że Melsena zadała się z chłopcem do rzeczy i spodziewa się teraz dziecka. — Ilsabeth, druga towarzyszka zabaw, kochająca go z całym poświęceniem, nawet jeszcze jako dojrzała kobieta, jest za chłopska dla „skomplikowanego" Neliusa, za głupia dla mędrca, który zjadł wszystkie rozumy świata, a kiedy wreszcie chce się łaskawie „zniżyć" do niej, ona wychodzi za porządnego i dzielnego Marcina Wessla. — Zaraz po przybyciu Friebotta do Afryki zakochuje się w nim (dlaczego? na to nie daje nam autor żadnego wytłumaczenia) bogata, wesoła i piękna wdowa Lotta Prinsloo. Nawet gdy wdowa zabiera go z farmy na wycieczkę we dwoje i gdy leżą razem w zacisznym ustroniu na trawie, on się ciągle jeszcze nie orientuje: zwraca jej uwagę, że przez omyłkę odezwała się per „ty" do niego! Z początku zazdrosny jak rzadko kto, nie doznaje później prawie żadnego wstrząsu przy śmierci Carlotty, choć zwykle kokietuje godzinami każde swoje najbłahsze i najmizerniejsze uczucie: sentymentalna refleksja na widok farmy zniszczonej przez wojnę — oto wszystko. Greta Born, córka niemieckiego farmera, w której się zakochał, daje mu niedwuznacznie do zrozumienia, że ona go również kocha, ojciec jej jedzie dobrych parę mil konno, aby oznajmić Corneliusowi, że wolałby jego za zięcia niż jego kuzyna George Friebotta — ale Cornelius udaje — dlaczego, pewno sam autor nie wie — że rezygnuje wspaniałomyślnie i jest jeszcze idiotycznie dumny z tego. Mało tego, kiedy już przekroczył czterdziestkę i zakochuje się w 13-letniej Melsenie, córce ukochanej Melseny z lat młodości, zachowuje się ciągle jeszcze jak uczniak w okresie dojrzewania: jedzie specjalnie do Kassel, obserwuje dziecko wracające ze szkoły i śledzi je na drodze do domu, po czym wraca do Afryki. Nie pisze on następnie do małej Melseny, tylko Ilsabeth czyni to po kryjomu za niego. Opis jego późniejszego małżeństwa z „dziewczęcym dzieckiem", z „dziewczęcą żoną" jest romantyzmem waganckim w kiepskim gatunku.

MISTYCYZM

Grimm uważa mistycyzm za rzecz tak wartościową, że w jednym miejscu powieści potępia mieszane małżeństwa z kolorowymi, ponieważ wskutek tego zanikałyby trzy najcenniejsze cechy rasy białej: wesołość, rzeczowość i mistycyzm. Wesoła sprzeczność między rzeczowością a mistycyzmem jakoś nie razi tego mistyka. Ale skądże wymagać jeszcze logiki w dziedzinie mistycyzmu?

Na szczęście cała powieść jest dość niemistyczna, przynajmniej pod względem ilościowym. O Friebotcie co prawda mówi się raz po raz, że jest człowiekiem religijnym (słyszeliśmy już: w najmniej odpowiednim momencie opowiadał legendy o Zbawicielu), ale w istocie ma on

do religii jedynie oficjalne ustosunkowanie się NSDAP Alfreda Rosenberga: z chwilą pokonania pogańskich Dolnych Sasów przez Franków dostała się zgubna „wschodnia" trucizna do niemieckiego organizmu narodowego. Prawdziwa religijność natomiast niewiele obchodzi Friebotta. Autor prowadzi go jako młodego robotnika fabrycznego na zebranie socjalistycznych demokratów, na którym przemawia ksiądz zwykłą chrześcijańsko-socjalistyczną terminologią, rozwadniając ideę walki klasowej znanymi argumentami. Podoba się to oczywiście Friebottowi ogromnie i jest on oburzony na innych uczestników zebrania, którzy śmieją się i dorzucają swoje uwagi, „ponieważ konstrukcja myśli mówcy jest za trudna dla nich". Potem uczestniczy Friebott w „godzinie skupienia" sekty religijnej w mieszkaniu werkmistrza, lecz to nie robi wrażenia na nim. Grimm przeciwstawia te dwa przeżycia — ale ze stanowiska społecznego, a nie religijnego.

Mistycyzm Grimma wypływa z innych źródeł, ze źródeł rdzennie nazistowskich: z krwi i ziemi, z rodu, mitu o „Führerze" i — nie na ostatku — z rasizmu. Mistycyzm ten służy Grimmowi przede wszystkim do zasłonięcia społecznych związków przyczynowych i sprzeczności, następnie zaś jest zupełnie tanim środkiem technicznym do zakrywania kompozycyjnych lub formalnych nieudolności powieści.

Oto typowy przykład dla pierwszego rodzaju zastosowania: We wspomnianym już odczycie uspokajającym lekarz kopalni ośmiela się częstować śmiertelnie zagrożonych górników andronami w tym rodzaju, że „zapał w wykonywaniu obowiązku, wsparty dzielnym i nieustraszonym sercem o wiele dłużej oprze się ujemnemu działaniu gazów niż niechętny, nierzetelny charakter i brak odwagi". Towarzysze Grimma nie wygwizdali wprawdzie tego lekarza magika, ale jednak zdobywają się na „ironiczny uśmiech". Tylko Friebott „był dziwnie poruszony jak gdyby głosem z wielkiej oddali. A może obudziły się w nim w owej chwili duchy starego rodu, które w swoim czasie dowodziły i czuły odpowi dzialność duchy, które bez słów i bez zastanowienia czuły poprzez czasy i pokolenia, że one i ich ucieleśnienie muszą nasamprzód i bezwzględnie wytrwać w sobie, ażeby ród pozostał przy swym prawie przywództwa.

Druga metoda mistycyzmu użytego w miejsce kompozycji i tworzenia przedstawia się u Grimma po prostu jako ordynarne „jasnowidztwo". Potrzeba mu np. dla ogólnego naświetlenia swej tezy o „narodzie bez przestrzeni" również antytezy: jak jednostki chciwe ziemi, żyjące na wielkich nawet terenach przestrzeni kolonialnej mogą zostać mordercami dla kawałka ziemi. Takie morderstwo zdarzyło się w rodzinie Steynów. Jedyny wtajemniczony, czyli morderca, nie może o nim opowiedzieć z przyczyn zupełnie jasnych, ale Friebott (a z nim czytelnik) musi się o nim dowiedzieć, jeżeli akcja powieści ma się rozwinąć dalej: a zatem Friebottowi śni się ta cała zawiła historia ze wszystkimi szczegółami! — Drugim razem potrzeba Grimmowi, żeby bohater znalazł się w Grootfontein: tylko tam może on być ostrzeżony przed grożącym mu niebezpieczeństwem. Ale nie ma po temu żadnej rozsądnej przyczyny, aby ruszył w długą i niekoniecznie bezpieczną drogę do Grootfontein. Mimo to pojechał, zupełnie bez jakiegokolwiek umotywowania i został programowo ostrzeżony. „Cornelius Friebott nie zdziwił się tak bardzo temu, co usłyszał, lecz zdumiał się raczej dlatego, że od razu narzuciła mu się myśl: „więc dlatego przyjechałem do Grootfontein, aby spotkać się z ostrzeżeniem, wiem teraz o tym na pewno". Kilkadziesiąt razy miewa Friebott tego rodzaju „przeczucia", ponieważ autor nie umie inaczej powiązać nici akcji.

Albo też, gdy zawodzą jego zdolności twórcze. Nie umiał uwiarygodnić miłości Friebotta do Lotty Prinsloo, o czym już wspomnieliśmy, jakże więc miał odtworzyć głęboki smutek po jej śmierci? A więc daje jako namiastkę najtańszą mistyczną tandetę: Friebott nocuje u nowych właścicieli fermy Onverwacht. Nocą słyszy jakiś głos kobiecy, śpiewający ulubioną pieśń Carlotty. Rano opowiada o tym gospodyni domu, która ma od razu „oczy pełne łez" i woła: „Nie, to nie był sen, nie, to nie był prosty, zwykły sen!"

Grimm, którego zdolności twórcze zawodzą uderzająco, gdy chodzi o kształtowanie stosunku do kobiet, zawodzi już całkowicie w zawiłym zadaniu odtworzenia rodzącej się miłości między dojrzałym Friebottem a 13-letnią Melseną. Obok taniego romantyzmu scenerii (rodzaj „puszczy" koło Kassel) musi jeszcze dopomóc mistycyzm: „I nadeszła chwila, że spojrzeli na siebie, mężczyzna i dziewczyna, bez słowa, bez uśmiechu, bez zmieszania, jakby nie stały lata między nimi...". Dopiero później „spostrzegają", że „zupełnie naturalnie" poszli obok siebie dalej.

Nawiasowo trzeba wspomnieć, że Grimm potrąca również wyraźnie o mistycyzm „Männerbundu" (Blüher, Weininger i in.), który jest dosyć rozpowszechniony u nazistów, zwłaszcza u ich zmilitaryzowanych formacyj (SS, SA, NSFK itp.), zrodzonych z „ludowych związków" i ochotniczych oddziałów. Kiedy np. poległ kapitan von Erckert, którego Grimm chciałby

nam narzucić jako wielce wybitną indywidualność „führerowską", nie dając jednakowoż nic więcej jak tylko anemiczne zarysy wyjątkowo zaciętego, pruskiego łba komiśnego, o „oczach skierowanych jakby w głąb albo w ogromną dal" — otóż kiedy tenże Erckert poległ, Grimm cytuje z Biblii: „Żal mi ciebie, bracie Jonathanie. Miałem wielką rozkosz z ciebie. Twoja miłość była mi osobliwsza niż miłość niewiasty. Jakżeż polegli bohaterowie i wyginęli wojownicy!".

RASIZM

Znacznie złośliwszy i niebezpieczniejszy niż teza o „narodzie bez przestrzeni" jest w książce Grimma rasizm. Występuje on we wszystkich formach i — co czyni go tak niebezpiecznym dla niedoświadczonego lub mało odpornego czytelnika — zawsze z pretensją do oczywistości. Obłęd rasizmu jest w tej „powieści dydaktycznej" również owym składnikiem ideologii hitlerowskiej, do którego bohatera rzeczywiście trzeba wychować, innymi słowy: tutaj rzeczywiście widzimy zmianę Friebotta, i to zmianę nie tylko pod względem ilościowym ale i jakościowym.

Rzecz oczywista, że autor przedstawia nam rodzinę bohatera jako „urgermanisch": boć dzieci dziadka Friebotta były „smukłe i jasnowłose, jak gdyby wyrosły w lesie między bukami i wyraźnie było widać, że ani Celt, ani Słowianin, ani Włoch, ani Żyd ni zmącił ich krwi dolnosaskiej". Rzecz oczywista, że Cornelius Friebott jest „wysokim chłopcem o długiej, subtelnej twarzy, niezbędnej u Saksończyka o nieskażonej krwi". Rzecz oczywista, że wszyscy rzecznicy, zastępujący stronę przeciwną lub choćby pozornie przeciwną, jak również wszyscy działacze socjalistyczno-demokratyczni (z wyjątkiem Marcina Wessla) albo są Żydami, albo posiadają wstrętne i śmieszne właściwości. Nie dość na tym: Grimm, który jak sam podaje, był w r. 1917 szpiegiem wojskowym w obozie jeńców angielskich pod Cambrai, wygłupia się na tyle, że twierdzi o swoich kolegach w angielskim obozie: „Łatwo rozpoznawało się tajną policję obozową. Składała się z Żydów niemieckich i polskich".

Lecz ciekawą rzeczą jest, jak autor pozwala „rozwinąć" się swojemu bohaterowi w tym kierunku. Friebott błąka się bez widoków pracy po pustyni. Wyczerpany upada. Tak znajduje go Karfunkelstein, który jako znachor wędruje z kapelą muzyczną z miejsca na miejsce. „Podszedł na płaskich stopach", pisze Grimm. I Friebott „pomyślał bez złego zamiaru: „Czego on chce? Czego chcesz, żydziaku?!" I pomyślał (gdy mu zaofiarowano pracę) myślami swojej ojczyzny: „Czy mam biegać razem z żydziakiem?" Tutaj antysemityzm Friebotta występuje jeszcze jako prymitywne, relatywnie nieszkodliwe uprzedzenie, co prawda silnie zaakcentowane przez autora, ale nie jako świadoma ideologia.

Żyd zatrudnia Friebotta przy ustawianiu straganu, płaci mu hojnie i traktuje porządnie. Działalność Karfunkelsteina opisana jest bez specjalnej złośliwości i z humorem. Grimm ukrywa swój rasizm na razie jeszcze pod pozornym obiektywizmem, co prawda nieraz z ładackim przymrużeniem oka. „Zajazd" znajdował się we wsi starego, wolnego państwa orańskiego, gdzie trzy białe narody, albo raczej, jeśli oddać Żydom ich pełne prawo, jak powinno być, gdzie zatem cztery białe narody, Burowie, Niemcy, Brytyjczycy i Żydzi w uzgodnionej wzajemnej tolerancji robili interesy..." Friebott opuszcza Karfunkelsteina, któremu winien niejaką wdzięczność, potajemnie w nocy, i Grimm jest na tyle zręczny, żeby nie podsuwać mu pobudek jawnie antysemickich: Friebott łamie kontrakt, głównie dlatego, ponieważ jemu, „człowiekowi porządnemu" nie odpowiada jarmarczne przedsiębiorstwo straganiarskie.

Ale prawie niespostrzeżenie i to poprzez społeczny kontrast między białą rasą i kolorową, który Friebott przyjmuje bezkrytycznie jako oczywiste zróżnicowanie wartości ludzkiej, wzrasta w nim stale i nieustannie pycha rasowa, granicząca pod koniec z bestialstwem.

Podczas jego pierwszej wyprawy w wojnie burskiej „Burowie śpiewali psalmy Żydów przeciwko poganom", Holendrzy gwizdali lub śpiewali żartobliwe piosenki; u Niemców natomiast Friebott tak odczuwał sprawę: „Między głuchą, oskarżającą i dufną nienawiścią psalmów dały się słyszeć piosenki *Früh, wenn die Hähne krahn...*, *Drei Lilien, drei Lilien* i *O Strassburg, o Strassburg...*, a nawet *Ich bin ein Preusse...* i przypominały pogodne kwiaty lub też raduiące się sobą tańczące dziewczęta i niewiasty." Jak widzimy, Grimm nie żałuje niczego na „edukację" swojego bohatera, nawet pod względem stylistycznym. Ale to się opłaca. W parę miesięcy później poetny Nelius, mówiąc o kobietach i dzieciach zmarłych w obozie dla internowanych, rozwija z powołaniem się na Boga już następującą „uczuciową" teorię rasistowską: „Kobiety i dzieci były białe, a to jest zawsze jeszcze coś innego niż Hererowie i Hotentoci, i będzie zawsze czymś innym zarówno wobec Boga jak i wobec nas!"

Zapewne, megalomania rasistowska nie jest wynalazkiem niemieckim, a już najmniej w ko-

loniach, ale właśnie tam była przez tych, co się dziejowo spóźnili, szczególnie hodowana i hołubiona i „teoretycznie" podmurowywana. Wcześniejsze imperializmy mogły się obejść bez niej, miały bowiem jeszcze niewrażliwe „czyste sumienie" i „zdrowy" głód kolonialny. Toteż taki stary oficer kolonialny jak kapitan von Erckert nie może sobie darować „teoretycznego" uzasadnienia w swoich rozkazach dziennych. „Hotentot jest przeciwnikiem, który walczy sposobami, jakie pragnęlibyśmy sami stosować, ale nie potrafimy", przyznaje, aby następnie ciągnąć dalej — jak np. jakiś dzisiejszy generał-lejtnant Dittmar: — „Ale jeśli przystosujemy się do warunków krajowych i do tutejszego sposobu walki, Hotentot nie potrafi się nam oprzeć, ponieważ jako człowiek jest on wart mniej niż my".

Friebott, walczący jako obywatel „neutralnego" państwa ochotniczo po stronie Burów, dostaje się do obozu jeńców wojennych i jest niezmiernie oburzony, że jest tam brudno. Wprawdzie może przyjmować gości, nie broni się nawet wstępu niemieckiemu socjalistycznemu działaczowi Wesslowi, ale wrażliwa duszyczka rasistowska Friebotta oburza się głęboko nad tym, że „nad wtrąconymi i trzymanymi w brudzie jeńcami puszą się dozorcy a także baby dozorców i wartowników — jak nad społecznością od urodzenia brudną i niechlujną, co nie działo się i nie dzieje nigdy i nigdzie jak tylko u Francuzów, a ci przecież od dawna już nie są narodem białym". Jak widzimy, teoretyk rasizmu Friebott, do niedawna jeszcze uczeń, dojechał już do „zmurzyniałych" Francuzów Hitlera i Goebbelsa.

I od tej pory robi olbrzymie postępy: „Hotentotka mu gotowała tak, jak takie bronzowe babsko potrafi ugotować". Albo, w r. 1916, kiedy Anglicy obsadzili niemieckie płdn.-zachodnie posiadłości: „Zezujący bękart rzekł: ‚Anglicy przyjdą również tutaj'." I potem skromny rasista zapytuje naiwnie: „Jakim sposobem najschludniejszy i najporządniejszy, najuczciwszy i najbardziej pracowity naród świata może być tak omotanym przez podłość?" — Chociaż przed stryczkiem ratują go w r. 1918 Portugalczycy (został skazany na śmierć z powodu zamordowania tubylca), słyszy się u niego w Portugalskiej Afryce takie zwroty jak: „każdy brudny Portugalczyk i mulat" i tym podobne wyrazy wdzięczności.

Ale Friebott dziwi się, dziwi naprawdę, tak samo jak jego autor Grimm ciągle od nowa, dlaczego Niemcy nie są lubiani w koloniach, ani przez Anglików, ani przez Burów, ani przez tubylców! I obaj mędrcy — Grimm oraz Friebott i jeszcze szereg innych takich „zagranicznych" Niemców — znajdują przyczynę przekonywującą każdego filistra bez reszty: niedobrzy Anglicy każą przez swoje biuro Reuterowskie każdą wzmiankę o Reichstagu, każdą mowę cesarza, każdą notatkę gazeciarską od *Vorwärtsu* do *Berliner Tageblatt*, zajmującą się niemiecką polityką kolonialną, telegrafować na cały świat i przedrukowywać, jeśli tylko są negatywne lub jak mowy cesarza „z drabiny Jakubowej" czyli niezręczne. Np. kiedy Bebel powiedział w r. 1906 w Reichstagu: „Jeśli pójdziecie do obcych ludów jako przyjaciele, jako dobroczyńcy, jako wychowawcy człowieczeństwa, jeśli pójdziecie, aby im pomóc rozwinąć naturalne bogactwa kraju tak dla pożytku tubylców jak i pożytku cywilizacji, wówczas staniemy u waszego boku. Ale wasza polityka kolonialna nie tak wygląda. Nie idziecie jako oswobodziciele i wychowawcy, lecz jako zaborcy, ciemiężyciele, jako wyzyskiwacze.... Tak wygląda wasza niemiecka polityka kolonialna!"

Tak, takie „bzdury" musiał Friebott czytać, w dodatku na pustyni Kalahari, gdzie mu kapitan Erckert dał gazetę... na wyprawie eksterminacyjnej przeciwko ostatniemu, zepchniętemu w bezwodną pustynię szczepowi Kafrów! Albo też takie „bzdury" jak słowa posła Ablassa w tym samym roku, które właściwie nie potrzebują rzeczowej kontrargumentacji: „W naszych koloniach jest na porządku dziennym takie okrucieństwo i taka brutalność, że to są po prostu kpiny z wszelkiego rodzaju humanitaryzmu!" Ciemiężenie, wyzysk, brutalność — to chyba złośliwe wymysły, prawda? „Cornelius i George Friebott pojechali konno do najbliższego posterunku policji, aby zabrać przydzielonych im tubylców", opowiada Grimm, gdy nie rozwija faszystowskich teoryj, tylko opisuje rzeczywistość taką, jaką zna. „Co znaczy żyć, przyjacielu?" zapytuje we wstępnym rozdziale powieści. „Żyje kaleka i żyje złodziej, żyje prostytutka i żyje robactwo, pożerające się nawzajem". Słusznie. Zupełnie tak samo żyje ostatnia banda tubylczych „złodzici bydła" i „rabusiów" w Kaplandzie, a nawet jeszcze gorzej podług opisu Grimma, bo po to jedynie, aby zachować sobie wolność... „ale niemiecki człowiek potrzebuje miejsca koło siebie i słońca nad sobą i wolności w sobie, aby stać się dobrym i pięknym!" Co tu zrobić? Ano cóż, w pojęciu takiego „aryjskiego Herrenmenscha" Grimma trzeba po prostu postąpić tak: „Z półmałpami nie da się nic zrobić. Jeśli nie mają gąsienic ani korzonków do żarcia, poczują apetyt na bydło, a bydło łatwiej znaleźć niż zwierzynę... i ponieważ tak było również w Kaplandzie, polowano formalnie na półmałpy i wystrzelano je. Czy nie tak było, Janie Boer?"

KLECENIE HISTORII

Wspomnieliśmy już o przejętym przez Grimma od Alfr da Rosenberga „historycznym" punkci wyścia: „Historia każd go żyjącego mężczyzny ni mi ckiego zaczyna się w czasach frankońskich, kiedy Sasi ulegli nad Wezerą". Kobiety niemieckie zatem są istotami bez historii i to wytwarza „rasę" u mężczyzn!

Równi ż poza tym dziwnie wygląda „historia" Grimma. Zarówno w jego głowie jak i w głowach jego postaci powieściowych. Ale zbyteczne byłoby szczegółowe udowadnianie tego. Grimm jest ultra-imperialistą i po prostu nagina sobie swoją „historię" odpowiednio do t go. Przychodzi mu to tym łatwiej, że widocznie nie zna wcale na prostszych faktów historycznych.

Oczywiście tylko „indywidualności führerowskie" tworzą wedle niego historię.

Bądź co bądź świta mu coś niecoś, że istnieje coś takiego jak niemiecka „misère". W jakiejś południowo-afrykańskiej historii kolonialnej wyczytał coś o tym, że Holenderska Kompania zakupywała od „ludzi nazywających się niemieckimi książętami" niemieckich poddanych jako rolników, marynarzy i żołnierzy. Z tego powodu jego Cornelius Friebott przedsiębierze głębokie rozważania pod pomnikiem van Riebecka (oczekując w porcie na przyjazd Ilsabety z Niemiec) na temat, „że więcej niż połowa Burów jest pochodzenia niemieckiego". Zatem — wniosek ten pozostawia się czytelnikowi — Afryka Płdn. jest właściwie prawnie kolonią niemiecką. Książętom zaś, uprawiającym swoimi poddanymi handel żywym towarem, Grimm nie ma nic do zarzucenia, natomiast: „Liczne i małe państwa wychowały Niemców z ich pięknymi przyzwyczajeniami do obowiązkowości i uległości". Że jedynie za pomocą przeciwi ństwa tych „pięknych przyzwyczajeń", mianowicie za pomocą mieszczańskiej rewolucji tak jak w Anglii i Francji byłoby powstało niemieckie państwo narodowe — jakżeż miałby to zrozumieć Grimm, u którego przecież nie narody, tylko „wielcy mężowie" tworzą historię? Dlatego też zjednoczenie Rzeszy Bismarcka jest dla niego niemal że idealnym rozwiązaniem, i socjalista Friebott kurczy się po prostu z szacunku, gdy tylko mowa o Bismarcku.

Od chwili, kiedy historia Niemiec pisana jest „krwią i żelazem", a więc imperialistycznie, jest ona dopiero historią w guście Grimma.

Lecz i te problemy potraktowane są w powieści przeważnie tylko jako dialogowe refleksje czy agitacje i nie nabierają wyraźnych kształtów. Jedynie tam, gdzie literat Grimm zwycięża reakcyjnego polityka Grimma, to znaczy, gdzie odtwarza literacko ludzi widzianych i spotykanych, przybliża się on nawet do problemów historycznych. Np. doktor Reinhart po powrocie z Dnia Partyjnego SPD w Kamienicy mówi do Friebotta: „My mieszczanie cierpimy w Niemczech z powodu tego, czego nasi przodkowie nie zrobili... To zaniechanie sięga bardzo daleko wstecz... Pozwoliliśmy sobie wszystko zabrać, a na ostatku porzuciliśmy ster wszędzie tam, gdzie codziennie porusza się umysły. Zagrzebujemy się w naszych zawodach... Można i tak powiedzieć: z nadmiaru porządności i zrozumienia staliśmy się wszyscy narodowymi liberałami". Dr Reinhart pozostawia kwestię otwartą — albo też Grimm nie zrozumiał prawdziwego „Reinharta", u którego podsłuchał te prawdziwe słowa — kwestię, czy w istocie ma na myśli: „porzuciliśmy ster" (którego niemieckie mieszczaństwo nigdy nie dzierżyło!) lub też: „pozostawiliśmy go junkrom", abyśmy „my", niemieccy obywatele mogli się bez przeszkód „zagrzebać" w naszych interesach, „w naszych zawodach". W każdym razie kończy Reinhart z goryczą: „Będąc Anglikiem można coś zdziałać, również będąc Rosjaninem, Amerykaninem, i bodaże nawet Francuzem, ale w Niemczech porządny człowiek może wobec państwa wypełniać jedynie obowiązki i słuchać. Tak się to stało!"

Ale takie — połowicznie — jasne momenty trafiają się w powieści Grimma niezmiernie rzadko, jeśli chodzi o historię. Ponieważ przeszperał maniacko historię w poszukiwaniu za podpórkami do swej tezy o „narodzie bez przestrzeni" a niemieckie „wyzwolenie chłopów" nadaje się na taką właśnie „podpórkę", spotykamy się z historycznie prawdziwym opisem przedstawiającym „wyzwolenie chłopów" jako bezwzględne pokonanie rolników przez junkrów w celu wyzwolenia fornali. Ale rozwój przemysłu niemieckiego jest dla Grimma — tak bowiem opowiada Friebott pod koniec, jako mówca wędrowny, a postać powieściowa, też nazwiskiem Grimm, temu przyklaskuje — dziełem czystej filantropii: nastąpił wyłącznie po to, aby stworzyć warsztaty pracy dla nadmiaru małorolnych gospodarzy i fornali, którzy nie chcą lub nie mogą wyemigrować.

Klęska wojny imperialistycznej lat 1914—1918 jest u Grimma oczywiście wynikiem (jakżeż mogłoby być inaczej?) „ciosu w plecy". dowództwo nie miało za sobą zwartych mas. Dlaczego nie? Wszechniemiecka propaganda była wówczas widocznie w pojęciu Grimma — za skromna: „Niemcy nie pozyskały sobie wówczas mas, ponieważ nie ukazały im wielkiego,

ogólnego celu niemieckiego", powiada Friebott, „niemiecki go celu realnego, w postaci namacalnego zysku, by za korzyścią stał zaszczyt dla każdego, kto czegoś dokaże".

Dzisiaj zapewne przekonał się Grimm już ku swojemu zmartwieniu, że nawet o wiele mniej skromne, realne i namacalne obietnice Goebbelsów i Goeringów: „Olej, ruda i zboże" „Nakryty stół", „po to umierają nasi żołnierze, to ich pobudza" — podobnie nie zdołały powstrzymać dziejowo koniecznego upadku i klęski, jak nie powstrzymały ich hojnie rozdzielane urzędy i zaszczyty Rosenbergów i Kochów dla tych, którzy chcieli „czegoś dokazać" w rozmaitych kolonialnych „Ost-Gesellschaftach".

Ale Grimm nie pojął przecież nawet historii Unii Płdn.-Afrykańskiej, w której decydujących wypadkach osobiście uczestniczył! Jakżeż bowiem mógłby inaczej napisać podobnie głupi zdanie: „Ze wszystkich fragmentów wielkiej wojny z Niemcami, wojna płdn.-afrykańska z niemiecką Afryką Płdn.-Zach. była, jeśli chodzi o Burów, z pewnością wojną najpodlejszą, podlejszą nawet niż podstępna wojna Włochów z Niemcami..."

Nie brak w powieści Grimma głosów po części bardzo wyraźnych, nie brak nawet cytatów marxistowskich, opowiadających się całkiem niedwuznacznie przeciwko imperializmowi niemieckiemu, zwłaszcza kolonialnemu. Wspomnieliśmy już o kilku. Ale tak, jak wszędzie, Grimm nie kusi się nawet o kontrargumentację za pomocą akcji powieści — jak właściwie nakazuje mu jego obowiązek pisarski — nie sili się nawet na teoretyczne zbijanie, tylko każe jakiejś postaci, przeważnie bohaterowi, gadać od rzeczy z uporem maniaka, lub „opierając się na długoletnim doświadczeniu kolonialnym" oświadczać z góry mimochodem, lub też z dowcipem godnym szynkwasu, że to przecież takie „małe pieski", „szczekacze" — od Marxa, Hessa, Engelsa, Liebknechta, Jacoby'ego, Pfaua aż do Hardena. A jakiś poczciwy kapitan straży zrzędzi: „Przedtem mówiło się Prusy, a teraz mówi się sprusaczone Niemcy i cesarz!"

PRUSACTWO

To, co wspomniany wyżej kapitan straży chciał machnięciem ręki przekreślić, autor postawił demonstracyjnie w tym miejscu, gdzie opowiada o sobie tym swoim nieznośnie ważnym tonem: „Z niemieckiego doświadczenia politycznego przekonał mię się mimo południowej krwi macierzystej, że Rzesza, wspaniałość jej(!) i wszelkie nadzieje polityczne leżą na północy w Prusach; że niepopularność Niemiec za granicą i niepopularność ich cierpliwego, trzeźwego państwa przodowniczego *(Führerstaat)* wywołana została częściowo wygadywaniem środkowych Niemiec na Berlin i na Prusy, ale że to zrzędzenie bynajmniej nie oznacza prawdziwego głosu niemieckich krain".

Nawet u oficerów i urzędników, którzy przybywali do kolonii, jak wiadomo, zwykle za karę lub jako bezwzględni karierowicze, każe Grimm odkrywać pewnemu kupcowi uwielbienia godną „wspaniałość" niemieckiego „państwa przodowniczego": „Nawet ci urzędnicy i oficerowie, którzy przybywają z ojczyzny, uczą się tutaj dość szybko, jeśli są pojętni, nie tracąc nic z tego, co w ojczyźnie było w nich dzielne i co my Prusacy określamy jako pruskie".

Co oznacza owe „cierpliwe, trzeźwe" prusactwo, które reszta świata często nazywa „reakcyjnym prusactwem" — to odsłania nam Grimm oczywiście nie teoretyzując czy polemizując, lecz, rzecz charakterystyczna, znowuż tam, gdzie jako powieściopisarz odrysowuje żywego człowieka, tym razem naiwnie bzdurzącego nauczyciela, który na ochotnika rusza obok Friebotta z Burami na Anglików: „Niech pan tylko poczeka! Niemcy przyjdą Burom na pomoc! Dożyjemy tego! Wierzę w junkrów pruskich i oficerskiego ducha Niemców!" I znowuż Friebott słuchał pilnie. Ponieważ jest to charakterystyczne dla stopnia realizmu, do jakiego Grimm zawsze dochodzi, gdy odtwarza ludzi znanych z osobistego przeżycia, trzeba mimochodem dodać, że ów wojowniczy wielbiciel i oczywisty znawca Prusaków jest w swoim domku nauczycielskim wzruszająco filisterskim ojcem rodziny, tkwiącym mocno pod pantoflem, i gdy Friebott po wojnie i niewoli odszukuje rodzinę poległego przy nim towarzysza zastaje... całą rodzinę zanglizowaną, córki zaręczone z angielskimi oficerami i wizyta jego sprawia jedynie przykre i niemiłe wrażenie.

Zresztą zdaje się, że takie nazwiska, jak Quitzow i Itzenplitz, Zeppelin i Zastrow bynajmniej były zbyt lubiane i poważane przez prostych kolonistów, jak to można wyczytać między wierszami u Grimma. Jedyną skąpą pochwałą z ust zagniewanego krytyka, mieszczańsko-liberalnego sekretarza kolonialnego Sernburga, jest przyznanie, że wówczas byli jeszcze po większej części gotowi do ponoszenia swego oczywistego ryzyka zawodowego jako oficerowie: „Prawdziwym junkrom trzeba przyznać, że biegli naprzód również w śmierć!" Owszem, biegli naprzód, ale za nimi musiał biec naród!

MILITARYZM

Jak było do przewidzenia, Grimm przyklaskuje również militaryzmowi we wszystkich jego formach. Zaczyna się to czułym opisem uroczystości strzeleckiej we wsi z „generałami", „oficerami" i „kozakami", z „szarżami" kawalerii i piechoty, a nawet „potyczką morską" na Wezerze. „Za tą zabawą kryje się jakaś powaga", zapewnia nas autor, i ma rację.

Ale już tutaj zaznacza się w opisie pewien rys, typowy dla militaryzmu zabarwienia hitlerowsko-faszystowskiego: główny nacisk kładzie autor na demagogię społeczną. Nie trudno przy takiej „zabawie" jak święto kurkowe nagiąć stosunek między oficerem i żołnierzem do „Volksgemeinschaft" (wspólnoty narodowej); jest to nawet dosyć zrozumiałe dla „apolitycznego" obywatela małego miasteczka.

Tę tendencję wykazuje Grimm konsekwentnie poprzez całą powieść. Oficerowie marynarki, z którymi zetknął się Friebott za młodu, są uczynnymi protektorami i duchowymi kierowcami rekruta i późniejszego marynarza Friebotta. „Duchowe kierownictwo" polega oczywiście na „autorytatywnym" potwierdzeniu ideologicznego bigosu z „socjalizmu" i imperialistycznych żądań „przestrzeni do życia", wygłaszanych przez Friebotta z całkowitą powagą.

Ażeby jednak zbyt chętny czytelnik przypadkiem nie zrozumiał mylnie owej „wspólnoty narodowej" między oficerem a żołnierzem i faszystowska zasada „Führera" nie ucierpiała na korzyść ułudy demokratycznej, wyprowadza autor klęskę Burów z nadmiaru demokracji i braku prawdziwie żołnierskich „indywidualności führerowskich" u Burów. Ochotnicze niemieckie oddziały pod dowództwem pruskich junkrów spisują się oczywiście wspaniale.

Uderzająco słaby jest opis wyprawy Erckerta, chociaż autor uważa ten rozdział właśnie (jak widać z różnych wskazówek) za jądro powieści: tu bowiem zdobyto jego zdaniem po raz pierwszy „przestrzeń niemiecką w sposób jedynie możliwy i słuszny — siłą zbrojną!" (Nie jest to dziełem przypadku, że właśnie ten rozdział był rozpowszechniany przez propagandę hitlerowską jako osobna odbitka w masowym nakładzie.) Opisywane operacje wojskowe są nudne, postacie blade. Nawet środowisko, które Grimm zwykle umie barwnie i plastycznie odmalować, nie robi wrażenia. Zapewnienia o ogromie trudności, nieustannie przez Grimma podkreślanych, zwłaszcza podczas 9-miesięcznych przygotowań do wyprawy, i zapewnienia o ich rzekomo genialnym pokonaniu przez kapitana Erckerta pozostają pustym frazesem, nie nabierając realnego kształtu. Ciekawy natomiast jest dla nas sposób, w jaki kapitan Erckert, daremnie przystrajany w mistyczną aureolę przez Grimma, spotyka się z podoficerem Friebottem na gruncie prusko-komiśnej „wspólnoty narodowej".

Wydarzenia polityczne lat 1914—1918 stanowią w powieści jedynie tło. Rozegrały się zresztą w sposób bardzo prosty w niemieckiej części Afryki, a poza tym bohater z powodu wypadku na samym początku działań nie bierze w nich czynnego udziału. — Przy nadejściu pory deszczowej wojska angielskie, Brytyjczycy i Burowie, obsadzają kraj prawie bez oporu przy życzliwym poparciu mieszańców i tubylców (czego Grimm oczywiście nie rozumie i co go najbardziej gniewa).

Nikt się chyba nie zdziwi, że Grimm podciąga również militaryzm jako „żołnierstwo" w sensie hitlerowskim, pod pojęcie irracjonalizmu. „Przeżycie wojenne stanowi namiastkę myślenia". Oto przykład: Friebott przemawia po wojnie jako mówca wędrowny w jakiejś wsi na temat zagadnień ekonomicznych i społecznych. Grimm (jako postać powieściowa) przysłuchuje się. Jakiś słuchacz przerywa pytaniem, gdzie też Friebott był podczas wojny. Zamiast odpowiedzieć: Co to ma do rzeczy? Friebott tłumaczy się długo i szeroko, że wprawdzie wycierpiał już dużo przed i podczas wojny, ale: „Żołnierze frontowi, prawdziwi żołnierze frontowi, na których ciążą lata wytrwania, brudu, gazów, ran, głodu, niewymownych cierpień, niewdzięczność — żołnierze tacy, jacy są tu zapewne wśród was i wszędzie, mają dla mnie większe znaczenie". Inna rzecz, że z punktu widzenia literackiego powyższe słowa są wyśmienite (abstrahując od błędnej niemczyzny), bo są realistyczne. Każdy mówca nazistowski zareagowałby tak samo. Ta zakłamana skromność, to schlebiające godzenie się na umysłowo leniwe resentymenty pozyskało nazistom wielkie masy zacofańców.

MĘTNA ORIENTACJA EKONOMICZNA

Grimm twierdzi, że „studiował" ekonomię. Jeśli to prawda, jesteśmy wstrząśnięci rezultatem. Gottfried Feder jest geniuszem w porównaniu z Grimmem.

Jeśli w ogóle istnieje u niego coś takiego jak koncepcja zasadnicza, to jest nią ów niebezpieczny nonsens, z powodu którego wyklucza się Gerharda Hildebranda w Kamienicy z SPD, i chyba nie bez znaczenia jest fakt, że Grimm czyni książkę tego imperialisty kolonialnego

(Wstrząs panowania przemysłu i socjalizmu przemysłowego) decydującym przeżyciem dla Friebotta. Na Dniu Partyjnym pewien Hamburczyk mówi podług Grimma „najrozsądniej": „Streszczając pogląd Hildebranda w paru zdaniach, trzeba powiedzieć, że cała egzystencja społeczeństwa wspiera się na stanie chłopskim. Przemysł popada w coraz większą zależność od stanu chłopskiego. Stan chłopski w Niemczech jest podług niego do pomyślenia tylko na podstawie własności prywatnej... Socjalizm zatem ogranicza się w pojęciu Hildebranda do dziedziny produkcji, która jest w absolutnej zależności od nadrzędnej dziedziny produkcji, która znowuż jest możliwa jedynie na podstawie indywidualistycznej. I ta właśnie indywidualistyczna dziedzina produkcji jest dziedziną miarodajną, panującą i wzrastającą". Jest to w istocie również zdanie Friebotta czyli Grimma, skomplikowane tylko niekiedy okolicznościowymi dziwactwami. Gniewając się srodze na „rudego Dittmanna", czyni to wyłącznie dlatego, że Dittmann występuje jako „oskarżyciel" przy wykluczeniu Hildebranda z partii. Zasadniczo zgadza się z końcowym wnioskiem teorii Dittmanna, chociaż wolałby go usłyszeć w innym sformułowaniu: Hildebrand, żądając zagranicznych terenów rolnych, dochodzi do zasady popierania polityki kolonialnej, a ponieważ chce, żeby kolonie w razie konieczności wydzierano innym państwom siłą — zarazem do aprobaty polityki floty i wzmocnienia wojsk na lądzie, jednym słowem dochodzi do militaryzmu i imperializmu.

Grimm wtrąca mnóstwo teoretyczno-ekonomicznych bredni i absurdów do swojej powieści, ale kiedy pozwala ludziom w realnym życiu przeżywać i wypowiadać sprawy konkretne, zbliża się do prawdy, a nawet niekiedy oddaje ją w zupełności. Np. do najuczciwszych i z tego powodu najprzejrzystszych odcinków powieści należy walka poszukiwacza diamentów Roscha o jego prawo do szukania. Z dwóch przyczyn tworzy Grimm tutaj realistycznie: ponieważ jego marna orientacja ekonomiczna przyjmuje widocznie w dobrej wierze demagogiczną różnicę nazistów między kapitanem „pracującym" a „zagarniającym", i dla tej przyczyny nie powstrzymuje go nic od zaatakowania „finansistów"; po drugie dlatego, że znowuż odtwarza literacko autentyczne przeżycie. Rosch, odkrywca najbogatszego pola diamentów, uzyskuje wreszcie po licznych przeżyciach i ofiarach, które zrujnowały go pod względem zdrowotnym, na całe życie, parę udziałów, które „zapewniają" mu prawo poszukiwania. Friebott zapytuje w mieście: „Gdzie jest Rosch?" Otrzymuje odpowiedź: „Rosch pracuje dla Spółki Akcyjnej. Tamten świat i tak zamknięty dla biedaków dzięki dobrodziejstwu, które Dernburg wyświadczył berlińskiej finansjerze!" Co to znaczy? Sekretarz kolonialny Dernburg, „liberał", „demokrata" skasował prawa poszukiwania na polach diamentowych na korzyść rychło powstałej (i powołującej się na rzekomo „starsze prawa") spółki akcyjnej. I Rosch dostaje się do więzienia, ponieważ, będąc teoretycznym milionerem sprzedał bezprawnie jeden diament, zabrany ze swojego pola, aby nie umrzeć z głodu! Gdy Grimm to opisuje, wówczas sposób, w jaki to czyni kasuje wszystkie jego mętne teorie ekonomiczne łącznie z nieustannym, nużącym bajdurzeniem o „narodzie bez przestrzeni". Jedyny realny sens i cel kolonii określa pewien obywatel z Keetmanshoop tak jasno, jak określano go zapewne setki razy za czasów Grimma: „Bo prawdziwy kapitał musi mieć kawał tłustej słoniny, a tego nie mieliśmy jeszcze w żadnej kolonii. Dotychczas trzeba było ciągle harować i można było stracić życie, a tego bank i giełda nie lubią". Wyjawia się tu, nawiasem mówiąc, pewna prawda, przemilczana zazwyczaj przez Grimma z żelazną konsekwencją, mianowicie, że kolonie niemieckie były nierentowne pod względem gospodarczym i na długi czas nie wpłynęłyby nawet w rozumieniu Grimma na dostrzegalne rozładowanie gęstości zaludnienia „przestrzeni niemieckiej"!

Toteż prawdziwi, starzy koloniści nie chcą słyszeć tych bzdur. Jako doświadczeni farmerzy, kupcy i rzemieślnicy patrzą na rzeczy bardzo realnie. Charakterystyczna jest odpowiedź ojca Georga Friebotta, którego Cornelius odwiedza w towarzystwie Grimma, odpowiedź dana przemądrzałym gościom na pytanie o „niemieckiej misji" rolnika kolonialnego: „Bratanku, czy kuzynie, czy jak cię mam nazwać, powiem ci coś o naszych Niemczech: w twoich Niemczech wielcy ludzie zawsze pouczają małych: Bądźcie wierni i służcie ojczyźnie! Ale ich własna wierność i ich służba, to całkiem inna sprawa". I dalej: „Do niemieckiej Biblii i do niemieckiego kazania jestem przyzwyczajony od dziecka, ale „Heil dir im Siegerkranz" i „Deutschland über alles" a także „Wacht am Rhein" nic mnie już nie obchodzą... Szkoda waszego trudu!"

„NARÓD BEZ PRZESTRZENI"

Po wszystkich dotychczasowych enuncjacjach możemy się najkrócej streścić właśnie tu, gdzie mówimy o zasadniczej tezie powieści: „Naród bez przestrzeni". Autor wygłasza ją nie skończoną ilość razy, w każdym odpowiednim i nieodpowiednim miejscu, we wszystkich możli

wych, choć nie bardzo licznych wariacjach. Najszerzej w rozdziale końcowym o wędrownym małżeństwie Friebottów.

Znamy tę prymitywną, ale właśnie dzięki temu tak silnie działającą na prymitywne umysły tezę, z niezliczonych przemówień Hitlera: wliczając wszystkie bagna, lasy, ugory itd. i zakładając z góry, że nastąpił równomierny podział całego gruntu, przypada w Niemczech tyle a tyle ludzi na kilometr kwadratowy. Mechanicznie i tendencyjnie przeciwstawia się te cyfry odpowiednim cyfrom innych wielkich państw. Wniosek: w Niemczech ludzie żyją w ciasnocie, kraj w coraz mniejszym stopniu może ich wyżywić — a więc Niemcom potrzeba dodatkowej „przestrzeni życiowej". Podziałem wielkich dóbr niczego się nie zyska, bo przecież ów podział właśnie już jest podstawą statystyki. Zatem Niemcy muszą sobie zdobyć tę „przestrzeń" — kolonie u Grimma, Europę i Azję u Hitlera. Pokojowy handel, proponowany przez szkołę Brentana, nie stworzy wyrównania, bo Niemcy właśnie na wielkich rynkach światowych wejdą na dobre w kolizję z innymi mocarstwami: wojna jest nieunikniona, a więc róbmy ją szybko, żebyśmy wreszcie uzyskali autarkię!

Ostatni wniosek — wojnę zaborczą — wysuwa Grimm tylko raz, i to słabo, w decydującym miejscu końcowego rozdziału, raczej z a p i e r a się go nawet (gdyż Friebott przemawia po dopiero co przegranej wojnie zaborczej!).

„WSPÓLNOTA NARODOWA"

Tak samo ważna, a może jeszcze ważniejsza niż imperialistyczne zagadnienie kolonii, jest dla Grimma rozprawa z „kwestią socjalną", wychowanie jego bohatera do socjalizmu, który, jak było do przewidzenia, w trakcie powieści identyfikuje się dla niego coraz bardziej z nazistowską „wspólnotą narodową". Jednak Grimm nie ułatwia sobie zadania, tak jak z gruba ciosani propagandziści z rodzaju Leyów, Goebbelsów, Schmidt-Deckerów et consortes, ani też nie posługuje się tak tanimi sztuczkami jak przeciętny literat z „Reichsschrifttumkammer". Z tej przyczyny jest to najciekawsza i najwięcej mówiąca karta tej książki.

Tutaj trzeba wskazać z naciskiem, jak dalece autor opiera się i m o ż e s i ę o p i e r a ć na rewizjonizmie przedwojennej demokracji socjalistycznej.

Pokazaliśmy to już parokrotnie przy odkrywaniu źródeł innych ustępów ideologii Grimma-Friebotta. Autor posługuje się zarówno tu jak tam autentycznymi cytatami, wbudowanymi organicznie w całość, mało tego, stwarza z literackim talentem, wiarogodne i prawdziwe, dyskusje i zebrania (jak np. wspomina część Dnia Partyjnego w Kamienicy albo owo zgromadzenie robotnicze, na którym przemawia socjalistyczno-demokratyczny ksiądz); przy tym oczywiście umie stale wynajdywać najodpowiedniejszą dla swoich celów tendencję ze wszystkich odcieni rewizjonizmu, przedstawiając ją jako element p o z y t y w n y w rozwoju bohatera. Gra to również rolę w dyskusjach Friebotta z Marcinem Wesselem, który — bardzo prawdziwie, mimo silnie rozwiniętego poczucia klasowego i bojowego rozmachu, bynajmniej nie jest wolny od nalotów rewizjonistycznych. Ale bądź co bądź przedstawia go Grimm absolutnie konsekwentnie jako antypodę Friebotta wszędzie tam, gdzie chodzi o pogodzenie klas i o „wspólnotę narodową".

W pierwszym etapie rozwoju Cornelius jako młody marynarz częstuje przyjaciela osadem z lekcji instrukcyjnej:

„Nie chcę skasować Pana Boga ani zamordować czy przepędzić cesarza, i nie pragnę zabrać własności mojego sąsiada, który przypadkiem więcej posiada niż ja!" Ale Marcin Wessel przypiera go do ściany: „Nie wolno ci pustymi słowami zagłuszać swoich wątpliwości, a następnie nie wolno zarzucać nam nieuczciwości z powodu twojego braku zrozumienia i uprzedzeń osób trzecich!" I Marcin rozwija całkiem niedwuznacznie zasady socjalizmu. Friebott zaś, ignorant z zasady nie myślący a wszystko lepiej wiedzący nie znajduje odpowiedzi, choć „zachwycona sobą i egoistyczna nauka ś m i e s z y ł a go wprost". (I tym samym zapewne też przeciętnego czytelnika hitlerowskiego). Wessel mimo to nie traci cierpliwości, lecz argumentuje rzeczowo dalej. Wtedy Friebott wtrąca swoje zdanie, którym Grimm niewątpliwie pozyskuje wszystkich tych, którym nie chce się myśleć: „Czy rzeczywiście robotnicy i chłopi i rzemieślnicy wymyślili to wszystko na roli lub też przy warsztatach i maszynach? Czy nie wymyślili tego raczej pisarczyki, tchórze, elementy obce ludowi?!" Jak widzimy Grimm umie tak samo nadużywać wrogiego stosunku zacofańców do inteligencji dla swoich zamierzeń literackich, jak Goebbels dla swoich polityczno-agitacyjnych celów!

W dalszym stopniu rozwojowym zostaje Cornelius Friebott wciągnięty w praktykę walk klasowych. Wspomniana już katastrofa gazowa na kopalni — 122 zabitych i 30 rannych — wywodzi się jednoznacznie z zaniedbania środków bezpieczeństwa przez zarząd kopalni. Friebott jest jedynym, który jako główny świadek towarzyszy i wdów może oskarżyć zarząd kopalni.

Przychodzi do niego — u Grimma rzecz oczywista — adwokat Żyd. Paroma antysemickimi sztuczkami obraca Grimm teraz cały dotychczasowy realistyczny opis sprawy w jego przeciwieństwo. „Trudna, niechętna i podjudzona załoga" oraz działacze partyjni chcą nagle nadużyć naszego tak porządnego i uparcie sprawiedliwego Friebotta do jakiejś bliżej nie wyjaśnionej przez Grimma, sprawy. Zacięty Friebott składa kilka skąpych, nic nie mówiących zeznań przesłuchującemu go przedstawicielowi rządu. Ów musiał rzeczywiście odnieść wrażenie, że Friebott nic wie nic dokładnego o przyczynach katastrofy. Ale podczas pogrzebu ofiar Friebott wygłasza spontanicznie mowę, w której odkrywa wszystkie przyczyny. Jednak nie oskarża, nie wymienia nawet winnych, tylko kończy typowym frazesem „Wspólnoty narodowej": „W rewirach było pełno miału węglowego, wentylacja wszędzie nie dopisywała, nie było miłości i tak do tego doszło"! Zupełnie słusznie staje Friebott za swoje przemówienie przed sądem i zostaje ukarany więzieniem. Zarzucają mu, że chciał raczej jadzić, w przeciwnym bowiem razie złożyłby swoje zeznania wobec przedstawiciela rządu a nie nad grobem. „Zasądzenie i ukaranie oskarżonego", brzmi uzasadnienie wyroku, „ma na celu napiętnowanie nieuczciwości w walce politycznej i rozgłoszenie tegoż". I Grimm, będąc znowu poraz nie wiedzieć który realistą wbrew woli, nie czuje nawet strasznej ironii w dalszych wywodach sędziego: „Również wobec pobocznego oskarżyciela" (czyli zarządu kopalni, który ponosi wyłączną odpowiedzialność za katastrofę!) „sąd ma dług: skazanie oskarżonego", Ano tak, „brak właśnie miłości", brak „wspólnoty narodowej..." „Petrus Potgieter powiedział: Pracobiorca jest wspólnikiem pracodawcy. Niech mu się nie zdaje, że tylu a tylu ludzi pracuje na mnie. Pensje i wynagrodzenia nie są niczym innym jak z góry wypłaconymi udziałami zysku". Słowa powyższe mógł napisać Nonnenbrück w *Völkischer Beobachter.* Ale co robi Grimm? Maluje wyżej wymienionego Potgietera jako lisa, kutego na cztery nogi, jako przebiegłego wyzyskiwacza. W jakim celu? Ponieważ autor wie doskonale, że tym opisem, potwierdzonym doświadczeniem życiowym, zyskuje sobie zaufanie nieskończonej rzeszy czytelników, którzy następnie tym chętniej uwierzą w jego „wyższą" teorię o „socjalizmie" i „wspólnocie narodowej". Mianowicie: jeśli my Niemcy będziemy się trzymać razem, aby stworzyć „przestrzeń życiową" dla wszystkich, wówczas każda zdolna jednostka może się rozwinąć, nikt nie będzie drugiemu zazdrościł, skończy się brzydka walka klasowa, i będziemy mieli socjalizm, który nie zrodził się z wypocin mózgowych, tylko powstał „drogą naturalną" z życia!

Cóż jest w pojęciu Grimma socjalizmem fałszywym a co prawdziwym? — Autor wypowiada się swoim zagmatwanym, patetycznym stylem tak: „Socjalistyczna nauka zbawienia ma trojakich zwolenników: jedni to ci z gruba ciosani i nie obarczeni hamulcami, którzy chcieliby na krótkiej drodze i pod pięknym pretekstem przenieść spiżarnię związanego sąsiada do własnej izby; potem są drudzy, którzy zorientowali się w okazji dogodnej dla robienia kariery i dojścia do władzy; w końcu jest trzeci rodzaj, który nic sam nie bierze i niczym nie zostaje, a tylko pragnie służyć z doświadczenia serca nowemu człowiekowi i jego bezkresnemu państwu z zapałem i żarliwością, czynem i zasadą. Ci trzymają się mocno zasady: wystarczy wierzyć i dochować wierności, a reszta przyjdzie sama z siebie". Ludzi myślących wśród zwolenników „socjalistycznej nauki" Grimma nie ma. Jest to zresztą zupełnie konsekwentne: myślenie stanowi śmiertelne niebezpieczeństwo dla narodowego socjalizmu — a wszystko u Grimma zmierza do niego, mimo że Grimm nie chce być partyjnikiem nazistów.

Dla krytycznego czytelnika praktyka pisarza Grimma przy opisie katastrofy kopalnianej obala prawie całkowicie teorię „socjalisty" Grimma, a już do reszty czyni to Grimm pod koniec powieści, kiedy opisuje we wszystkich fazach wielki strajk robotników kopalnianych, do którego przywódców należy Martin Wessel. Niestety rasizm Grimma nie dopuszcza do jasnego zobrazowania, dlaczego walka białych robotników z zacofanymi murzynami, którzy są w rękach właścicieli kopalń biernym narzędziem najpierw do obniżania płac a następnie do złamania strajku — dlaczego ta walka mimo wszystko nie jest walką białych z murzynami. Wysunąwszy powyższe zastrzeżenie, trzeba jednak przyznać, że nie znamy w literaturze niemieckiej opisów strajku, które by przy równym napięciu i równowartości w modelowaniu ludzi, dawały tak zwarty i społecznie prawdziwy obraz, jaki daje Grimm. Dla przykładu wskażemy parę szczegółów. Oto agenci przedsiębiorców, którzy przychodzą do kobiet do domu i próbują swego brudnego dzieła korupcji i „olśniewająca" mowa jednego z najbogatszych właścicieli: „Judzenie i strajki przychodzą z bolszewickiej obczyzny!"[1]

---

[1] Oto jedyne miejsce w powieści, gdzie autor wspomina o istnieniu bolszewizmu, jakkolwiek bardzo pośrednio, i niedwuznacznie w formie demagogicznego judzenia. Nawet w ostatniej części powieści, rozgrywającej się w powojennych Niemczech lat 1921 nie spotykamy niemieckich komunistów.

Ordynarne szykanowanie posterunków strajkowych. Krwawe walki w czasie interwencji najpierw pinkertonów, następnie regularnego wojska. Wstrząsający opis zastrzelenia Martina Wessla „podczas ucieczki" i drugi, przedstawiający jak Ilsabeth idzie na poszukiwanie jego zwłok. I załamanie się: „W ten czwartek nastąpiła zmiana u tych wszystkich, którzy nie potrafią być po stronie pokonanych, uważając, że gdzie nie ma zwycięstwa, nie ma i słuszności a także u tych, którzy byli zmęczeni i złamani, także u słabych i podłych". Jest opis skazania tych, którzy strzelali do wojska lub towarzyszy łamistrajków. Sąsiadka Ilsabety opowiada o jednym z nich: „Ale umarł jak bohater, na rusztowaniu szubienicy śpiewał pieśń o czerwonym sztandarze do ostatka. Mówię ci! możesz to wszędzie usłyszeć i przeczytać".

Ale jak to możliwe — zapytuje teraz czytelnik — że taki realistyczny opis walki klasowej znajduje się w powieści, uznanej za sztandarową powieść faszyzmu hitlerowskiego? Cóż, wytłumaczenie dosyć proste: Grimm interpretuje całe zajście ze strony antyangielskiej. W angielskich koloniach — ta myśl zostaje tutaj, jak i w wielu innych miejscach poprzednio, niedwuznacznie narzucona czytelnikowi — oczywiście, tam mogą się takie rzeczy zdarzyć. Powiedzcie sami, czy Anglicy są w ogóle warci kolonii? a my, porządni Niemcy, u których nigdy nie zdarzyłaby się podobna historia, nie mamy kolonii?! A więc nawet tę najbardziej wartościową pod względem artystycznym część powieści wykorzystuje autor do głupiej, tendencyjnie wstrętnej agitacji imperialistycznej.

„FRIEBOTT POWIEDZIAŁ"

Grimm wiele przeżył a jeszcze więcej przeczytał. Mimo to pozostał człowiekiem niewykształconym. Znamy ten typ. Zarówno u Hitlera w *Mein Kampf* jak u Grimma w *Volk ohne Raum* jest taki ustęp, który wyraża to, co mamy na myśli: miejsce, gdzie Hitler objaśnia jak zwykł czytać książki, i gdzie Grimm opisuje jak jego Friebott czyta. Hitler wypowiada się bez ogródek: wertuje książki nie po to, ażeby poznać zdanie autora i rozprawić się z nim, ale po to, aby przez nowe agumenty i nowe fakty utwierdzić i wzmocnić swoje własne z góry powzięte zdanie. Tę część czytanej treści zatrzymuje jako surowiec potrzebny głównie do przemówień i dyskusyj, zaś całą resztę wyrzuca natychmiast za burtę jako „balast". — A teraz Friebott. Jest rozczarowany nieubłaganym realizmem *Buddenbroków*, nie podoba mu się „schyłek pokoleń" i zagłada mieszczańskiej rodziny (Niemcom potrzeba przestrzeni życiowej, powiada, wtedy byłoby zaraz lepiej!) Z tego powodu sięga raz po raz po wspomnianą kilkakrotnie książkę Hildebranda. I czyta ją, ale w jaki sposób? Dokładnie tak samo, jak czytał Hitler: myśli jego „musiały wyłączyć i dodawać" — wyłączyć naturalnie te resztki socjalistyczne, jakie jeszcze pozostały w książce i dodawać tam, gdzie mu było jeszcze za mało imperializmu kolonialnego... „tak jak to bywa, gdy pisarz zapalający się i jeszcze niedojrzały wzywa do rozprawy". Friebott-Grimm jest oczywiście dojrzały, jego „rozprawa" zaś jest w najlepszym razie złudzeniem pyszałkowatego filistra.

Co to ma wspólnego z Grimmem jako autorem? Bardzo dużo, jeśli nie wszystko. Grimma sposób pisania, który na pierwszy rzut oka wydaje się jedynie zmanierowaniem stylu, szczególnie pretensjonalnym i niezwykle nużącym, jest jednak w istocie czymś więcej. Jak już wspomnieliśmy kilkakrotnie, Grimm podaje absolutnie wiernie takie fakty lub takie niefałszowanie zdania osób biorących udział w akcji, że sprawiają one niespodziankę w faszystowskiej książce, a po prostu zdumiewają w sztandarowej powieści faszyzmu hitlerowskiego. Ale jak wygląda „rozprawa" z nimi? Rozprawa odbywa się za pomocą językowego kruczka, przypominającego sugestywny rytm bębna niektórych szczepów murzyńskich. Oto przykład. Lokal strajku, zaciekła dyskusja, hasła walki klasowej. „I Friebott powiedział..." Co powiedział? Dał jakąś banalną odpowiedź, i to nie na istotne pytanie namiętnej dyskusji, tylko na ostatnią, przypadkiem dość banalną lub głupią myśl jakiejś podrzędnej figury. „Friebott powiedział", „i Friebott powiedział", „Cornelius Friebott powiedział" — i tak strona po stronie ciągle: „Friebott powiedział..."! Z namaszczoną powagą i nieprawdopodobnie tępą monotonią rozwija teraz bohater swój znany, kolonialno-imperialistyczny program, który z realiami dyskusji nie ma nic wspólnego, poza lekką stycznością banalnego punktu wyjścia. Oto metoda Couégo, przetransportowana na dziedzinę językową. Nikt Friebottowi nie zaprzecza, nikt go nie przywołuje do porządku, w ogóle nie ma już nikogo prócz czytelnika, którego ogłusza się agitacją. W jednym miejscu naliczyliśmy na zaledwie trzech stronach druku dosłownie dwadzieścia dwa razy owe idiotyczne „Friebott powiedział"! Powtarza się ono nieprzeliczone tysiące razy: kilkaset razy przemienione na „Friebott pomyślał", co oznacza oczywiście to samo! W ten sposób, sposób bezwstydnie demagogiczny, przedstawione są wszystkie „rozprawy" Friebotta. I takie

powiedzenie czy też pomyślenie Friebotta „rozstrzyga" zawsze bez reszty sporny problem. Nikt się już nie może wypowiedzieć na ten temat, ponieważ autor zaczyna niebawem nowy rozdział dla swojego nieustannie gadającego lub medytującego bohatera (o którym mniema, że go wychowuje czy też nawet że on sam się wychowuje).

FRIEBOTT KŁAMIE

To co powiedzieliśmy o języku, odnosi się w ostatniej części powieści tak do języka jak i do treści. Treść a jeszcze więcej język są już tylko nudne, pretensjonalne i nieprawdziwe. Już się nic nie dzieje, tylko Friebott wędruje z młodą Melseną, odwiedzając swojego autora Grimma, i przeżuwa swoją „naukę zbawienia" o „narodzie bez przestrzeni" po raz nie wiedzieć który, streszczając ją, rozszerzając i... kłamiąc!

Friebottowi, a raczej autorowi, brak odwagi do konsekwencji. Friebott nie mówi: „Zwiastuję wam po tej dopiero co przegranej wojnie nową krwawą wojnę zaborczą!". Friebott mówi: „Nie, nie szukam n i k o g o, co by chciał prowadzić wojnę dla moich teoryj!". Powiada: „Pogodzimy się tylko co do tego, czego nam wszystkim brak". Oczywiście: przestrzeni. Powiada: „Nie, ja nie chcę znaleźć nikogo, kto by był za wojną. Chcę znaleźć wszystkich p r z e c i w k o wojnie!"

Friebott mówi i k ł a m i e: „W zagrabionej nam niemieckiej Afryce Płdn.-Zach. nie było niezgody społecznej". Friebott k ł a m i e: „Klątwy ucisku pracujących nie ma na całym świecie, tylko w ciasnych Niemczech". Friebott k ł a m i e niejedno, co właściwie każdy trochę inteligentniejszy czytelnik powinien zauważyć. Friebott bowiem przeżył zawsze mniej więcej dokładne przeciwieństwo tego, co pod koniec opowiada jako agitator nazistowski.

Ale to już nie jest realizm wbrew woli, ten absolutnie realistyczny opis nazistowskiej metody agitacyjnej, to już jest m e t o d a s a m a, stosowana przez Grimma. Z powodzeniem zakończył również swoją „edukację" na faszystę hitlerowskiego.

To niebezpieczna książka dla bezmyślnego czytelnika — a zarazem jedna z najciekawszych książek dla czytelnika krytycznego, który na serio pragnie poznać niemiecki faszyzm i źródła jego oddziaływania na masy.

Fritz Erpenbeck

(przeł. *E. Gałuszkowa—Sicińska)*

(„Internationale Literatur", 1945, nr 6/7)

KONCERTY KRAKOWSKIE

SPRAWA KRYTYKI

„Celem krytyki muzycznej jest podnoszenie poziomu życia muzycznego przez wszechstronne informowanie o całokształcie tego życia i jego warunkach, pośredniczenie między twórcą a odbiorcą, rzeczowe objaśnianie i ocenianie dzieł i wykonawców, urabianie smaku ogółu publiczności, wzbudzanie zainteresowania dla dobrej muzyki, propagowanie ideałów głębszej kultury muzycznej i jej upowszechnianie". Cytuję wypowiedź A. Riegera (*Ruch Muzyczny* nr 2, rok II) z doskonałego i rzeczowego artykułu pt. O *krytyce muzycznej*, który można uznać za swego rodzaju zaproszenie do dyskusji na temat zbyt często pomijany, prawie zawsze upraszczany, a stale będący przyczyną nieporozumień i zadrażnień. Rieger omawia w nim dzisiejsze *status quo* — stawia propozycje słuszne i logiczne — ukazuje przyczyny zła i samo zło.

Oto głos drugi: „Polskie społeczeństwo nigdy nie było specjalnie muzykalne. Muzykalność zachodnio-europejska przed pierwszą wojną światową a nawet jeszcze i przed drugą stała tak wysoko, iż o muzyce mogli pisywać tam w najtrudniejszy sposób najwybitniejsi fachowcy, choćby pisywali, nie wiem jak nieudolnie, od strony literackiej. Byli i tak czytywani dla samego ładunku wiadomości czysto muzycznych, jakie zawierały ich recenzje. — U nas tego rodzaju zainteresowanie społeczeństwa dla muzyki nigdy nie było do pomyślenia, a dziś — po przetasowaniu warstw społecznych i wyniszczeniu inteligencji przez wojnę — zredukowało się do minimum. Muzyka po prostu mało kogo interesuje i mało kto chce o niej czytać. Ten stan rzeczy stwarza konieczność podzielenia w Polsce krytyków muzycznych na dwa odrębne rodzaje: na krytyków — ścisłych fachowców, którzy mieliby prawo pisywać wyłącznie w fachowych czasopismach muzycznych... oraz na krytyków-publicystów, którzy mieliby prawo pisywać wyłącznie w prasie pozamuzycznej..." (J. Waldorff, ibidem, nr 4, rok II).

Audiatur et tertia pars — co mówią niektórzy muzycy „praktykujący"? Ograniczę się do swobodnego zacytowania przytoczonej przez J. Waldorffa — skądinąd wiem, jak autentycznej — anegdoty. Otóż przy pewnej okazji kilku znanych muzyków wypowiedziało się na temat krytyki. Jakież były owe wypowiedzi? Warto cytować. A więc: zadaniem krytyka jest tylko chwalenie imprez muzycznych i reklamowanie ich — krytyk, nie opanowawszy p r a k t y c z n i e danego działu muzyki, nie ma prawa krytykować reprezentantów tego działu — mniej literatury, więcej fachowości — wreszcie: Związek Zawodowy Muzyków winien stworzyć sąd koleżeński na krytyków. Et caetera, et caetera. Istotnie warto cytować. Poza jednym punktem (kwestia fachowości), którego słuszności merytorycznej nikt zaprzeczyć nie może, zbiór opinii — mówiąc możliwie skromnie — nieco śmiesznych. A mówiąc poważnie — i co najgorsza — dość ubogich, jeśli chodzi o konstrukcję intelektualną, i jeśli chodzi o możliwości zastosowania praktycznego. Ponieważ:

— postulat sprowadzenia krytyki z roli „instrumentu kultury" (w rozumieniu A. Riegera) i „instrumentu polityki kulturalnej" (w rozumieniu J. Waldorffa) do roli biura reklamowego nie wymaga chyba komentarzy i jest jasny każdemu;

— postulat opanowania praktycznego krytykowanych działów przez jednostkę jest absolutnie nie do realizacji. Równie dorzecznie można żądać od historii, aby wydała na świat talenty np. Liszta, Paganiniego, Chopina i Catalani w jednej osobie;

— postulat sądu koleżeńskiego należałoby zakwalifikować już raczej do rzędu zjawisk psychologicznych jako „kompleks wolności słowa".

A teraz rozważmy sprawę „fachowości". Niewątpliwie problem godzien uwagi — co więcej: fakty, które cytuje A. Rieger, a które wykpił J. Waldorff w 48 nrze *Przekroju (Delibra Pizzicattiego)* wymagają uwagi. Należy dbać o niszczenie „oślich łąk". Ale, równocześnie należy pamiętać o propozycji Waldorffa zacytowanej tu jako „głos drugi" w dyskusji o krytyce. O sprawie podziału.

Zanim jednak spróbuję wypowiedzi ostatecznej, pragnąłbym rozpatrzeć — w możliwie najściślejszym skrócie — zjawisko krytyki muzycznej jako funkcji procesu zwanego rozwojem kultury. Wydaje mi się bowiem, że krytyka prawdziwa jest próbą a) ustalania i proponowania ideologii estetycznej danej epoki, b) rozpowszechniania owej ideologii wśród mas odbiorców, c) sprawowania kontroli nad prawidłowością procesu komunikowania się artysty z odbiorcą.

ad a) Chodzi tu — rzecz prosta — o tzw. krytykę naukową, najściślej fachową, najmniej „dostępną" a w rozwoju sztuki niewątpliwie najważniejszą. Pomijając prace muzykologiczno-historyczne, warto zastanowić się nie tylko nad definicją, lecz także nad drogami i możliwościami tego typu krytyki. Powoduje mnie do tego pewne niedopowiedzenie A. Riegera. Oto ono: „Z recenzji teatralnej Boya wiedziało się od razu, jaką klasę reprezentuje autor sztuki i na jakim poziomie jest przedstawienie". *(O krytyce muzycznej).* Tymczasem Boy, przedstawiciel essaistycznej, postulatywnej krytyki teatralnej, nie sugerował „klasy" autora, a przeważnie pomijał lub traktował byle jak sam spektakl. Natomiast był właśnie sejsmografem czułym na przemiany kategorii estetycznego myślenia i jeszcze: na przemiany kategorii socjologicznego myślenia w sztuce. Sprawa „współczesności", tworzenia się nowej epoki w sztuce i stosunków wiążących ową epokę z ewolucją społeczną była dlań w oczywisty sposób ważniejsza niż problemy wartościowania. Nie ma bowiem wartościowania absolutnego. Operując szablonami rzekomo obiektywnego dogmatu estetycznego Kajetan Koźmian kpił z Mickiewicza, Rellstab z Chopina, Hanslick z Wagnera itp. aż do dni dzisiejszych.

To znaczy: krytyka wartościująca nie ma obiektywnie racji bytu — ma rację bytu tylko o tyle, o ile ocenia, w jakim stopniu dany artysta reprezentuje daną epokę artystyczną i społeczną, w jakim stopniu tworzy nowe wartości i w jakim stopniu owe wartości należy uznać za stałe. Bowiem zbyt popularne maniery krytyki muzycznej: opis i wartościowanie, pozostawione same sobie nie znaczą nic — opis, analiza formalna to zwykła lekcja form, zaś wartościowanie „poza czasem" może być nawet śmieszne. Wydaje mi się, że opis i wartościowanie to tylko narzędzia służące do osiągnięcia zasadniczego celu: do ustalenia ideologii estetycznej danej epoki. Co więcej — używając znów porównania z polską krytyką literacką, przede wszystkim z Irzykowskim, za cel zasadniczy należy tu uznać nie tylko klasyfikowanie stanu już istniejącego, lecz także stawianie nowych, odkrywczych propozycyj, koncepcyj teoretycznych i praktycznych. Bowiem ten fakt, że krytyka jest zjawiskiem historycznie wtórnym, nie powinien stwarzać żadnych *inferiority* kompleksów i jeżeli sztuka tzw. twórcza ulega stałemu rozwojowi, sprawdzianem kultury danego środowiska będzie także rozwój krytyki jako syntetyka, jako — powiedzmy tak — filozofa współczesnego mu zespołu zjawisk artystycznych.

Kiedy obserwujemy polskie życie muzyczne pod tym kątem widzenia, przeraża nikłość ilościowa, zrozumiała o tyle, że posiadamy właściwie tylko jedno czasopismo fachowe. Ale... Dlaczego ten typ krytyki działa wyłącznie w dziedzinie kompozycji? Dlaczego brak polemik z zakresu choćby nowoczesnej metodyki dyrygenckiej, pianistycznej, skrzypcowej czy wokalnej ze strony najwybitniejszych fachowców, dlaczego pomija się problemy artystyczne i nie precyzuje się współczesnej muzycznej ideologii odtwórczej? Jak wobec faktu milczenia kolosalnej większości muzyków wygląda ów „surrealistyczny" pomysł praktycznego opanowywania przez krytyków poszczególnych działów? Pomiędzy krytykami a krytykowanymi zawsze będą istniały zadrażnienia i tarcia zawiniane przez jedną lub drugą stronę. Lecz jedyną drogą do dobrej prawdy może być tylko polemika. I to nie w formie obrony jednego koncertu, jednej kompozycji lub „listów do redakcji". Ale w formie ponadpersonalnej dyskusji nad problemami współczesnej postawy artystycznej i artystycznej ideologii. Dopiero wtedy ujrzymy wszyscy razem i we właściwym świetle pomysł sądów koleżeńskich nad krytykami. I dopiero wtedy znajdzie się w Polsce dosyć miejsca na „prawdziwie fachową", naukową krytykę muzyczną.

Zadania krytyki, które próbowałem określić pod b) i c) dadzą się niewątpliwie zaszeregować do zjawisk z dziedziny zagad-

nień kultury powszechnej. W pierwszym wypadku chodzi o sprawy swego rodzaju pedagogii społecznej, w drugim o sprawę kontroli nad „zdrowotnością" stosunków w organizacji kultury powszechnej.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości fakt, że tego typu działalność w dzisiejszej Polsce należy do zagadnień pierwszorzędnych. Hierarchizowanie: co ważniejsze? krytyka naukowa czy krytyka — według określenia Waldorffa — publicystyczna, byłoby niedorzecznością. Bowiem w pierwszym wypadku chodzi o rozwój samej sztuki, w drugim o rozwój kultury społecznej. Czyli — aby nastał ogólny stan zadowalający, musi utrzymać się najściślejsza równowaga pomiędzy krytyką notowaną pod a) i pod b) i c). Co więcej: świat muzyczny w swoim własnym interesie powinien docenić wagę krytyki publicystycznej stawiającej sobie za główne zadanie kontaktowanie artysty z najszerszym kręgiem odbiorców i równocześnie dbanie o drogi, którymi chadzają organizatorzy polskiej kultury muzycznej. Nie wątpię, że jako przedstawiciela tego typu krytyki — spotka mnie zarzut obrony „interesów własnych". Ale — ogółowi pod rozwagę — czy jest to akcja „tylko" *pro domo sua?*, czy „lecz także" *pro publico bono?* Jedno wydaje mi się być sprawą ostatecznie jasną: artysta z perspektywy krótkodystansowych interesów własnych (słowem: popularność) często nie docenia takich interesów własnych, które przynosi bezkompromisowa walka o sztukę najlepszą. Należy tu jednak pamiętać o czasokresach dłuższych, niż jeden — z punktu widzenia kasy — udany sezon; należy pamiętać o istotnym fundamencie rozwoju sztuki: o poziomie kultury powszechnej. I także: o tym, że pierwszym, zasadniczym instrumentem wychowania społecznego jest sam artysta.

Jeden moment pragnąłbym jeszcze podkreślić.

Notatek powyższych nie należy traktować jako próby odkrywczych definicyj i nowego nazywania rzeczy po imieniu. Rozpocząłem je cytatami w tym celu, aby wyjaśnić, że reszta jest tylko próbą systematyzacji wypowiedzi Riegera i Waldorffa i wyciągnięcia z nich możliwie ostatecznych wniosków. Wspominam zaś o tym z jednego tylko powodu: z szacunku i wiary w skuteczność dyskusyj publicznych. Sprawy krytyki muzycznej w Polsce — to tylko drobny fragmencik tarć, kompleksów, prowincjonalizmów, niechęci, śmiesznostek i tym podobnych przejawów życia kulturalnego aż do bzdur z „oślej łąki" włącznie. Niewątpliwie podobne zjawiska istnieją na całym świecie i zna je historia od czasów Arystofanesa czy Pindara włącznie. Ale wydaje mi się, że nareszcie powinna być tu wprowadzona w życie zasada medyczna: nie przemilcza się żadnych nieprawidłowości. Leczy się je. Bowiem świadome przemilczanie zjawisk — w niemal dosłownym tego terminu znaczeniu — patologicznych jest niczym innym jak przestępstwem. A na podobne przestępstwa przy stanie naszej kultury — w wielu wypadkach „stanie groźnym" — pozwalać sobie nie tylko, że nie powinniśmy, lecz po prostu nie możemy. Słowa te nie mają intencji demagogicznych. O ile zaś zostaną tak zrozumiane, to głównie z niezbyt chwalebnych a charakterystycznych dla fałszywych sceptyków przyczyn: że w Polsce występowanie przeciw kompromisowi — występowanie zresztą z powodów czysto antyemocjonalnych i oparte na przesłankach racjonalnych — o ile nie otrzymuje imienia nietaktu to na pewno nazwę: demagogii. Imiona z gruntu mylne.

Wreszcie: sprawa reklamy — a mówiąc poważnie: łagodności i przychylności. Zwolennicy tego postulatu stoją na stanowisku, że wobec trudnych warunków organizowania kultury w Polsce powojennej każda impreza, a przynajmniej ich większość, powinna być oceniana pozytywnie — nawet mniej udane. Obawiam się, czy aby taki punkt widzenia nie jest właśnie demagogią. Najprostsza i zapewne najsłuszniejsza zasada wychowawcza polega na „nazywaniu rzeczy po imieniu", jest to zasada dość chirurgiczna ale ekonomiczna; skraca proces poznawczy do minimum. Rozmawiając swego czasu z T. Peiperem spotkałem się z zarzutem, że nie należy występować przeciw złym imprezom w tym sensie: „nie powinny były się odbyć" — ponieważ mają one też swój sens pedagogiczny. Pokazują sztukę złą. Niewątpliwie tak. Ale *primo:* tym bardziej należy wtedy mówić nawet najgorszą prawdę w oczy — *secundo:* należy dbać o to, by ten typ pedagogii był stosowany możliwie rzadko...

FILHARMONIA

Oceniając ogólną politykę repertuarową krakowskiej Filharmonii nie trudno zaobserwować swego rodzaju wahania — nawet z artystycznego punktu widzenia — niekonsekwencje, czasami z kasowego punktu widzenia zbyteczną wprost konsekwencję. Jestem daleki od obciążania pełną odpowiedzialnością kierownictwa tej instytucji — winę po części ponosi tu zapewne mecenat, w tym wypadku państwowy. Z chwilą, gdy Filharmonia cierpi na anemię finansową, pewien kompromis można uznać za koniecz-

ny. Ale ważne są dwa momenty: do jakiego stopnia polityka ta może być kompromisem i jak często można stosować politykę kompromisu.

I jeszcze: problem koncertu popularnego. Poranki symfoniczne organizowane są z wyraźną intencją wychowywania nowej publiczności (często młodzież lub robotnicy). Ale wydaje mi się, że owa intencja dość często bywa paczona. Chodzi bowiem, jak sądzę, o podawanie sztuki: a) najlepszej — przynajmniej tekstem, o ile nie wykonaniem i b) najprzystępniejszej. Szczególnie właśnie koncerty tzw. popularne powinny unikać podawania małowartościowych łatwizn. Mogą to być powtórzenia, rzeczy „ograne" itp. — ale powinny to być przede wszystkim dzieła pierwszej jakości. W przeciwnym wypadku wychowanie paczy smak zamiast go budować.

W tym sezonie pulpit dyrygencki Filharmonii objęli W. Bierdiajew i A. Panufnik. W. Bierdiajew, przedstawiciel najwyższej polskiej klasy dyrygenckiej, reprezentuje typ muzyka niewątpliwie kontrolującego emocję myśleniem, mimo to często prezentującego temperament i patos o zakroju raczej romantycznym. Długoletnia praktyka, doświadczenie, które można nawet nazwać — w sensie pozytywnym — rutyną i doskonała technika, dają mu, rzecz prosta, możność ścisłego opanowywania instrumentu i zdyscyplinowanego prowadzenia go przewidzianą przez siebie drogą koncepcyj muzycznych. Jeśli chodzi o dyspozycje wewnętrzne, Bierdiajew wydaje się być raczej konstytucją „romantyczną" — samokontrola intelektualna jest u niego czynnikiem ważnym lecz prawdopodobnie wtórnym. W każdym bądź razie jest to muzyk wysokiego wtajemniczenia, o własnym wyrazie i ustalonej własnej ideologii artystycznej.

A. Panufnik reprezentuje typ muzyczny nieco silniej związany z intelektualną metodą pracy, o dyspozycjach wewnętrznych ściśle nowoczesnych. Mniej przekonywują jego — szczególnie związane z okresami klasycyzującymi (np. Brahms, nawet czasami i Mozart) — koncepcje stylistyczne — natomiast można mówić o absolutnym słuchu stylów i ich słuszności jeśli chodzi o modernę.

Sezon Filharmonii rozpoczął się zasadniczo 23 listopada koncertem prowadzonym przez W. Bierdiajewa. W programie V-ta Beethovena, *Bajka* Moniuszki i koncert f-moll Chopina ze Zb. Drzewieckim. Pozostawiając omówienie solistów na później pragnąłbym przypomnieć świetnie dyrygowane i wytrzymane we właściwym napięciu pierwsze Allegro z V-tej Symfonii, szczególnie mocny pierwszy temat.

Poranek „muzyki słowiańskiej" z 26. XI. prowadził T. Wilczak. Program wbrew zapowiedzi nie prezentował muzyki istotnie słowiańskiej — uwertura do *Marii* — Statkowskiego i koncert skrzypcowy Czajkowskiego (A. Schenker), to muzyka typowo kosmopolityczna. Sytuację „ratowała" w pewnym sensie IV-ta Symfonia Dvořaka, której Adagio było najlepszym momentem koncertu, legitymującym Wilczaka jako istotnie dobrego, utalentowanego muzyka.

Koncert z 30 listopada był wydarzeniem. Dyrygent — Panufnik; program: *Concerto grosso* Barsantiego, Mozarta *Serenada na dwie orkiestry* i prawykonanie I Symfonii Panufnika. Jeśli mowa o tzw. ogólnym poziomie koncertu, należy wyjaśnić, że wysoki. Szczególnie Barsantiego (z doskonale koncertującą trąbką — W. Sobczyński) i Symfonię wypada zaliczyć do bardzo udanych osiągnięć dyrygenckich i orkiestrowych w Krakowie. Symfonia Panufnika dowodzi niewątpliwie, że należy on do najwybitniejszych naszych talentów młodego pokolenia i to jest moment najistotniejszy. Jednak, aby zachować możliwy obiektywizm, z jednej strony powinno się wspomnieć o widocznych w niej tendencjach do łatwego efektu i nietrudnego liryzmu — z drugiej strony da się ów fakt wytłumaczyć „młodzieńczością" owego dzieła (napisane w latach 1938/39). Zresztą i tak reprezentuje ono wartości niepowszednie: ciekawą instrumentację tematyczną o „długim oddechu" i żywy temperament rytmiczny.

Do imprez raczej nieudanych zaliczę występ dyrygencki F. Rybickiego z 2. XII. z nieinteresującym i nieszczególnie podanym programem orkiestry (*Step* Noskowskiego, *Tatry* Żeleńskiego i b. niedobra *Suita krakowska* Rybickiego). Tym razem sytuację uratował występ M. Wiłkomirskiej (koncert a-moll Griega).

Koncert z 7 grudnia prowadził W. Bierdiajew. Najlepszym punktem programu było wykonanie symfonii g-moll Mozarta. Bierdiajew ominął manierę pojmowania Mozarta na sposób „galant" — przedstawił Mozarta prawdziwego — muzykę pełną wielkości i powagi, istotny klasycyzm stylu. Poza tym usłyszeliśmy efektowny „eksperyment formalny", *Małą Uwerturę* Palestra oraz *Kaprys hiszpański* Rimskiego-Korsakowa. Solistką była A. Sari.

Poranek symfoniczny z 9 grudnia był pierwszym rzeczowym rozwiązaniem problemu koncertu popularnego. W programie powtórzenie *Serenady* Mozarta, koncert skrzyp-

cowy Brahmsa (St. Tauros) i *Niedokończona* Schuberta pod dyrekcją Panufnika. A zatem program atrakcyjny dla laika i dla smakoszy — bezkompromisowy a przystępny. Nie można pominąć wykonania *Niedokończonej* (przetworzenie pierwszej części!) wykazujące bardzo wysoki poziom.

14 grudnia W. Bierdiajew prowadził *Rapsodię litewską* Karłowicza i VI-tą Symfonię Czajkowskiego. Patetyczny, pełen przedwczorajszego a słodkiego liryzmu Czajkowski był jednak dzięki powściągliwej, dość surowej koncepcji przeżyciem. Jako solista wystąpił z *Wariacjami symfonicznymi* Jan Hoffman.

Poranek z 16 grudnia zawierał powtórzenie *Bajki* i Symfonii Ponufnika oraz *Epizod na maskaradzie* Karłowicza, zaś będąc koncertem o przeznaczeniu specjalnym (dla stud. U. J.) rozpoczął się prelekcją prof. J. Reissa pt.: *O kult muzyki polskiej*. Tytuł tłumaczy wiele: chodzi o zdecydowanie afirmatywny stosunek do polskiej muzyki. Jednak idea owej prelekcji — wydaje mi się — powinna być przedyskutowana nieco powściągliwiej i z większym chłodem, niż to uczynił wybitny muzykolog. Afirmacja to polityka czasami niebezpieczna — afirmacja programowa to polityką niebezpieczna zawsze. Lekceważenie autokrytycyzmu łatwo grozi megalomanią zaś megalomanię i obniżanie poziomu można nawet uznać za synonimy. Jedno jest pewne — historia polskiej muzyki nie pozwala na megalomanię, na przestrzeni stulecia 1830—1930 dwa nazwiska pewne: Chopin i Szymanowski, trzecie wątpliwe — Moniuszko, to nie za wiele. I czy aby nie za mało? Sytuacja obecna — ilość i jakość zespołu kompozytorów współczesnych uprawnia na pewno do optymizmu. Ale kult? To chyba za wielkie słowo.

Koncert wieczorny z 21 grudnia był eksperymentem. Od razu podkreślę: eksperymentem z gruntu nieudanym. Wykonano na nim fragmenty z *Carmen* Bizeta (dyrekcja — W. Bierdiajew; Carmen — J. Tisserant; Micaela — obiecujący sopran J. Krysińska; Don Jose — J. Prząda; i Escamillo — Cz. Kozak). *Carmen* niewątpliwie należy do najlepszych oper — powinna być, jako muzyka przystępna a dobra, beniaminkiem organizatorów życia operowego. Ale wykonywanie jej na sposób oratoryjny, to już przesada całkiem zdecydowana. Efekt zaś nawet komiczny, o ile nie żenujący swym prowincjonalnym poziomem.

28 grudnia odbył się wieczór kolęd w opracowaniu J. Maklakiewicza — dyrygował A. Panufnik, śpiewała M. Szalińska. Niestety kolędy zawiodły. Wprowadzenie fragmentu *Scherza* Chopina do *Lulajże* było pomyłką szczególnie jaskrawą. A zresztą — i inne opracowania nie mogły zainteresować. Ostatecznie Maklakiewicz jest pozycją zbyt poważną, by pozwalać sobie na robotę szkolarską, budzącą zastrzeżenia już nie tylko jeśli chodzi o styl owych opracowań, ale po prostu o sam tekst muzyczny chwilami nieomal nieudolny.

31 grudnia łatwym programem święcono Sylwestra — 4-go stycznia usłyszeliśmy pod dyrekcją W. Bierdiajewa I Symfonię Beethovena i *Romeo i Julię* Czajkowskiego; koncert skrzypcowy Czajkowskiego grał W. Niemczyk. 6-go stycznia powtórzono program sylwestrowy — a więc: Rossiniego Uwerturę do *Wilhelma Tella*, Czajkowskiego *Kaprys włoski*, Liszta *Rapsodię*; pozycje nowe, to raczej nieciekawe *Wariacje* Areńskiego na temat Czajkowskiego, oraz doskonała, frapująca muzyka: *Świt nad rzeką Moskwą* z opery *Chowańszczyzna* Mussorgskiego.

Koncert symfoniczny z 11 stycznia należał do tzw. wydarzeń. Panufnik dyrygował powtórzeniem *Concerto grosso* Barsantiego, *Suitą góralską* Ekiera, tańcem japońskim *Shivokuma* Maklakiewicza, własną *Uwerturą tragiczną*, zaś z koncertem d-moll Mozarta wystąpił J. Ekier. *Suita* Ekiera — typowy utwór młodzieńczy — ma momenty surowe, szczególnie jej konstrukcja nosi chwilami charakter przypadkowości. Mimo to (biorąc pod uwagę ten fakt, że jest ona po prostu pisanym przed dziesięciu laty zadaniem w klasie instrumentacji) powinno się zaznaczyć, że talent kompozytorski Ekiera to pozycja w naszej muzyce współczesnej niewątpliwie poważna i że *Suita* to dokumentuje. Do jego osiągnięć nieudanych zaliczyłbym odegrane na tym koncercie kadencje do Mozarta — niestylowe, w tekście mozartowskim rażące. *Shivokuma* Maklakiewicza jest miniaturą pełną dobrej poezji i wdzięku — *Uwertura tragiczna* Panufnika to kompozycja świetna, reprezentująca tzw. muzykę motoryczną, oparta na prostym schemacie i prostym, doskonale opracowanym motywie — w porównaniu z *Symfonią* imponujący dokument rozwoju. Mimo tych zalet nie jest to, jak mi się wydaje, dokument zdecydowanej walki o własny wyraz i własną prawdę twórczą.

13 stycznia na poranku dla świata pracy powtórzono kolędy. Pomijając już celowość tego typu spełniania zamówienia społecznego, przypomnę wypadek kompromitujący: dopuszczenie gruntownie nieudolnego zarówno z literackiego jak i z muzycznego punktu widzenia prelegenta.

18 stycznia usłyszeliśmy muzykę polską (Zarębski — Maklakiewicz — *Polonez Uroczysty i koncert skrzypcowy* Wieniawskiego) oraz rosyjską (V-ta Symfonia Czajkowskiego) pod batutą W. Bierdiajewa — z solistą W. Niemczykiem. 25 stycznia W. Bierdiajew dyrygował znanym z zeszłorocznego Festivalu interesującym *Swantewidem* Perkowskiego i *Szecherezadą* Rimskiego-Korsakowa, zaś J. Żurawlew wystąpił z koncertem e-moll Chopina. Wspominając festivalowe wykonanie *Swantewida* należy wyjaśnić, że tym razem nie dopisała orkiestra (strój drzewa co najmniej wątpliwy), za to ekwiwalentem był pierwszy epizod *Szecherezady*, prowadzony z głębokim dramatycznym napięciem.

Poranek z 27 stycznia był powrotem do wielkiej muzyki: VII Symfonia Beethovena, *Eurianthe* Webera (dyrygent A. Malawski) oraz koncert fortepianowy Es-dur Beethovena (M. Ogilbianka). Malawski dyrygował bardzo pięknie, z pełną mądrością i konsekwencją stylu a zarazem z pełną artystyczną pasją wewnętrzną. To świetny muzyk i wypada szczerze żałować, że słyszymy go zbyt rzadko, gdy innych dyrygentów przeciąża się pracą.

29 stycznia odbył się koncert jubileuszowy Zb. Drzewieckiego o wspaniałym programie: koncert c-moll Beethovena, *Wariacje symfoniczne* Francka i *Symfonia concertante* Szymanowskiego. Dyrygowali W. Bierdiajew, T. Wilczak i A. Panufnik.

9 lutego W. Bierdiajew prowadził *Egmonta* Beethovena, *Niedokończoną* Schuberta i *Preludia* Liszta — H. Sembrat wystąpiła z koncertem d-moll Mozarta. W. Bierdiajew miał jeden ze swych doskonałych dni — orkiestra brzmiała jasno i pełno — szkoda, że program orkiestrowy tzw. wielkiego koncertu symfonicznego był poświęcony monetom obiegowym, muzyce dobrej, nawet świetnej, ale nie dającej właściwie żadnych nowych przeżyć czy wartości, nie wychowującej nowego słuchacza, tyle, że kasowej.

Porankiem 10 lutego dyrygował W. Bierdiajew, śpiewała A. Szlemińska. Program raczej nieciekawy — „młodopolskością" aż nużący — ani popularny ani ofensywny. 15 lutego wystąpił gość z Łodzi — Z. Górzyński, prowadząc *Rok 1812* Czajkowskiego i I Symfonię Bizeta oraz akompaniament do fortepianowego koncertu Chaczaturiana (St. Szpinalski). Górzyński jest muzykiem *par excellence*, świetnym technikiem, dyrygentem wysokiej muzykalności, niewątpliwie jednym z najlepszych w Polsce. Ale dlaczego — poza wzorowym, rzadko niestety w Krakowie spotykanym, towarzyszeniem pianiście w interesującym koncercie Chaczaturiana — przedstawia repertuar tak nudny, jak dzieło złego smaku — *Rok 1812* i szkolarską choć miłą Symfonię? A w dodatku drugi swój występ z 17 lutego poświęca muzyczce typowo „lekkiej". Stać go przecież na sztukę z prawdziwego zdarzenia i prawdziwego wzruszenia.

Na koncercie 22 lutego wystąpił z koncertem Paganiniego St. Mikuszewski — W. Bierdiajew dyrygował *Świtem nad rzeką Moskwą* i II Symfonią B. Woytowicza (prawykonanie). Trudno w wymaganym skrócie próbować sądów ostatecznych — mogę jedynie odnotować spostrzeżenia mniej więcej „oczywiste". Zatem: Symfonia reprezentuje talent niewątpliwie europejski — dowody: jasna, precyzyjna robota kontrapunktyczna, zmysł konstruktywny, masywna instrumentacja i temperament rytmiczny. Jednak wydaje mi się, że jest dziełem nieco eklektycznym, szczególnie wyraźnie informuje o tym końcowy marsz; genealogia wpływów — to przede wszystkim Szymanowski i „rosyjscy nowatorzy".

Poranek 24 lutego prowadził W. Bierdiajew — śpiewała A. Sari. Poza trzeciokrotnym w tym sezonie powtórzeniem *Świtu nad rzeką Moskwą* i *Niedokończonej* orkiestra wykonała *Taniec szkieletów* Saint-Saensa — było to (mimo dość problematycznej wartości kompozycji, jej efekciarstwa i częstych płycizn) jedno z lepszych, wartościowszych osiągnięć w „karierze" krakowskiej orkiestry. Natomiast poranek 3 marca (dyrygowany przez A. Panufnika) należał do najmniej udanych imprez. Trudno atakować poprawną grę orkiestry i — jak zwykle wyraźną — kulturę dyrygenta. Ale program? *Catoń* Różyckiego, *Pizzicato* Straussa w jednej półgodzinie ze Strawińskim? Przesadna to dbałość o złe gusta publiczności, a jestem przekonany, że dbałość dość zbyteczna. Przykład podobnie postępujących teatrów winien być dla Filharmonii ostrzeżeniem, a nie zachętą.

Za ekwiwalenty po obniżeniu poziomu linii repertuarowej można by uznać koncerty z 8-go i 10-go marca. Świadomie używam trybu warunkowego: „można by". Bowiem w praktyce nie były to niestety ekwiwalenty — tym razem zawiodła orkiestra i zawiódł dyrygent. 8-go A. Panufnik dyrygował *Koncertem Brandenburskim* Bacha i II Symfonią Brahmsa — I. Dubiska grała koncert skrzypcowy Beethovena. Zarówno Bach jak i Brahms mieli za powolne tempo, brakowało nawet czystości i dyscypliny rytmicznej w brzmieniu orkiestry, zaś

koncepcja dyrygencka Brahmsa była wyraźnie chybiona: bliższa artystycznie sentymentalizmowi „czajkowszczyzny" niż męskiej surowości Brahmsa. Poranek z 10-go poświęcony Beethovenowi (*Coriolan*, V-ta Symfonia i koncert Es-dur) również nie dorównał wymaganiom zawartym w programie: widać, że orkiestra i dyrygent przechodzą wyraźny spadek „formy". Obawiam się, czy przyczyną tego nie jest polityka repertuarowa. Możliwości Panufnika i możliwości orkiestry są przecież nieprzeciętnego formatu. Ale ważna jest również dyscyplina ściśle artystycznej pracy i to na linii możliwie najwyższej — zbyt częste mijanie się z wielką sztuką prawie zawsze może zaszkodzić, a nigdy nie pomaga.

Aby jednak zachować zasadę możliwie obiektywnej sprawiedliwości należy rozpatrzeć sytuację krakowskiej Filharmonii najbardziej wszechstronnie. Otóż istnieje zasada — która dla nikogo nie może być zjawiskiem radosnym — łatania budżetów imprezami kasowymi. Ale — powtarzam — do jakiego stopnia można ratować się kompromisem i jak często. Niewątpliwie kierownictwo Filharmonii znajduje się w trudnej sytuacji — braki finansowe rozluźniają dyscyplinę orkiestry i jej pracy. W podobnych faktach należy się także doszukiwać genezy tez o krytyce popierającej nawet kompromisy. Jednak nie wydaje mi się, aby koncerty „bezkompromisowe" musiały od bywać się tak rzadko, jak się odbywają. Można ostatecznie zaakceptować należycie dyskretną i powściągliwą politykę kasową. Ale w takim razie unikajmy koncertów będących ani jednym, ani drugim — z jednej strony nie dających jako całość wysokiej satysfakcji artystycznej — z drugiej strony pozbawionych wyrazu a nie zaspokajających nawet łatwych gustów i guścików. Zaś przede wszystkim unikajmy „imprez kawiarnianych". Bowiem w dzisiejszej sytuacji kulturalnej Polski nie ma miejsca na działanie siłą ciężkości — każda akcja artystyczna czy oświatowa musi być z gruntu przemyślana i przedyskutowana co do swej celowości.

Toteż akceptując po części zasadę koniecznej (zastrzegam się: tylko, o ile istotnie koniecznej) kasowości, myślę, że należy jednak upominać się o ogólną linię możliwie wysoką. O jak najczęstsze ekwiwalenty za „zło konieczne" niektórych imprez. Sprawa zaś koncertów popularnych powinna być — jak sądzę — rozwiązana nie w inny sposób, jak przez żądanie najwyższego poziomu i największej przystępności (nawiasem nie trudno się dziwić, że program jednego ze świetnych zresztą poranków zawierał VII Symfonię Beethovena i koncert Es-dur, podczas gdy jeden z koncertów symfonicznych mógł być wzorem koncertu popularnego — *Egmont*, *Niedokończona* i *Préludes*). Kwestia wychowania nowej publiczności, to problem dziś bodaj że jeden z najistotniejszych we wszystkich dziedzinach sztuki.

SOLIŚCI

Najliczniej wśród solistów reprezentowana jest pianistyka. Listę alfabetyczną rozpoczyna rektor P. M. S. W. w Krakowie Zbigniew Drzewiecki, którego 30-lecie pracy artystycznej obchodził polski świat muzyczny 29-go stycznia 1946 roku — na świetnym koncercie o którym już wspomniałem wyliczając dorobek Filharmonii. Poza tym Drzewiecki wystąpił jeszcze trzykrotnie: z dwoma wieczorami beethovenowskich sonat (9. i 16. XII. 45) oraz z koncertem f-moll Chopina 23 listopada ub. roku. Próbując charakterystyki tego wybitnego pedagoga i organizatora polskiej kultury muzycznej należy podkreślić przede wszystkim trzy zasadnicze momenty: wrażliwość, talent konstruktywny i obiektywizm — w największym zaś skrócie: artyzm Drzewieckiego to przede wszystkim wrażliwość kierowana kulturą i wiedzą intelektualną. Poza tym zaimponować musi jego rzutkość, szeroki repertuar, bezkompromisowość w postawie artystycznej. Koncert jubileuszowy Drzewieckiego, prezentując trzy dzieła, stawiające najwyższe wymagania zarówno mechaniczne jak i wewnętrzne a rozwiązany i wytrzymany doskonale, był nie tylko okazją dla polskiego świata kultury do złożenia podzięki jubilatowi za jego pracę. Był przede wszystkim najlepszym świadectwem jego wysokiego artyzmu.

Jan Ekier wystąpił 11. I. 46 z koncertem d-moll Mozarta. Wiadomo, że Ekier reprezentuje już teraz klasę europejską — jest to pianista o doskonałej mechanice, zróżnicowanej, chwytliwej wrażliwości i o dyspozycjach, jak sądzę, klasycystycznych. Jednak wydaje mi się, że przeżywa jeszcze ciągle okres poszukiwań za własną postawą artystyczną — poszukiwań nie zawsze może szczęśliwych. Dowodem może być właśnie koncert Mozarta o przeromantyzowanej frazie i dość efemerycznym dźwięku.

Jan Hoffman ukazał się po raz pierwszy po wieloletniej przerwie w Krakowie z *Wariacjami* symfonicznymi Francka. Z miejsca należy podkreślić, że pianistyka polska zyskuje w nim nową — niewątpliwie jedną z najwybitniejszych — siłę. Wydaje się to być faktem oczywistym. Hoffman reprezen-

tuje postawę ściśle nowoczesną zdecydowanego lecz zarazem twórczego obiektywizmu; posiada całkowitą swobodę mechaniki, operuje dźwiękiem zróżnicowanym, nośnym, przemyślanym i doskonałą wiedzą o stylach. Określenie — pianista nowoczesny — da się tłumaczyć przede wszystkim jego intelektualistyczną postawą wobec problematyki artystycznej. Każda emocja, każde wzruszenie Hoffmana jest kontrolowane właśnie wiedzą i kulturą. Dzięki temu ładunek wewnętrznego napięcia nie paczy ani nie przekracza idei utworu i Hoffman, nie zatracając cech swej artystycznej osobowości, utrzymuje równocześnie zasadę „rzeczowego pietyzmu" wobec myśli kompozytora.

Maria Ogilbianka wystąpiła 27 stycznia z koncertem Es-dur Beethovena. Wykazując się b. dobrą techniką i inteligentną, przekonywującą, muzykalną budową frazy, dźwięk dała jednak nieco zbyt masywny. Wydaje mi się, że przezwyciężenie oporów nerwowych jest głównym warunkiem ustalenia jej pozycji artystycznej. Druga reprezentantka młodszej generacji pianistycznej — Halina Sembrat — przedstawiła 9-go lutego koncert d-moll Mozarta z interesującą, bardzo przekonywującą koncepcją dźwięku i frazy. Jednak i ona nie oparła się destruktywnemu wpływowi „nerwów", wpływowi, który podobnie jak Ogilbianka na pewno przezwycięży.

Stanisław Szpinalski ukazał się dwukrotnie: w koncercie Chaczaturiana i na recitalu własnym. Jest on typem wirtuoza o zdumiewających częstokroć możliwościach mechanicznych, indywidualistą uznającym za alfę i omegę swojej sztuki własną koncepcję i własną emocję. Obawiam się, że w podobnej postawie tkwią liczne niebezpieczeństwa, przede wszystkim niebezpieczeństwo mijania się z pewną obiektywną ideą kompozycji, której istnienia nikt zaprzeczyć chyba nie może. W kompozycjach typu *pax excellence* wirtuozowskiego, w miniaturach i sztuce nowoczesnej Szpinalski wywołuje nawet entuzjazm — natomiast jego np. Chopin prowokuje już nie tylko do dyskusji lecz nawet do sprzeciwu: za szybki, zlekceważony jeśli chodzi o spokój frazy i jej mądrość, obfity w nie romantyczne lecz już ekspresjonistyczne rubata. Pisząc swego czasu o Szpinalskim użyłem terminologii przesadnie ostrej. Cofając termin, nie mogę ustąpić z meritum mych zarzutów — Chaczaturian Szpinalskiego to muzyka doskonała, całkowicie przekonywująca. Natomiast jego Mozart, Beethoven a przede wszystkim Chopin nie przekonuje częściowo lub nawet całkowicie. Nie ulega wątpliwości, że Szpinalski jest pianistą wielkiej klasy — ale o niejednolitej, często z b y t niejednolitej dyscyplinie wewnętrznej.

Henryk Sztompka wystąpił dwukrotnie z recitalami szopenowskimi — jest to więc *sui generis* pasowanie się na „szopenistę". Przedstawił on koncepcje własne i przeprowadzone po linii świadomego zamiaru interpretacyjnego. Są to koncepcje stylu Chopina „zdrowego", granego pełnym, wielkim dźwiękiem, wytrzymanego w tempach raczej wolniejszych, silnie wiązanego rytmicznie. Wydaje mi się, że w granicach takiego stylu najlepszymi osiągnięciami są formy drobne o których „klimacie" decyduje w dużej mierze także jego zmysł liryczny.

Swego rodzaju niespodzianką, i to niespodzianką znakomitą był występ Marii Wiłkomirskiej z koncertem Griega 1. XII. 45. Wiłkomirska przez czas wojny przeszła wielką ewolucję. Pozbywając się oporów i zahamowań, nie wpadając w żadne przesady, doszła do wstrzemięźliwej, lecz głęboko przeżywanej postawy wewnętrznej. Jest to „obiektywistka" o pięknym dźwięku i doskonałej technice — niewątpliwie należy do „ekstraklasy" polskiej pianistyki.

Jerzy Żurawlew przedstawił 25 stycznia koncert e-moll Chopina. Wydaje mi się, że w sposób niesłuszny — w miejsce muzyki romantycznej usłyszeliśmy muzykę sentymentalistyczną. Podobne tradycje rozumienia Chopina swego czasu istniały — dziś już powinny być — jak sądzę — uznane i traktowane jako anachronizm.

Listę skrzypków otwiera I. Dubiska, która wystąpiła z recitalem 11 grudnia ubiegłego roku i w 46-tym, 8 marca z koncertem Beethovena. O jej istotnych wartościach niewątpliwie lepiej informował recital niż koncert (za niedociągnięcia w koncercie w dużej mierze odpowiada b. nieudany akompaniament orkiestrowy). Dubiska przedstawia typ artysty kierującego się przede wszystkim dużym wirtuozowskim temperamentem. Nie można jednak pominąć jej wysokiej umiejętności polifonicznego myślenia. Zalety mechaniki i dźwięku Dubiskiej zawsze najwyższej klasy.

Stanisław Mikuszewski przedstawił koncert Paganiniego 22 lutego 46. Jest to artysta o prawdziwej, subtelnej kulturze wewnętrznej, o konstytucji psychicznej raczej „klasycystycznej", o bardzo dobrym, dyktującym idee odtwórcze intelekcie.

Wacław Niemczyk wystąpił trzykrotnie. Jest to skrzypek o podobnej konstytucji psychicznej i o podobnym temperamencie co wśród pianistów Szpinalski. Kontrasty plusów i minusów są tu może mniej widoczne — ale równie oczywiste jest u Niemczyka

(jak u Szpinalskiego) zacięcie typowego wirtuoza. Wydaje mi się, że jest to działanie po linii małych oporów: Niemczyk posiadając wspaniałe warunki techniczne obiera je za podstawowy środek ekspresji. Podobna muzyka bardzo często imponuje, lecz o wiele rzadziej staje się wewnętrznym przeżyciem.

Alfred Schenker zaprezentował 23 listopada 45 koncert Czajkowskiego, dokumentując dużą kulturę wewnętrzną, ładny ton i przeważnie swobodną, gładką technikę. Szczególnie da się wyróżnić w jego grze partie liryczne, bardzo ładnie frazowane.

Stanisław Tawroszewicz wystąpił z monumentalnym koncertem Brahmsa 9 grudnia ubiegłego roku. Tawroszewicz (Tauros) reprezentuje dyspozycje wewnętrzne raczej „romantyczne" — emocjonalizm w dobrym zresztą tego słowa znaczeniu. W Brahmsie wykazał się logiczną, przeżytą frazą i pełnym, choć może niezbyt nośnym dźwiękiem.

Eugenia Umińska to talent na najlepszą miarę europejską i wiadomo o tym powszechnie. Jej recital z 5 lutego br. — już sam dość ściśle „bezkompromisowy" program jest przykładem na jakość jej postawy artystycznej — był niewątpliwie tzw. wydarzeniem. Umińska, jak większość naszych skrzypków reprezentuje dyspozycje romantyzujące, jeżeli zaś chodzi o muzykę jej najbliższą, wymieniłbym w pierszym rzędzie sztukę nowoczesną. Np. Szymanowski Umińskiej to dzieła sztuki najpiękniejszego wzruszenia. Stojąc na stanowisku: im większy artyzm, tym większe wymagania — można by dyskutować nad dość dowolną „subiektywistyczną" koncepcją *Chaconne* Bacha. Jednak faktem nie ulegającym wątpliwości jest to, że jej recital był jednym z najpoważniejszych wydarzeń tego sezonu.

Najmniej pozycji liczy wokalistyka. Rozpoczyna je Bandrowska-Turska mająca w tym sezonie już poza sobą trzy występy: recital 5 marca — oraz udział w koncertach symfonicznych z 31. XII. 45 i z 15. III. 46. Bandrowska „formalnie i wewnętrznie" wydaje się być zdecydowanym lirykiem, emocjonalistą skrystalizowanym już i co więcej: świadomym swych wzruszeń. Głosowo — jak dawniej — reprezentuje „piękno z bożej łaski". Ale nie można pominąć jednego — mówiąc powściągliwie — co najmniej zbytecznego faktu. Otóż Bandrowska zdaje się rozstawać ze swym dawnym obyczajem repertuarowym „uprawiania" najlepszej sztuki. Tak nie powinno być. Właśnie Bandrowska może sobie pozwolić na lekceważenie tanich smaków i wcale — by zbierać oklaski — nie musi czarować *Poematem* Fibicha czy *Sercem w plecaku*.

Ada Sari wystąpiła dwukrotnie w Filharmonii: 7 grudnia ub. roku i 24 lutego roku bieżącego. Pierwszy z występów z powodu widocznej niedyspozycji głosowej raczej się nie udał. Na drugim śpiewaczka już w pełni przypomniała swe najlepsze czasy i choć obcy mi jest entuzjazm dla muzyki koloraturowej, trudno mi nie wspomnieć o wysokim stylu wirtuozerii wokalnej A. Sari: jest on faktem co najmniej oczywistym.

Aniela Szlemińska wystąpiła tylko raz na poranku symfonicznym. Jest to niewątpliwie jedna z najkulturalniejszych technicznie i wewnętrznie naszych śpiewaczek — postawienie głosu, frazowanie, swobodne lecz nie przesadne operowanie dynamiką — oto dokumenty takiej oceny. Jednak znów przypomina się zarzut stawiany Bandrowskiej — przecież artystki tego formatu co Bandrowska i Szlemińska nie muszą zdobywać popularności drogą łatwego kompromisu.

Z młodego pokolenia wokalistów należy na koniec przypomnieć trzy bardzo interesujące głosy: K. Rogalską i J. Krysińską (soprany) oraz E. Kossowskiego (baryton). Z akompaniatorów winno się wymienić przede wszystkim Nadgryzowskiego — doskonałego pianistę, reprezentującego technikę i kulturę towarzyszenia najwyższej klasy oraz M. Lefelda.

MUZYKA KAMERALNA

Ten gatunek muzyki — w Polsce tak „niepopularny" — wymaga specjalnej opieki. Szczególnie kwartet, który — przynajmniej dla mnie — jest prawie zawsze najwyższym muzycznym wzruszeniem, a który można uznać za szkołę, za wzór muzycznego myślenia. W nim najdoskonalej, w sposób najjaśniejszy i najbardziej oczywisty ujawnia się piękno przez konstrukcję. Istotnie, chodzi tu właśnie o prawa porządku, logiki, ciągów konstrukcyjnych, o wzruszenia intelektualne. W Polsce zbyt często daje się przewagę emocji nad rozumowaniem i zbyt często sztuka polska pokutuje z tego powodu. W dziedzinie muzyki za najlepsze przeciw podobnej manierze antidotum uznać można kwartet. Dlatego też należy go popierać, nawet pielęgnować. Jest to inwokacja pod adresem mecenatu państwowego, bo na publiczny trudno w tym wypadku liczyć. A zatem: prosimy o docenianie ważności istnienia zespołów kameralnych.

Pierwszym występem kameralistów w tym sezonie był koncert Kwartetu Krakowskiego (Tawroszewicz, Wysocka, Zarzycki, Mi-

kulski). Nie mogąc być na nim obecny cytuję głos S. Łobaczewskiej (*Odrodzenie* nr. 51): „Kwartet ten... jest prawdziwym zespołem, gdzie każdy z uczestników jest na swoim miejscu... Ta specyficznie kameralna postawa, solidny poziom techniczny i dobre wyczucie stylu pozwalają przypuszczać, że wysunie się z czasem... na czoło naszych zespołów... Szczególne zainteresowanie wzbudził kwartet młodego kompozytora polskiego — Stefana Kisielewskiego. W tym kwartecie... staje Kisielewski pewną nogą na gruncie muzyki współczesnej... Mimo wpływów impresjonizmu francuskiego i Prokofiewa wyczuwa się wyraźną nutę osobistą, w II części, bardzo pięknej pod względem brzmienia, nawet pogłębioną i solidną technikę kompozytorską".

W grudniu wystąpił łódzki Kwartet im. Szymanowskiego (Dubiska, W. Wiłkomirska, Szaleski, Wiłkomirski). W programie Beethoven op. 91, Debussy op. 10 i drugi kwartet Palestra. Zespół złożony z tej klasy instrumentalistów był może chwilami nieco zbyt wyraźnie indywidualizowany barwą dźwięku w poszczególnych głosach. Uwaga ta tyczy się przede wszystkim Beethovena. Natomiast wykonanie Debussy'ego a zwłaszcza Palestra należy zaliczyć do osiągnięć wysokiego stylu. Kwartet Palestra (pisany w 1936) to wydarzenie kameralne w naszym dorobku zapewne jedno z donioślejszych. Forma trzyczęściowa, komplikowana wzajemnym „nakładaniem się" tematów, fragmentów i części, mimo to jasna w konstrukcji. „Ideologicznie" kwartet jest jeszcze poszukiwaniem własnego, nowego wyrazu, drogą do wyzwalania się z atmosfery panującego jeszcze wówczas impresjonizmu, postimpresjonizmu, kubizmu itp. Mówiąc zaś ogólnie: przekonuje nas raz jeszcze, że Palester to jedna z najpoważniejszych pozycji, już nie tylko polskiej, lecz i europejskiej muzyki współczesnej.

Z końcem lutego usłyszeliśmy kwartet Umińskiej (Umińska, Krotkiewski, Gonet, Adamska) — zespół muzyków wysokiej klasy i prawdziwej kultury lecz zróżnicowanych dyspozycjami wewnętrznymi i barwą dźwięku (co specjalnie wyraźnie zaznaczyło się w wykonaniu Brahmsa — op. 51, c-moll). Najlepsza ocena należy się wykonaniu kwartetu nr 1 Bacewiczówny. Kwartet ten — choć na pewno nie należy do najwybitniejszych jej osiągnięć — jest pełen wdzięku, dość charakterystycznego dla stylu kompozytorki, świadczy o zdolnościach do polifonicznej spekulacji, interesującej inwencji tematycznej i o dyskretnym lecz żywym temperamencie rytmicznym.

Za koronację sezonu kameralnego musi się uznać koncert duetu Dubiskiej i Umińskiej. Zarówno program jak i wykonanie stało na poziomie godnym wszystkich wielkich stolic świata — a nie stosuję przesady. *Koncert* Bacha, *Sonatina* Honnegera, *Sonata na dwoje skrzypiec i fortepian* Palestra, *Suita* Bacewiczówny oraz *Wariacje* i *Polonez* Spohra — nie było tu punktu w wykonaniu już nie słabszego lecz nawet „tylko" poprawnego. Zacytuję tu podsłyszaną opinię: „tym razem praktyczna suma elementów (należy rozumieć: talentów Dubiskiej i Umińskiej) okazała się wyższą od matematycznej sumy elementów. Po prostu. 5+5=20". Akompaniament orkiestralny w Bachu bardzo dobry — zaś swego rodzaju wydarzeniem była partia fortepianowa w *Sonacie* Palestra istotnie mistrzowsko „zrobiona" przez Wiłkomirską. Sonata owa to ważny etap rozwojowy na drodze od — powiedzmy tak — drugiego kwartetu do drugiej symfonii, od poszukiwań do konkretyzacji stylu. Niewątpliwie najwięcej o tym mówi część pierwsza, zwarta, zwięzła, o mocnej tematyce, zakończona taktami prawdziwie wysokiego natchnienia. Najmniej — widać tu ślady pewnego konwencjonalizmu — część druga.

Istotnie: była to koronacja dotychczasowego sezonu. Koncert miary estrad wielkich metropolii — godzien słuchania w Londynie, Moskwie, New-Yorku i Paryżu. Co więcej: powinien być tam słuchany i po prostu obowiązkiem Ministerstwa Propagandy jest informowanie zagranicy o Polsce polskimi koncertami, obrazami czy literaturą. Argumenty tego rodzaju to argumenty najbardziej przekonywujące, przecież niedrogie a tak korzystne dla kraju, dla artystów a więc i dla samej sztuki.

Zamykając ten dział pragnę wspomnieć o zbyt często — a niesprawiedliwie — przemilczanej pracy organizatora recitali solistów i koncertów kameralnych. O pracy Centralnego Biura Koncertowego. Biuro reprezentuje zasadę polityki możliwie ściśle bezkompromisowej i należy przyznać, że przede wszystkim jemu zawdzięcza Kraków szereg zarówno repertuarowo jak i wykonawczo na miarę europejską postawionych koncertów. Tego faktu — który nie trudno udowodnić — nie powinno się, a nawet nie można przemilczać.

Ponieważ przypadek zrządził, że istnienie Centralnego Biura Koncertowego zostało pominięte w Diariuszu Kultury Polskiej, przypominamy, że powstało ono w Warszawie 1. IX. 1945 r. i poprzez znajdujące się w każdym mieście wojewódzkim biura

organizuje życie muzyczne danego terenu Jako instytucja społeczna, która nie ciągnie ze swej działalności żadnych dochodów, Centralne Biuro Koncertowe kładzie kres działalności przedwojennych agentów i impresariów. Przykład Krakowa świadczy najdobitniej, że pogłębienie prawdziwej kultury muzycznej nie jest prostą zapowiedzią, ale pełną, prawdziwą realizacją.

UWAGI

Na zakończenie warto nadmienić kilka faktów pozornie drobnych lecz wymagających publikacji.

a) C. B. Koncertowe zorganizowało w porozumieniu z Kuratorium cykl audycji dla szkół średnich, na których występowali m. in. A. Szlemińska, M. Bilińska-Riegerowa, J. Hoffman. Ostatnio odbywały się audycje poświęcone Chopinowi. Jednak niektórzy dyrektorzy gimnazjów, uznając, że muzyka Chopina jest „za trudna" i „niezrozumiała" dla młodzieży, spowodowali przerwanie owych audycji. Rzekomo domagali się nadania im charakteru bardziej „swojskiego" (tańce, piosenki ludowe bez opracowania itp.). Czy istotnie? Audycje — dzięki rzeczowej interpretacji kuratora — mają być wznowione. Ale warto by było, aby któryś z przedstawicieli owej „swojsko-rozrywkowej" koncepcji uzasadnił ją publicznie. Otrzymalibyśmy ciekawy przyczynek do historii powszechnej kultury w Polsce. O ile cytuję fakty nie istniejące, z radością je odwołam. A jeżeli nie? Prosimy zabrać głos.

b) Na marginesie pracy solistów powinno się, jak sądzę, wspomnieć o bisach. Problem pozornie błahy. Ale pomijając wypadki jaskrawego efekciarstwa należy przedyskutować pewną „zasadę bisu". Niewątpliwie każdy dobry recital ma swoją linię — linię całkiem ścisłą ma forma koncertu. Wydaje mi się, że artysta powinien starać się o zachowywanie owej linii aż po bisy włącznie. Tymczasem ustalił się np. wśród pianistów zwyczaj traktowania Chopina jako „ostatniej ucieczki": Chopin po koncercie Mozarta, Chopin po koncercie Beethovena. Przesada. Tym bardziej, że mniej chodzi w takich wypadkach o przeżycie artystyczne — bardziej o „wzięcie" publiczności. Przynajmniej łatwo odnieść podobne wrażenie. Jest to wrażenie raczej przykre.

c) Z obyczajów koncertowych drażni częstokroć niekulturalne zachowywanie się publiczności, pomijanie pory rozpoczęcia imprezy, lekceważenie w koncertach partii orkiestrowych itp. prowincjonalizmy. Chyba zbyteczne.

d) Sprawa programów koncertów filharmonicznych. Programy drukowane starannie, o gustownej szacie graficznej mają swe zalety: zapowiadanie nowych imprez, imienną listę członków orkiestry — mają też i wadę, która właśnie powinna być ich największą zaletą. Otóż zwykle każdy numer koncertu ma w nich swe omówienie — wydaje mi się, że jak dotychczas są to omówienia dość ubogie w to, co przede wszystkim winne posiadać — a więc: w materiał informacyjno-pedagogiczny. Troskliwy szkic historyczny i szkic analityczny — oto, wydaje mi się, najlepsze wyjście z impasu. Pomijanie pustosłowia i zastąpienie go pedagogią, troskliwą choć zwięzłą, to ważny moment w wychowawczej roli estrady.

Kończąc — pragnę podkreślić, że mimo wielu nieprawidłowości w polskiej kulturze muzycznej, a nawet w samym ruchu koncertowym i linii prac artystów, można zachować szczery optymizm — można mówić o rozwoju i stabilizacji, należnych nam po latach wojny.

Jerzy Broszkiewicz.

P. S. Już po napisaniu tych notatek przeczytałem artykuł J. Ekiera pt. *Odwrócone role* w 5 nrze *Ruchu Muzycznego*, którego niemała część poświęcona jest memu ostatniemu sprawozdaniu w 5 nrze *Twórczości*. Pomijając zarzuty — po części przyznaję, z perspektywy półrocza, słuszne — przypomnę jeszcze raz tezę pierwszej części obecnego sprawozdania: „...jedyną drogą do dobrej prawdy może być tylko polemika... Ale (polemika) w formie ponadpersonalnej dyskusji nad problemami współczesnej postawy artystycznej i artystycznej ideologii". Istotnie: dlaczego Ekier, jeden z najpoważniejszych przedstawicieli młodej polskiej pianistyki odzywa się po raz pierwszy dopiero w dwunastym z kolei nrze *Ruchu Muzycznego* i to artykułem zabarwionym — wbrew zastrzeżeniom — wyraźnym egocentryzmem? Zamiast rozprawki o wątpliwej wadze merytorycznej przydałaby się i polskiej publicystyce muzycznej i polskiej krytyce wypowiedź tycząca się problemów współczesnej pianistyki. Zaufanie do Ekiera muzyka nie pozwala mi wątpić w racje tego zdania.

J. B.

WYSTAWA TKANIN I RĘKODZIEŁA ARTYSTYCZNEGO W MUZEUM NARODOWYM W WARSZAWIE

Wystawa tkanin Heleny i Stefana Gałkowskich, rękodzieła artystycznego i przemysłu ludowego, otwarta w dniu 11 lutego 1946 w Muzeum Narodowym w Warszawie, zorganizowana została przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, Związek Samopomocy Chłopskiej i Muzeum Narodowe w Warszawie. Głównym inicjatorem wystawy jest Ministerstwo Kultury i Sztuki, które zorganizowało artystów-rękodzielników i pobudziło ich do dostarczenia większości eksponatów. Część eksponatów dał Związek Samopomocy Chłopskiej, a Muzeum Narodowe dało pomieszczenie i urządziło samą wystawę.

Celem istotnym zorganizowania wystawy było pobudzenie artystów-rękodzielników do rozpoczęcia produkcji powojennej oraz zorientowania się w możliwościach wytwórczości obecnej. W ten sposób rękodzieło polskie ma możność zaprezentowania swojego dzisiejszego stanu i pozyskania zbytu zarówno w kraju jak i ewentualnie za granicą.

Rękodzieło artystyczne w swoich okazach różnych gałęzi wytwórczości towarzyszy nam na każdym kroku. Mebel, tkanina dekoracyjna czy ubraniowa, haft, serwetka czy kołnierzyk koronkowy, strój czy buciki, przedmioty codziennego użytku kute w żelazie lub wykonane w innym metalu, wyrobione z drzewa i ozdobione rzeźbą albo ozdobione dekoracją malarską, są codziennymi naszymi towarzyszami zarówno w domu jak i poza domem i wywierają na nas niewątpliwie pewien wpływ estetyczny. I nie jest rzeczą obojętną, czy te przedmioty użytku codziennego są wykonane dobrze, czy też kiepsko. Z tego samego materiału można wyrobić przedmiot, który będzie nam sprawiał zadowolenie, zrobiony zgodnie z zasadami sztuki, a można wykonać również przedmiot, który będzie zaprzeczeniem tych wartości i będzie uczyć nas złego smaku. A dobre wykonanie nie kosztuje nic więcej, aniżeli liche.

Powszechność użytkowania przedmiotów rękodzieła artystycznego ma oczywiście wielkie znaczenie dla najszerszych warstw obywateli. Ciągłe z tymi przedmiotami obcowanie i stały kontakt z bezpośrednim otoczeniem nadaje wielką wagę prawidłowemu postawieniu tego zagadnienia. Nadto nie jest rzeczą obojętną, czy są to przedmioty pochodzenia obcego, czy też polskiego. Wytwór polskiego rękodzielnika ma swoje odrębności kulturalne i stylowe. Również nie jest rzeczą obojętną, czy wysyłamy za te przedmioty pieniądze za granicę, czy też wzmacniamy nasze życie gospodarcze. Przy odpowiednim poziomie przedmiotów wytwarzanych, oraz właściwej organizacji produkcji możemy również liczyć na eksport za granicę.

Wystawa, chociaż reprezentuje przeważnie początki naszej wytwórczości powojennej w zakresie rękodzieła artystycznego i nie jest niewątpliwie pełnym wyrazem naszych dzisiejszych możliwości w tym zakresie, posiada dużą ilość eksponatów z wielu dziedzin naszego rękodzieła artystycznego i przemysłu ludowego. Zorganizowana w bardzo krótkim okresie czasu zdołała zebrać tylko niektórych wytwórców z różnych części kraju. Z tego względu, a również ze względu na konieczność nawiązania łączności z produkcją przedwojenną, pokazane na niej zostały wytwory bezpośrednio sprzed wojny, z okresu wojennego, a nawet w przemyśle ludowym, sięgające połowy wieku XIX.

Przeważają na wystawie wytwory przemysłu tkackiego. Na dobrą sprawę możemy na niej prześledzić całe bogactwo tego wytwornego rękodzieła od okazów najskromniejszych o fakturze najprostszej aż do najbardziej skomplikowanych wzorów kunsztownej techniki.

Na miejsce naczelne wysuwają się niewątpliwie tkaniny — gobeliny i kilimy Heleny i Stefana Gałkowskich. Ta para małżeńska przedstawiła nam 17 tkanin — rezultat ich pracy z okresu wojny i czasu powojennego. Ich sztuka tkacka nosi niewątpliwie cechy i charakter Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Są oni jej wychowankami i kończyli tutaj kurs kilimu i gobelinu. Bogactwo tematów, rozległa skala barwna, różnorodność faktury, umiejętność dostosowania jej do tematu i charakteru tkaniny — oto cechy charakterystyczne ich wyrobów. A oto tematy: *Boże Narodzenie, Święty Franciszek, Święcenie ziela w Morawicy, Zakonnice, Procesja, Potop, Legenda, Znaki Zodiaku, Lajkonik, Bajka o ośle, Turniej, Zaloty, Łowy, Czarne drzewa, Dno morskie, Żaby na czerwonym tle, Czarne i białe żaby.* Już samo wyliczenie treści gobelinów i kilimów mówi o różnorodności poruszonych zagadnień. Swoiste piętno nadaje tkaninom sama technika ich wykonywania. Gałkowscy nie ro-

bią kartonów, które by później tłumaczyli na język tkacki, wykonują oni przeważnie szkice, z których później tkają wprost na warsztacie, malując nicią bajkę barwną, która się nigdy nie powtórzy identycznie, gdyż powtarzając ten sam temat, inaczej wykonają szczegóły rysunkowe i inaczej ułożą barwy. Tak, ich tkaniny to są bajki, bajki opowiadane dzieciom, czy dorosłym, osnute poezją swoistego rodzaju, powstałe z trudu wielkiego zmagania artysty z opornym tworzywem. Zależnie od woli i wyczucia artysty-tkacza, używa on stylizacji geometrycznej lub linii falistej, płynnej, stosownie do charakteru wykonywanej tkaniny. Motywy dekoracyjne powtarzają się u Gałkowskich nader rzadko. Jako przykład geometryzacji i powtórzenia motywu posłużyć nam mogą kilimy *Żaby na czerwonym tle*, *Czarne i białe żaby* oraz gobelin *Zakonnice*. W tych ostatnich hieratyczność uszeregowanych w niemym bezruchu zakonnic drga barwą różnorodną, gdzie pozornie poszczególne ornamenty dekoracyjne są takie same. W rzeczy samej są one tylko odpowiednio doskonałe, różniąc się nieco zarówno samym kształtem jak i barwą. W innych tkaninach traktowanych bardziej swobodnie, często nie mamy nawet żadnej odpowiedniości elementów dekoracyjnych, które rozłożone są pozornie bez żadnej dyscypliny symetryczności, istnieje natomiast zawsze równowaga kompozycyjna, barwno-rysunkowa, że przytoczę *Św. Franciszka* czy *Dno morza* lub *Turniej*. Swoistą właściwością tych tkanin jest stosowanie wielkiej ilości barw lub różnorodnych tonacji tej samej barwy jak np. w tle kilimu *Żaby na czerwonym tle*, gdzie kilkanaście różowo-czerwonych tonacji stwarza wyjątkową wibrację samej tkaniny i nadaje jej życie rzadko spotykane w tego rodzaju tkaninach. Jeżeli do tego dodamy dynamikę rysunkową i różnorodność faktury przy użyciu wełny ręcznie przędzionej, specjalnie barwionej na niesłychaną ilość odcieni, oraz technikę grzebyczkową tkania — zrozumiemy, jak bogatą skalę odczuwań estetycznych otrzymuje widz, oglądający gobeliny Gałkowskich. Sztuka ich jest sztuką dojrzałych artystów. Nie czuje się w ich wytworach wahania, odnaleźli oni swoją drogę i umieją kroczyć po niej w sposób wytrawny. Sztuka ich, wynikająca z wieloletniego doświadczenia, opanowała rzemiosło tkackie i tkają oni na warsztacie tak, jak wytrawny wirtuoz gra nieomylnie na instrumencie muzycznym. Wynik wieloletnich zmagań z trudnościami rzemiosła uczyniły ich sztukę taką, że nikt nie może przejść obok niej obojętnie.

Wśród innych okazów tkackich wymienić należy tkaniny tak bardzo zasłużonego dawniej „Ładu", spółdzielni artystów znanej szerokim warstwom publiczności. Spółdzielnia w wypadkach wojennych utraciła cały nieomal swój duży dorobek przedwojenny, spłonęły warsztaty, a z nimi patrony na warsztaty „jacardowskie", stanowiące poważny dorobek artystyczny tkactwa polskiego. Rozproszeniu uległa większość artystów, stanowiących zwartą grupę wychowanków Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Nieliczni pozostali zdołali już zmontować spółdzielnię na nowo i pracują nadal. Z produkcji przedwojennej wystawionych zostało kilka typowych tkanin „ładowskich", m. in. duża makata z powtarzającym się rytmicznie motywem Orła Polskiego. Wystawione tkaniny powojenne „Ładu" nie przejawiają większego wysiłku artystycznego i sygnalizują nam jedynie, iż nowa produkcja już się rozpoczęła. Wyróżniają się wśród nich szczęśliwie dwie makaty, zaprojektowane przez Zofię Czasznicką, wykonane na świeżo ustawionych warsztatach jacardowskich swoją dyskretną, przytłumioną harmonią barwną i spokojnym, bezpretensjonalnym motywem ornamentacyjnym. Nadto zasługują na uwagę świeżo wprowadzone tkaniny dekoracyjno-meblowe o prostym wzorze kraty czerwono-niebieskiej czy też drobnym splocie czarno-niebieskim, jakie nadesłano na wystawę.

Nowym zupełnie pomysłem są drewniano-lniane tkaniny dekoracyjno-użytkowe inż. architekta Krystyny Tołłoczko-Różyskiej z Zakopanego. Z odpadków drzewnych przemysłu zakopiańskiego w postaci cienkich listewek czy wiórów odpowiednio barwionych, wycinanych, nadpalanych i z grubej nici lnianej, przetkanej prostopadle, powstały makatki-dywaniki bardzo wytworne w swoim wyrazie estetycznym, wykazujące wysoki smak artystyczny projektodawcy, á jednocześnie dostępne wszystkim, bo tanie.

Specjalnie interesujące i całkiem niebanalne w pomyśle i w bogatym rysunku gęsto zwiniętych spiralnie motywów roślinno-liściastych oraz figurek ludzkich i zwierząt są tkaniny drukowane projektu i wykonania Wiktora Langnera z Krakowa. Druki te nawiązują do dawnej tradycji polskich kołtryn ludowych, tworzących niegdyś wzorzystą dekorację ścienną, a będących w pewnym sensie prototypami naszych tapet. Wzór został odciśnięty ręcz-

nie z odpowiednich płyt i gra kolorem ceglasto-czerwonym i czarno-szarawym na białym lub szarym tle tkaniny. Jako przykład tematu druku posłużyć nam mogą podane przez autora *Polowanie, Znaki Zodiaku* i in. Uzupełnieniem wystawionych tkanin jest szereg projektów barwnych tego samego artysty na druki tkaninowe, które bogactwem ornamentów kompozycyjnych i szczęśliwych zestawień barwnych wywołują doskonałe wrażenie. Pokrewne choć nieco odmienne są licznie wystawione projekty druków na chustki, kretony i zasłony Marii Obrębskiej-Stieberowej, czynnej niegdyś w Instytucie Sztuk Plastycznych we Lwowie. Interesujące również, a przeznaczone dla przemysłu tkackiego, są projekty chustek kolorowych — pamiątek z widokami miast polskich Heleny Knotowej z Krakowa.

Oddzielną i bardzo nieprzeciętną pozycję stanowią próbniki tkackie. Widzimy tutaj rozmieszczone na ekranach, szeregami biegnące próbki wełnianych tkanin dekoracyjnych i odzieżowych: art.-malarki Hanny Śledziewskiej, może najsubtelniejsze i najwytworniejsze w swojej gamie barw przeważnie chłodnych — białych, rudawych, zielonawych, niebieskich i fioletowych; Krystyny Trebert-Szczepanowskiej — najmłodszej latorośli rodziny artystów-tkaczy i teoretyków tkactwa — Plutyńskiej, Szczepanowskiej, Szumana. Jej próby, płomieniste przeważnie, utrzymane w gamie żółtej, ceglastej, czerwonawej, czarnej, brunatnej, białawej i szarej, zadziwiają bogactwem kolorów i ich zestawień w różnorodnych splotach. Próbki tkanin odzieżowych samodziałowych wystawiła art.-malarka Wanda Mannteuflowa. Pozornie skromne, są one jednak bardzo gustowne. Art.-malarka Zofia Sielecka, wychowanka lwowskiego Instytutu Sztuk Plastycznych, przedstawiła wzory tkanin odzieżowych o bardzo wysokim poziomie technicznym, wreszcie art.-malarka Ewa Banachowa z Sopotu pokazała próby lekkich tkanin sukniowych letnich.

Łódzki Ośrodek Modeli i Wzorów Krawieckich pokazał nam zastosowanie tkanin przeważnie przydziałowych do potrzeb użytkowych, starając się pod kierownictwem mistrzyni krawieckiej Barbary Różyskiej stworzyć ośrodek modeli i wzorów krawieckich, który by był pewnym wyrazem mody polskiej. Zaprezentowane modele łącznie ze zdjęciami fotograficznymi tychże ubiorów na modelkach wskazują, że wyniki osiągnięte dotychczas są całkiem udane, w przyszłości mogą odegrać rolę poważniejszą. Tenże Ośrodek dał szereg wykonanych projektów na estetyczne guziki użytkowe, zrobione z drzewa lub metalu, obciągniętego nicią białą czy barwną, przewiniętą w różne wzory. Nadto w wydawanym piśmie p. t. *Krój* opracowane zostały praktyczne i estetyczne wzory ubiorów roboczych.

Rękodzieło szewskie w wytwornych okazach przedstawiła nam art.-malarka Zofia Jastrzębska z Łodzi, czasu wojny produkująca w Warszawie i znana licznym rzeszom eleganckich pań. Widzimy więc w gablocie dobrze wykonane technicznie buciki damskie z dobrego surowca — skóry, zamszu, płótna, wytrawnego kroju i doskonałego, estetycznego kształtu. Podeszwa ich zginana wykonana jest ze swojskiego surowca — drzewa, niekiedy obciągniętego delikatną plecionką z łyka. Inny typ obuwia nadesłała inż. arch. Krystyna Tołłoczko-Różyska z Zakopanego. Są to również buciki damskie, nie przeznaczone jednak do użytku miejskiego, a raczej dla śniegów górskich, przemawiają do naszego przekonania połączeniem skóry i sukna zakopiańskiego samodziałowego.

Całkiem inny ubiór widzimy na lalkach artystki-malarki Moniki Piwowarskiej z Katowic. Nadesłała ona dwadzieścia kilka niesłychanie pomysłowych i dowcipnych lalek pacynek „Bi-Ba-Bo" w doskonale skrojonych strojach. Dowcip połączony z wielką pomysłowością stwarza w witrynie, gdzie są wystawione, prawdziwy teatr marionetek: *Jaś i Małgosia, Chochoły, Strach na wróble, Don Kichot, Groteska, Pastuszek, Były sobie świnki trzy..., Profesor i uczennice* i inne — oto zespół pociesznie poustawianych figurynek, których głowy wykonano przemyślnie z drzewa częściowo malowanego. Inny typ lalek zaprezentował art.-rzeźbiarz Witold Ulanowski z Łodzi. Jego *Czerwony Kapturek* oraz pozostałe lalki — to typy charakterystyczne, przeznaczone dla teatru jednoosobowego lalek, który w najbliższym czasie ma powstać w Łodzi i dawać z tymi lalkami specjalne przedstawienia. Do tego celu obmyślił on makietę *Czarodzieja*, który trzyma skrzynkę, przeznaczoną dla manipulacji z lalkami człowieka, ukrytego w makiecie z odpowiednio dobieraną maską. Pomysłowe również są lalki-postaci ludzkie i zwierzątka wykonane całkowicie z tkanin projektu art.-malarki Ireny Pikiel-Samolewiczowej z Bydgoszczy. Przeznaczenie ich inne: ozdoba mieszkania lub zabawka dla dziecka. Prawidłowy choć śmiały dobór barw stwarza z nich przy-

ciągającą oko zabawkę. Atrakcją witryny niewątpliwie są maleńkie laleczki-maskotki art.-malarki H. Narzymskiej z Kielc.

Rękodzieło koronkarskie ma również swoich przedstawicieli na naszej wystawie. Wyróżniają się serwetki kwadratowe i okrągłe, duże i małe, białe i kolorowe Państwowego Kursu Koronkarskiego w Zakopanem, projektu art.-plast. Marii Łomnickiej-Bujakowej i M. Szopińskiego. Ich koronki klockowe w połączeniu z szarym płótnem dają wytworne możliwości ubrania stołu. Odznaczają się one wysokim poziomem artystycznym strony kompozycyjnej i dobrym rzemiosłem roboty klockowej. Wyroby koronkowe nadesłała również Państwowa Szkoła Przemysłowa Żeńska w Łodzi. W dziedzinie haftów jedynie Maria Łomnicka-Bujakowa z Zakopanego przedstawiła nam serwetki i poduszki proste w wykonaniu, za to odznaczające się dobrą kolorystyką zestawienia żółtawych płócien z haftem kolorowym i białym.

Odrębną pozycję tworzą oryginalne biżuterie, wykonane w sposób bardzo przemyślny przez inż. arch. Józefa Różyskiego z Zakopanego. Są to naszyjniki nawlekane z paciorków drewnianych, ciętych misternie z gałązek, ozdabianych nacięciami, częściowo barwionych; ich wyjątkowy efekt podnosi często pozostawiona kora drzewna! Bogactwo i różnorodność kształtów samych paciorków, przy wysoce umiejętnym wyzyskaniu samego materiału, stwarza z nich przedmioty rękodzieła artystycznego o dużych walorach estetycznych. Skromna ta, a zarazem bardzo gustowna biżuteria może się stać ozdobą niejednej sukni wytwornej elegantki.

Dział mebli wygląda na Wystawie dość skromnie. Komplet stołowy — bufecik, stół i 6 krzeseł, wykonane w jesionie przez „Ład" według projektu artystów Winczego i Szlekysa, dają dosyć typowy dla nowoczesnej sztuki meblarskiej sposób rozwiązania tego zagadnienia. Są one proste, skromne i zasadniczo celowe. Jedynie krzesła zdradzają pewną niepotrzebną pretensjonalność. Wyplatane sznurkiem lub łykiem, proste, z prętami drewnianymi w oparciu, krzesło z jasnego drzewa projektu art. plast. Jana Kurzątkowskiego jest dobrze przemyślanym rozwiązaniem nowoczesnego mebla. Również tego artysty są meble ogrodowe koszykowe, wykonane w Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych. Odznaczają się one prostotą i celowością kształtu. Projekty mebli przedstawione przez Konstantego Dankę i Stanisława Kucharskiego z Łodzi: sypialnie i pojedyńcze sztuki są prawidłowo obmyślonymi wzorami popularnych mebli nowoczesnych, a przeprowadzona jednocześnie kalkulacja pieniężna przy stosunkowo niskiej ich cenie powinna zapewnić im możliwość masowej produkcji.

Z przedmiotów rękodzieła artystycznego, które służyć mogą ku ozdobie wnętrza mieszkalnego, znajdujemy na wystawie wyroby przemysłu drzewnego zakopiańskiego, zdobione malarsko przez art. plast. Krzysztofa Henisza; są to szkatułki, pudełka, papierośnice, talerze. Kute wyroby żelazne, przeważnie lichtarze projektu art.-dekoratora Tadeusza Knota, zdradzają wyczucie materiału i mogą być spożytkowane w każdym mieszkaniu. Odrębne w stylu i charakterze wykonania są świeczniki kute w żelazie oraz szkatułka z ażurowymi okuciami żelaznymi art.-plast. Józefa Mroszczaka z Katowic. Art.-plastyk Modzelewski z Łodzi przedstawił talerze i tace o kształtach wytwornych, prostych, z wyczuciem ozdobionych groszkowaniem, techniką właściwą w metaloplastyce. Znany na terenie warszawskim art.-plastyk Henryk Grunwald wystąpił z kolekcją drobnych przedmiotów o charakterze jubilerskim, wykonanych w srebrze przez jubilera Stefana Chmieleckiego.

Ceramikę dekoracyjną i użytkową wystawił jedynie art.-plastyk Stanisław Ptaszyński. Są to wazony biskwitowe z glinki czerwonej, różne naczynia i figurki zwierząt z glinki garncarskiej polewanej, kilka naczyń kamionkowych, wszystko o formach prostych, zasadniczo syntetycznych, z polewą w tonacjach zgaszonych kolorów: zielonego, turkusowego, niebieskiego, brązowego, brunatnego, czerwonego itp. Nadto kilka okazów z glinki szamotowej uzupełnia wystawioną serię. Wśród nich wyróżniają się kafle, zdobione według projektów art.-mal. Wandy Manteufflowej kobaltem podglazurowym. Ciekawe rozwiązania abażurów dobranych umiejętnie z odpowiednimi podstawami wystawiła art.-plast. Maria Gralewska z „Ładu".

Grafika użytkowa ma wyjątkowo utalentowanego przedstawiciela w osobie art.-plast. Wiktora Langnera. Jego album drzeworytów *Droga Krzyżowa* oraz teka *Krakowskie obrazki dewocyjne* znamionują duże opanowanie rysunku graficznego, doskonałe wyczucie kształtu, umiejętność zastosowania kolorystyki w oparciu o sztukę ludową.

„Czytelnik" zaprezentował szereg wydawnictw. Tych kilkadziesiąt książek i periodyków wskazuje na duże możliwości, jakimi

rozporządza instytucja „Czytelnika". Interesujące są wydawnictwa ilustracyjno-tekstowe z barwnymi planszami na dobrym poziomie zarówno graficznym jak i drukarskim, przeznaczone dla dzieci. Zwracają również uwagę doskonałe, z klisz cynkowych reprodukowane, mistrzowskie zdjęcia fotograficzne z puszczy Kampinoskiej.

Przemysł ludowy; tak bogaty i świetny w naszym kraju przed wojną, ucierpiał silnie podczas ostatniej zawieruchy. Ośrodki produkcji uległy zniszczeniu, ludzie — wytwórcy ludowi — zginęli lub się rozproszyli. Przepadły również wspaniałe zbiory przemysłu i sztuki ludowej, zgromadzone po różnych muzeach i instytucjach. To, co zdołano zgromadzić na wystawie, jest tylko skromnym, lecz jakże wymownym fragmentem naszego dawnego bogactwa i naszych dzisiejszych możliwości. Na wystawie reprezentowane są tylko niektóre okolice czy miejscowości kraju. Z retrospektywy mamy ciekawe stroje ludowe łowickie i kurpiowskie, wprawdzie niezupełnie kompletne, lecz w typowych, sięgających jeszcze połowy wieku XIX i jego końca okazach. Bogaty dosyć zespół stanowią tkaniny białostockie, wśród których widzimy płachty lniane i wełniane o wzorze kraty lub ornamentu geometryczno-roślinnego. Stylizacja ludowa operuje tutaj specjalnym opanowaniem motywu dekoracyjnego i prostą, a silnie działającą harmonią nielicznych, to żywych, to dyskretnych połączeń barw i tonów barwnych. Między innymi zwracają naszą specjalną uwagę dywany o podwójnej osnowie wełnianej, których tradycja sięga głęboko jeszcze w naszą mazowiecką przeszłość. Dwa takie przykłady bardzo typowe mamy w okazach, pochodzących z powiatu sokólskiego, których wzór roślinny, zgeometryzowany, rdzawy, uwypukla się dyskretnie choć wyraźnie na tle jasnym szarawo-niebieskim. Inny charakter mają dwa inne okazy o zgeometryzowanych rzutach kwiatowych, wyrywających się swą kompozycją z tła o barwie przeciwstawnej. Na jednym mamy wzór brudno-malinowy na tle trawiastym, na drugim ciemno-śliwkowy na jasnym zielonym.

Barwne pasiaki łowickie lniane znajdują się w pobliżu lubelskich kap i makat z haftem i nicią białą na płótnie. Barwne hafty kurpiowskie na płótnie oraz misterne hafty na tiulu mają kilka skromnych przedstawicieli na wystawie. Zato tak znane i poszukiwane u nas przed wojną śląskie koronki ludowe rozłożone są w dwóch gablotach. Widzimy tu małe i duże serwety i serwetki, kołnierzyki ze wsi Koniaków, wykonane szydełkiem z nici lnianej, które przykuwają uwagę widza niesłychanym bogactwem motywów, harmonijnie zespolonych w jedną całość. A choć wydaje się, iż są do siebie podobne, to jednak każda jest inna. Nie bez znaczenia również jest szereg prób i próbników tkanin lnianych, płótna gładkiego i wzorzystego o przedziwnej pomysłowości dekoracyjnej oraz tkanin wełnianych, które mówią nam przeważnie o tym co było, co jednak może jeszcze być. Z ceramiki ludowej widzimy jedynie lubelskie: misy, dzbany, garnki i wazony z ornamentowanej dyskretnym wzorem czarnej glinki palonej lub też dzban o polewie brązowej błyszczącej z jasnym kremowym ornamentem, czy też miski z polewą kremową i ptakami barwnymi na dnie. Cztery krzesła kurpiowskie z wieku XIX z siedzeniem wyplatanym sygnalizują swym doskonałym kształtem, wyrafinowanym pomimo prostoty, mebel ludowy. Charakterystyczne i mistrzowskie są kurpiowskie wycinanki ludowe, przykuwające uwagę misterną robotą, przedziwnym wzorem wydobytym z papieru. Obok nich, skromniejsze i mniej bogate w pomyśle, znajdują się wycinanki lubelskie, a przy nich barwne, bardzo barwne a nie jednotonowe, jak poprzednie, wycinanki łowickie Strycharskiej i innych.

Zagadnienie przemysłu ludowego jest tak ważkie i wymagające tak umiejętnego a jednocześnie wnikliwego zajęcia się tą sprawą, iż warto, aby czynniki ku temu powołane poważnie postarały się rozwiązać ten problem. Są to zagadnienia sięgające głęboko w kulturę polską, są to sprawy związane z odrębnością stylu polskiego, a przejawy materialne tych odrębności są tak istotne i wielorakie, że warto jest pokusić się nie tylko o utrzymanie tego co jest, ale również o wydobycie tego, co by być mogło. Nie do pogardzenia jest także zagadnienie materialne wsi, która może być pobudzona do wytwarzania rdzennie ludowego przemysłu przez zorganizowanie zbytu na jego produkty. Rolę tę w pewnej mierze spełniały bazary przemysłu ludowego przed wojną, a w Warszawie wśród innych niepoślednią rolę odgrywało w tej sprawie Towarzystwo Ochrony Sztuki Ludowej i Popierania Przemysłu Ludowego z siedzibą we własnym gmachu (na Tamce), działające przy pomocy swoich agend na terenie całego kraju. Jest żywotną koniecznością wznowienie działalności tych wszystkich instytucji. Zadaniem Ministerstwa Kultury i Sztuki i innych czynników państwowych byłoby wspomaganie ich działalności oraz

troska o nieskażanie rdzennego rzetelnego przemysłu ludowego.

To, co wystawa pokazała nam z rękodzieła artystycznego, powinno dodawać nam otuchy na przyszłość. Nie jest to może zbyt wiele, lecz to, co już widzimy, wskazuje na duże możliwości w tym zakresie. Chodzi tylko o zorganizowanie i sfinansowanie produkcji rękodzieła artystycznego. Kwestia surowca, włókna i barwników przy tkaninach oraz pieniędzy zadecyduje o tym, czy te możliwości zostaną zrealizowane w postaci gotowych towarów, które rozejdą się po kraju a nawet pójdą za granicę i dadzą możność bardzo licznym rzeszom artystów rękodzielników tworzyć nowe wartości i odrębności przejawów materialnych polskości, a także przy tym zarobkować i żyć. Wydaje się wskazane, aby w tym celu powstały odpowiednie zrzeszenia rękodzielników w postaci np. odpowiednich spółdzielni. Sprawa ta może być rozwiązana pomyślnie przy wspólnym porozumieniu właściwych czynników rządowych przez zorganizowanie jakiejś Komisji międzyministerialnej, do której weszliby przedstawiciele Ministerstw: Kultury i Sztuki, Przemysłu, Żeglugi i Handlu Zagranicznego, Skarbu, Informacji i Propagandy i innych. Sądzić należy, że tylko tą drogą uda się uczynić realnym całe to zagadnienie, związane nie tylko z samą produkcją, lecz również z rozprowadzeniem polskiego rękodzieła artystycznego tak w kraju, jak i za granicą.

Stanisław Gebethner

LUTNIA PUSZKINA

JULIAN TUWIM: *Lutnia Puszkina* (Kraków) 1945. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", str. 153+3 nl.

Wybór zawarty w *Lutni Puszkina* obejmuje przede wszystkim najświetniejsze (nie wszystkie) wiersze liryczne Puszkina, epigramaty, wyjątki z fragmentów dramatycznych i epiki. Wybór ten dobrze reprezentuje poetę i może czytelnikowi dać właściwe wyobrażenie o Puszkinie. Puszkin jako liryk — co jest najważniejsze — zostaje tu ukazany w głównych aspektach tej dziedziny swojej twórczości. Delikatne, wdzięczne elegie, posiadające spokój i umiar rzeźby, głębokie wiersze refleksyjne, urocze i subtelne sielanki i erotyki, pełne klasycznej prostoty i bezpośredniości wiersze nastrojowe, związane z krajobrazem rodzinnym, wymowne „wyznania wiary" poetyckiej — wszystkie te rodzaje zostały ukazane z większą lub mniejszą doskonałością. Najsłabiej stosunkowo wypadły erotyki i wiersze nastrojowe — najlepiej utwory retoryczne i refleksyjne. Świetnie reprezentowana jest satyra, wspaniałe przekłady epiki i dialogi przewyższają na ogół lirykę.

Omawiając te doskonałe przekłady należy mieć na względzie przytoczoną we wstępie przez Tuwima zasadę, iż „rzeczą niesprawiedliwą jest porównywać każdy wiersz tłumacza z wierszem oryginału", że należy umiejętnie zastępować, wynagradzać niewspółmierne z możliwościami przekładu wartości poetyckie oryginału. Jeśli mimo to w szczegółowych rozważaniach nad niektórymi przekładami wypadnie nam bliżej porównywać wrażenia oryginału i przekładu — będzie to miało na celu przede wszystkim poinformowanie ściślejsze o Puszkinie.

Pewne niedociągnięcia przekładów stoją w związku może z tym, że tak cudownie wiernie została zachowana co do swej istoty tłumaczonych utworów forma rytmiczna. Co do swej istoty, to jest nie co do szczegółów nie istotnych dla sprawy, jak np. gatunek rymu, ale co do ilości akcentów, ich rozkładu, miary metrycznej i melodii wiersza, układu rymów i budowy stroficznej. Tutaj czytelnik otrzymuje wszystko, co tylko jest możliwe w języku polskim, jeśli idzie o oddanie charakteru wiersza rosyjskiego poety. Nie może oczywiście otrzymać identycznej czy nawet adekwatnej formy brzmieniowej, modulacji samogłosek i spółgłosek, która tak bardzo wiąże się z zawartością uczuciową utworu, ale i tutaj zrobiono wszystko możliwe. Niestety ta podziwu godna wierność wpłynęła na mniej surowe niekiedy kryterium w dziedzinie innej: doboru wyrażeń, wierności tonu uczuciowego. Wpłynął na to także i rodzaj talentu tłumacza, jego temperament twórczy, który mniej był zgodny z charakterem liryki, szczególnie liryki erotycznej Puszkina, bardziej z charakterem jego epiki, gawędy, satyry i utworów retorycznych.

Weźmy np. *Kochałem Panią...* Wyjątkowo przytoczymy w całości tłumaczenie i oryginał:

Kochałem Panią — i miłości mojej
Może się jeszcze resztki w duszy tlą,
Lecz niech to Pani już nie niepokoi,
Nie chcę cię smucić nawet myślą tą.

Kochałem beznadziejnie i w pokorze,
W męce zazdrości, nieśmiałości, trwóg,
Tak czule, tak prawdziwie — że daj Boże,
Aby cię inny tak pokochać mógł.
— — — — — — — —
Ja was lubił; lubow' jeszcze, byt' możet,
W dusze mojej ugasła nie sowsiem;
No pust' ona was bolsze nie triewożyt,
Ja nie choczu pieczalit' was niczem.
Ja was lubił biezmołwno, bieznadieżno,
To robostju, to riewnostju tomim;
Ja was lubił tak iskrienno, tak nieżno,
Kak daj wam Bog lubimoj byt' drugim.

Polski tekst robi zdecydowanie słabe wrażenie — nasuwa asocjacje jakiegoś tanga, a nie refleksyjnej głębi oryginału. Szczególnie psują wrażenie rymy — t l ą — t ą. Wyrażenia tłumacza poddają inny ton uczuciowy, niż oryginał. Co innego „resztki miłości", co innego — „lubow jeszcze ugasła nie sowsiem." Albo „w męce zazdrości, nieśmiałości, trwóg" — z trójkowym wyliczeniem, środkiem tanim, łatwym ekspresyjnie. Wyliczenie niezgodne z delikatnym charakterem rosyjskiego wiersza analizującego uczucie w subtelnej introspekcji, wyrażającej się w dwudzielnej budowie zdania, przy czym pewne intencjonalne zahamowanie, zawahanie się w pauzie, nadaje tokowi myśli pewne przeciwstawienie, rozróżnienie psychologiczne: „to robostju, (—) to rjewnostju tomim" (to nieśmiałością, to zazdrością nękany).

Słabsze również jest tłumaczenie wierszyka *Ty i Pan.* Króciutki ten wiersz epigramatyczną lakoniczność łączy z subtelnym cieniowaniem czystej, klasycznej liryki; przejrzystość, prostota i dokładność oryginału przepadają w przekładzie; robi on wrażenie jakby był dokonany byle jak. „Serdeczny" u Tuwima zmienia się w „czuły", „ona obmołwiaś zamieniła" — w trywialne „wyrwało jej się";

Pried niej zadumcziwo stoju,
Swiesti oczej s nieja niet siły.

(„Stoję przed nią zamyślony, nie mam siły oderwać od niej oczu") — zamyślenie przepadło, a w zamian otrzymujemy u Tuwima łatwo, szybko, ze zbyteczną dozą energii kinetycznej:

Wpatrzony miłość wzrokiem ślę,
Tęsknota serce przepełniła.

Wrażenie subtelnej uwagi marginesowej na stronicy pamiętnika przeżyć i refleksyj — a tym jest ów utwór u Puszkina — zupełnie ginie w banalnych oświadczynach:

Zamiast pustego P a n — w rozmowie
Wyrwało jej się czułe t y
I wszystkie najszczęśliwsze sny
Zbudziła w duszy przy tym słowie

Wpatrzony, miłość wzrokiem ślę,
Tęsknota serce przepełniła,
I mówię: jaka Pani miła!
I myślę: jak ja kocham cię!
— — — — — — — —
Pustoje w y sierdiecznym t y
Ona obmołwiaś zamieniła —
I wsie sczastliwyje mieczty
W dusze wlubionnoj wozbudiła.

Pried niej zadumcziwo stoju,
Swiesti oczej s nieja niet siły —
I goworiu jej: kak wy miły!
I myslu: kak tiebia lublu!

Przepiękny liryk *Gdy w uścisk wiotką kibić twą* również nabiera tempa tanga, gdy słyszymy „upojenie", słanianie się" itd. Tymczasem erotyki puszkinowskie często cechuje gorycz, troska i skupienie powagi przeżycia, a tego tłumaczenie nie oddaje.

Do poważnego typu należy również piękny, pełen oddania i jakiegoś sakralnego wzniesienia uczuć — przy najprostszym, najskromniejszym obrazowaniu — sonet *Madonna.* Przekład jest równie piękny, a jednak — to nie zupełnie to samo. Brak może tonu owego modlitewnego oddania (np. pominięcie w tłumaczeniu epitetu „krotkije", łagodne). Raczej nieszczęśliwe jest wyrażenie „trudy niesprawne" zamiast „miedlennyje", nieśpieszne. Zamiast powagi jest w polskiej wersji raczej pewna sztywność, rażą w niej słowa zbyt intelektualistyczne. Puszkin mimo powagi jest bliski, domowy — np. „n a s z Zbawiciel" — u Tuwima tego brak. Mimo zachowania miary słychać, że melodia wiersza nie jest ta sama (inny rozkład akcentów), co zresztą staje się w przekładzie niemal nieosiągalne, choć Tuwimowi nieraz i to się udaje. Niezachowanie rymów męskich natomiast nie tylko nie razi, lecz przeciwnie — przyczynia się do większej swobody, naturalności. W ogóle w przekładach liryk Tuwim, chociaż całkiem często zachowuje rym męski, nie czyni tego częściej, niż na to pozwala bez sztuczności język polski. Różnicę między oczywistością rymu męskiego w języku rosyjskim a jego ograniczonym zakresem w polskim Tuwim czuje świetnie.

Elegia — mimo nadzwyczaj pięknego rytmicznie rozwiązania jest o jeden ton zniżona. Wielki i ważki smutek, głębia przeżycia zostały uronione zapewne przez nieu-

niknioną zmianę wyrażenia: „szalonych lat rozkosze i biesiady“ zamiast „biezumnych let ugasszeje wieselje“ (szalonych lat zagasła radość). Dla równoważnego oddania jambicznego metru poświęcił Tuwim wyrażenie niezbędne dla uczuciowego sensu utworu.

W *Do sztambucha* razi nieco anachroniczny swoją nowoczesnością „prajęzyk“. Niedokładnie oddany jest oryginał, gdy mowa o „wskrzeszeniu uczuć“ tkliwych i czystych. Zdanie zredagowane tak jak w przekładzie odnosi się z pozoru do adresatki, podsuwając jej, że straciła ową czystość uczuć, podczas gdy u Puszkina określa tylko jego własną smutną rolę:

Twojej dusze nie dast ono
Wspominanij czistych, nieżnych

(Twojej duszy nie da ono — imię poety — wspomnień czystych, tkliwych). Natomiast uzupełnienie przez tłumacza wyrazem „niczyje“ jest śmiałe, lecz doskonale godzi się z charakterem całego utworu.

Ostatni raz (Rozstanie) — przeciw tonowi snów owego utworu można podnieść zarzut, że charakter liryki puszkinowskiej nie został utrzymany. Banalne powtórzenie z rymem wewnętrznym „żałością tkliwą i wstydliwą“ ma zastąpić wrażenie subtelnie precyzujące doznane i przeszłe wrażenia. „I s niegoj robkoj i unyłoj“. Pojawi się tu również charakterystyczne dla tłumaczeń Tuwima zastępowanie prostego czasownika mniej wartościowym, mniej świeżym poetycko zestawieniem: „twoju lubow wospominat'“ — „o twej miłości budzić myśl“. Dosyć pospolite staje się też w polskim przekładzie: „biegut mieniajaś naszi leta“ — „Mijają lata i niestety, Zmieniają świat, zmieniają nas!“

Nie będę mnożyć przykładów. W utworach czysto lirycznych stwierdzić się daje ta ogólna tendencja, że ich ton więcej bywa — niestety — tuwimowski, niż puszkinowski. W innych gatunkach natomiast przekład stwarza godny oryginału odpowiednik i spełnia zaszczytne swoje zadanie. Zanim jednak przejdziemy do epiki, musimy jeszcze dłużej zatrzymać się na przekładach liryk, gdyż one to stanowią punkt ciężkości tomu.

Wracając do erotyków stwierdzić należy, iż króciutki liryk *Miasto świetne, miasto biedne* jest po polsku bardzo miły, lecz wbrew intencji oryginału posiada wzmocnienie:

Jednak żal mi tu wszystkiego
I markotno mi co krok

gdy u Puszkina „Wsio że mnie was żal niemnożko“ — „a przecież żal mi cię troszeczkę“.

W elegii *Umilknę wkrótce już* zwrócono uwagę (recenzja prof. Lednickiego) na niewłaściwość (i niezrozumiałość) tłumaczenia dwóch ostatnich wierszy:

On był miłością mą, on mi był odstąpiony
Przez miłość i przez pieśń ostatnim tchu
natchnieniem

zamiast

On mnoju był lubim; on mnie był odołżen
I piesen i lubwi poslednim
wdochnowienjem.

(On był przeze mnie kochany, mnie zawdzięczał ostatnie natchnienie i pieśni i miłości).

Cała ta elegia została o wiele za swobodnie, zbyt „po tuwimowsku“ przetłumaczona. Napotykamy w niej banalne, sentymentalne zdrobnienia — i to dość taniego gatunku. Trafiają się wyrażenia tak typowo tuwimowskie, że rażą u Puszkina: „łaskawie zasłuchany“, niewyszukane powtórzenie „wzruszona, rozczulona“, „jedyna ukochana“. „Bardzo smutny wiersz“, „żarliwe słowa“ — oto dalsze Tuwimowe, a wcale nie Puszkinowe epitety. Zgoła też nie ładnie, wulgarnie brzmi: „Dziwili się, żem z n i ó s ł, kochając cię t a k w i e l e“ zamiast „Diwiliś dołgomu lubwi mojej muczenju“ (Dziwili się długiej męce, mej miłości). Cała młodzieńczość i powaga sentymentu zostały uronione, szczególne połączenie — wdzięk obok powagi — przepadło.

Przykre to, że o usterkach zawsze wypada pisać tak wiele, a o pięknościach — tak mało: czyż można więcej powiedzieć, niż stwierdzić „odpowiedniość“ oryginału i tłumaczenia? Więc chociaż antologiczno-sentymentalne *Umilknę wkrótce już* nie wypadło najlepiej, to do tego samego rodzaju należąca *Muza* w tłumaczeniu nic nie straciła ze swego wdzięku, pozostała śliczna i delikatna.

Na wzgórzach Gruzji — piękny, melodyjny przekład, nastrój, wyrażenia bez zarzutu, jedynie może zachowanie rymów męskich wpłynęło na pewną banalizację formy w rymie „snów — znów“ i w powtórzeniu: „I serce płonie, serce kocha znów“ — zamiast zupełnie inaczej zbudowanego zdania rosyjskiego, gdzie przeciwnie dwa orzeczenia do jednego podmiotu (— w wyliczeniu) wyrażają tendencję do ścisłości w relacji przeżycia, wysokowartościowej skromności— w ten sposób osiągają szlachetną prostotę:

I sierdce wnow' gorit i lubit — ottogo
Czto nie lubit' ono nie możet.

(I serce znowu płonie i kocha — dlatego, że nie kochać nie może).

Również i w *Zuchach* zasługuje na wzmiankę zachowanie tej samej budowy metrycznej i stroficznej. W tym wspaniałym tłumaczeniu nastrój i myśl refleksyjnego wiersza zupełnie zgodnie z melodią płyną tak swobodnie po polsku, jak były pisane po rosyjsku.

26 maja 1828 roku — przekład dobry, szczególnie zamknięcie utworu, podczas gdy pewne zwroty mniej są szczęśliwe, np.:

Dar naprasnyj, dar słuczajnyj
Żizń, zaczem ty mnie dana?

(Dar napróżny, dar przypadku — życie, na co mi jesteś dane?) — spokojne, refleksyjne pytanie, pochylające się coraz głębiej ku smutnej zadumie w pełnym rezygnacji rytmie zostaje niewłaściwie zamienione na niewyszukany okrzyk: „O *daremne! O zwodnicze!*"

Wspaniałe tłumaczenie *Demona* skażone jest niestety nieścisłościami w odtworzeniu sensu leksykalnego. „On zwał prekrasnoje miecztoju" — (piękno nazwał złudzeniem, marzeniem) tłumaczy Tuwim: „Marzeniem wabił w świat nieznany" — mylnie interpretując słowo „zwał" — nazywał, jako „wzywał" — przez co sens całości zostaje zakłócony. Mimo tego *Demon* zarówno jak *Anioł* należą do wybitnie pięknych odtworzeń. W drugim z wymienionych utworów świetnie zostało oddane dramatyczne napięcie, zapiekła zwartość psychologiczna tego wiersza. Nawet swoboda tłumacza w tych utworach nie szkodzi, choć jest duża: zupełna zmiana na antytezę u Tuwima:

Nie wszystkim w świecie pogardzałem
Nie wszystkom nienawidził w niebie

— w oryginale:

Nie wsio ja w mirie nienawidieł,
Nie wsio ja w mirie priezirał.

(Nie wszystko w świecie nienawidziłem, nie wszystkim w świecie pogardzałem).

Wspomniane tłumaczenia należą do najlepszych w tomie. Inne ciekawe zagadnienia z zakresu wierności i piękna przekładu reprezentują takie wiersze jak *Ptaszek* czy *Pismo na Sybir*. Jeżeli je czytać jako utwory polskie — są bez skazy. Jeżeli zestawić z oryginałem, okazuje się, że utwory te, chociaż na swój sposób bezbłędne, przecież są inne od pierwowzoru. Szczególnie dotyczy to *Pisma na Sybir*. W świetnych słowach i wspaniałym rytmie brak jednak tej powagi, głębi, perspektywy, która się narzuca przy lekturze oryginału. Raczej dostrzegamy w przekładzie pewien chłód intelektualny, oczywiście chłód w porównaniu z autentycznym tekstem. Zresztą, jeżeli nawet nie wszystko się powiedzie Tuwimowi w dziedzinie liryki refleksyjnej, to tylko w arcyrzadkich wypadkach. Rodzaj ten leży w zakresie najlepszych możliwości tłumacza. Przykładem chociażby *Do księżny Z. Wołkońskiej*.

Jedną z najpiękniejszych pozycyj jest przekład wiersza refleksyjnego *Trzy źródła*, gdzie subtelność definicji uczucia i opanowanie formy równoważne są w oryginale i tłumaczeniu. Tę niemal idealną osiąga także przekład wspaniałego wiersza *Do Żukowskiego*. O ile w utworze tego samego gatunku *Do ks. Z. Wołkońskiej* żywiołem Tuwima była plastyka, tu staje się nim szlachetna wymowa. Doskonałość tego przekładu ukazuje takie możliwości tłumacza, że usprawiedliwia surowość w innych wypadkach. Możliwości te wydają się nieograniczone, kiedy Tuwim znajdzie się w swojej dziedzinie.

Równie doskonale przetłumaczony został liryk — wyznanie bolesne *O Boże, nie daj mi zwari wać*. Pozycja to u Puszkina dość wyjątkowa, aż przykro szarpiąca swą treścią. Tłumaczenie jest bardzo mocne, albowiem talent tłumacza mógł się tu swobodnie wypowiedzieć, dać ujście burzliwej, nieskoordynowanej energii. Słabiej natomiast przedstawia się rzecz w wytwornie opanowanym, o przedmiotowej symbolice *Słowiku*.

Przechodząc do grupy liryków, związanych z krajobrazem rosyjskim, trzeba stwierdzić, że nie jest to dziedzina, w której Tuwim by mógł wypowiedzieć samego siebie najlepiej. Przekłady są właściwie bardzo piękne, dźwięczne, muzyczne, są majstersztykiem sztuki poetyckiej — a jednak...

Zaczniemy od znakomitych *Biesów*. Na początku przykro uderza dosyć trywialne wyrażenie „walą chmury" zamiast „wjutsia tuczi"; „mgły" nieco zbyt często występują w przekładach, nadając im zbanalizowany nieco i ogólnikowy charakter. Rdzenność rosyjska nie najlepiej na tym wychodzi, kiedy się ją pragnie zrównoważyć tonem gawędy staroszlacheckiej, zmienia to bowiem zupełnie charakter wiersza i nie zgadza się z nastrojem liryczno-balladowym. („Jazda, stary! — Dobrodzieju, konie ledwo zipią już".) Liryczny czar krajobrazu nie znalazł odpowiednika w przekładzie. Ogólniki zastępują tu konkreta poetyckie: „Strasznie, strasznie w tę noc śnieżną, Rośnie pustka, rośnie lęk" — zamiast „Straszno,

straszno poniewole Sried' niewiedomych rawnin". Mimo te zastrzeżenia pokonał tłumacz ogromne trudności, zachowując metr i całą skomplikowaną muzykę wiersza w taki sposób, że przekład daje czytelnikowi pełne pojęcie o oryginale.

Przy *Drodze zimowej* nasuwa się pytanie, jakie są granice przekładu, pokąd jest on możliwy? Wobec tak doskonałego jak tuwimowski przekładu, tym bardziej powstaje ta wątpliwość. Skoro bowiem nawet on nie potrafi oddać tonu uczuciowego oryginału, cóż wówczas? Utwór wspomniany został przełożony słabiej niż inne, ulotniła się gdzieś delikatność i poezja. Niektóre wyrażenia nieszczęśliwe, ludowo-konopnickie— np. powtórzenie o pospolitym rytmie „I na smutne pola, łany" ma zastąpić konkretne poetyckie „smutne polany". Całkiem prozaicznie brzmi po polsku „Coś tam słychać rodzimego". Również aliteracja, której u Puszkina nie ma: „nudną, senną drogą sanną" wypadła niezbyt szczęśliwie. Rymy zaimkowe tego przekładu sprawiają wrażenie niedbałości. Szczególnie niefortunnie wygląda pierwsza zwrotka — delikatny urok i nastrój krajobrazu gdzieś przepadły:

Przez skłębionych mgieł tumany
Ledwo świecąc księżyc brnie
I na smutne pola, łany
Sączy smutne światło swe.

Ociężale przedstawia się ów księżyc, co brnie — podczas gdy po rosyjsku:

Skwoź wołnistyje tumany
Probirajetsia łuna,
Na pieczalnyje polany
Ljot pieczalno swiet ana.

Zrozumiałe jest także, że nie zawsze, mimo tej samej miary, da się oddać muzykę, szczególną melodię wiersza — a w tym wypadku znaczy to bardzo wiele.

Wieczór zimowy natomiast świetnie odtwarza rytm i melodię przy zachowaniu rymów męskich. Prostota, smutek, ubóstwo klimatu — charakter tego nastroju nie został uroniony. Urok naiwności, klasycznego w swojej prostocie ujęcia, jakie spotykamy w wierszach dle dzieci, w wierszach z elementarza — stanowią poetycką tajemnicę tego utworu. Ten charakter zachował tłumacz, choć subtelnej i tęsknej słodyczy Puszkinowskiej może nie udało mu się — z natury swego talentu — nigdzie oddać w sposób całkiem równoważny. W jednym zresztą tylko miejscu „energia" tłumacza narusza i zmienia okrzykiem charakter oryginału: „Bieda z lichą tą chatynką! Ledwo się światełko tli!" — podczas gdy u Puszkina mamy dłuższe zdanie o miękkim, zwolnionym spadku: „Nasza wietchaja łaczużka I pieczalna i tiemna." Tuwimowski rozmach nie odpowiada tej zawodzącej melodii piosenki w niepogodę. Niemiłe jest też zbyt kawiarniane: „Jak nie sięgnąć do kieliszka Kiedy smutek w sercu tkwi" — zamiast całkiem inaczej zabarwionego uczuciowo, typowo rosyjskiego: „Wypjem s goria; gdie że krużka? Sierdcu budiet wiesielej."

Wysoce interesującą grupę stanowią u Puszkina wiersze, poświęcone rozważaniom i przeżyciom sztuki poetyckiej, jej roli w życiu twórcy. Są one nie tylko ciekawe jako introspekcja czy program, lecz przede wszystkim jako utwory wybitnie piękne, o specyficznym, odrębnym charakterze. W Tuwimie znalazły one doskonałego tłumacza. *W jałowej nudzie:* refleksja, sumienie poetyckie, filozofia i moralność twórczości, połączone z głębokim tonem religijnym, w którym powaga prostoty usuwa wszelkie niebezpieczeństwo, które by z patosu czyniło patetyczność — wzruszające wyznanie głębokich przeżyć — to wszystko oddał Tuwim równoważnie w formie bądź porywającej urokiem, bądź pełnej energii. Niczego nie dodał (co mu się zdarza niekiedy) — dał właśnie tyle, ile było, i na tym polega czysta doskonałość tego przekładu, zresztą wcale nie kroczącego słowo za słowem poety.

Identycznie musi wypaść sąd o *Poecie* oraz *Sonecie* — klejnoty przekładu. Natomiast dobry zresztą przekład *Do poety* wykazuje, jak trudno w tłumaczeniu nie dodać czegoś do skończenie artystycznej prostoty. Bo Puszkin w całym swym chłodnym i powściągliwym patosie, w całym swym świadomym klasycyźmie — jest prosty, i to nawet tam, gdzie wielkimi słowami mówi o wielkości. U Tuwima mimo doskonałego przekładu rażą nieuniknione odkształcenia. Niezastąpiona trafność pewnych wyrażeń czy budowy frazy jest niestety chyba nieprzetłumaczalna i pewnych l i e u x c o m m u n s nie da się uniknąć na miejscu wyrażeń, niestety, jedynych w danym kontekście.

Prorok także nie udał się Tuwimowi tak świetnie, jak inne wiersze z Puszkinowskiej poetyki. Tłumaczeniu nic nie można zarzucić prócz niedociągnięcia o jeden — ten ostatni, a konieczny do głębi i powagi sprawy ton. Mimo to, że nie posiada tej struny „lutnia Tuwima", przekład jest wybitnie piękny i cała ta grupa utworów najbardziej odpowiada talentowi tłumacza — wymownego i żarliwego retora. Forma listu, mowy i rozmowy jest bliska i wypróbowana przez

Tuwima, to też wytrawne mistrzostwo podziwiać możemy w przekładach satyr, dialogów i gawęd: *Scena z Fausta, Mój rodowód*, pełen humoru *Huzar, I ja byłem pośród dońców*. Trudno wreszcie wymienić wszystko, co jest wzmianki godne — ale nie można nie przypomnieć wspaniałej epiki zamieszczonych w *Lutni* fragmentów z *Jeźdźca Miedzianego*.

Wybór, chociaż pomija niektóre z najpiękniejszych wierszy, zapoznaje czytelnika z najbardziej uroczymi lirykami Puszkina. Odkrywają one przed nami niejedną stronę oblicza duchowego poety. Szczera miłość prostego, czasem ubogiego krajobrazu rodzimego stwarza całości liryczne pełne nieporównawnej sugestywności, naiwności i świeżości. Nastrój splata się z nutą żartobliwą, realizmem malarstwa rodzajowego i przenikliwą prawdą uczucia w jakąś doskonałą całość: *Droga zimowa, Wieczór zimowy, Biesy*. Erotyki są jak definicje prawdziwe i wieczne w jednorazowości tych sprawdzalnych dla każdej duszy ludzkiej chwil. Tak samo żywotne jak przed stu laty, jak za lat sto. Ich przykłady to *Do sztambucha, Madonna, Gdy w uścisk wiotką kibić twą*. Czysto refleksyjne wiersze w formie doskonałej jak sentencja zamykają zadumę poety nad sobą i życiem, ale przede wszystkim nad sobą, np. *Trzy źródła*. Urocze wiersze antologiczne, elegie o filigranowym zarysie lub nabrzmiałej muzyką uczuciowości demonstrują subtelność i pełnię treści uczuciowej tej twórczości lirycznej *(Umilknę wkrótce już, Elegia)*. W epigramatach dobre oko i pewna ręka zdradza się na każdym kroku, a satyra tnie ostrym ciosem, słowem i rytmem *(Mój rodowód)*. Wreszcie orędzie — młodzieńcze polityczne *(Wolność)* i późniejsze poetyckie w niedostępnej dla ataków patetycznej wymowie głoszą credo poety, przekonanie o wysokości sztuki, moralnym charakterze twórczości *(Poeta, Prorok)*.

Jako osobna grupa zasługują na wyróżnienie wiersze młodzieńcze, głoszące hasło wolności oraz poświęcone przyjaciołom — dekabrystom. Głęboko wzruszając swoją szlachetnością i ludzkością, ukazują z prawdziwie sympatycznej strony oblicze duchowe poety, który napisał *Oszczercom Rosji!* To, że prawdą jego był nie tylko ten wyraz przeciętnej ówczesnej opinii rosyjskiej, ale że był szczerze i zawsze, przedtem i potem szlachetnym człowiekiem, żywiącym w sobie ukochanie wolności i ludzkie współczucie, czyni nam tego poetę prawdziwie wielkim i bliskim. Ludzką i poetycką szerokość, brak zacieśnień, wielkoduszność w sposób dla nas szczególnie drogi reprezentują wiersze i wzmianki o Mickiewiczu, pełne serca i głębokiej przyjaźni.

Zasługa Tuwima jako tłumacza *Lutni Puszkina*, zbioru przekładów, których piękna nie przyćmią te czy owe usterki, jest bodaj czy nie większa niż jakiekolwiek inne jego zasługi literackie. Znaczy ona moment osiągnięcia dojrzałości życiowej i w tym leży jej piękno. Życzyć należy poecie, aby taka dojrzałość nie pozostała chwilą przelotną, by trwała tak w jego twórczości oryginalnej, jak w przekładach.

Janina Pregerówna

NIECIERPLIWE PRZEDWIOŚNIE

K. ZENON SKIERSKI: *Sztuka umierarania*. Nowele. Kraków, Księgarnia Stefana Kamińskiego, 1946; str. 183 i 1 nl.

JANINA LIPSKA: *Wczoraj*. Nowele. Kraków, „Świt", 1946; str. 64.

Wśród nadspodziewanie ożywionego ruchu wydawniczego ostatnich tygodni przebrzmiało bez echa — jak dotąd — skromne pukanie do tzw. wrót literatury dwojga debiutantów: K. Zenona Skierskiego i Janiny Lipskiej. Wszelki debiut — szczególnie w obecnej dobie przetasowania ustalonych hierarchii literackich — zasługuje na baczną uwagę. *Casus* Szmaglewskiej poucza, że uwaga się opłaca. Słuszną więc będzie sprawą dobyć *Sztukę umierania* spod imponujących objętościowo tomów równocześnie wydanego *Janosika*, a także wywieść na światło dzienne pierworodny tomik Biblioteki „Nowi autorzy" — zbiór nowel *Wczoraj*.

Wprawdzie ani jedna ani druga z wymienionych publikacyj nie przynosi objawienia, niemniej jednak stanowią one zapowiedź, której zlekceważyć nie należy.

Między obydwoma tomikami istnieją pewne zbieżności i analogie — stąd łączne omówienie w jednym felietonie recenzyjnym. Nad obydwoma zawisnął groźny cień niedawnych lat wojny. Obydwa są odbiciem niepokoju intelektualnego i etycznego, zrodzonego w dobie najtrudniejszej próby wartości — i nie dziw, że podejmują tę samą, odwieczną zresztą problematykę: życia i śmierci. Uraz wojenny wyraził się już w tytułach: Skierski opowiada o „sztuce

umierania", Lipska z bolesną pamiętliwością przemierza cmentarne „wczoraj".

A więc — wydawałoby się — „śmierć" i „wczoraj" — zamiast „życie" i „dziś" (względnie, jeśli kto chce, „jutro") — stanowią motto autorów. Na szczęście jest inaczej. Ponad alegoryzowanie bohaterskiej śmierci, ponad romantyzm ofiarnictwa, ponad nagrobkową zadumę wystrzela z pełną siłą młodości ukochanie życia. Pod skrzepłą grudą zimy wyczuwa się uporczywą pracę wzrastających pędów, pełne nadziei pragnienie trwania i rozwoju. Dlatego — wbrew nadanym przez autorów tytułom — nazywam ich debiut „niecierpliwym przedwiośniem".

W tych wspólnych podobieństwach postawy mieszczą się równocześnie — różnice. Wyznacza je odmienność s p o s o b u, jakim autorzy przezwyciężają kompleks „śmierci" i „wczoraj". U Skierskiego prawo do życia wyraża się bezwiednie, mimo jego woli, a nawet wbrew wyraźnej intencjonalnej stylizacji, która każe mu konstruować zdarzenia *sub specie mortis et aeternitatis*. Lipska walczy z romantyczną magią „umierania" świadomie, uzbrojona w mocne przeświadczenie o społecznej użyteczności życia doczesnego. Nie indywidualnie ważny — jak u Skierskiego — „sens istnienia", lecz troska o społeczną wartość ludzkich poczynań stanowi kryterium jej filozofowania. I w tym zawiera się właśnie owa różnica sposobu. Gdyż w *Sztuce umierania* postacie opowiadań świadczą życiu jak gdyby „na własną rękę" — i dopiero w finałach, na wyraźne życzenie autora, prezentują ową proponowaną przez niego sztukę „pięknej śmierci". U Lipskiej i sposób i kierunek interwencji autorskiej jest odmienny — bohaterowie nowel w pewnym momencie przełomowym przekraczają magiczny krąg, wyswobadzają się z niebezpiecznej fascynacji — i od śmierci uciekają ku życiu.

Zarówno te podobieństwa, jak i różnice czynią z owych tomików ściśle sobie odpowiadający dwugłos. Myśli, sądy i nastroje korespondują z sobą tak wyraźnie, jakby te książki były przyjacielską wymianą listów. I chociaż nie trudno się zorientować, kto z tych dwojga autorów czytuje *Tygodnik Powszechny*, a kto *Naprzód* — to przecież, gdyby pozbawić tomiki ich okładek (pretensjonalnie ładnej u Skierskiego, bezpretensjonalnie brzydkiej u Lipskiej) i zeszyć je razem, mogłaby z tego powstać jedna niezła książka i nowa „spółka literacka".

Na razie jednak, przy bardziej szczegółowym omówieniu, trzeba dwa zbiorki nowel traktować z osobna. Pierwszeństwo, jeśli chodzi o „chrzest druku", przysługuje *Sztuce umierania*. Tytuł ów tak objaśnia autor we wstępie do swej książki:

„W tych latach (latach wojny), kiedy dobrem było rozrywać się ostatnim granatem, dobijać ukochanego, rannego przyjaciela, nie poznawać mimo tortur własnego ojca i dusić w schronie własne dziecko, gdy dobrem było podawać, niczym komunię, truciznę ludziom słabym, — ileż razy zjawiało się przed nami pytanie, już nie: „Po co się żyje?", ani: „Za co umieram?" — to wiedzieliśmy — ale pytanie okrutne: „Jak żyć?" a częściej jeszcze: „Jak umierać?" — Ta niewykalkulowana, ostatnia rzeczywistość — m n i e j s t r a s z n a n i ż s a m o ż y c i e — nabierała wtedy najczęściej swego właściwego sensu: metafizycznego".

Ostatnie zdanie warto podkreślić, a słowo: „mniej straszna niż samo życie" podkreślić podwójnie. Autor daje nam do rąk cyrkiel, którym możemy zmierzyć prawdę faktów i zdarzeń i porównać z prawdą idei — owej „mniej strasznej niż samo życie" — śmierci. Okazuje się, że rozwartość cyrkla według owej miary wstępnej pasuje tylko do pewnych odcinków narracji, właśnie do finałów opowiadań, w których interwencja autora narzuca postaciom wbrew ich woli „sztukę umierania". Inny wymiar posiadają te karty książki, na których pisarz pozwala zdarzeniom wyrazić się samodzielnie, bez komentarza, na których postacie reagują i działają po ludzku: kiedy chcą żyć i kiedy walczą o życie. — Dlatego najlepszą, najbardziej kompozycyjnie wyrównaną jest nowela *Towarzysz*, wyjątkowo kończąca się „dobrze", dlatego najsłabsza jest przeładowana patosem i kolorkowym heroizmem *Polska wiosna*.

W całości uderzają celnością prawdy, bogactwem dobrze zaobserwowanych realiów wszystkie te miejsca, w których obowiązuje „własna miara zdarzeń i postaci". Lecz gorsza sprawa, gdy pojawia się miara druga, gdy autor przypomina sobie o tytule swej książki: prawdziwość zdarzeń gaśnie, fakty odrealniają się i umetafizyczniają, roztapiają się w nieokreślonym i niesprawdzalnym — ludzie zaś stają się „wiecznościowymi" pozytywkami i wiodą zawiłe, abstrakcyjne dyskusje o Bogu, o duszy, o „sensie" itd. Po tych zabiegach przygotowawczych, gdy autor każe im umierać, czynią to z efektownym, chciałoby się rzec: eleganckim automatyzmem! Zostali odpowiednio spreparowani. Umierają z wdziękiem. Tylko że ten wdzięk ma jedną kardynalną

wadę, która jest wrogiem wszelkiej urody: jest sztuczny. Trudno coś na to poradzić, boć sztuka umierania, jak każda sztuka, musi być właśnie sztuczna. I nie umiera naturalnie, kto umiera nie swoją własną śmiercią. A śmierć bohaterów Skierskiego dokonuje się pod działaniem narkotyku, którym jest właśnie ów „sens metafizyczny" laboratoryjnie wypracowany w trakcie długich wewnętrznych monologów i niemniej długich „rozmów zasadniczych". Gdy więc nadejdzie „godzina", wystarczy go zażyć, jak pigułkę, by się odgrodzić od życia „bardziej strasznego niż sama śmierć" (odwracam cytat ze wstępu).

Nie atakuję tymi uwagami światopoglądowej postawy Skierskiego. Pisarz ma pełne prawo służyć wyznawanej przez siebie idei, chodzi tylko o to, by umiał ją artystycznie wkomponować w swe dzieło. Nie kwestionuję jakości ani barwy materiału, z którego szyje się ubiór (to rzecz gustu), lecz martwi mnie, gdy szwy zbyt widoczne i gdy wychodzi „fastryga".

Najgorzej z tymi szwami poszło w opowiadaniu *Przygoda*, mimo, że tu właśnie ze szczególną pieczołowitością prowadzi autor swego bohatera ku śmierci. A raczej nie ku śmierci, lecz ku „przygodzie", którą jest wieczność. Obok właściwego bohatera, Mateusza, występuje w noweli przyjaciel jego, Marek, na którego barki złożył Skierski główny ciężar filozoficznego argumentowania. Mateusz i Marek, zwani w celi więziennej „ewangelistami", to po prawdzie jeden człowiek w dwóch postaciach. Tacy bracia sjamscy czyli Lelum-Polelum. Chodzi bowiem o to, aby mógł ktoś autora wyręczyć w opisanej już kuchni metafizycznej. Aby się nie wydawało, że Skierski sam wszystkim dyryguje, lub że nie potrafi się wznieść ponad partykularyzm ideowy. Zapobiegliwe zacieranie śladów własnej reżyserii doprowadza w końcu do tego, że już w ogóle nie wiadomo, jakiemu morałowi ma służyć olbrzymia dyskusja „wiecznościowa", zajmująca prawie trzecią część najobfitszej noweli.

Bo: autora zastępuje Polelum-Marek. Marek nie rozstaje się z ewangelią i w miarę więziennych możliwości rozwija akcję misjonarską. Tą akcją ogarnia przede wszystkim najbliższego przyjaciela, Mateusza, ale czyni to tak subtelnie i delikatnie, aby czytelnik pomyślał sobie, że Skierski zna umiar i takt. A ten Lelum-Mateusz to w ogóle ciekawy typ. Zwiedził kawał świata, uwiódł Włoszkę (z kobietami poczynał sobie, a raczej kończył, dość nieładnie), dużo widział, wiele przeżył, aż dostał się na Pawiak. Tu daje się poznać czytelnikowi jako nieokreślonego autoramentu humanista-esteta, miłośnik antyku, wierzący „po swojemu" — skróćmy charakterystykę i powiedzmy: pół-Piłat, ćwierć-Petroniusz, ćwierć-Lafcadio, a w całości — niedoszły św. Augustyn. Niedoszły — bo pewnej nocy, po zwykłej partyjce filozoficznego ping-pongu, zakończonej remisem — przychodzą Niemcy i wyprowadzają Mateusza na „rozwałkę". Polski Petroniusz idzie ku tej śmierci według najlepszych zasad sztuki: przyjaciela żegna „płynnie, dobrze ułożonym ruchem", innych więźniów „pełnym lekkości ukłonem", idzie „jak tancerz", z „wytworną zuchwałością", zadziwiając współwięźniów, Niemców, czytelników i autora. Gdyż: ani Petroniusz ani Piłat nie tłumaczą tego gestu — bo Mateusz jest zbyt młody, a tamci nie siedzieli na Pawiaku; ani Lafcadio, bo Mateusz nie jest aż tak cyniczny. Mógłby go wytłumaczyć — właśnie „metafizycznie"— tylko św. Augustyn, gdyby nie to, że się spóźnił w drodze do Mateusza. — Tak zaprezentowana „sztuka umierania" staje się bardzo dziwną sztuką. Wszystko dlatego, że autor, którego korci i morał i efekt — i chciałby, i boi się. Bo trzeba było albo pozwolić Markowi wygrać partię misjonarskiej gry (lecz autor przestraszył się, widać, zbyt wyraźnej tendencji), albo zrezygnować z efektownego finału i pokazać estetyzującego egoistę jak drży, jak się boi. Lecz autor postanowił inaczej — i obnażył szwy roboty.

Równie charakterystyczna, choć z nieco innych przyczyn, jest nowela *Spowiedź*. Jest to historia pewnego podstępu, banalnego zresztą: młody więzień polityczny, praktykujący katolik, wyznaje przed fałszywym spowiednikiem-gestapowcem sekrety organizacyjne. Historia kończy się niewesoło: chłopak, wezwany po raz drugi na śledztwo poznaje swego „duszpasterza", za wszelką cenę chce się pomścić za ohydne oszustwo, lecz w trakcie wspaniałej bójki z jednym z gestapowców pada od kuli rewolwerowej. — No, ten naiwny Romek nie urzeka ani „sztuką życia", ani „sztuką umierania". Budziłby więcej szacunku, gdyby się nie dał „nabrać" — i nie wzmocnią jego szans umiejętności bokserskie, objawione w ostatniej chwili przed śmiercią. Morał noweli pokrywa się mimo woli ze starym dowcipem, którego pointa zamyka się w geście: „trzeba mieć tu (puknięcie się w czoło), a nie tu (napięcie bicepsów)". Lecz nie chodzi tu tylko o los Romka, ten był z góry przesądzony. Ale: jak będą umierać lekkomyślnie wydani towarzysze? An-

toni Sokal? Biliński Andrzej? Tadeusz Wajnert? Zwłaszcza, jeśli nie danym im będzie zaznać ostatniej duszpasterskiej pociechy? Lub jeśli mają gorszy trening bokserski? — O to się jakoś Roman nie martwi. Jego ostatnie uczucie wyczerpuje się w egoistycznym bólu upokorzenia. Zamiast podjąć jakąkolwiek próbę obrony przyjaciół, choćby daremną, przeżywa tylko krzywdę oszukanego zaufania. Więc wali w pysk. I ginie. — O, umieranie — to naprawdę sztuka.

To opowiadanie, bardzo szczere, ukazuje czytelnikowi ową niebezpieczną pułapkę, jaką nastawia bezlitosny realizm zdarzeń, konkretnych sytuacyj, na „sens metafizyczny".

Rzecz w tym, że dociekliwość w kierunku zagadnień bytu wyczerpuje się sama w sobie, nie koresponduje z otoczeniem, stanowi jednostkowo ważną sprawę, więc nie dziw, że i konstrukcja opowiadania łamie się w pół i biegnie dwoma torami: „podmiotu" i „reszty". Owa „reszta", jak już wspomniałem, pozwala dobrze wróżyć autorowi o przyszłości. Tym bardziej, że nowela *Towarzysz* poświadcza, że Skierski umie się zdobyć również i na zharmonizowanie relacji o przeżyciach wewnętrznych i o przeżyciach obiektywnie sprawdzalnych. O tym opowiadaniu, malującym z wstrząsającą prawdą gehennę wywożonych z ghetta warszawskiego Żydów, opowiadaniu, w które autor wplótł piękną prawdę o ludzkim cierpieniu i lęku i o silniejszym od cierpienia i lęku bohaterstwie, nie napiszę więcej. Ale nie napiszę również o *Polskiej wiośnie*. Dla zasady „złotego środka".

Tomik Lipskiej *Wczoraj*, zawierający dziesięć nowel lub szkiców nowelistycznych, skromniejszy objętościowo a i fabularnie mniej może atrakcyjny, odznacza się konsekwentnym dążeniem autorki do wydobycia z grozy okupacyjnych przeżyć takich przesłanek, na których można by oprzeć wniosek wiary i nadziei. Proza Lipskiej jest tendencyjna, lecz w znaczeniu szlachetnym. Pożytecznie tendencyjna. Toteż trudniej stawiać autorce zarzuty, dotyczące podobnych jak u Skierskiego wad kompozycyjnych, skoro rezygnacja z artystycznej, formalnej poprawności na rzecz hasła ideowego zdaje się być świadoma i założona z góry. Oczywiście, owa „widoczność szwów" jest tu niemniej dotkliwa, jak w *Sztuce umierania*, tyle tylko, że mankament „okupuje się" interesem wyższego rzędu, interesem społeczno-moralnym. Jak już bowiem zaznaczyłem, kierunek interwencji autorskiej jest odmienny, aniżeli u Skierskiego. Lipska do pewnego momentu pozostawia swe postacie w ich indywidualnej aurze, pozwala wewnętrznym przeżyciom rozwijać się samodzielnie, lecz w jakimś momencie, czasami w paru ostatnich zdaniach, przetasowuje ów naturalny układ, narzucając postaciom myślenie i działanie „społeczne". Oczywiście, pomiędzy przeżyciem „samodzielnym" a tą rewelacją „nagłego zrozumienia" i „przemiany" jawi się ta sama rysa, co u Skierskiego pomiędzy samodzielną wymową faktów a „sztuką umierania".

„Partyzant" (z noweli pod tym samym tytułem) zadręcza się wyolbrzymionym poczuciem hańby, gdyż jego rodzina jest „volksdeutscherska"; pod nieznośnym uciskiem tego niezawinionego powinowactwa szuka śmierci, znajduje ją, lecz w ostatniej godzinie pojmuje swą pomyłkę: trzeba było żyć — dla Sprawy.

Poróżnione na tle osobistych niechęci kobiety (matka, siostra i narzeczona zamordowanego przez Niemców Andrzeja) jednają się w uczuciu wspólnej narodowej niedoli *(Pojednanie)*. Podobne „pojednanie" — w noweli *Płomienie*.

Złamany obozem koncentracyjnym człowiek, myślący o samobójstwie, odnajduje urok życia w idei zemsty i odwetu; niedoszły samobójca staje się „leśnym człowiekiem" *(Szary człowiek)*.

W najdłuższej i najstaranniej opracowanej noweli końcowej *(On i ona)* przedstawia Lipska interesującą metamorfozę dwojga obozowych „pasiaków" w normalną komórkę życia zbiorowego: w małżeństwo. Ostatnie zdanie noweli starczyć by mogło właściwie za najzwięźlejszą i najtrafniejszą bodaj recenzję o *Wczoraj:*

„O obozie nie mówią prawie nigdy. Ale wiedzą, że tak u niego jak u niej, obóz tkwi we wszystkich myślach, słowach i czynach, że ich przeżycia zamieniły się w głębię, czasami naiwną, ale często zupełnie dojrzałą: w chęć zrozumienia spraw niecodziennych; w poważne, trochę bolesne, spokojne — u k o c h a n i e ż y c i a."

Wystarczy zamiast słowa „obóz" powiedzieć „wczoraj" — by otrzymać szczere, osobiste wyznanie samej autorki.

Na zakończenie parę uwag ogólnych:

Przez porównanie obydwóch tomików uzyskuje się wyrazistość pewnych cech indywidualnych, zarówno dodatnich jak ujemnych, które — być może — warto dla dobra pisarskiej przyszłości debiutantów nazwać. Styl: u Skierskiego kapryśny, nierówny, niedbały, miejscami żenująco niepoprawny (cytaty zajęłyby zbyt wiele miejsca, lecz starczy przeczytać *Wstęp!*), ale za to: bły-

skotliwy, efektowny, giętki, żywy. U Lipskiej: wyrównany, poprawny, lecz pozbawiony niespodzianek, szarawy.

To samo dałoby się powiedzieć o języku, o zasobie obserwacyj, o wyobraźni plastycznej, — o wielu zresztą składnikach tej całości, którą się określa mianem „warsztatu pisarskiego". Ów warsztat jest u Skierskiego bogaty, lecz straszliwie nieuporządkowany. Mieszanina „drobnych pomysłów" (każdy „z innej parafii") stwarza w całości denerwujące wrażenie chaosu i zamętu, — choć w izolacji traktowane, wszystkie niemal pomysły, obserwacje, sformułowania, skojarzenia świadczą o żywości intelektu, czujności zmysłów i sprawności pamięci. — Najgorzej z „uogólniającymi" sądami — na tym terenie winien Skierski poruszać się z wielką ostrożnością. Pomijam nawet owo nieszczęśliwe „filozofowanie"; lecz ileż rejowskiej prawie naiwności w takiej np. samorodnej i bardzo niekretschmerowsiej „typologii", skonstruowanej na podstawie obserwacji nagich ciał ludzkich (*Przygoda*, scena w łaźni). Nie chcę mnożyć przykładów.

Zmysł selekcji i ładu, którego brak Skierskiemu, stanowi atut Lipskiej. Nowele jej ścielą się, jak prosta, gładka ścieżka, pełne spokoju, umiaru i opanowania. Może wynika to również z uboższej wyobraźni i słabszej pobudliwości obserwacyjnej, co jest znowu brakiem. Lipskiej, przeciwnie jak Skierskiemu, udają się najlepiej charakterystyki postaci, na ogół „wytrzymane" konsekwentnie, oczywiście tylko do punktu owej „nagłej przemiany". *Przeżycia Fräulein Ilse podczas łapanki* — to zapowiedź dobrej postaci powieściowej. Szkoda tylko, że autorce brak jakoś szerszego tchu.

W nawiązaniu do ostatnich zdań zwrócę uwagę na ciekawy paradoks: Skierski, zdający się hołdować filozofii indywidualistycznej, wypowiedział się najbardziej przekonywująco w przedstawieniu świata realiów; Lipska, z powołania i przekonania „społeczniczka", najtrafniej opisuje „duchowe przygody" jednostki. Kompensacja? Kto wie! W każdym razie nie zdziwię się, gdy Skierski wyda realistyczną powieść „środowiskową", a Lipska — romans psychologiczny.

Tak czy inaczej — powodzenia!

P. S. Korekta literowa i ortograficzna *Sztuki umierania* woła o pomstę do nieba. Czy prawodawstwo nie przewiduje kary aresztu, lub przynajmniej grzywny pieniężnej za niewątpliwe szkodnictwo publiczne w postaci wyjątkowo niechlujnych druków? Tuż pod kredową okładką, na pierwszej stronicy *Wstępu*, znalazłem siedem błędów! Inne strony nie lepsze. I wierz tu, człowiecze, ładnej, białej okładce: grób pobielany!

Wilhelm Mach

LISTY

LIST Z ŁODZI

Nie byłem nigdy przed wojną w Łodzi. Obserwując jednak architekturę tego miasta, łatwo można sobie wyobrazić, jak się tu żyło. Nowobogackie pałacyki przemysłowców obok czynszowych domów, dzielnica robotnicza łączy w sobie elementy małomieszczańskiego stylu i nędzy, takiej samej nędzy, jaką znamy z wielkich miast europejskich: Paryża, Londynu, czy Warszawy. Kilkudziesięciu czy kilkuset potentatów i ich rodziny miały mało wspólnego z miastem. Żyli w swoich pałacykach, często niepozbawionych wdzięku, specyficznego wdzięku złego smaku, w kunsztownie urządzonych ogrodach, gdzie niekiedy odnaleźć można egzotyczne, sztucznie tu przeniesione drzewa-glicynie, jak w ogrodzie pałacu Poznańskich. Pokazywano mi bocznicę kolejową, prowadzącą pod jeden z takich pałaców. Właściciel w dawnych, bo jeszcze przed pierwszą wojną światową, czasach, wsiadał prosto z hallu swego pałacu do własnego wagonu, który potem przyczepiano do pociągu, biegnącego w stronę Berlina, czy Wiednia. W architekturze Łodzi znaleźć można ślady tych kontaktów z wielkimi stolicami ówczesnego Wschodu i Zachodu obok architektonicznych świadectw nędzy i brzydoty, wśród których żyło 9/10 mieszkańców tego miasta. Dziś oczywiście Łódź wygląda inaczej. Jeżeli nie dymią wszystkie fabryczne kominy, to za to Łódź ma swój Uniwersytet. W dawnym pałacu Poznańskich mieści się Konserwatorium i Ludowy Instytut Muzyczny. Wreszcie po Grand-Hotelu, łódzkim hotelu „Savoy" został otwarty przed kilku dniami Klub Związku Zawodowego Literatów.

W Łodzi skupił się najbardziej jednolity element pisarzy. Zdawałoby się, że ośrodek liczący przeszło sześćdziesięciu członków okaże wielką aktywność, potrafi nawiązać żywe kontakty ze społeczeństwem łódzkim, które po przewarstwowieniu, wynikłym ze zmiany układu polityczno-ekonomicznego w kraju, składa się obecnie z inteligencji i klasy pracującej — dwóch zasadniczych elementów, nadających „ton" życiu Łodzi w przeciwieństwie do lat przedwojennych. Tymczasem literaci „łódzcy" woleli w ciągu zimy zrezygnować z ożywionych kontaktów z publicznością. Część pisarzy skupiła się wokół zamienionej na pismo tygodniowe *Kuźnicy*. Niektórzy występowali co prawda publicznie, miało to jednak charakter raczej sporadyczny. Trzeba podkreślić, że dwa wieczory autorskie, urządzone w sali Centralnego Domu Kultury Robotniczej z inicjatywy tej instytucji, a mianowicie wieczory Władysława Broniewskiego, który po powrocie do kraju obrał jako stałą siedzibę Łódź i mieszka w Domu Literatów, i wieczór St. Ryszarda Dobrowolskiego, zgromadziły istotnie publiczność robotniczą, a nie, jak to się często zdarzało, kilku snobów, kilku interesujących się literaturą inteligentów i paru kolegów-pisarzy.

Wydaje mi się, że gdyby tego rodzaju wieczory były urządzane przez CDKR częściej, literaci łódzcy osiągnęliby łatwiejszy kontakt z publicznością robotniczą niż wówczas, gdy próbowali organizować te imprezy na terenach innych instytucji. Rzeczą zasadniczą, oczywiście, jest to, że Broniewski i Dobrowolski są zapewne znacznie bardziej popularni, dzięki swojej tematyce, wśród robotników, niż pisarze, którzy formułują swoją twórczość w sposób mniej bezpośredni.

Tak więc Związek Łódzki w przeciwieństwie do Oddziału Krakowskiego, czy nawet Śląskiego, spał snem zimowym. I dopiero pod koniec zimy zorganizowano Klub Literacki w otrzymanym od miasta „Savoyu". Klub Literacki został otwarty pod auspicjami dickensowskiego Pickwicka i nosi nazwę „Klubu Pickwicka". Charakter klubu i jego rozmiary wykluczają możliwość urządzania imprez masowych. Klub będzie koncentrował samych pisarzy, aktorów, mu-

zyków, malarzy i miejscową inteligencję. Trzy razy w tygodniu będą się tu odbywać imprezy. Jako novum wprowadzono wieczory dyskusyjne. Już za kilka dni będziemy świadkami interesującej dyskusji między literatami i przedstawicielami Wytwórni Filmowej. Dla Krakowa, gdzie podobna impreza, nie bez korzyści dla samej Wytwórni, podobno już się odbyła, wiadomość ta jest mało sensacyjna, dla Łodzi jednak, gdzie ma siedzibę i Wytwórnia i sfery niezadowolonych z dotychczasowej jej pracy pisarzy, dyskusja taka będzie wielce zajmująca.

Pierwszy wieczór autorski odbył się w „Klubie Pickwicka" dn. 7 lutego. Zgromadził publiczność częściowo snobistyczną, częściowo literacką, jak zawsze się dzieje w tego rodzaju instytucjach: od Zielonego Balonika poprzez Picadora aż do naszego Klubu. W wieczorze wzięli udział: Jan Huszcza, Mieczysław Jastrun, Leon Pasternak, Paweł Hertz i Adam Ostoja. 8 lutego odbył się poranek dla dzieci: Brzechwa czytał swoje doskonałe wierszyki dziecięce przed audytorium osiemdziesięciorga dzieci robotniczych.

Nie sposób omawiając sprawy literatury pominąć milczeniem działalność wydawnictw łódzkich. W chwili obecnej w Łodzi istnieje delegatura Czytelnika, objawiająca w pewnym sensie swoją działalność, tu bowiem mieści się wydział tłumaczeń, tu wreszcie, z uwagi na dużą ilość literatów przebywających w Łodzi, jest poważne, obok Krakowa, źródło zaopatrzenia w rękopisy. Poza tym działa w Łodzi Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", która okazała się bardziej może ruchliwa niż Czytelnik. Wydawnictwa „Książki", przeważnie broszurowe, obejmują m. in. większość produkcji poetyckiej (Lec, Pasternak, Castellati, wznowienia Broniewskiego, Słobodnik).

Ostatnio ukazał się tom wierszy Mieczysława Jastruna *Rzecz ludzka.* Z pism codziennych ukazuje się tu *Dziennik Łódzki,* który posiada cotygodniowy dodatek literacki, nie zawsze na wysokim poziomie. *Głos Robotniczy* zaniedbuje raczej sprawy literatury współczesnej, natomiast podjął bardzo cenną inicjatywę: popularyzuje klasyczną prozę polską, drukując teksty jako dodatek do gazety.

Ostatnio ukazał się w Łodzi nowy organ p. n. *Express Ilustrowany.* Bezpartyjne to pismo ma zapewne bardzo szlachetne cele, realizuje je jednak na modłę przedwojennego brukowca. Chcąc zapewne trafić do najszerszych mas, *Express Ilustrowany* wybrał drogę najmniejszego oporu: tania sensacja, maskowana pornografią, zmyślone wiadomości czyli tzw. michałki, frapujące naiwnego czytelnika tytuły itd. Nawet mamy tu charakterystyczną dla okresu sprzed 39 roku straszliwą powieść, wzorowaną na powieścidłach *Czerwoniaka* czy *Dobrego Wieczoru* z tą tylko różnicą, że prócz życia wyższych sfer towarzyskich i łódzkiej plutokracji pokazuje nam autor fabrykę i robotników. *Express Ilustrowany* jest interesującym dokumentem socjologicznym, świadczy o nieprzezwyciężeniu lumpenproletariackich i drobnomieszczańskich nawyków wśród czytelników i dziennikarzy, redagujących ten organ.

Z prasy poważnej w dalszym ciągu w Łodzi wychodzą *Szpilki,* których 10 rocznicę nader uroczyście przygotowała redakcja. *Kuźnica,* stanowiąca zasadniczą pozycję artystycznego i kulturalnego życia Łodzi i licząca wśród swoich współpracowników najbardziej ideowo i artystycznie świadomych pisarzy, doczekała się również „małego jubileuszu" — dwudziestego piątego numeru pisma.

W teatrach łódzkich po okresie burzliwych polemik i dyskusji zapanował pozorny zapewne tylko spokój. Najpoważniejszy łódzki teatr, Teatr Wojska Polskiego, pod dyrekcją Władysława Krasnowieckiego, wystawił ostatnio następujące sztuki: *Ostrożnie, świeżo malowane* Fauchois, i *Wesele Figara* Beaumarchais.

Muszę przyznać, że wystawienie miłej zresztą komedii francuskiej na scenie Teatru W. P. nie zrobiło na mnie dobrego wrażenia. Teatr W. P. miał i ma na pewno nadal ambicję stworzenia repertuaru. Wszystkie dotychczasowe pozycje, łącznie z nieudanym z winy reżysera *Latem w Nohant* pokrywały się z tymi ambicjami. Jednakże wybór Fauchois zdziwił mnie wielce. *Ostrożnie, świeżo malowane* to typowa francuska komedia, zręczna, dowcipna, o interesującym dialogu i akcji, bardzo w gruncie rzeczy płytka i nie dająca widzowi nic, prócz dwóch godzin uśmiechu, co oczywiście nie jest zasadniczym celem Teatru W. P.

Wesele Figara natomiast, w opracowaniu reżyserskim Kazimierza Rudzkiego, było uroczym widowiskiem, choć nie było ani wielką machiną romantyczną, ani klasyczną tragedią, dawało przecież widzowi te wszystkie wartości, których szkolarze oczekują wyłącznie od wspomnianych przed chwilą gatunków. Nie zamierzam analizować w tym sprawozdawczym artykule *Figara.* Recenzje, jakie ukazały się w prasie (m. in. recenzja w *Kuźnicy)* podkreślały

ideologiczny sens tej sztuki i jej znaczenie historyczne. Chciałbym tylko zauważyć, że mimo starannej reżyserii nie wszyscy aktorzy utrzymali swe role w odpowiedniej atmosferze lekkości, drwiącego stosunku do świata i spraw, jaki niewątpliwie jest charakterystyczny dla *Figara* i dla okresu, w którym sztuka jest umiejscowiona. Tymczasem Figaro łódzki (Dobiesław Damięcki) był zbyt ciężki i zbyt dobitnie akcentował, że należy do tej klasy, która w niedalekiej przyszłości uzyskać miała prymat historyczny. Niewątpliwie, Figaro ma tę świadomość, Damięcki jednakże pokazał nie tylko świadomego Figara, ale Figara, który przeżył cały skomplikowany proces ewolucji mieszczaństwa, Figara ex post.

Premiera *Elektry*, która odbyła się w połowie lutego w Teatrze Wojska Polskiego, a raczej w utworzonym przy Teatrze W. P. teatrze Poetyckim, była niewątpliwym wydarzeniem — pierwszym spektaklem, który wzbudził rzeczywiście istotne dyskusje na tematy teatralne. Sztuka Giraudoux w doskonałym przekładzie Jarosława Iwaszkiewicza została wystawiona przez Teatr Poetycki w niezwykle pieczołowitym opracowaniu reżyserskim Wiercińskiego, z doskonałymi dekoracjami Roszkowskiej i w starannej obsadzie. Nie tylko role główne (Kreczmar, Małynicz, Zelwerowicz, Mrozowska) lecz nawet epizodyczne role Eumenid, niezwykle zresztą istotne i ważne dla sztuki, opracowane były wzorowo. O kwestionowaniu więc roboty teatralnej w *Elektrze* nie może być mowy i najzagorzalsi nawet jej przeciwnicy musieli uznać ten wysoki poziom wykonania.

Natomiast ideologiczna treść sztuki podzieliła artystyczną Łódź na dwa obozy. Przytoczmy po krótce, dla orientacji, co stanowi ideologiczną treść *Elektry*. Elektra czyli integralna sprawiedliwość: tak nazwałbym essay o Elektrze, gdybym pisał o tej sztuce obszerniej.

Giraudoux, jak zawsze sceptyczny, pokazuje nam sagę rodu Atrydów nieco odmienną od tej, jaką znamy z mitologii. Natomiast pokazuje sprawy, bliskie nam dziś bardzo z perspektywy niedawnej wojny, od strony ich podszewki. Tylko, że podszewka ta jest nieprawdziwa. Nie możemy przyjąć dziś tezy o jakiejś absolutnej sprawiedliwości, dla której należy wszystko poświęcić, bo wiemy, że takiej sprawiedliwości nie ma, że jest tylko mit takiej sprawiedliwości. Dalej: nie wystarcza nam piękne zdanie o „oczach umarłych narodów", które świecą poprzez historię, chociaż (a może Giraudoux przypuszcza, że właśnie dlatego) narody te zginęły. Wreszcie nie rozumiemy dziś, a raczej nie wystarcza nam zakończenie sztuki, gdy przebrany za Żebraka bóg mówi ludowi zgromadzonemu na dziedzińcu płonącego Argos: Świtanie!

Wszystko, co mówi Giraudoux w *Elektrze* jest niezmiernie inteligentne, wykrętne, ale niestety nasze uszy dziś już tego słuchać nie potrafią, bo wszystkie tezy Giraudoux zostały sprawdzone przez historię sześciu lat wojny i nie są, jak się okazało, ani słuszne ani prawidłowe.

Tym niemniej, słuchając w kilka dni potem w łódzkim Klubie Pickwicka dyskusji zorganizowanej przez Związek Literatów na temat *Elektry*, nie mogłem powstrzymać się od natrętnej myśli, że niektórzy moi koledzy, atakując spektakl argumentami natury prawie że politycznej, nie przyczyniają się niewątpliwie do dalszego rozwoju teatru w naszym kraju. Wydaje mi się, że wystawienie *Elektry* było rzeczą niezmiernie pożyteczną, chociaż ideologia tej sztuki jest fałszywa. Był to eksperyment dla teatru bardzo cenny. Poza tym trudno odmówić *Elektrze* uroków prawdziwej poezji, a wykrętnej prozie Giraudoux zalet rzadko spotykanej dziś czystości, co jest niewątpliwą zasługą tłumacza. Atakując ten rodzaj literatury w teatrze, literaci wylewają dziecko razem z kąpielą i doczekają się, że zahipnotyzowane i uginające się pod presją krzyków o dostępny dla t. zw. mas repertuar, teatry nasze wpadną w drugą, o wiele gorszą ostateczność, wystawiając plakaty propagandowe i *Obronę Częstochowy*.

Ciekawych odsyłam do *Kuźnicy*, gdzie w jednym z numerów znajdą stenograficzne sprawozdanie z wyżej wspomnianej dyskusji. Chciałbym dodać, że wśród tych głosów naprawdę wartościową, wyjaśniającą analizę sztuki i jej ideologicznych błędów dał tylko Adam Ważyk. Długie to i interesujące przemówienie było wzorem lojalności wobec dzieła, które zostało określone przez Ważyka krytycznie, bez demagogicznych chwytów, powtarzających się w przemówieniach niektórych oponentów. Z czysto teatralnego punktu widzenia mówił o sztuce Leon Schiller.

Teatr Powszechny, który stał się obecnie filią Teatru Wojska, wystawił dwie sztuki. *Pana Jowialskiego* w reżyserii Henryka Szletyńskiego oraz *Świerszcza za kominem*.

Na podstawie wymienionych pozycji repertuaru przypuszczam, że Teatr Powszechny ma zrealizować zbliżenie nowej

publiczności do teatru drogą wystawiania możliwie dostępnych utworów stojących na wysokim poziomie literackim.

Niestety, nie widziałem *Pana Jowialskiego*, natomiast odwiedziłem Teatr Powszechny po premierze *Świerszcza za kominem*, który został wystawiony z dużym smakiem i wyczuciem dickensowskiej atmosfery. Jak zawsze, tak i tu można by zarzucić dekoracjom parę błędów, które zresztą wytknęła częściowo już prasa łódzka. Parę błędów wytknąć by można było i reżyserowi. Postać Tackletona, kreowana przez Maliszewskiego, była potraktowana zbyt groteskowo w stosunku do całości przedstawienia i reszty ról, przeważnie lirycznych i po dickensowsku sentymentalnych. W niektórych momentach Tackleton miał rysy Mefista, a przecież chodziło tylko o pokazanie człowieka złego i oschłego, egoisty i zarozumialca — ale właśnie człowieka.

Do reżysera również należało takie określenie roli „maleńkiej pani Piribingle", by Justyna Karpińska w rozmowie z mężem podczas wieczerzy nie wypowiadała roli, lecz ją zagrała. Tym bardziej, że we wszystkich pozostałych partiach sztuki „maleńka pani Piribingle" jest naprawdę postacią z Dickensa.

Nasze pojęcia o teatrze bardzo się zmieniły i już nie zwracamy dziś uwagi na t. zw. „kreacje". To zainteresowanie dla spektaklu jako całości, dla zbiorowego wysiłku zespołu teatralnego, tak pożyteczne jeśli chodzi o sprawę samego teatru, krzywdzi jednakże poszczególnych aktorów. A przecież jeśli mieliśmy w Łodzi kilka niewątpliwych kreacji aktorskich (Zelwerowicz i Małynicz w *Niespokojnej starości*, Romanówna w *Figarze)* to rola Berty w *Świerszczu za kominem* pozwala mi na stwierdzenie, że jej wykonawczyni, Ryszarda Hanin, zagrała ją naprawdę świetnie. Naturalność z jaką Hanin grała rolę ślepej, a taka rola zawsze grozi zabrnięciem w szablon i konwencjonalizm gestów, mimiki i tonacji głosu, świadczy o dużej świadomości aktorskiej.

Chwaląc tak *Świerszcza za kominem* chciałbym jeszcze wspomnieć o umiejętnie przez reżysera zmontowanym prologu i epilogu, wykonanym przez Andrzeja Boguckiego, który w dickensowskim fraczku, takim jaki znamy z dawnych rycin, zdobiących stare wydania angielskie *Klubu Pickwicka*, zaznajomili nas na wstępie ze świerszczem dzwoniącym za kominem w domu „małej pani Piribingle", a w epilogu z dobrotliwym uśmiechem zamyka kurtynę nad historią miłości, podejrzeń, radości i smutku i przemiany, jaka zaszła w duszy niedobrego pana Tackletona.

Następną premierą Teatru Powszechnego okazał się *Mariusz* Pagnola. Piszę dlatego „okazał się", gdyż powrót *Mariusza* na scenę polską w roku 1946 był dla mnie dość nieoczekiwany. Nie jestem bynajmniej przeciwnikiem zręcznych komedji francuskich tego typu, ale tylko wtedy, gdy pod dowcipem kryją się jakieś rzeczy istotne. *Mariusz* to sentymentalna, miejscami groteskowa historia o marsylskim chłopcu, synu właściciela portowego „bistro", który jest zahipnotyzowany urokiem morza i ucieka na statek prawie sprzed ołtarza w wigilię małżeństwa z naprawdę kochaną przez siebie dziewczyną. Pagnol jest interesujący tylko tam, gdzie daje obrazki z życia marsylskich „épiciers". Ta małomieszczańska obyczajowość: skąpstwo, lęk przed plotką, chciwość, sentymentalizm — jest sportretowana wiernie i dlatego nas bawi. Wszystko inne, więc: marzenie młodego dziedzica „bistro" o dalekich morzach, typowo małomieszczańskie tęsknoty, żeby „być gdzie indziej", wreszcie sceny miłosne mało nas bawią, brzmią raczej fałszywie i sztucznie.

Jeśli były jakiekolwiek powody dla wystawienia tej sztuki, to chyba tylko ten jeden możemy akceptować: rola ojca Mariusza w wykonaniu Aleksandra Zelwerowicza. Wołłejko (Mariusz) i Czengery (Fanny) — młodzi aktorzy — mieli w swoich rolach wiele okazji do wyróżnienia się i niewątpliwie okazję tę wykorzystali. Natomiast wiele zastrzeżeń budzi p. Horecka jako matka Fanny (Honoryna), która dla podkreślenia zamaszystości i rubaszności właścicielki straganu z rybami szarżowała niemiłosiernie, co żywo kontrastowało z opanowaną i swobodną grą Zelwerowicza, Wołłejki i Czengery.

Wreszcie trzeci, najmłodszy teatr łódzki, to teatr Kameralny (dyr. Michał Melina). Teatr Kameralny powstał ze szlachetnych założeń i dla pożytecznych celów. Z uwagi na to, że zasadniczym repertuarem Teatru Wojska, jako najlepiej wyposażonego zarówno pod względem ilości i różnorodności zespołu, jak i warunków technicznych, winien być niewątpliwie tzw. wielki repetuar, zaś Teatr Powszechny dotychczasową swoją praktyką potwierdza przypuszczenia, że będzie realizował repertuar bardziej dostępny dla szerokiej publiczności, Teatr kameralny postanowił realizować, jak to sama nazwa wskazuje, repertuar kameralny.

Repertuar kameralny, jak wiemy, to rzecz

dość kłopotliwa, zwłaszcza gdy sięgniemy do autorów polskich. Teatr kameralny rozpoczął *Pigmalionem* Shawa, zaś jako premierę następną wystawił *Głupiego Jakuba* Rittnera.

Oczywiście, Teatr Kameralny jest w tej chwili bardziej oddalony od doskonałości niż dwie poprzednio wymienione placówki teatralne. Gdy jednak przypominam sobie pierwsze kroki tych teatrów, to pamiętam, że i tam nie wszystko wówczas mi się podobało. Przy wszelkich zastrzeżeniach, jakie można żywić i jakie żywi prasa łódzka w stosunku do nowopowstałego teatru, wydaje mi się, że placówka tego rodzaju, właśnie obliczona na sztuki kameralne, jest bardzo potrzebna, właśnie dziś, gdy warunki dla dalszego rozwoju teatru kameralnego są może trudniejsze niż dawniej, ze względu na specyfikę sztuk, które można w nim grać.

Zarówno Shaw, jak Rittner i Zapolska, to sztuki składające się na program Instytutu Teatralnego. Łódzki Teatr Kameralny idzie na razie po linii wystawiania dobrego repertuaru i unika eksperymentów. Oczywiście w miarę artystycznego wzrostu tego teatru będzie on musiał pomyśleć przede wszystkim o otwarciu sceny dla współczesnych sztuk polskich, jeśli takie oczywiście są i są odpowiednie dla teatru kameralnego. Należałoby również sięgnąć do klasyków realistycznego teatru, myślę choćby o Francuzach czy o Czechowie.

Niezliczona, rzecz prosta, jest ilość rad, którą można dawać teatrowi, podsuwając mu repertuar z encyklopedii czy historii literatury. Trzeba jednak wziąć pod uwagę obiektywne możliwości danego teatru. Łódzki Teatr Kameralny ma przed sobą bardzo interesujące zadanie do spełnienia pod warunkiem, że każda następna premiera, jaką zobaczymy w tym teatrze, będzie bardziej staranna i lepiej opracowana od poprzednich. Tak się też stało, gdy rozwijając konsekwentnie swoją linię repertuarową, Teatr Kameralny wystawił z kolei *Ich czworo* Zapolskiej. Reżyser Erwin Axer nie dał się zwieść na manowce psychologizowania i nie pogłębiał zbytnio ani problemu, ani postaci, nie wpadając zresztą w drugą skrajność, która mogłaby polegać na przerysowaniu efektów komicznych. Obsada *Ich czworo* (Zimińska, Macherska, Bielicka, Kochanowicz, Tatarski), przemyślana koncepcja reżyserska dały w sumie przedstawienie bardzo przyzwoite. Jak mi wiadomo następną premierą Teatru Kameralnego będzie *Stara Cegielnia* Jarosława Iwaszkiewicza.

Przechodząc do „lżejszej muzy" należy wspomnieć o programach „Syreny", prowadzonej przez doświadczonego w tym względzie Jerzego Jurandota. Ostatnio teatrzyk ten wystawił komedię muzyczną Jerzego Jurandota pt. *Plecy*. Komedia jest jednocześnie satyrą na panujące dziś stosunki. Obecna na sali przeważnie inteligencka lub mieszczańska publiczność jest mile zdziwioną śmiałymi dowcipami politycznymi, którymi gęsto naszpikował autor tę bardzo lekką komedię. Wśród zespołu wykonawców wymienić należy Dziewońskiego i Irenę Górską. Naprawdę podobała mi się tylko wdzięczna piosenka sentymentalna, ślicznie wykonana przez Marię Bielicką. Ale publiczność łódzka jest widać innego zdania, podoba się jej całość i *Plecy* idą znakomicie od wielu tygodni. Następna natomiast premiera widowiska Gozdawy i Stępnia pt. *Trzej muszkieterowie* mimo doskonałej i barwnej wystawy, mimo efektownej gry niektórych aktorów, wprawiła nas w stan całkowitego przygnębienia. Płaskość dowcipów, żerowanie na opozycyjnych nastroikach kołtuńskiej publiczności, pochlebianie paskarsko-mydlarskim gustom publiczki — typowy „powojenny" objaw bzdury i złego smaku.

Wśród imprez, które notujemy już raczej po stronie „winien" naszego łódzkiego bilansu, odznacza się teatrzyk „Gong", działający z uporem w coraz to w innych punktach miasta. „Gong" uprawia sztukę tak lekką, że dobry smak i zrozumienie roli teatru kazałoby raczej nie wspominać o tych imprezach. Ograniczę się więc do tytułów: *Rendez-vous na Południowej*, następna premiera *Złote sidła*. Voila!

Wobec tego, że radio łódzkie ożywiło swoją dotychczasową działalność, wypada mi wspomnieć i o nim słów kilka, tym bardziej, że radio mogłoby stanowić poważny czynnik w dziele upowszechniania kultury, co dla Łodzi, jako dla miasta robotniczego ma dziś ogromne znaczenie. Notuję tutaj jedynie, że niedawno odbyła się w radio łódzkim konferencja, w której z jednej strony wzięli udział przedstawiciele radia, z drugiej — przedstawiciele organizacji politycznych, związków artystycznych itp. — Związek Literatów reprezentował Mieczysław Jastrun, Leon Pasternak i autor niniejszego sprawozdania, redakcję *Kuźnicy* — Jan Kott. W dyskusji nie szczędzono słów gorzkich i ostrych, zwracano uwagę na brak kontaktu ze związkami zawodowymi artystycznymi, na dotychczasowe błędy i wady. Ta konferencja pozwoli zapewne radiowcom dokonać wielu zmian,

które wyjdą na dobre programom rozgłośni łódzkiej.

Wreszcie pomówmy jeszcze o kinie. Łódź jest w tej chwili areną starć pomiędzy Wytwórnią Filmową, która ma tu główną siedzibę, i opinią pewnych kół artystycznych na temat dotychczasowej działalności Wytwórni. Dotychczasowe pokazy jakie urządzała Wytwórnia wykazały, że sprawa filmu polskiego stoi jeszcze ciągle na martwym punkcie. Wiemy dobrze, jak trudną rzeczą jest uruchomienie tak skomplikowanej machiny, jaką jest produkcja filmu Ale z drugiej strony stwierdzić należy, że Wytwórnia w dotychczasowej swojej działalności poczyniła sporo błędów, które mszczą się na samym filmie. To, że Wytwórnia ma siedzibę swoją w Łodzi, gdzie istnieje obecnie bardzo poważne środowisko artystyczne, ułatwi niewątpliwie bezpośrednią dyskusję nad dalszymi losami filmu, co na pewno naszym filmowcom pomoże w dalszej pracy.

Poczynając od aktywizacji życia literackiego, poprzez premiery teatralne, wernisaże, koncerty, aż do konferencji radiowych, stwierdzić wypadnie, że Łódź jest miastem kulturalnie niezmiernie ożywionym i co ważniejsze, że pracownicy sztuki w tym mieście fabryk i pofabrykanckich pałacyków mają naprawdę kontakt ze społeczeństwem. Nie należy sobie tylko wyobrażać, że konsumcja sztuki jest tu masowa i powszechna. Tak oczywiście nie jest! Tym niemniej perspektywy takiej sytuacji rysują się dla Łodzi dość różowo.

Hasła upowszechnienia kultury i sztuki zrealizować można tylko w odpowiednich warunkach gospodarczych i politycznych. Łódź jest miastem gospodarczo i politycznie określonym — jest to miasto robotnicze. Z drugiej strony środowiska pracowników kultury i sztuki są również jednolite *(Kuźnica)*. Ten stan rzeczy będzie sprzyjał dalszemu rozwijaniu się życia kulturalnego w tym mieście po takiej linii, że wreszcie dotrze ono do mas, nie zatracając swoich rzeczywistych walorów i nie rezygnując z nich na korzyść chwilowych i nieistotnych efektów, które by uzyskać chcieli niektórzy demagogiczni organizatorowie kultury.

Paweł Hertz

DRUGI LIST Z POZNANIA

Poznań nie stracił opinii solidnego miasta, nie tylko w sferze swego dorobku i odbudowy materialnej. Dwa nurty, kultury materialnej i duchowej tak silnie się przenikają i zazębiają, że gdyby pominąć pierwszy, nie można by zrozumieć drugiego. O budującym się Poznaniu trzeba by głośno krzyczeć na całą Polskę, wołać nawet w miastach takich, gdzie jeden dom rozwalony pociskiem lub bombą, do obecnej chwili przeraża ruiną. Jak w wielkim, starym lesie, słychać tu po wszystkich duktach i zakamarkach gęstwiny stukanie dzięcioła. Praca na pozór drobna: rozbiórki, wywózki, artystyczne łatanie, niwelacja; co dzień gdzieś nowa błyśnie szyba i biała firanka zakryje czarną wnękę wypalonego okna. To nic, że Poznań staje się coraz „niższy", gdy ze zburzonych pięter pozostają tylko świeżo tynkowane partery. To jest właśnie praca „od podstaw", cicha, mrówcza i uparta praca.

Z odbudową życia kulturalnego sprawa przedstawia się podobnie. Codzienne doświadczenia uczą, że zbyt wybujałe nieraz objawy renowacji kulturalnej zawodzą i że trzeba zacząć, w oparciu o tradycję, od trudnych i nic nie znaczących zdawałoby się początków. Gorzej, gdy tradycja, przerwana okresem okupacji nie znajduje źródeł odżywczych w miejscowym społeczeństwie, a ruch kulturalno-artystyczny z przyczyn prawdopodobnie czysto materialnych uparcie zamyka się w kręgu samowystarczalności. Poznaniowi brak zatem szerszego oddechu i bezpośrednich kontaktów z innymi ośrodkami kultury. Na wymianę wartości kulturalnych trzeba będzie jeszcze długo czekać.

W życiu teatralnym można zanotować fakt powstania dwu nowych placówek: Miejskiego Teatru dla Młodzieży i Teatru Żołnierza. Tak więc Poznań posiada w tej chwili 5 teatrów nie licząc już opery.

Teatr Polski po katastrofalnej ilości prawie 100 przedstawień *Ziemia oskarża*, dawał *Maturę*, przez niezwykle krótki okres *Drogę do źródeł* T. Perkitnego i *Skiza* Zapolskiej, wystawionego siłami przyjezdnymi. Atrakcją *Skiza* była niewątpliwie Ćwiklińska, ściągając tłumy starych wielbicieli. W końcu grudnia ubiegłego roku pojawił się *Pan Jowialski* Fredry w reżyserii Emila Chaberskiego. Dużym wysiłkiem artystycznym, któremu chciano nadać znamię przełomu w dziejach Teatru Polskiego, było wystawienie *Wesela* Wyspiańskiego, poprzedzanego kampanią w prasie, mającą przygotować publikę do zrozumienia tego trudnego i pełnego zawiłej symboliki dramatu. Usiłowania tak w pierwszym, jak i w drugim wypadku prawie zupełnie chybiły. Przyzwyczajona do bywania w teatrze publika wprawdzie i teraz

nie zawiodła, ale jej reakcja w czasie przedstawienia świadczyła o ciągłym nieporozumieniu.

Na samej zaś sztuce zaciążył niepotrzebny ton realistycznego ujęcia, oraz słaba reżyseria. Daleka, a dziś już zmartwiała i żadnych oddźwięków nie budząca prawda (szczególnie w akcie pierwszym) powinna być ujęta ze stanowiska historycznego, powinna w każdym razie ulec stylizacji, aby frapować i przykuwać widza. Ilustracja muzyczna zbyt monotonna, efekty świetlno-akustyczne wręcz niezdarne. Z ról męskich na wyróżnienie zasługiwał Czepiec (Kazimierz Wichniarz) i niektóre postacie widm. Pan Młody (O. Jacewicz), Poeta (L. Stępowski) i Dziennikarz (K. Przystański) przyczynili się walnie do obniżenia poziomu. Na tle przeciętnie poprawnych i złych kreacyj, wyróżniała się Zofia Barwińska w roli Racheli. Nikt prócz niej nie pomyślał o śpiewności słowa i wiersza Wyspiańskiego, którą zestrajała z gestem wprost tanecznym i wspaniałą grą. Rola Racheli w interpretacji Barwińskiej, jak twierdzą doświadczeni krytycy teatralni, jest niezapomniana i bezkonkurencyjna, nawet w zestawieniu z jej doskonałymi poprzedniczkami. A nawet Teatr Polski odważywszy się na wystawienie *Wesela*, wykazał dużo dobrej woli, zwalczył wiele niesłychanie ciężkich przeszkód i choćby dlatego wysiłek jego i wkład pracy zasługują na uznanie i podziw.

Po *Weselu* święci kasowe tryumfy farsa Flersa i Croisseta *Powrót*, wystawiona starannie, z dekoracjami pięknych wnętrz, obliczonych na gust zubożałej publiki. Można wierzyć w powodzenie tak zgrabnie napisanej sztuki, tym więcej, że tematyka, choć „myszką trąci", porusza pewne zagadnienia aktualne. Zofia Barwińska w roli Colette, choć brak w jej grze tego co nazywamy „l'esprit français", wysuwa się bezwzględnie na czoło wykonawców. Baltazar (A. Dzwonkowski) byłby dobry, gdyby nie nudził swą wiecznie powtarzaną manierą. Widziało go się w *Jowialskim*, gdy falsetem zabawiał publikę i takim samym jest w *Powrocie*. Obecnie Teatr Polski przygotowuje wystawienie *Grubych Ryb* Bałuckiego, licząc się z zapowiedzianym przyjazdem Ludwika Solskiego. Uroczystość związana z przyjazdem Solskiego, jak zapowiada program teatralny, będzie świętem nie tylko teatralnym, ale najdonioślejszym wydarzeniem dla Poznania. Po *Grubych rybach* wejdzie na scenę *Wieczór trzech króli* Szekspira, grany już przed wojną w tymże samym teatrze.

Teatr Nowy, po którego otwarciu tak wiele sobie obiecywano, nie spełnił szumnych zapowiedzi nawet co do wyboru sztuk granych. Po *Ślubach panieńskich* Fredry nie nastąpił ani Wyspiański, ani Szekspir, lecz *Panna Maliczewska* Zapolskiej, z nieopisanie wdzięczącą się i wiecznie tą samą Sojecką w roli tytułowej, wreszcie *Sublokatorka* Grzymały Siedleckiego i *Pensjonat we dworze* Stefana Kiedrzyńskiego. W 46 roku powrócono na nowo do Fredry, wystawiając *Zemstę*. Wskutek poważnych omyłek reżysera (dyr. Szczerbowski) i dekoratora (Szpinger), byliśmy tu świadkami ignoranckich zniekształceń niektórych scen, np. w spotkaniu się Klary z Wacławem. Poza tym dekorator, dysponując płytką powierzchnią sceny, całkiem szczęśliwie rozwiązał problem rozmieszczenia dekoracyj, choć biedna Podstolina gwałtem musiała się przeciskać przez wąskie schody. Pewne fragmenty dekoracyj, i „kompleks schodów", który od dłuższego czasu prześladuje Szpingera, powtarzają się niejednokrotnie tak w Operze jak i w Teatrze Nowym.

Jeśli chodzi o grę artystów, to najlepszym jest dawny Radost ze *Ślubów* — Rejent Milczek, w kreacji Tadeusza Chmielewskiego. Chmielewski stworzył w tej roli całkiem oryginalną sylwetkę; jego mimika i ruchy oraz wiersz fredrowski świadczą o dużej kulturze i inteligencji. Klara, Wacław i Cześnik zawodzą zupełnie. Szczególnie Cześnik (dyr. Zbigniew Szczerbowski) recytuje z patosem, tak jak dawno, dawno temu, gdym go widział na scenach prowincjonalnych teatrzyków, choć warunki zewnętrzne ma pierwszorzędne. Scena z czytaniem listu Rejenta, kiedy Cześnik Raptusiewicz nuci swobodnie jakąś aryjkę, dobywając flegmatycznie okulary (!), jest z nieprawdopodobnego zdarzenia!

Po *Zemście* grają w Teatrze Nowym „agitkę" (tak ją szczęśliwie nazwał w swej recenzji W. Bąk) *Spotkanie po wojnie* Feliksa Ostrowy. Sztuka ta, po raz pierwszy grana w Poznaniu, nie zazna prawdopodobnie większego powodzenia. W związku z jej pojawieniem się i anonimowym autorstwem, wyczytałem ciekawą notatkę w *Głosie Wielkopolskim*, w której Wanda Karczewska informuje rozplotkowaną publikę, że ze sztuką tą nie ma nic wspólnego, odsłaniając przy tym rąbek tajemnicy. Czyżby z obawy przed gromami jakie spadły na *Ziemia oskarża*? *Spotkanie po wojnie* jest sztuką propagandową. Nie będę się zastanawiał nad tym, czy przekonuje ona widza, czy też nie przekonuje w swych założeniach społeczno-dydaktycznych. Osądza ją zresztą publika, bijąc dwoiste brawa. Rażą przede wszystkim

pewne problemy, ciężko wytaczające się na widza, których rozwiązanie, pośród długich i nużących dialogów, nie zawsze jest szczęśliwe i zręczne, choć to było ostatecznym zamierzeniem autorki. Do napisania tego rodzaju sztuki potrzeba dużego talentu publicystycznego, znajomości sceny i delikatnej a wprawnej ręki. Skubniewska i Wasilewski pragnęli nadać „agitce" pozory dramatu, mając nieraz szczęśliwe momenty. Sojecka i Mirski wnoszą wiele niepotrzebnej wrzawy i denerwują krzykliwie robioną młodością. Jako następną premierę Teatr Nowy zapowiada wystawienie *Judasza z Kariothu* Rostworowskiego.

Teatr Miejski dla Młodzieży rozpoczął swą działalność widowiskiem o charakterze legendowym *Trębacz z wieży ratuszowej* Stanisława Strugarka, osiągnąwszy 50 przedstawień. Poważna jak się wydaje luka w repertuarze przeznaczonym dla młodzieży mogłaby być ostatecznie załatana, gdyby nie powrót do sztuk tak miernych i lichych jak np. *Hajduczek* w opr. Siemaszki. Następnym przedstawieniem, przeznaczonym przede wszystkim dla dzieci była bajka o *Królewnie Śnieżce* w opr. Danielewskiego. Miejski Teatr Marionetek, mieszczący się w tym samym lokalu, wystawił cztery bajki, a obecnie daje *Jasia i Małgosię*, przy widowni szczelnie wypełnionej najmłodszą publiką.

Teatr Żołnierza pod dyrekcją kpt. Śliwińskiego ciągle się jeszcze potyka, choć w ostatniej komedii molierowskiej *Lekarz mimo woli* znać już pewien krok naprzód. Studio dramatyczne, kierowane doświadczoną ręką Nuny Młodziejowskiej-Szczurkiewiczowej, objawiło swą żywotność na zewnątrz, zasilając miejscowe teatry przyszłymi adeptami sztuki, oraz urządzając dwukrotnie powtarzany popis deklamatorski. Szkoda, że dobór programu był raczej przypadkowy i stwarzał chaotyczne wrażenie nierównym poziomem wybranych utworów. Ze starszych uczniów tej szkoły daleko zaawansowanym i wróżącym wiele jest Zygmunt Maciejewski. Jego szlachetna dykcja i ciekawa interpretacja w *Sokratesie* Tuwima zdaje się spełniać nadzieje, że wkrótce zabłyśnie nowy talent recytatorski, który po stracie Maszyńskiego nie może odnaleźć godnego spadkobiercy. Kabaret literacki *Kukułka*, pozbawiony swych filarów i założycieli — R. Kołonieckiego i St. Sojeckiego, w poszukiwaniu nowych talentów bawi ciągle wierną publikę symptomatycznym może (jeśli chodzi o tytuł) występem *Byle do wiosny*.

Życie muzyczne Poznania uległo dużemu przeobrażeniu w ostatnim okresie. Przełomowym momentem w powojennych dziejach Opery poznańskiej stał się powrót Zygmunta Latoszewskiego na stanowisko dyrektora. Opera poznańska jest w chwili obecnej jedyną, na wysokim poziomie postawioną placówką. Siłą swego rozmachu twórczego, opartego na fachowym znawstwie, dyr. Latoszewski potrafił wskrzesić prawie cudem świetną i bogatą tradycję. Żelaznym fundamentem pod przyszły repertuar stało się wystawienie *Strasznego dworu* Moniuszki. *Straszny dwór* wystawiony został według autografu autora, pod kierownictwem muzycznym dyr. Latoszewskiego, w reżyserii Urbanowicza, w inscenizacji plastycznej Z. Szpingera, oraz w układzie baletowym St. Miszczyka. Wysoki poziom tego reprezentacyjnego na całą Polskę widowiska jest przede wszystkim zasługą dyr. Latoszewskiego. *Straszny dwór* posiada podwójną obsadę w zespołach solistów i czysto zestrojone chóry, doskonały balet i nowe kostiumy. Dekoracje Szpingera w szczegółach architektonicznych przypominające niekiedy Noakowskiego, są mniej szczęśliwe w pomyśle od widzianych przed wojną. Razi w nich niepotrzebny realizm np. w dwuczęściowym potraktowaniu sceny powitania rodzinnego dworu, lub w innych odsłonach w zastosowaniu scenerii obrotowej. Ten niepotrzebny realizm jest zbyt sztucznie robiony, aby mógł przejąć widza i fatalnie zaciążył nad rozplanowaniem zespołów aktorskich, oraz zepsuł piękno niektórych nastrojowych momentów.

Wszystkie przedstawienia w Operze cieszą się ogromnym i niesłabnącym powodzeniem. Drugą z kolei premierą graną obecnie na przemian ze *Strasznym dworem* jest *Cyganeria* Pucciniego. I tu także należy stwierdzić wielką sumienność w wystawieniu tej opery oraz jej wysoki poziom. Publika z entuzjazmem witała dobrze znaną Poznaniowi Stani Zawadzką w roli Mimi, reprezentującą obecnie najlepszą klasę kunsztu wokalnego w Polsce, nie szczędząc pochwał Zofii Fedyczkowskiej (Musetta) za jej śpiew i doskonałą grę, oraz swemu ulubieńcowi — Wolińskiemu. W planach repertuarowych Opera poznańska zapowiada *Sprzedaną narzeczoną* Smetany i *Aidę* Verdiego. W ubiegłym roku prócz *Rigoletta* wystawiono *Cyrulika*, oraz operetkę Lehara *Kraina uśmiechu*. Miłą atrakcją dla Poznania były kilkakrotnie powtarzane występy znakomitej pary tanecznej Bittnerówna — Kapliński.

Wielką stratą dla muzycznego świata Wielkopolski jest przerwanie koncertów symfonicznych zapoczątkowanych przez Zdzisława Jahnkego. Zespół symfoniczny po siedmiu występach, borykając się z materialnymi trudnościami, musiał przerwać dalsze koncer-

ty. Z przykrością trzeba zaznaczyć, że ruch muzyczny, żywotny zresztą i wyrażający się p kaźną ilością imprez, nie uległ stabilizacji i nie potrafił wyznaczyć sobie celu pomyślanego na dłuższą metę. Do regularnych występów, ściągających jednak nieliczne grono znawców, należą imprezy Polskiego Kwartetu Smyczkowego (Z. Jahnke, L. Kwaśnik, T. Szulc, D. Danczowski), odpowiadające wysokim wymaganiom stawianym muzyce kameralnej. W ostatnim programie usłyszeliśmy III kwartet Szałowskiego, kwartety C-dur Beethovena oraz A-dur Schumanna. Kwartet polski prócz koncertów w rozgłośni poznańskiej wyjeżdża także na prowincję. Wśród wielkiej ilości recitali wokalno-instrumentalnych warto zanotować wystąpienia Ireny Dubiskiej, Z. Lisickiego, G. Konatkowskiej, Bandrowskiej-Turskiej, Łukasiewicza, Zb. Drzewieckiego, T. Wituskiego, oraz zapowiedziany w najbliższym czasie koncert Szpinalskiego i Koczalskiego.

W ramach muzyki rozrywkowej Polskie Radio urządziło koncert, którego wykonawcami byli: Korff-Kawecka, Roy, Kwartet wokalny Buchwalda i inni. Koncert ten zgromadził w Auli Uniwersyteckiej niebywałą ilość słuchaczy. Do szczęśliwie zainicjowanych nowości należą audycje muzyczne, transmitowane przez radio, urządzane co miesiąc w historycznej Białej Sali Wojewódzkiej. Pierwsza poświęcona Chopinowi, druga Moniuszce, trzecia kompozycjom St. Bol. Poradowskiego. W audycjach tych brali udział wybitni muzycy poznańscy wraz z Kwartetem Polskim i chórem im. Moniuszki. Słowo wiążące w sensie objaśnienia prowadził Jerzy Młodziejowski. Ku uczczeniu zmarłego niedawno kompozytora poznańskiego Feliksa Nowowiejskiego odbyła się uroczysta akademia żałobna w Operze poznańskiej, w której prócz prelekcyj i wspomnień wygłoszonych przez Latoszewskiego, Nowakowskiego i Łukasiewicza usłyszeliśmy fragmenty z jego oratorium *Powrót syna marnotrawnego* i sopranistki Stani Zawadzkiej. Osobny wieczór poświęcony twórczości Nowowiejskiego z prelekcją J. Młodzianowskiego, z udziałem Fedyczkowskiej, Korff-Kaweckiej i syna kompozytora, odbędzie się w Auli Uniwersyteckiej.

Życie literacko-naukowe wyróżnia się od poprzedniego sezonu wzmożoną i zróżniczkowaną ilością imprez. Jednak samowystarczalność w doborze poszczególnych prelegentów staje się z dniem każdym groźnym symptomatem. Wskaźnikiem tego jest frekwencja na odczytach czy wieczorach. W wielu wypadkach sytuację ratują osoby prelegentów z Uniwersytetu Poznańskiego i obecność młodzieży akademickiej. Poznań mimo fatalnych warunków mieszkaniowych i kompletnego prawie braku opieki nad studiującą młodzieżą, posiada w tej chwili przeszło 7000 słuchaczów, nie licząc Akademii Handlowej i Szkoły Inżynieryjnej. Nic więc dziwnego, że miastu, które się stało największym w Polsce skupiskiem młodzieży akademickiej, ton nadaje właśnie młodzież i ona stanowi w lwiej części publikę. Tradycyjne *Czwartki literackie* w zależności od siły atrakcyjnej, jaką jest osoba prelegenta i temat, bywają nieraz tłumnie nawiedzane. Znalazły wreszcie stałe, choć niezbyt szczęśliwe lokum w auli Akademii Handlowej.

Do wypróbowanych szczególnie przez młodzież prelegentów należą prof: Kostrzewski *(Nowe wyniki badań nad kulturą polską)*, Szweykowski *Świat Pana Tadeusza)*, oraz Pollak *(Wspomnienia z powstania warszawskiego)*. Dużą ilość słuchaczy zgromadził ciekawy i odkrywczy odczyt dra Kubackiego *Demostenes i Mozart w twórczości Mickiewicza*. Z obcych prelegentów usłyszeliśmy Elzenberga z Torunia *(Człowiek i sztuka dla sztuki)*, oraz Płomieńskiego *(Edward Dembowski w Księstwie Poznańskim)*.

Młodym twórcom literackim grupującym się wokół ruchliwego Koła Polonistów S.U.P., poświęcone zostały dwa *Czwartki*, tłumnie nawiedzone, w których słowo wstępne wygłosił doc. Kubacki. Również i Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" zorganizowała stałe odczyty popularno-naukowe, zrazu w projekcie mając czwartek, zdecydowała się jednak rozpocząć tradycyjnymi środami, zorientowawszy się, że tydzień ma 7 dni. Towarzystwo Współpracy Kulturalnej obok imprez wokalno-muzycznych urządza wieczory dyskusyjne. Jednym z ostatnich był odczyt St. Szczepańskiego o *Drogach dzisiejszego malarstwa*. Towarzystwo Polsko-Francuskie (posługujące się snobistycznymi zaproszeniami, pisanymi w jęz. francuskim!) organizuje odczyty z zakresu literatury i kultury francuskiej. Tow. Naukowe im. Jana Kasprowicza prócz badań związanych z twórczością Kasprowicza (Sobierajski: *Jak Kasprowicz dialektyzował swój język)* poświęca referaty dyskusyjne i innym zagadnieniom: Rogalski—*Myśli i dążenia moralne Przybyszewskiego*, Latawiec—*Awans życiowy i artystyczny Kasprowicza i Orkana*. Bogatą działalność przejawiają komisje: historyczna i filologiczna, będące sekcjami Tow. Przyjaciół Nauk, oraz Tow. Miłośników Miasta Poznania. Ostatnio Liga Morska zorganizowała szereg aktualnych odczytów, objętych ramami *Poniedziałków morskich*. Koło Polonistów S. U. P. prócz wymienionych już dwóch

Czwartków lit., urządziło tradycyjną szopkę artystyczną, powtarzaną dwukrotnie z wielkim powodzeniem, oraz w pracy wewnętrznej zainicjowało niezwykle ciekawe dyskusje teatralne na temat sztuk wystawianych w Poznaniu.

Ruch czasopiśmienniczy wzbogacił się w obecnym roku o nowy miesięcznik regionalny *Przegląd Wielkopolski*, redagowany przez Z. Grota i W. Ostrowskiego. Miesięcznik ten, wznowiony po sześciu latach przerwy, ma służyć zagadnieniom kultury wielkopolskiej w przeszłości i w chwili obecnej, stwarzając warunki dla większego i rozumniejszego umiłowania kultury regionalnej i pobudzenia do żarliwości pracy i tworzenia. Ma on charakter raczej naukowy, gromadząc wokół siebie wybitnych uczonych poznańskich.

Życie literackie, dwutygodnik (ukazujący się raz w miesiącu) Związku Zawodowego Literatów Polskich, po wyjeździe Żytomirskiego i Kołonieckiego ograniczył kolegium redakcyjne do osoby Wojciecha Bąka. Walcząc z wielu trudnościami natury finansowej, wychodzi jak dotąd obronną ręką, nie obniżywszy przy tym poziomu zewnętrznego, który go wyróżnia pośród innych czasopism literacko-naukowych. Prócz poezyj znanych autorów polskich i tłumaczeń, ukazuje się także *Kolumna młodych talentów*. Ze studiów lit.-krytycznych zamieszczonych na łamach *Życia* na wyróżnienie zasługują: Podkowińskiego *Sztuka Conrada*, Rogalskiego *Przybyszewski filozof-moralista*. Szkoda, że *Przechadzki literackie*, rodzaj kroniki wydarzeń, zostały w ostatnich dwóch numerach pominięte. Niewykorzystanie tej jedynej prawie okazji zapoznania innych środowisk kulturalnych w Polsce z przejawami naszego życia, jest sprawą krzywdzącą środowisko i późniejszych historyków kultury. Lukę tę w sposób bardzo sumienny wypełnia organ Towarzystwa Miłośników Miasta Poznania swą *Kroniką*, redagowaną przez St. Strugarka. Jej zasięg, jeśli chodzi o kręgi czytelnicze, wydaje się jednak szczuplejszy, niż zasięg *Życia Literackiego*. *Kronika Stoł. Miasta Poznania*, o szacie zewnętrznej wprost wykwintnej i przedwojennej, ukazuje się nakładem Księgarni Akademickiej. W ostatnim numerze prócz stale zamieszczanego przeglądu z życia miasta, życia kulturalno-artystycznego i kroniki wydarzeń, znajdujemy między innymi wspomnienie pośmiertne o Nowowiejskim — J. Młodziejowskiego, Dettloffa *Jak i czym zamierzał okupant „zdobić“ Poznań*, Wyrwickiej *Poznańskie Muzeum Przyrodnicze po wojnie*.

Periodycznym organem Instytutu Zachodniego jest *Przegląd Zachodni*, miesięcznik o wysokim poziomie, redagowany przez kolegium: Klafkowski, Sosnowski, Suchocki, Wojciechowski. Koncentruje on przede wszystkim swoją uwagę na naświetlenie możliwie wszechstronne wszystkich zagadnień naszej granicy na Odrze i Nysie, biorąc czynny udział publicystyczny w odbudowie nowej rzeczywistości polskiej na ziemiach odzyskanych, pogłębiając problematykę historyczno-kulturalną Ziem Zachodnich i poświęcając swoje łamy badaniu problemu niemieckiego we wszystkich jego wyglądach i relacjach. Nader szczęśliwym pomysłem jest umieszczana co miesiąc kronika oparta na szczegółowych relacjach specjalnych korespondentów pisma ze wszystkich ważniejszych ośrodków. Poziom niedzielnego dodatku literackiego w *Głosie Wielkopolskim* zależy ciągle jeszcze od przypadku. *Głos* nie potrafił skupić wokół siebie, tak jak inne dzienniki, pewnej grupy osób, która by w sposób planowy na długi dystans pomyślała o podniesieniu jego wartości literackich.

W ruchu wydawniczym przoduje najżywotniejszy z instytutów w Polsce — *Instytut Zachodni*. Ma on już poza sobą bogaty dorobek wydawniczy. Wspomnę choćby ostatnie publikacje: *Documenta Occupationis Teutonicae*, Kaczmarczyka *Kolonizacja niemiecka na wschód od Odry*, Widajewicza *Niemcy wobec Słowian Połabskich*, Lehra-Spławińskiego *O pochodzeniu i praojczyźnie Słowian*. „Św. Wojciech“ wydał ostatnio dwie powieści historyczne: Wł. J. Grabskiego *Saga o Jarlu Broniszu*, powieść z czasów Bolesława Chrobrego i Hanny Malewskiej *Kamienie wołać będą*, powieść z XIII wieku. Niemniej ruchliwe są wydawnictwa Księgarni Akademickiej, księgarni Wilaka i Zdzisława Gustowskiego.

Muzeum Wielkopolskie, którego 75% zbiorów wraz ze zbiorami Towarzystwa Przyjaciół Nauk uległo zniszczeniu lub wywiezieniu, rewindykuje obecnie zabytki wywiezione i inwentaryzuje je. W ciągu roku zorganizowano tutaj następujące wystawy: wystawę Związku Polskich Artystów Plastyków, pokaz malarstwa europejskiego XVI—XVIII w. i wielkopolskiej rzeźby gotyckiej pokaz malarstwa polskiego XIX—XX w. gwiazdkową wystawę Związku Polskich Artystów Plastyków i wystawę prac członków Tow. Miłośników Fotografii. W ostatnim sezonie Muzeum mieściło w swoich salach cztery wystawy: wystawę kościuszkowską z okazji 200 rocznicy urodzin Tadeusza Kościuszki, wystawę Krakowskiego Związku Artystów Plastyków, wystawę prac konkursu

Polonia na temat martyrologii polskiej, oraz stałą wystawę malarstwa polskiego XIX i XX wieku. Związek Polskich Artystów Plastyków w Poznaniu nie posiada do tej chwili własnego salonu wystawowego, goszcząc w murach Muzeum Wielkopolskiego.

Z bibliotek czynną jest Uniwersytecka (nie wiadomo dlaczego tylko przed południem!), Biblioteka Miejska bardzo starannie i w rekordowym tempie zorganizowana, oraz biblioteki zakładowe, seminaryjne Uniwersytetu Poznańskiego. Biblioteka Towarzystwa Przyjaciół Nauk, której zbiory w większości ocalały, walczy ciągle z brakiem najniezbędniejszych środków finansowych, które by wystarczały chociaż na zakup potrzebnych regałów.

Tak oto toczyły się w ostatnich dniach i toczą się codziennie dni odbudowy kulturalnej Poznania. Jak w odbudowie materialnej, nie są to w wielu wypadkach piętra, lecz niższe budowle. Odbudowa jednak trwa.

Bogdan Zakrzewski.

KATOWICE W OKRESIE DOJRZEWANIA

Katowice ciągle jeszcze nie mają skrystalizowanego oblicza kulturalnego. Są miastem dojrzewającym. Rosną i przypominają człowieka, który nie może pomieścić się w za ciasnym ubraniu. Sprawa mieszkaniowa urosła tu do koszmarnych rozmiarów i w życiu każdego przybysza staje się zagadnieniem centralnym i podstawowym. Przybyszów tych jest sporo. Cała Warszawa, nie mogąca znaleźć miejsca czy też nie mająca dość sił by żyć w gruzach i ruinach, podzieliła się między Kraków i Śląsk z tym, że ludzie związani z kręgiem zagadnień kulturalnych ciążą raczej do Krakowa, a na Śląsk przybywają ludzie raczej zaprzątani interesem handlowym i robieniem pieniędzy. Oczywiście, nie może to pozostać bez wpływu na wygląd tutejszego życia kulturalnego. Jak to bywa w okresie dojrzewania, Katowice w tej dziedzinie oscylują między wartościowymi osiągnięciami a śmiesznymi, nieobliczalnymi wybrykami.

Życie kulturalne ostatniego półrocza w Katowicach zaczęło się pod znakiem teatru. We wrześniu zjechał tu nowy teatr ze Lwowa pod dyrekcją Bronisława Dąbrowskiego, bardzo duży, bo liczący około 50 osób, z własną orkiestrą, dekoratorami, choreografami i całym personelem technicznym. Prawdopodobnie liczbowo jest to największy teatr w Polsce. Zaczęło się od wielu konferencji, zapowiedzi, wywiadów, w których zapewniano, że nowy teatr będzie teatrem popularnym w dobrym tego słowa znaczeniu, teatrem dla mas, i roztaczano szerokie i wszechstronne plany repertuarowe. To wszystko słyszało się już zresztą w Katowicach niejednokrotnie. Po pół roku można już coś powiedzieć o realizacji.

W pierwszym okresie tłumaczono, że trzeba naprzód poznać teren i ograniczono się do repertuaru przygotowanego i granego już poprzednio we Lwowie. Na inaugurację poszło *Wesele*, które było przedstawieniem aktorsko bardzo nierównym (warto zanotować doskonałą Rachelę w ujęciu Tomaszewskiej). Sam utwór, którego problematyka i niektóre środki artystyczne są dziś nieco zwietrzałe, posiada jednak tyle ładunku poetyckiego i tyle życia teatralnego, że ciągle jeszcze wywiera głębokie wrażenie. Osiągnął też, jak na stosunki tutejsze, bardzo duży sukces, wyrażający się liczbą 50 przedstawień, liczbą, której nie zdobyła żadna inna z wystawionych sztuk. Natomiast sztuka, która wydawała się najodpowiedniejszą na ten teren, *Burmistrz Stylmondu* Maeterlincka, mimo że dobrze zagrana (z Szymańskim w roli tytułowej) miała najsłabszą przeciętną frekwencję. Widocznie ludzie albo chcą zapomnieć o wszystkich niemieckich okrucieństwach wojennych, albo pokazane tam momenty z poprzedniej wojny światowej wydają się dziś już zbyt sielankowe w porównaniu z tym, cośmy przeżyli ostatnio. *Ich czworo* Zapolskiej również nie przemówiło żywiej do słuchaczy, a wystawienie *Misji mr. Perkinsa w kraju bolszewików* Korniejczuka było zupełną pomyłką. Ten inscenizowany felieton polityczny tematycznie — jak każdy felieton — po trzech latach zwietrzały (rzecz dzieje się w r. 1942 w Związku Radzieckim w chwili czekania na tzw. drugi front na Zachodzie), artystycznie słaby, ani nikogo nie interesował, ani nie mógł dać pojęcia o radzieckiej twórczości dramatycznej.

Te pozycje traktowano jako pozycje poważne, realizujące pewne obowiązki kulturalno-społeczne. Ale oprócz tego trzeba było coś zrobić dla kasy. Teatr śląski ma wprawdzie — i słusznie zresztą — dużą subwencję, ale to nie wystarcza. Na komedii Fauchois *Ostrożnie, świeżo malowane* można się było nieźle zabawić, (grana była doskonale, znacznie lepiej niż w Krakowie, z Leliwą w roli głównej). Ze starej komedii Montgommery'ego *Cały dzień bez kłamstwa* zrobiono zabawną komedię muzyczną, natomiast niemiecka szmira *Moja siostra i ja* była już poniżej poziomu, poza który szanujący się teatr nie powinien schodzić. Nie trzeba oczywiście dodawać, że

ostatnia komedia muzyczna osiągnęła największy sukces kasowy. Skoro skończył się ten repertuar „lwowski", poczęły się szukania nowego. Szukania te są jeszcze ciągle w toku i na razie nie wyszły poza błądzenia. *Stary dzwon* Jana Brzozy, osnuty na tle walk partyzanckich w czasie okupacji, wykazał ponownie, że czasy te nie dojrzały jeszcze do teatru, czy też, że odpowiedniego kalibru twórcy jeszcze się nie narodzili. *Stary dzwon* jest naiwny i teatralnie nieporadny. Pobłażliwi recenzenci próbowali bronić go brakiem pewnych wad jak np. werbalizmu politycznego. Istotnie była to zaleta, ale też jedyna. Potem przyszła kolej na jeszcze jedną komedię muzyczną *Jak w bajce* Wł. Krzemieńskiego i A. Klucznioka, którą nazwano „komedią Disneyowską". Z Disneyem nie miała ona absolutnie nic wspólnego, chyba tylko to, że w intencji autorów miała to być komedia, która zabawiłaby i dzieci i dorosłych. I jedni i drudzy śmiali się na przedstawieniach, tylko jedni w innych miejscach a drudzy w innych. Wyszła z tego mieszanina dosyć dziwaczna. Tyle na razie (tzn. do 10-go marca).

Nie jest to dorobek w sumie zbyt pokaźny, ale zaraz można tu wysunąć różne argumenty obronne. Czy dużo jest teatrów w Polsce, które mogłyby się poszczycić lepszym repertuarem? Czy w ogóle stworzenie takiego repertuaru dzisiaj jest sprawą łatwą? Czy są sztuki współczesnych autorów, które by warto grać? Poza tym nie można tu pominąć cyfr, które obrazują choć w części wysiłek, na jaki każdy teatr w Katowicach musi się zdobyć. Co dwa tygodnie premiera, teatr jeździ na prowincję — w bardzo trudnych warunkach — mniej więcej co trzeci dzień, średnio co drugi dzień daje dwa spektakle. Dodajmy do tego, że niektórzy aktorzy muszą mieszkać w garderobach teatralnych. Nie ułatwia to wszystko pracy, ale mimo to trzeba mieć nadzieję, że teatr śląski wyjdzie z błądzeń na ubitą drogę, tym bardziej, że materiał aktorski posiada bardzo wartościowy.

Teatr im. Wyspiańskiego jest ciągle jedynym teatrem w Katowicach, ale cały okręg śląski ma ich więcej, jest teatr w Sosnowcu, Cieszynie i Bielsku, w Opolu. Ten ostatni, podobnie jak katowicki, jest też teatrem objazdowym. Na Dolnym Śląsku mamy teatr we Wrocławiu (dyr. Trzciński) i w Jeleniej Górze. I te teatry jeżdżą po okolicznych, a nieraz i nawet dość odległych miejscowościach. Śląsk jest więc dosyć steatralizowany.

Od sześciu miesięcy mówi się w Katowicach o założeniu sceny kameralnej i eksperymentalnej jako drugiej sceny teatru śląskiego, przeznaczonej także dla młodego narybku aktorskiego, kształconego w szkole dramatycznej istniejącej przy teatrze. Wspominano nawet o wcale interesującym przewidywanym repertuarze, ale do tej pory nic z tego jakoś nie wyszło, podobno dlatego, że na czekającą od paru miesięcy na gospodarza salę jest jeszcze inny amator i jakoś nie może zapaść decyzja, komu ją przydzielić. W ogóle było w Katowicach jeszcze paru zapaleńców, którzy myśleli o zakładaniu teatrzyków, scenek i nadscenek, ale poza jedną bardzo krótką i mało udaną realizacją wszystko pozostało w sferze projektów. Z rzadka zaglądają też do Katowic inne teatry. Oglądaliśmy *Skiza* z Ćwiklińską i *Grube ryby* z Solskim i Leszczyńskim, przyjmowane przez publiczność owacyjnie.

Oprócz teatru niewiele jest imprez, które by można zaliczyć do kulturalno-literackich. Akcji odczytowej nie ma prawie zupełnie. Związek Literatów urządza od czasu do czasu wieczory autorskie pisarzy śląskich i pozaśląskich. W okresie, z którego zdajemy sprawę, były takie wieczory Józefa Nachta-Prutkowskiego, Wojciecha Żukrowskiego, Edwarda Kozikowskiego, Jarosława Iwaszkiewicza, A. M. Swinarskiego, Wł. Żelechowskiego i J. Zabierzewskiej, Jana Baranowicza, Jana Brzozy. Frekwencja była na nich różna, zależnie od atrakcyjności nazwiska, ale wypadek, że przyszło tylko nie więcej niż siedem osób, zdarzył się raz jeden. Poza tym raz odbyła się rewia poetów z udziałem, oprócz miejscowych, poetów łódzkich z Broniewskim, Lecem i Minkiewiczem. Zresztą Związek Literatów nie grzeszy nadmierną ruchliwością. Powstały przy nim Klub Literacki, grupujący młodzież literacką i ludzi, którym sprawy literackie nie są obojętne, urządził kilka wieczorów dyskusyjnych, wieczór debiutantów, który skupił wcale duże grono krewnych i znajomych występujących, oraz wieczór poświęcony pamięci zmarłego w tym roku zasłużonego pisarza regionalnego Ludwika Kobieli.

Natomiast imprezą ze wszech miar udaną są powtarzające się co tydzień lub co dwa tygodnie „środy" Instytutu Śląskiego. Zdobyły one sobie w Katowicach już dobrą sławę i zawsze ściągają duży zespół, zwykle tych samych ludzi. Dyskutuje się tu na różne tematy literackie i społeczne, o operze i Opolszczyźnie, o teatrze i nowej demokracji, o inteligencji i biurokracji, dyskutuje nieraz długo i zawzięcie, czasem z udzia

łem prelegentów przyjezdnych (Kisielewski i Turowicz z Krakowa).

Dla okrasy dodaje się do tego jakiś niedługi występ muzyczny. W każdym razie „środy" mają powodzenie, duża w tym zasługa ich organizatora mgr. Lewańskiego.

„Instytut Śląski" poza swą wielokierunkową działalnością naukową, (w tej dziedzinie uzupełnia go reaktywowane Śląskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk). nie zapomina także o literaturze. Jego nakładem ukazały się dwa tomiki śląskich poetów: E. Osmańczyka *Walka jest zwycięska* i Wilhelma Szewczyka *Posągi*. On wydaje znów przedwojenne *Zaranie Śląskie*, które ma być kwartalnikiem, a które sprawom kulturalno-literackim poświęca przeważną część miejsca. Obok artykułów, związanych z problematyką kulturalną Ziem Zachodnich, znaleźć tam można poezje i prozę artystyczną autorów zarówno już znanych (Osmańczyk, Żukrowski, Szewczyk), jak i debiutujących, poza tym prozę krytyczną. *Zaranie Śląskie* jako miejsce swego wydania podaje Katowice-Wrocław. W bardziej odległej Jeleniej Górze ukazał się ostatnio nowy miesięcznik *Śląsk*, poświęcony sprawie przeszłości i teraźniejszości tej dzielnicy. Wychodząca w Katowicach *Odra* zyskała w ostatnich czasach wiele, jeżeli idzie o szatę zewnętrzną, a tematycznie zgodnie ze swym założeniem związała się głównie z ziemiami zachodnimi, nie zapominając jednak o problemach społecznych i literackich ogólnopolskich. W tym zakresie spełnia swoje zadanie i jest pismem, o którym pochlebnie piszą ostatnio równocześnie *Kuźnica* i *Tygodnik Powszechny*, co oczywiście niekoniecznie jest zaletą. *Odra* więcej miejsca poświęca sprawom społecznym niż literackim, ale to też dlatego, że środowisko literackie jest tu tak mało ożywione. Z poezją jest jeszcze nieźle, do dawnych poetów przybyły nowe na Śląsku nazwiska (Baumgardten, Bubryńczuk), gorzej jest z prozą, bo sam Żukrowski ciągle pisać nie może. Pisarze z Polski centralnej ciągle jeszcze pozostają obcy i obojętni dla problematyki Zachodu. Nie zgryźli jej oczywiście w czasie trzydniowej wycieczki we wrześniu ub. roku, kiedy z okien autobusu obejrzeli Opolszczyznę. Zorganizawanie całości spraw kulturalnych a w szczególności literackich na wszystkich tych terenach, to jeszcze problem czekający na rozwiązanie. Ma go ponoć rozwiązywać świeżo powołana Wojewódzka Rada Kultury, ale nie zaproszono do niej.... przedstawicieli związków artystycznych.

Takie są sprawy literatury w Katowicach. Za to jeżeli idzie o życie muzyczne, to jest ono tutaj po Krakowie chyba najintensywniejsze w Polsce. Filharmonia katowicka robi postępy. Orkiestra jeszcze wprawdzie ma braki, zwłaszcza obsada smyczków jest zbyt skromna (blacha też niedomaga), ale gra coraz sprawniej. Brak też ciągle dyrygenta, który by ją odpowiednio zdyscyplinował i postawił na wysokim poziomie. Nowozaangażowany dyrygent Anatol Zarubin ma dużo prawdziwego talentu, odnosi też nieraz pierwszorzędne sukcesy, ale niestety nie zawsze. Gościnnie występowali Kulczycki, Dymek i przybyły ze Lwowa Witold Krzemiński, który wyróżnił się szczególnie doskonałym opanowaniem orkiestry. Repertuar na ogół jest tradycyjny, najczęściej Beethoven i Czajkowski, rzadziej Mozart, Brahms czy Franck, a najrzadziej coś nowego (np. Szostakiewicz). Filharmonia, tak jak i teatr, jest imprezą objazdową, jeździ do Bytomia, Gliwic, Chorzowa, Bielska, Będzina i Sosnowca. Na specjalną uwagę zasługują koncerty dla robotników, urządzane w miejscach ich pracy, w fabrykach i hutach, cieszące się dużym powodzeniem. Częstotliwość i różnorodność koncertów oczywiście wpływa niekorzystnie na poziom orkiestry filharmonicznej. Mimo dość znacznej frekwencji słuchaczy walczy ona z dużymi trudnościami finansowymi, co też nie przyczynia się do normalizacji pracy.

W koncertach filharmonicznych, czy też w indywidualnych recitalach — te ostatnie urządzane są przez Centralne Biuro Koncertowe Zw. Zaw. Muzyków — przewinęli się przez Katowice wszyscy najwybitniejsi wirtuozi polscy — (oprócz nich też całkiem niewybitni): Drzewiecki, Szpinalski, Sztompka, Woytowicz, Bacewiczówna, Dubiska... Śpiewali: Ewa Bandrowska-Turska, Olga Didur, Karwowska, bardzo zdolna śpiewaczka estradowa Irena Lewińska, Jerzy Garda, który osiadł w Katowicach. Pod tym względem Katowice przestały być prowincją.

Orkiestra filharmoniczna ma wiele braków osobowych, Katowice jednak mają jeszcze drugą orkiestrę, mniej liczną, ale doskonale postawioną, posiadającą paru bardzo dobrych muzyków, kierowaną przez Kałkę-Rowickiego i Ormickiego. To orkiestra Polskiego Radia. Jej niewidzialne koncerty ściągają do studia pokaźną gromadę ludzi pragnących posłuchać dobrej muzyki w dobrym wykonaniu (wstęp jest bezpłatny). Wydaje się nie bardzo celowe istnienie równoczesne dwóch orkiestr, z których każda jest niekompletna, a połączone mogłyby

stworzyć zespół pierwszorzędny. Widać jednak, że są w tym jakieś głębsze przyczyny.

Na tym życie muzyczne Katowic się nie wyczerpuje. Jest jeszcze Opera, oczywiście także wędrująca, głównie między Bytomiem i Katowicami, gdzie daje po dwa przedstawienia tygodniowo, a także po innych miastach śląskich. Opera stworzona została zapałem i wysiłkiem Adama Didura, dzięki opiece i pomocy wojewody gen. Zawadzkiego. Niestety jej poziom wykonawczy od *Toski* poprzez *Pajace* i *Rycerskość wieśniaczą* do *Traviaty* raczej się obniża. Ta ostatnia opera była zdecydowanym potknięciem. Orkiestrze zwłaszcza — jest jeszcze jedna oddzielna orkiestra — operowa, brakuje bardzo dużo do doskonałości zarówno ilościowo jak i jakościowo. Wśród śpiewaków — wszyscy są młodzi — jest kilka sił rokujących bardzo dobrą przyszłość: Calma, Lachetówna , Finze, Hiolski. Śmierć Adama Didura pozbawiła zespół doskonałego i ofiarnego organizatora i człowieka, który był dobrym duchem całości. Nowym dyrektorem został Belina-Skupniewski

W ostatnim liście z Katowic zwracaliśmy uwagę na słabe tętno życia plastyków w Katowicach. Nie wiele się od tego czasu zmieniło. Sympatyczne „czarne kawy u plastyków" nie mogą być uważane za żywsze przejawy tego życia. Wszystko leży na razie w sferze zamierzeń i planów na przyszłość. Ciągle jeszcze główną przyczyną tego zastoju jest brak własnej sali wystawowej. W ciągu całego roku nie można było jej ani rusz znaleźć. Obecnie plastycy obiecują sobie wiele po nowym dekrecie mieszkaniowym i liczą, że zdobędą wreszcie salę, gdzie by mogła się odbyć wystawa weryfikacyjna członków (kandydatów jest coś około 130!).

Z braku sali nie urządzono w Katowicach projektowanych wystaw plastyków krakowskich, Boznańskiej, Noakowskiego. Jest to duża strata, bo kultura plastyczna w tutejszym środowisku stoi bardzo niewysoko i trzeba je oswajać z prawdziwymi walorami malarstwa czy rzeźby. W ciągu całego okresu sześciomiesięcznego do zanotowania mamy tylko jedną wystawę, urządzoną w wypożyczanym lokalu. Była to „Ogólnopolska Wystawa Grafiki Użytkowej". Może przymiotnik „ogólnopolska" był trochę za śmiały, ale wystawa miała bardzo wysoki poziom, bo też w tej dziedzinie plastyki Polska zawsze celowała. Z grafiki ilustracyjnej ujrzeliśmy ponownie Mrożewskiego z jego nadzwyczajnymi ilustracjami do *Boskiej Komedii* i Mroszczaka, który w ilustracjach do książek dziecinnych jest niezrównany w zabawnej stylizacji i doskonałych artystycznie uproszczeniach, rozkosznych dla widza dorosłego, a na pewno bardzo ucieszych dla dzieci. Tego ostatniego nie można już było powiedzieć o rysunkach Małkowskiej, których smaczek, jak wielu „dziecinnych" wierszy Tuwima czy Brzechwy, uchwytny jest głównie dla odbiorcy dojrzałego. Rewelacją wystawy był A. Uniechowski, który zachwycał świetnym operowaniem linią, doskonałym wczuciem się w barok czy rokoko. Ilustracje do wolterowskiego *Kandyda* były pod tym względem osiągnięciem znakomitym. Wśród grafiki plakatowej obok Mroszczaka wyróżnił się przede wszystkim Tomaszewski (to była też w pewnym sensie rewelacja) bardzo dobrym rysunkiem, kolorem i kompozycją (afisze: „Niech żyje 1 Maja", „Wesele", „Dożywocie"). Poza tym na wystawie byli reprezentowani: Dawski, Langner, Siemaszkowa, Lipiński, Knop, Knothe, Zamiar.

Okres dojrzewania życia kulturalnego Katowic trwa. Czy potrwa on jeszcze długo? Czy nie przejdzie aby w stan chroniczny? Pytania te stawiamy nie bez pewnego niepokoju.

August Grodzicki.

LIST Z WYBRZEŻA

Są trzy główne ośrodki kulturalne na Wybrzeżu: Sopot, Gdańsk, Gdynia. Podana kolejność nie jest przypadkowa. Ilością i jakością instytucji kulturalnych przoduje Sopot. W ocenie możliwości gospodarczych tych miast, tak ważnych dla podbudowy kultury, należałoby tę kolejność odwrócić. Wymiar i tempo życia handlowego Gdyni wyraża się dzisiaj ruchem 40 statków (przeciętnie) na dobę. Gdańsk wskutek ogromnego zniszczenia jest miastem poniekąd improwizowanym. W nielicznych ocalałych budynkach osiedliły się władze administracyjne, na przedmieściach młodzież studiująca: w sumie to biedne, kalekie miasto czyni wrażenie delegata Rządu, który uparcie i godnie spełnia na ruinach powierzoną mu misję.

W Sopocie na 20 tys. mieszkańców prawie 1% stanowią artyści. Wątpię, czy gdziekolwiek indziej sztuka ma tak idealne warunki do przenikania psychik prawem osmozy jak tutaj. Brak tylko Peryklesa w Zarządzie Miejskim, by Sopot stał się dla Polski tym, czym Ateny dla Grecji. Sopot można jeszcze nazwać „małą Warszawą": tyle tu twarzy ze stolicy. Gdynię zamieszkali jej przedwojenni mieszkańcy, Gdańsk szumi śpiewankowaniem wilnian i repatriantów zza Bugu. Ta „śpiewność" to trochę eufemizm. Polszczyzna pozostawia na Wybrzeżu na ogół

wiele do życzenia. Prędzej tu się można nauczyć angielskiego niż polskiego. Ci, których nie stać na opłacenie kursów w *Chesterfield College* mają lekcje poglądowe z puszek amerykańskich. W kilkunastotysięcznym mieście powiatowym, w Sztumie, istnieje 50 ośrodków nauki języka polskiego; w czołowych miastach Wybrzeża polszczyzna zostawiona sobie jest niemiłosiernie trawestowana przez autochtonów i mozaikę repatriancką.

W dziedzinę odbudowy kulturalnej wkracza zadanie repolonizacji autochtonów i usunięcie kolorytu pruskiego z Wybrzeża. Są to problemy trudne, bo nieraz ściśle ze sobą zespolone. Program kultury dla Wybrzeża da się wypracować przy zielonym stoliku: trzeba go składać dosłownie, litera po literze tu, na miejscu, w terenie, w masie. Ten program powinien sięgać do podstaw. Kulturę na Wybrzeżu trzeba budować od pojęć podstawowych, od piwnicy. Sztuka powinna częściowo przejąć funkcje oświaty, w przeciwnym razie nasze instytucje kulturalne będą imitowały kwiatki przy kożuchu. Repatriant ma odbudowywać na Wybrzeżu swój dom, autochton pojęcie o Polsce. Czy zdołają to uczynić, jeśli wiąże ich wprawdzie ta sama ziemia, lecz dzielą odmienne ustroje psychiczne? Dzieło demokratyzacji będzie połowiczne, jeśli do nadziału ziemi nie przyłączy się nadział kultury.

Wydawałoby się, że przesunięcie geopolityczne wywoła równie zasadnicze zmiany geokulturalne. Niestety, na Wybrzeżu przynajmniej, tak nie jest. Przemieszczenie lokalne pracowników kultury po zniszczeniu Warszawy i odpadnięciu wschodnich połaci Polski nie pomnożyło na razie naszego dorobku duchowego. Artyści związani mocno z dawnością budują na Ziemi Odzyskanej swą sztukę ze wspomnień, nie dostrzegają chwili obecnej.

Ogólny plan kultury nakreślony przez Ministerstwo Kultury i Sztuki jest celowy i mądry. Interpretacja i wykonanie często ni tety zawodzi. Między planem a jego realizacją stoi samorząd i tzw. inicjatywa społeczna. Artysta w pojęciu urzędnika jest ciągle jeszcze czymś pośrednim między wariatem a darmozjadem. Nie chcę być gołosłownym. Najbardziej ofiarni pracownicy kultury na Wybrzeżu nie otrzymali dotychczas mieszkań. Literaci po roku działalności U. N. R. R. A. zdołali wykołatać (i to po znajomości) zaledwie 11 (słownie: jedenaście) paczek żywnościowych. Na życie artystyczne mają wpływ: rady narodowe, rady kultury i sztuki, ośrodki krzewienia kultury i sztuki i komórki Informacji i Propagandy. Woj. Wydział Kultury i Sztuki strzeże granic kompetencji. Artysta rzucony w strefie polaryzacji inicjatywy zbiorowej ma coraz mniej do powiedzenia, a coraz więcej do zapłacenia. Za dużo tych „wpływów", za dużo tych „kompetencji" pozbawionych krztyny rzeczowości.

Zaczynki kultury na Wybrzeżu dały jednostki. Pierwszą autonomiczną próbą organizacji kultury u nas były *Czwartki artystyczne* w Sopocie, wznowione (w maju 1945 r.) po sześcioletniej przerwie (dawniej w Gdyni) przez jednego z twórców, plastyka Feliksa Smosarskiego (drugi, prof. Cywiński nie żyje). Programy *Czwartków* wypełniali artyści wszystkich dziedzin. 25 *Czwartków* dało przegląd najciekawszych, lokalnych wydarzeń kulturalnych, wprowadziło na estradę kilku ciekawie zapowiadających się literatów (Rychlewski, Roppel), zaznajomiło inteligencję Sopotu z artystami o ustalonej pozycji z Polski centralnej i z Wybrzeża (Bojar-Przemieniecka, Czekotowski, S. R. Dobrowolski, Gorbaty, Piętak, Stępowski, Staniewicz, Ważyk, Zawieyski, Zydler). Ważniejszą zasługą *Czwartków* jest zapoczątkowanie problematyki kulturalnej na Wybrzeżu w ogóle, a w szczególności w Sopocie, gdzie pokutowały jeszcze upiory niezdrowego luksusu i kasyna gry. Powtarzająca się sposobność do wypicia bezpłatnej czarnej kawy, podanej na zabytkowej porcelanie i w towarzystwie artystów, wytworzyła z czasem pewien snobizm kulturalny, który się nieźle procentuje dla sztuki: w Sopocie udaje się dzisiaj prawie każda impreza artystyczna.

Na wzór *Czwartków* sopockich zainicjował Smosarski *Środy* artystyczne w Gdyni. Imprezy te jednak wskutek nieudolności organizatorów i ich lekceważącego stosunku do artystów wygasły po kilku tygodniach. Narzekanie na Gdynię, że jest miastem „niechętnym" nie tłumaczy wszystkiego: frekwencja w Teatrze Miejskim w ciągu 6-ciu miesięcy wzrosła np. czterokrotnie. Gdynia szuka w sztuce rozrywki i prawdy. Nie jest to grzech nie do wybaczenia po sześciu latach okupacji i zakłamania, przy niemałej stopie życiowej jej mieszkańców. Zadowolenie gustów artystycznych gdynian jest sprawą trudną, ale wartą zachodu. Kto wie, czy by nie wzbogaciło sztuki naszej o nową treść, a warsztatu artystów o nowe narzędzie twórcze. Gdynianie żyją z morza. Tu się stosuje inne miary i oceny zjawisk. Nieco na wyrost. Pod klimat. Norda bałtycka jest bezwzględna i niewymierna: prawo morskie nie ma dwóch interpretacji. Wszystko, co mdłe, tu ginie. Trwa nieustanny proces eliminacji charakterów ludzi, zamysłów. Nie wiem,

jaka ma być sztuka dla ludzi morza, ale sądzę, że powinna być odpowiedzialna.

Inaczej w Sopocie. To miasteczko jest elitarne. Stanowi właściwie kolonię klerków i artystów. Bez fabryk, portu, większych zakładów pracy, odgrodzone od zagadnień współczesności barierą usystematyzowanego życia. W Gdańsku przeważa młodzież. Zamknięta do południa w szkołach kipi przez resztę dnia na ulicach i na... *Wtorkach artystycznych*. Organizuje je gdańskie Bractwo Literackie i Miejski Wydział Kultury i Sztuki (M. Szczepkowska, Tarnowska, Łuszczewska). Cel: krzewienie kultury literatury pięknej przez recytacje i inscenizacje. Organizatorzy holują już przez morze rozentuzjazmowanej młodzieży wspaniały korab poezji Słowackiego. *Wtorki* są bez wątpienia najbardziej sensowną instytucją kulturalno-oświatową na Wybrzeżu. Pracują od podstaw.

Najwięcej inicjatywy organizacyjno-artystycznej wykazał Klub Literacki Wybrzeża w Sopocie (powstał 3. VIII. 45, przew. J. Stępowski). Klub wyznaczył sobie trzy cele: zorganizowanie literatów, stworzenie oddziału Związku i obsadzenie fachowcami działów literackich w instytucjach kulturalnych. Wszystkie zadania wykonano. Członkowie Klubu brali udział we wszystkich akcjach artystycznych na Wybrzeżu bądź to jako organizatorzy, bądź jako wykonawcy. 14. II. 46 prace Klubu przejął Gdański Oddział Z. Z. L. P. (przew. E. Jędrkiewicz). Działalność Oddziału opiera się o Dom Literatów w Sopocie, który chociaż częściowo zdewastowany wystarcza na uruchomienie czytelni, stołówki, biura i kilku pokoi gościnnych. Życie literackie na Wybrzeżu rozwija się stale. Miesięcznik *Wiatr od Morza* (red. Janusz Stępowski) pragnie wywalczyć oblicze polskiej kultury marynistycznej. Częste wieczory autorskie i dyskusyjne popularyzują problematykę literacką. Kilka nowych książek naszych marynistów czeka na druk w *Czytelniku*. Gdy latem młodsi ruszą na rejsy przybrzeżne, zakwitnie pewnie i liryka.

Dla rozwoju teatru na Wybrzeżu warunki są dobre. Jest na terenie województwa gdańskiego około 20 sal teatralnych, które w sumie mogą pomieścić 10 tysięcy widzów. Przy sprężystej organizacji widowni każdy mieszkaniec województwa może być trzy razy w roku w teatrze, czyli zobaczyć jedną sztukę Sofoklesa, jedną Szekspira i jedną współczesną, o ile naturalnie Sofokles i Szekspir zaczną być grani na Wybrzeżu.

Na Wybrzeżu istnieją dwa teatry stałe: w Gdyni i w Sopocie. Upowszechniają szukę tylko wśród 100.000 mieszkańców tych miast. Reszta urządza przedstawienia amatorskie i pisuje do *Dziennika Bałtyckiego* listy błagalne o teatr. Teatry pojechałyby chętnie, cóż kiedy uwieził je na miejscu brak benzyny i opału w terenie. Przez komasację dwóch teatrów można by stworzyć jeden dwuzespołowy i przy jego pomocy przeprowadzić nadział kultury teatralnej. Jest nadzieja, że w przyszłym sezonie to nastąpi.

Teatr Miejski *Komedia* w Gdyni pod dyr. H. Hałacińskiej jest bezspornie najlepszym dzisiaj teatrem na Wybrzeżu. Wystawił dotychczas: Zapolską, Huxleya, Perzyńskiego, Siedleckiego, Fredrę, Bus-Feketego i Rostworowskiego. Sztuki o dźwięku wychowawczym przeplata się utworami lekkimi. Tą samą polityką repertuarową kieruje się Teatr Dramatyczny Woj. Gdańskiego w Sopocie pod dyr. Al. Gąsowskiego. Repertuar: Conrad, Pawlikowska, Zapolska, Aldo de Benedetti *(Szkarłatne Róże)*, Bałucki. Statystyka wykazuje słuszność takiej polityki: frekwencja wzrosła w Gdyni czterokrotnie, w Sopocie trzykrotnie. Rozwój artystyczny teatrów hamuje brak fachowych reżyserów, fachowej krytyki teatralnej i przysłowiowego „szumu" koło teatru. Trudności finansowe izolowały go od artystów i ich twórczej inicjatywy.

Wymagania teatralne widowni są trudne do sklasyfikowania. Na wybrzeżu przed wojną stałego teatru nie było. Widownia jest po prostu do wzięcia, do urobienia dopiero. Teatr można tu budować od początków. Te wielkie ułatwienie, że przynajmniej w dziedzinie pojęć artystycznych nie musimy walczyć ze smętkiem. Tym większa odpowiedzialność ciąży na tych, którzy się opiekują teatrami na Wybrzeżu.

Z konkretnym zamiarem nadzielania kulturą terenu zainicjował (paźdź. 45) Smosarski bezpłatne Woj. Koncerty Objazdowe. Czteroosobowa ekipa artystów z pianinem docierała raz w tygodniu autem ciężarowym do najbardziej izolowanych miejscowości na Wybrzeżu. Występy odbywały się na wolnym powietrzu, gromadząc po kilkuset widzów, przeważnie repatriantów i Kaszubów. Te pożyteczne imprezy przerwał po kilku miesiącach mróz i brak funduszów. Mają obecnie ożyć (podobnie jak *Czwartki)* pod firmą świeżo ukonstytuowanego (15. III. 45) Klubu Artystów Wybrzeża w Sopocie (przew. F. Smosarski).

Ruchomy charakter ma również Filharmonia Bałtycka (powstała w październiku 45 r.). Obejmuje zasięgiem Gdynię, Gdańsk a nawet Szczecin. Stworzył ją utalentowany kompozytor Zbigniew Turski. Zdobycie instrumentów, subsydiów, filharmoników, kwater

to wyczyny, które być może nie przejdą do historii, ale dzięki nim koncerty Filharmonii stanowią dzisiaj obok teatru w Gdyni czołową pozycję wkładu Wybrzeża w ogólnopolski dorobek kulturalny. Filharmonia,angażując najwybitniejszych solistów z Polski i z Wybrzeża, reprezentuje naprawdę godnie muzykę polską. Szkołą umyzykalnienia można nazwać poniekąd „Koncerty dobrej muzyki" zainicjowane (w grudniu 45 r.) przez K. Czekotowskiego. Młody narybek muzyczny kształci Gdański Instytut Muzyczny pod dyr. W. Walentowicza.

Najciszej na Wybrzeżu o plastyce. Nie znaczy to, by nie było plastyków. Owszem, są. Zamknięci w pracowniach GISPu (Gdański Instytut Sztuk Plastycznych, założony przez J. Strzałeckiego w październiku ub. r.) knują jakieś rewelacje. Ten miły pałacyk w Sopocie nazywamy na kredyt „wylęgarnią Michałów Aniołów". Wystawy jeszcze nie było, aby można zorientować się w możliwościach artystycznych uczniów. Atoli nazwiska wychowanków i program nauki obiecują wiele: Strzałecki, Wnukowie, Żuławscy, Studniccy. Program przewiduje obok malarstwa i rzeźby nauczanie grafiki, liternictwa i propagandy przestrzennej, w tym dekoracje wnętrz statków. Podobno są gotowe projekty dekoracji ratusza gdańskiego i sali konferencyjnej w Województwie. To podobno, a na pewno: polska myśl marynistyczna znajdzie godny wyraz w plastyce Wybrzeża.

Oto pobieżny bilans kultury na Wybrzeżu z pominięciem instytucji naukowo-oświatowych. Dzieło jednego roku. Rezultat pracy nie zawsze planowej, improwizacji częstych, ale zawsze jak najlepszych chęci. Świadomie repolonizuje Wybrzeże jedynie może pracownik kultury. W administracji spotykamy się często z wielojęzycznością ideologii i wielotorowością polityki. To się oczywiście zmieni. Poprawa bytu pracowników na Wybrzeżu skróci proces repolonizacji tych ziem przynajmniej o ćwierć wieku. To się bardzo opłaci i to uczynić trzeba. W każdej bowiem pracy można wyznaczyć granice między sferą obowiązku a poświęcenia. W pracy pionierów Wybrzeża nie ma tej granicy.

Kazimierz Barnaś

NA DOLNYM ŚLĄSKU

Życie kulturalne na Dolnym Śląsku płynie wąskim i ścieśnionym korytem i zanim przystąpimy do szczegółowego wyliczenia w kolejności chronologicznej wszelkiego rodzaju poczynań w tym zakresie, trzeba ujawnić przyczyny, które wpływają na ubóstwo i dorywczość wysiłków kulturalnych i dać w najogólniejszych bodaj zarysach przekrój obyczajowy tego społeczeństwa polskiego, które obejmuje w posiadanie prastare, piastowskie dziedziny.

Dolny Śląsk żył w oderwaniu od macierzy polskiej bez mała pięć wieków, poddawany na przemian wpływom i czeskim, i niemieckim, i polskim. Dopiero od czasów Fryderyka Wielkiego, który podstępnie na drodze zbrojnej wymógł na Marii Teresie dobrowolne zrzeczenie się Dolnego Śląska na rzecz Prus, rozpoczyna się planowa i gruntowna germanizacja tej ziemi, trwająca jak obszył dwa wieki. Zmieniano nazwy gór, rzek, miast i wsi, germanizowano mieszczan, szlachtę i książąt. Znana jest w historii sprawa niemczenia nazwisk polskich przez cechy. Każdy czeladnik, który pragnął się wyzwolić na majstra, obowiązany był uzyskać zgodę mistrza cechu, Niemca, na zmianę nazwiska polskiego na niemieckie, czyli na tzw. „przemianek". Akta z roku 1635 notują taki wypadek z Janem Brunatnym z Tarnowskich Gór, który po „przemianku" obdarzony został nowym nazwiskiem Johanna Brauna. Polacy służący w wojsku pruskim musieli zmieniać nazwiska na niemieckie w myśl rozkazu wojskowego. Pracownikom kolejowym, bankowym i w ogóle pozostającym na jakichkolwiek urzędach wstrzymywano awanse, o ile nie zmienili swego rodowego nazwiska na *echt* niemieckie. W późniejszych okresach — za rządów Bismarcka i później jeszcze — wszelkie transakcje ziemią czy nieruchomościami były nieosiągalne dla tych obywateli, którzy nosili nazwiska polskie. Pokost germańskości, jak widzimy, nie był wcale powierzchowny, naskórkowy, nie sięgał zaledwie kilku cali w głąb. Nawarstwiano go dziesiątkami lat planowo, wżarł się więc głęboko, jak zastarzała rdza, w ziemie Dolnego Śląska i na swoje kopyto przerabiał życie codzienne i kulturalne tej dzielnicy. Spotyka się wprawdzie dziś jeszcze wśród tubylców takie nazwiska jak Kaczmarek, Skowronek, Zawada, ale ludzie ci ani słowa nie rozumieją po polsku i co gorsza, nie mogą sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek mieli jakichś przodków — Polaków.

Po zajęciu Dolnego Śląska przez wojska i władze polskie zaczęto kierować do tej dzielnicy element polski, rekrutujący się przeważnie ze sfer rolniczych i robotniczych, w dużym procencie pochodzący z okręgów wschodnich Polski, o ograniczonych wymaganiach i małej chłonności kulturalnej. Natomiast z Centralnej Polski, z Warszawy i z Łodzi, przybyła przeważ-

nie inteligencja w niewielkim zresztą procencie, i nie ta inteligencja doborowa, ale powiedzmy — inteligencja drugiej klasy, która nie mogła znaleźć dla siebie w swych rodzinnych miastach pola do działania. W ślad za nimi pociągnęła, jak to bywa we zwyczaju, armia ciurów, znęcona nie tyle łatwym zarobkiem, ile możliwościami szabrownictwa, grabieży i rabunku. Ten nomadyczny element nie zagrzewa zresztą miejsca zbyt długo, stanowi falę przejściową, która po wypełnieniu swych „zadań" wraca do siebie albo kieruje się na inne tereny. Znalazło się ponadto tutaj wiele młodzieży o usposobieniu awanturniczym, zwykłych poszukiwaczy przygód w guście Mayne Reida, niewyżytych samodzielnie i niezawiśle. Jest to zresztą element najbardziej wartościowy, chłonny jak gąbka, o niewyrównanym wprawdzie poziomie etycznym, ale który jest materiałem niezwykle wdzięcznym dla dobrego wychowawcy, nadaje się do każdej pracy i który prawdopodobnie stanie się zarazem kadrą i narybkiem społeczeństwa dolnośląskiego.

Tak mniej więcej wygląda żywioł polski, który powoli aklimatyzuje się na terenach świeżo odzyskanych i zaczyna żyć własnym, zamkniętym życiem. Tworzenie własnych podstaw, przystosowywanie się do nowych warunków, zdobywanie źródeł zarobkowych pochłania całkowicie uwagę i energię osiedleńców. Sprawy kultury przeto odchodzą na plan dalszy i dążenia w tym kierunku znajdują swoje ujście w oglądaniu obrazów filmowych w rodzaju *Pastucha i świniarki* czy *Bitwy pod Orłowem*. Nic dziwnego przeto, że życie kulturalne tutaj płynie wąziutkim korytem i przypomina jakiś ponik leśny, niewidoczny dla oka i ledwo, ledwo dosłyszalny.

Uważnego i nie pozbawionego orientacji widza uderza z miejsca cicha i bezmowna rywalizacja o prymat w dziedzinie kultury między Wrocławiem a Jelenią Górą. Mimo woli ciśnie się na usta pytanie, skąd miasto powiatowe, jakim jest Jelenia Góra, licząca przed wojną według annałów miejskich zaledwie 33 tysiące mieszkańców, może iść w paragon z Wrocławiem, miastem stołecznym, które liczyło 622 tysiące stałych mieszkańców. Gwoli ścisłości zaznaczyć należy, że to nie Jelenia Góra rywalizuje z Wrocławiem o palmę pierwszeństwa w zakresie poczynań kulturalnych, lecz Wrocław rywalizuje z Jelenią Górą. Wygląda to trochę na paradoks, a jednak trudno zaprzeczyć prawdzie rzucającej się w oczy na każdym niemal kroku. Pewne uzasadnienie logiczne dla tego pozornego paradoksu znaleźć nie trudno w samej rzeczywistości dzisiejszej. Wrocław jest zdewastowany przez działania wojenne co najmniej w połowie. Pobyt w mieście dość szeroko rozrzuconym, o mocno zniszczonych obiektach przetykanych tu i ówdzie ścianami barykad, dotąd nie rozebranych, nie należy do przyjemności. Tymczasem Jelenia Góra, nietknięta w najmniejszym stopniu przez zawieruchę wojenną, to jedno z najpiękniejszych miast podgórskich, nie tylko u nas, o bogatej przeszłości historycznej, bo sięgającej swymi początkami aż XI stulecia, rozbudowane interesująco i nieprzeciętnie pod względem architektonicznym. Do miasta tego, chlubiącego się wyjątkowo pięknym rynkiem, otoczonym budowlami z epoki baroku i podcieniami o sklepieniach arkadowych, ściąga inteligencja zawodowa, pracownicy nauki, literatury i sztuki, osiedlając się chętnie, przejściowo i na stałe, gdyż dobre warunki mieszkaniowe i atmosfera miasta zabytkowego sprzyjają zarówno pracy, jak i wypoczynkowi.

Wrocław jest miastem, w którym znajduje się siedziba władz wojewódzkich, przeniesiona zresztą niedawno z Lignicy, *eo ipso* musi mieć ambicję przodowania w każdej dziedzinie, a że to nie wychodzi tak jakby się chciało, nic na to poradzić nie można i trzeba się pogodzić z istniejącym stanem rzeczy. Nie ujmując przeto nic Wrocławowi, który niewątpliwie w przyszłości, po usunięciu śladów wojny i odbudowaniu się, znów dojdzie do dawnej świetności, należy tylko ujawnić tę szlachetną rywalizację obu miast, Wrocławia i Jeleniej Góry, w wyścigu o palmę pierwszeństwa na polu pracy kulturalnej. Nie jest to wyścig o skali szeroko zakrojonej, gdyż — jak to już zaznaczyliśmy — poczynania kulturalne na Dolnym Śląsku znajdują się zaledwie w powijakach, niemniej — gwoli dokładności kronikarskiej — nie można zatajać istotnego stanu rzeczy i należy ukazać w całej pełni te ambicje jednego i drugiego miasta do przodowania w dziele kultury.

W początkowym okresie, który przypada na miesiące letnie ub. r., Wrocław odgrywa rolę przodownika i niewątpliwie czyni większe wysiłki niż Jelenia Góra, aby różnorodnością imprez kulturalnych wzbudzić wśród mieszkańców Wrocławia zainteresowanie dla spraw kultury. Organizuje się więc we Wrocławiu szereg koncertów muzyczno-wokalnych z udziałem Ewy Badrowskiej-Turskiej, Eugenii Umińskiej, Zbigniewa Drzewieckiego, Jana Hoffmana, — oglądamy imprezy teatralne i widowiskowe, jak *Godzinę Mickiewicza* w interpretacji *Teatru Rapsodycznego* z Krakowa, *Cyda*

Corneille'a w przeróbce Wyspiańskiego, *Dzień jego powrotu* Nałkowskiej, *Teorię Einsteina* Cwojdzińskiego, sztuki wystawione przez *Stary Teatr* z Krakowa, wreszcie Opera wrocławska daje *Halkę* Moniuszki z Platówną i Drabikiem. Ówczesny prezydent Wrocławia, dr Drobner, wygłasza odczyt o *Mickiewiczu jako socjaliście*, prof. Stefan Kuczyński o *Bitwie pod Lignicą* itd.

Jak widzimy, życie kulturalne urzędowej stolicy Dolnego Śląska w tym pierwszym stadium było niezbyt urozmaicone i raczej bezplanowe, ale nawet w tej przypadkowości i dorywczości było wiele uroku konkwistadorskiego pionierstwa, że wymienimy choćby takiego niestrudzonego działacza na tutejszym terenie, jak Mieczysław Wionczek, który uwodzi po prostu romantycznością i improwizacją pomysłów oraz żarem temperamentu publicystycznego, naprawdę nie na miarę codzienną. Prowadzone przez niego pismo tygodniowe *Gazeta Dolno-Śląska*, której wyszło zaledwie 15 numerów, jest kopalnią interesujących i wyczerpujących wiadomości o Dolnym Śląsku, zawiera wiele cennych i wartościowych artykułów dziennikarskich i publicystycznych, pisanych na gorąco, z których czerpać niewątpliwie będą przyszli badacze i historiografowie pełnymi rękoma. Poza *Gazetą Dolno-Śląską* należy wymienić jeszcze nie wychodzący już obecnie *Nasz Wrocław*, pierwsze czasopismo pionierskie na terenie Wrocławia.

Następne stadium w stolicy Dolnego Śląska rozwija się pod znakiem stabilizacji i normowania stosunków. Z Ligniey przenoszą się tutaj władze i urzędy wojewódzkie, lokują się najpoważniejsze instytucje kulturalne z Uniwersytetem, Politechniką, Śląskim Towarzystwem Naukowym, Instytutem Śląska i Muzeum na czele. Drukarnia uniwersytecka tłoczy dzieła naukowe, poświęcone badaniu przeszłości Dolnego Śląska. Powstaje Towarzystwo Miłośników Literatury i Języka Polskiego, które urządza wieczory literackie z udziałem znanych pisarzy, jak Anna Kowalska, Maria Dąbrowska i innych. Wprawdzie trudno zrozumieć, na jakich przesłankach opiera się Wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki we Wrocławiu, rozsyłając do wszystkich referatów i urzędów kultury i sztuki na Dolnym Śląsku okólniki, zalecające powoływanie do życia Towarzystwa Miłośników Literatury i Języka Polskiego (nawiasem mówiąc nazwa wybrana niefortunnie, gdyż na wiele lat przed wojną na terenie Warszawy istniało Tow. Miłośników Literatury, skupiające grafomanów obojga płci), skoro istnieje w tym względzie wyraźne wskazanie Ministerstwa Kultury i Sztuki, zalecające tworzenie związków zawodowych literatów polskich, a tam gdzie statutowo nie można związku powołać do życia z powodu niedostatecznej liczby członków, tworzyć należy kluby literackie; ale to już jest inna sprawa, która wkracza w zakres rozgraniczenia kompetencji władz centralnych i władz wojewódzkich. Z pism codziennych wychodzą obecnie we Wrocławiu: *Trybuna Dolnośląska* i *Pionier*, który początkowo ukazywał się w Lignicy, a później — po przeniesieniu się władz wojewódzkich — staje się pismem wrocławskim. Powstaje we Wrocławiu pod dyrekcją Teofila Trzcińskiego Teatr Miejski, którego początki organizacyjne sięgają końca października r. ub., a który rozpoczyna swoją działalność dopiero w styczniu rb., wystawiając *Śluby Panieńskie* Fredry i *Mysz Kościelną* Fodora. Trochę to — niewiele, jak na teatr stołeczny i złośliwi twierdzą, że Góra Trzcińska urodziła Mysz Kościelną, ale że początki są trudne, więc bądźmy raczej pełni wyrozumiałości i... cierpliwości.

Jelenia Góra jest miastem niewielkim i w tej chwili liczy zaledwie osiemnaście tysięcy Polaków, a w okresie letnim było ich tutaj może dwa, może trzy tysiące, i dlatego w tym pierwszym stadium było daleko mniej imprez, niźli we Wrocławiu. Wymienimy odczyt prof. Stefana Kuczyńskiego o *Bitwie pod Lignicą*, wieczory literackie Ludwika Eminowicza i Edwarda Kozikowskiego, powtórzone później z dużym powodzeniem w pobliskich Cieplicach i w Matejkowicach. Dla pamięci kronikarskiej należy zaznaczyć, że w pierwszą rocznicę wyzwolenia Warszawy 17 stycznia rb. urządzono w Matejkowicach wieczór literacki poświęcony Warszawie, z udziałem wymienionych już poetów — Ludwika Eminowicza i Edwarda Kozikowskiego.

Najważniejszą wszakże pozycją wśród poczynań kulturalnych na tutejszym terenie jest Wojewódzki Teatr Dolnośląski pod dyrekcją kpt. Jerzego Waldena, który przez długi czas prowadził Teatr Wojskowy przy Pierwszej Armii Polskiej. Teatr ma bazę wypadową w Jeleniej Górze, w punkcie najbardziej wysuniętym na Zachód, jakby dla podkreślenia ważności i znaczenia tej placówki, powołanej do życia we wrześniu r. ub. przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, a zatwierdzonej przez Zarząd Główny Związku Artystów Scen Polskich. Teatr rozpoczął działalność jeszcze w październiku r. ub. i w ciągu kilku miesięcy zdołał już wystawić szereg sztuk, zdobywając sobie publiczność, rekrutującą się ze wszystkich

warstw społecznych. Na otwarcie Teatru dano nieśmiertelnego *Cyrulika Sewilskiego* Beaumarchais'go, wystawionego z niemałą pomysłowością reżyserską i z dużym wysiłkiem artystycznym. Po *Cyruliku Sewilskim* dano w kolejności następujące sztuki: *Nikt mnie nie zna* i *Zemstę* Fredry, *Świerszcza za kominem* Dickensa w interesującej inscenizacji, z widocznym wkładem pracy ze strony aktorów, *Lekarza mimo woli* Moliera w pomysłowym i nowatorskim ujęciu w formie groteski, i *Moralność Pani Dulskiej* Zapolskiej, w której aktorzy dali istny koncert gry. Można śmiało powiedzieć, że trzy ostatnie sztuki są grane wprost koncertowo i można z nimi objechać wszystkie większe miasta Polski, gdzie istnieje pewna tradycja teatralna, a co zatem idzie — są i wysokie wymagania ze strony widzów. Jak widać z wymienionych sztuk kierownictwo Wojewódzkiego Teatru Dolnośląskiego czerpie wyłącznie z tzw. „żelaznego repertuaru klasycznego", polskiego i obcego, a to ze względu na rolę wychowawczo-społeczną tego nieśmiertelnego repertuaru, który przeszedł próbę ogniową na przestrzeni nie tylko lat, ale i stuleci. Zespół teatralny liczy kilkadziesiąt osób ze Stefanią Domańską, Ireną Orzecką, Janiną Piaskowską, Stanisławem Bryłińskim, Marianem Godlewskim, Marianem Nowickim, Jerzym Pietraszkiewiczem i Władysławem Staszewskim na czele, i znajduje się w nieustannych rozjazdach, dając przedstawienia poza Jelenią Górą, w Lignicy, Szklarskiej Porębie, Kamiennej Górze, Wałbrzychu, Chojnastach i w innych miejscowościach. Kierownictwo plastyki sceny spoczywa w wytrawnych rękach prof. Stanisława Jarockiego, kierownikiem muzycznym jest Adam Markiewicz, a kierownikiem literackim — Edward Kozikowski.

W Jeleniej Górze wychodzi od października r. ub. miesięcznik poświęcony literaturze, nauce i sztuce, *Nauka i Sztuka*, pod redakcją profesorów Juliana Krzyżanowskiego i Stefana Kuczyńskiego, który — mimo krótkiego żywota — zdołał już zdobyć sobie uznanie i poważanie w sferach naukowych i artystycznych. Od niedawna ukazuje się miesięcznik ilustrowany, poświęcony badaniu przeszłości i teraźniejszości Dolnego Śląska, *Śląsk*, pod redakcją Edwarda Kozikowskiego, Stefana Kuczyńskiego, Kazimierza Majewskiego i Ludwika Skurzaka. W piśmie tym pracują najlepsi znawcy i specjaliści od spraw śląskich z Bolesławem Olszewiczem, Kazimierzem Piwarskim i Witoldem Taszyckim na czele. W Jeleniej Górze działa Klub Literacki, organizując odczyty i wieczory literackie. W najbliższym czasie przewidywane jest powstanie Oddziału Dolnośląskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich. Nie zasypiają gruszek w popiele i artyści plastycy, którzy w grudniu r. ub. założyli tutaj sekcję Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków. Sekcja ta w krótkim czasie została przekształcona w porozumieniu z Inspektoratem Ziem Zachodnich na Oddział Jeleniogórski Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków. Oddział dość energicznie, z miejsca niejako, wziął się do pracy i zorganizował „Gospodę Artystów", mającą na celu ułatwienie społeczeństwu nawiązania kontaktu z artystami wszystkich gałęzi sztuki. Ponadto wszyscy członkowie Oddziału przystąpili do Spółdzielni Pracy Wytwórczej Artystów. Godną uwagi placówką kulturalną jest Muzeum w Jeleniej Górze, skupiające interesujące i dość wyszukane eksponaty z zakresu etnografii, sztuki ludowej i religijnej Dolnego Śląska. Na peryferiach Jeleniej Góry, na krańcach ulicy Nowowiejskiej, w malowniczym otoczeniu na wzgórzu, w pięknym zamku Paulinum, zorganizowano dom dwu organizacyj — Związku Historyków Sztuki, Archeologów, Etnografów, Muzeologów i Konserwatorów oraz Związku Zawodowego Literatów Polskich. Urządzone ze smakiem pokoje z zabytkowymi i starannie dobranymi meblami służyć będą członkom obu organizacyj od wiosny rb. za warsztat pracy i równocześnie za miejsce wypoczynkowe. Wspomnieć jeszcze należy, że w odległości kilku kilometrów od Jeleniej Góry, w Cieplicach, znajdują się bogate zbiory Schaffgotschów, a mianowicie: muzeum, słynne z wyjątkowo umiejętnie dobranych okazów ornitologicznych i imponująca biblioteka, licząca dosłownie 80 tysięcy tomów, poświęconych w większości Śląskowi.

Tak wyglądają w ogólnych zarysach nie tyle osiągnięcia i zdobycze, bo do tych jeszcze daleko, ile próby klimatyzowania kultury polskiej na ziemiach odzyskanych, próby budzenia polskości, która drzemała tutaj przez kilkaset lat pod grubą powłoką germańskiej kultury. Najtrudniejsza jest praca docierania do pradawnych źródeł mowy polskiej, która rozbrzmiewała na Dolnym Śląsku w nieskrępowanej swobodzie przed setkami lat, napełniając rozgwarem miasta, wsie i osady, bory i rozległe przestrzenie hal. Odnalezienie rudymentów pieśni gminnej, tej „arki przymierza między dawnymi i młodszymi laty", będzie największym triumfem nauki polskiej, która w ten sposób udowodni światu niezaprzeczone prawa nasze do tej prastarej ziemi polskiej.

Jeszcze na zakończenie należy omówić sprawę rewindykacji zabytków i dzieł sztuki, wywiezionych przez Niemców z Polski i skierowanych tutaj, na Dolny Śląsk, który widocznie władze hitlerowskie uznały za najpewniejsze i najbezpieczniejsze miejsce dla ukrycia zrabowanych obiektów.

W lipcu ub. r. w ówczesnym Hain, a w obecnych Matejkowicach, leżących w odległości kilkunastu kilometrów od Jeleniej Góry, na stokach Karkonoszy, na wysokości 615 metrów, w hotelu turystycznym *Waldschlösschen*, stanowiącym obecnie własność Polskiego Przemysłu Lotniczego, odkryto przypadkowo obrazy Jana Matejki, a mianowicie — *Unię Lubelską, Rejtana* i *Batorego pod Pskowem*. Z obrazów tych dwa ostatnie dekorowały olbrzymią jadalnię hotelu. Ponadto znaleziono w piwnicach i na strychu około dwadzieścia skrzyń, zawierających dzieła sztuki wielkiej wartości, a między nimi sześć obrazów Cranacha. Sporo eksponatów muzealnych i artystycznych odkryto w Świdnicy nad Bystrzycą, w Szklarskiej Porębie, w Cieplicach i w innych miejscowościach, dość, że około osiemset skrzyń naładowanych zabytkami odeszło do Polski Centralnej. W ten sposób przeprowadza się akcję rewindykacyjną nie tylko zabytków i dzieł sztuki, ale również i cennych książek wywiezionych np. z wrocławskich wyższych uczelni i różnych instytutów naukowych. Z jakichś zapadłych piwnic poburzonych pałaców, z szop i ze stajni, spod zawalonych budynków, dobywa się bezcenne dzieła naukowe, utytłane nieraz w gnoju i w błocie, i przewozi się je z powrotem do Wrocławia, ustawiając na dawnym miejscu w bibliotece uniwersyteckiej. Np. w górskiej wiosce Bobrowice, leżącej o parę kilometrów za Jelenią Górą, znaleziono prawie w całości zbiory przyrodnicze i medyczne, książki i stare rękopisy stanowiące własność Uniwersytetu Wrocławskiego.

Nieliczna garstka pracowników kultury, działająca bądź z ramienia Ministerstwa Kultury i Sztuki, bądź z ramienia Ministerstwa Oświaty, bądź wreszcie z ramienia wyższych uczelni wrocławskich, przyczynia się w ten sposób do zdobywania dla Polski utraconych w czasie zawieruchy wojennej zbiorów muzealnych i bezcennych dzieł sztuki, które dla naszego państwa, znajdującego się permanentnie — po długich „narodowych nocach" niewoli — na dorobku, stanowią zdobycze o nieocenionej wprost wartości.

Kończąc to sprawozdanie, należy wyrazić nadzieję i wiarę zarazem, że te dość częste uchybienia, jakie spotyka się tu i ówdzie w posunięciach poszczególnych jednostek, pracujących na niwie kultury, znikną w miarę stabilizowania się stosunków i warunków, że władze administracyjne będą większą, niż to bywało dotychczas, otaczały opieką wszelkie poczynania w dziedzinie kultury i że Wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki we Wrocławiu, działający nie zawsze planowo, zharmonizuje swoją działalność z ramowym programem władz centralnych, w danym wypadku — Ministerstwa Kultury i Sztuki, i od niego będzie czerpał nauki i wskazania, co i w jaki sposób należy czynić, aby na Dolnym Śląsku polska kultura i sztuka stały się potrzebą mas i chlebem codziennym każdego obywatela.

Edward Kozikowski

NOTY

AUDIATUR ET ALTERA PARS

W 2-gim, lutowym zeszycie *Twórczości* z r. bież. ogłoszone zostały uwagi prof. Stefana M. Kuczyńskiego dotyczące mego dramatu *Stanisław i Bogumił*. Szanowny autor słusznie zarzuca mi, że powinnam była znać i uwzględnić najnowsze źródło historyczne do roku 1079, drukowane w *Kwartalniku Historycznym* z r. 1937 w postaci listu papieża Paschalisa II. List ów, a raczej naukowy do niego komentarz, stwierdza udział arcybiskupa Bogumiła w sądzie nad biskupem krakowskim.

Istotnie — moja wina jest niewątpliwa. Nie zdążyłam poznać tego źródła, gdyż wojna przerwała moje studia, prowadzone właśnie latem 1939 roku. Bardzo żałuję. To źródło byłoby dla koncepcji mego utworu pożyteczne. Wskutek przeoczenia go, dramat jest w nieco większym niż myślałam stopniu zestawieniem dwu wersji historycznych: nowszej i dawnej. Może jako pewna okoliczność łagodząca mógłby tu służyć fakt, że pisałam ów dramat w warunkach uniemożliwiających sprawdzenie i uzupełnienie moich wiadomości historycznych. Pisałam go bowiem w zrujnowanej Warszawie latem roku 1945, gdy życie w stolicy było raczej biwakowaniem, a zarówno korzystanie z bibliotek jak nawet komunikowanie się z ludźmi (uczonymi) było rzeczą albo niemożliwą albo trudną i wymagającą mnóstwa czasu.

Owym zaś właśnie czasem i tzw. „długim oddechem" nie rozporządzałam wtedy na skutek innych znów okoliczności, którymi nie będę już zajmowała uwagi memu szanownemu krytykowi ani miejsca łamom *Twórczości*. Nadmienię tylko, że gdybym była, zgodnie z moimi „normalnymi" zwyczajami pisarskimi, odłożyła pracę nad omawianym dramatem do innego czasu, bardziej sprzyjającego zaspokojeniu wymagań świata naukowego, to i tak, nie wątpię, znaleźliby się uczeni, których nie zdołałabym zadowolnić. Nie istnieją bowiem źródła historyczne, zwłaszcza tak dawne, które nie byłyby różnie przez różnych uczonych objaśniane. I pisarz-artysta, chcący za wszelką cenę w utworze historycznym zadowolnić świat uczonych, znajdowałby się. biedak, nieustannie w położeniu ż bajki: „Młynarz, syn jego i osioł".

Nastręcza się nadto jeszcze jedna uwaga. Oto za rok, za dwa, za kilka lat mogą zostać ogłoszone jeszcze nowe źródła do dziejów polskich XI wieku. W moim dramacie zobrazowanych jest ubocznie kilka momentów historycznych, co do których opinie uczonych są dotąd podzielone i niepewne. A i moment sądu nad Stanisławem, poruszony przez prof. Stefana M. Kuczyńskiego, może zostanie kiedyś jeszcze inaczej oświetlony. Mimo to nie mogłabym w związku z tym przerabiać mego dramatu, nawet gdybym jeszcze wtedy żyła. Żaden też inny pisarz tego by w podobnym wypadku nie zrobił. Oczywiście, czym innym jest niemożność przystosowywania organicznie powstałego utworu sztuki do wciąż zmieniających się danych wiedzy historycznej a czym innym — przeoczenie i nieuwzględnienie źródła już ogłoszonego w czasie gdy dramat był pisany. Ale nawet jeśliby nieznajomość jakichś wyników naukowych była u pisarza-artysty błędem, ten błąd będzie miał cechy ważności tylko przez pewien krótki czas. O wartości bowiem oraz trwałości historycznych utworów literatury pięknej przesądzają nie — większe lub mniejsze — błędy historyczne, lecz cechy zupełnie innej natury. I najściślej nawet zgodne z wynikami badań naukowych utwory historyczne okażą się przemijającymi błahostkami, o ile nie posiadają tych innych cech i wartości, dzięki którym żyją długo i mocno. Tak jak np. żyje wciąż *Trylogia* Sienkiewicza, pomimo że została nie tylko zdyskredytowana przez najnowsze badania historyczne, ale że pozostaje nawet w niezgodzie z b. dawno znanymi i ogłoszonymi źródłami historycznymi.

Nie rokuje takiego żywota mojemu dramatowi druga część uwag prof. St. M. Ku-

czyńskiego. Mój szanowny krytyk zarzuca mi w niej schematyzm psychologiczny i upraszczanie moich postaci. W szczególności ma to dotyczyć dwu tak ważnych osób dramatu jak Bolesław i biskup Stanisław, których psychika potraktowana jest jakoby nadto zdawkowo.

Zapewne, że w rysunku moich postaci są pewne uproszczenia, pożyteczne, jak mniemam, dla sceniczności utworu i pozostawiające tzw. „luzy" dla inwencji aktora i reżysera. Nie miałam jednak bynajmniej zamiaru przedstawiać Bolesława jako „monolit gwałtownego okrutnika i wojownika wprzódy rąbiącego mieczem a potem myślącego". Mam wrażenie, że aż zanadto podkreśliłam wysiłki duchowe i myślenie polityczne Bolesława. Również nie było w mojej intencji przedstawienie biskupa Stanisława w roli schematycznego „czarnego charakteru". I wątpię, czy można przytoczyć z mego dramatu choć jedno zdanie, wypowiedziane przez tego biskupa, które świadczyłoby o schematycznej czarności jego charakteru. Reprezentuje on — tak jak sobie tego właśnie mój oponent życzy — sprzeczną z Bolesławem koncepcję polityczną, która w danych okolicznościach musiała zostać zakwalifikowana jako zdrada. Że siła i szczerość tej koncepcji zdolne były zachwiać nawet postawą Bolesława (co widać w jego rozpaczliwym okrzyku: „Zali biskup isto myśl jakąś wielką żywi!") świadczy to chyba raczej korzystnie o charakterze Stanisława.

Domniemaną świętością Stanisława czy Bogumiła w dramacie się nie zajmowałam. Chciałam bowiem w świętych pokazać po prostu ludzi. Nie wiem jednak, czy o praktykowaniu przez biskupa Stanisława cnót chrześcijańskich nie świadczą chociażby jego słowa: „Na to zmawiam się z każdym, żeby nieprzyjaźń w miłość między chrześciańskimi narodami się przemieniła". A o heroicznej gotowości na wszystko dla swej idei czy nie świadczą słowa: „I ja nie z tych, co się śmierci za w i e l k ą r z e c z strachają". Czy te słowa czynią wrażenie obłudy? Interpretacja postaci biskupa Stanisława (którego ja nie pozbawiłam tragizmu) w ustach Czwańka jest interpretacją Czwańka. A Czwańko nie jest moim p o r t e - p a r o l e, jakkolwiek prawdą jest i to, że moja osobowość pisarska mówi poprzez wszystkie moje postacie.

Jeśli się mylę, a prawdą byłoby to, co o s c h e m a t y z m i e moich postaci mówi St. M. Kuczyński, to oczywiście byłby to błąd o wiele poważniejszy od przeoczenia listu papieża Paschalisa, bo błąd artystyczny. Lecz istnienia lub nieistnienia tego błędu dowieść mogą już tylko same owe postacie mego dramatu. Niech się bronią czy w książce czy na scenie. Zostawiam je ich własnemu losowi.

Maria Dąbrowska

SPRAWA ZBIORÓW LWOWSKICH.

W związku z przyłączeniem do Rosji Radzieckiej kresowych ziem Rzeczypospolitej i repatriacją z nich polskich mieszkańców, narzuca się naszej świadomości z nieprzepartą siłą sprawa dalszego losu istniejących na tych obszarach zbiorów polskich, zarówno przyrodniczych jak humanistycznych. Ważność zagadnienia przybiera na sile po uprzytomnieniu sobie szeregu faktów, warunkujących obecny stan naszych pomników przeszłości. Celem zrozumienia powagi problemu trzeba więc przypomnieć co następuje: 1. na skutek wojny wiele czołowych pomników architektury legło w gruzach, 2. w czasie okupacji przetrzebili Niemcy w potworny sposób nasze zbiory publiczne i prywatne, biblioteki, archiwa i skarbce kościołów; najcenniejsze dzieła malarstwa obcego i polskiego, zabytki średniowiecznej rzeźby i przemysłu artystycznego wywieziono w głąb Niemiec, przy czym znaczna część zbiorów została rozgrabiona niejako prywatnie przez funkcjonariuszów *gestapo* i władz administracyjnych oraz przez rozbestwione żołdactwo.

Jeśli więc żywimy dzisiaj cień nadziei na odzyskanie naszych dóbr kulturalnych wywiezionych w sposób mniej lub bardziej oficjalny, to nie możemy mieć złudzeń co do możliwości powrotu dzieł, zrabowanych z inicjatywy prywatnej; nie wrócą więc na pewno „regalia" (zabytki po królach polskich) z muzeum Czartoryskich, rozkradzione przez *Wehrmacht w* Sieniawie, ani obrazy czy wyroby złotnicze, zabierane na pamiątkę przez niemieckich grasantów. Może wrócą obrazy światowej sławy w rodzaju *Damy z łasicą* Leonarda da Vinci, *Portretu młodzieńca* Rafaela lub *Krajobrazu* Rembrandta. Powróci poliptyk Mariacki Wita Stwosza, ale „nie wrócą na ojczyzny łono" liczne monstrancje i kielichy wyrwane z kościelnych skarbców, ani dzieła zabrane z rezydencji prywatnych. Nie wiemy do tej pory, co się dzieje z *Madonną Krużlowską* z Muzeum Narodowego w Krakowie, najpiękniejszym zabytkiem polskiej rzeźby wczesno-gotyckiej, ani z gotyckimi kielichami z krakowskiego kościoła Panny Marii, oraz z Wieliczki. Z kolei należy przypomnieć, że w r. 1939 spłonęło najstarsze bodaj w Polsce muzeum etnograficzne

w Warszawie, a nieszczęsne powstanie warszawskie pozbawiło nas ni mniej ni więcej tylko około 60% dzieł sztuki w stosunku do naszego ogólnego stanu posiadania, nie licząc spłonięcia archiwów i bibliotek. Tłumaczy się to faktem, że Warszawa, w czasie wojny najbardziej gospodarczo aktywna ze wszystkich miast polskich, skupywała dzieła sztuki, zwłaszcza zaś obrazy napływające z innych, bardziej ekonomicznie podupadłych miast Polski, przy czym Kraków stanowił w tym przypadku etap zaledwie przejściowy. Część przedmiotów sztuki przylgnęła zapewne i do Krakowa, ale większość przesunęła się tylko przez to miasto, żeby wylądować w Warszawie. Skupienie naszych bogactw kulturalnych w stolicy powiększyło więc w olbrzymim stopniu rozmiary katastrofy, jaka spotkała to miasto. Zniszczono też muzealnictwo Śląska, w szczególności zaś muzeum w Katowicach, z którego zachowało się zaledwie około 10—15% zbiorów, nie mówiąc o dokonanej przez okupanta rozbiórce gmachu tej instytucji.

Toteż wytworzyła się dzisiaj sytuacja tego rodzaju, z czego mało kto zdaje sobie sprawę, że opracowanie wielu ważnych zagadnień z zakresu polskiej historii sztuki nie jest już możliwe. Będą nawet trudności z ilustrowaniem dziejów naszej sztuki, np. malarstwa XIX wieku, bo w wielu przypadkach przepadły nie tylko obrazy, lecz nawet fotografie; na dobitek zachowane klisze fotograficzne (zresztą nieliczne) nie zawsze należą do dobrych. Dla przykładu wspomnimy, że nie wiadomo nic o takich dziełach naszego malarstwa jak *Spotkanie w parku* Władysława Podkowińskiego w zbiorach rogalińskich, *W altanie* Aleksandra Gierymskiego, *Portret matki* Henryka Rodakowskiego. Nieznany jest też los kilku jeszcze najlepszych portretów tego mistrza. Pominięcie zaś wymienionych obrazów wśród rycin np. książki poświęconej naszemu malarstwu wykrzywi prawdę historyczną i obniży w świadomości czytelnika poziom naszej sztuki. Tak samo napotkać może na trudności próba opracowania naszej ceramiki czy szkła, tkanin polskich a nawet sprzętu, bo większość zabytków tego typu uległa zagładzie. Przy rozpatrzeniu bezmiaru naszych strat artystycznych i spokojnym uporządkowaniu odnośnych przesłanek dochodzi się nawet do wniosku, że historycy sztuki, a w każdym razie niektórzy przedstawiciele ciaśniejszych specjalności w dziedzinie wiedzy o sztuce nie będą mieli co robić, przynajmniej w sensie naukowym.

Może ktoś zarzucić autorowi tego artykułu, że wbrew zapowiedzi określonej tytułem charakteryzuje straty ogólne, zamiast zająć się zbiorami naszych ziem kresowych. Chodzi jednak o podmalowanie tła sprawy i ustalenie kryterium oceny naszych remanentów artystycznych, kryterium, które mieć musi charakter względny i liczyć się z prawidłem proporcji. Gdybyśmy byli tak zasobni w zabytki jak Włochy lub Francja, byłoby nam łatwiej przeboleć poniesione straty. Niestety Polska, tyle razy doświadczana wojną, pożogą i grabieżą, posiadała w porównaniu z szczęśliwszym Zachodem i Południem bardzo skromne zasoby dzieł sztuki. Zasoby te, tak ograniczone już przed wojną, doznały dalszej i to potwornej zaiste redukcji w okresie sześcioletniej wojny. Dlatego wartość nielicznych, ocalonych przedmiotów sztuki wzrosła dla nas niepomiernie. Odczuwają to i rozumieją nie tylko specjaliści, lecz i szerokie masy społeczne; wobec doznanych strat w a ż n o ś ć ocalonych zabytków naszej kultury artystycznej zarysowuje się w naszej świadomości wyraźnie i jasno.

Równocześnie zdajemy sobie sprawę, że wielka część tych ocalonych wartości kulturalnych przetrwała na obszarach przyłączonych ostatnio do Rosji Sowieckiej, wobec czego nasuwa się konieczność podjęcia akcji odzyskania zbiorów. Naprzód jednak winno się odpowiedzieć na pytania: jakie zbiory i wartości kulturalne posiadaliśmy na wschodnich ziemiach państwa, następnie, czy są to zabytki kultury polskiej, czy obcej, następnie czyim te zbiory są dziełem, kto je tworzył i organizował?

Polskie zbiory publiczne istnieją w Wilnie, we Lwowie i w prowincjonalnych miastach ziem wschodnich, wobec czego pewne wnioski osiągnięte w związku z omówieniem muzealnictwa lwowskiego należy odnieść do całości zbiorów. Przede wszystkim zajmiemy się lwowskimi instytucjami muzealnymi ze względu na to, że Lwów był jednym z trzech (obok Warszawy i Krakowa) najbardziej „muzealnych" miast Rzeczypospolitej. W roku 1936 (opieramy się bowiem na materiałach z tego czasu) istniało we Lwowie 11 muzeów polskich (w tym muzea pradziejów ziemi czerwieńskiej i etnograficzne w stadium organizacji). *Panorama Racławicka*, Muzeum ormiańskie (również w stadium organizacji), cztery muzea ukraińskie, muzeum żydowskie, oraz dwa prywatne: galeria obrazów Leona Piwińskiego i zbiory Maksymiliana Goldsteina.

W sumie zyskujemy więc imponującą cyfrę dwudziestu zbiorów muzealnych. Nas interesują przede wszystkim muzea i zbiory polskie. Ich scharakteryzowanie nawet pobieżne zabrałoby zbyt wiele miejsca, a przy tym

o tyle nie byłoby celowe, że w latach 1939 i 1940 zbiory te uległy komasacji, wobec czego ich stan obecny przedstawia się inaczej niż przed wojną. Nie mniej warto wymienić przynajmniej najważniejsze z pośród muzeów polskich i ogólnikowo tylko rozpatrzeć ich zawartość, wyjątkowo zaś wspomnieć także o poszczególnych zabytkach i działach. Spośród muzeów polskich we Lwowie wysuwały się na czoło. Muzeum Narodowe im. króla Jana III (do którego wcielono zbiory muzeum historycznego m. Lwowa), Galeria Narodowa m. Lwowa, Muzeum Przemysłu Artystycznego i muzeum Lubomirskich. Niektóre z tych kolekcyj były pomieszczone w pięknych zabytkowych kamienicach: jak Muzeum Historyczne w „Czarnej kamienicy", a Muzeum Jana III w kamienicy królewskiej. Wymienione muzea lwowskie zawierają: pamiątki po dawnym samorządzie miejskim, zabytki (sztandary, lady, puhary, obesłania, tace, majstersztyki itp.), portrety mieszczan, szlachty i hetmanów, plany, sztychy, medale, zabytki sztuki kościelnej, np. rzeźby, argentilia i paramenty, obrazy wotywne, niezliczone zabytki sprzętu i niezmiernie bogate kolekcje broni, metalowe pasy rycerskie i naramienniki, zabytki cerkiewne i kozackie, dawne ubiory polskie, pasy lite i półlite, kompletny zbiór monet mennnicy lwowskiej od czasów Kazimierza Wielkiego, obrazy malarzy obcych (włoskie, flamandzkie, holenderskie, francuskie itd.) i polskich z tym, że galeria miejska zawierała dzieła niemal wszystkich wybitniejszych artystów począwszy od epoki Stanisława Augusta, a kończąc na malarstwie współczesnym.

Są tam więc obrazy Bacciarelliego, Norblina, Pitschmana, Orłowskiego, Smuglewicza, Tokarskiego, Wojniakowskiego, dynastii Reichanów, 30 obrazów Matejki z *Sejmem w Gąsawie* i niewykończonym lecz jednym z najlepszych płócien mistrza pt. *Śluby Jana Kazimierza*. Wśród wielu prac Artura Grottgera godzi się wymienić 11 kartonów słynnej *Wojny* oraz cykl *Warszawa*, który zwłaszcza dzisiaj posiada dla nas szczególną wymowę. Oprócz wymienionych zawiera jeszcze galeria liczne akwarele Juliusza Kossaka oraz obrazy Gryglewskiego, Chełmońskiego, Brandta, Wierusz-Kowalskiego, Czachórskiego, Siemiradzkiego, kolekcję pejzaży Stanisławskiego, dzieła Wyczółkowskiego, Jacka Malczewskiego, Witolda Pruszkowskiego, Chlebowskiego, Leopolskiego, Andrzeja Grabowskiego, całą kolekcję Aleksandra Kotsisa a także prace Boznańskiej, Podkowińskiego, Szermentowskiego, Ruszczyca, Dębickiego, Weissa, Wyspiańskiego i Mehoffera, Pautscha, Sichulskiego i Jarockiego.

Na szczególnie cenne zbiory Muzeum Przemysłu artystycznego składają się wyroby ślusarskie od XVII w., meble polskie i obce, kobierce wschodnie, siedmiogrodzkie i polskie łącznie z kilimami, kolekcje szkła m. in. polskiego oraz ceramiki polskiej i obcej, fragmenty tkanin np. koptyjskich, ceramika pokucka i wyroby huculskie z mosiądzu i drzewa oraz obfity zbiór okazów nowego przemysłu.

W innych muzeach znajdują się jeszcze wykopaliska przedhistoryczne, wyroby ze srebra i kości słoniowej, numizmaty, pamiątki po królach polskich, Matejkowski cykl królów polskich (w zbiorach Orzechowicza), ważne dla dziejów polskiego malarstwa cechowego epitafium Jana z Ujazdu z r. 1450, obrazy cechowe z XVII w., obfite materiały z zakresu polskiej ikonografii (jak portrety różnych osobistości historycznych). W najstarszym, jak się zdaje, na ziemiach polskich Muzeum przyrodniczym im. Dieduszyckich mieszczą się oprócz zbiorów przyrodniczych z całej Polski także kolekcje archeologii przedhistorycznej i etnograficzne.

O rozmiarach zbiorów lwowskich poinformuje najlepiej kilka przykładowo rzuconych cyfr statystycznych: zbiory Orzechowicza zawierają np. 4965 przedmiotów, K. Brunickiego 1510, galeria miejska posiadała 1633 obrazów, zbiory muzeum Przemysłu Artystycznego obejmowały 3724 różnych przedmiotów sztuki, 1218 dzieł graficznych. Należy zaś pamiętać, że Lwów posiadał oprócz ostatnio wymienionych jeszcze 9 placówek muzealnych.

W muzeach tych nad zbiorami sztuki obcej górują zbiory, odnoszące się do polskiej kultury. Muzea te były organizowane i zakładane przez polskich kolekcjonerów prywatnych i gminę m. Lwowa. Szczególne zasługi około powstania zbiorów lwowskich położyli: Włodzimierz Dzieduszycki, Henryk Lubomirski, Wiktor Baworowski, Władysław Łoziński, Bolesław Orzechowicz (który rozpoczął pracę kolekcjonerską na wsi w Kalnikowie), Konstanty Brunicki, Helena Dąbczańska, Michał Toepfer, Włodzimierz Kozłowski i rodzina Przybysławskich. Z muzeami lwowskimi związały się na zawsze także nazwiska wiceprezydenta miasta Tadeusza Rutowskiego i długoletniego dyrektora muzeów miejskich Aleksandra Czołowskiego. Jak z tej przydługiej może listy nazwisk wynika, organizatorami muzeów polskich we Lwowie byli kolekcjonerzy i uczeni polscy. Co więcej, muzea te powstawały na zasadzie z b i o r o w e g o w y s i ł-

ku społecznego, bo oprócz wymienionych osób w pomnażaniu zbiorów brały udział całe rzesze skromniejszych ofiarodawców, których pojedyńcze dary sumowały się z czasem w imponujące ilością i jakością całości.

Obok z grubsza scharakteryzowanych zbiorów za dzieła polskiej kultury plastycznej należy uznać we Lwowie *Panoramę racławicką* W. Kossaka i kurtynę Teatru Wielkiego pędzla Siemiradzkiego, jak również pomniki figuralne, najstarszy, bo pochodzący z XVII w., a więc wyjątkowy u nas, hetmana Jabłonowskiego oraz współczesne Fredry, Mickiewicza, Franciszka Smolki, Jana Sobieskiego. Tak samo za związane ściśle z polską przeszłością i polską kulturą naukową trzeba uznać archiwa, biblioteki wymienionych instytucyj muzealnych oraz biblioteki publiczne. Te wszystkie zbiory stanowią różne przejawy i formy tej samej sprawy, jaką jest kultura polska w przeszłości i teraźniejszości.

Jak wiadomo, ludność polska opuszcza Lwów, przesiedlana obecnie w granice Polski, pokrywające się na zachodzie z linią Odry i Nysy Łużyckiej. Gdyby ludność polska w znacznej masie miała pozostać na kresach, a zatem także we Lwowie, wówczas zatrzymanie polskich zbiorów w tym mieście oraz gdzie indziej (np. w Wilnie i innych większych miastach) możnaby rzeczowo uzasadnić. W razie opuszczenia tych ziem przez Polaków jakakolwiek argumentacja za pozostawieniem tam zbiorów kultury polskiej nie mogłaby nikogo przekonać z braku racjonalnych i logicznych podstaw. Wynika z tego nieodparcie, że wraz z ludnością polską, przesiedlaną z ziem wschodnich, powinno się przesiedlić na obszar suwerennej Polski także jej własność kulturalną. Zbiory polskie w razie pozostania na tamtych terenach, pozbawione żywego fundamentu, jakim są ludzie, korzystający z własnego dorobku i dorobek ten pomnażający, straciłyby swoje znaczenie i wartość. Przepadłyby dla nas, a nie nabrałyby znaczenia dla ludności niepolskiej, osiedlonej w miejsce żywiołu polskiego. Tymczasem dla nas tamtejsze zabytki polskiej kultury, tamtejsze archiwa i biblioteki stworzone naszą własną pracą, nawet tamtejsze rzeźby pomnikowe są niezmiernie potrzebne wobec strat przez nas poniesionych. Sprowadzenie np. lwowskiej galerii malarstwa pozwoliłoby nam uzupełnić jako tako dotkliwe luki powstałe w tej dziedzinie na skutek wojny. Sprowadzenie zbiorów muzeum Przemysłu Artystycznego pomogłoby np. w odtworzeniu zbiorów naszej ceramiki i szkła, na ogół rozbitych żołnierskimi kolbami na proszek, w odtworzeniu kolekcyj kobierców i tkanin, rozgrabionych zupełnie po ich przewiezieniu przez okupanta na Śląsk, w odbudowie zbiorów starodawnego sprzętu i wszystkich innych dziedzin naszego zrujnowanego artystycznego rękodzieła. Te same nadzieje wiążą się z wszystkimi innymi zbiorami ziem kresowych.

Ponieważ oprócz zabytków polskich i „poloniców" znajdują się w polskich muzeach Lwowa także zabytki obce, zwłaszcza zaś ukraińskie, głównie folklorystyczne i cerkiewne, podział tych zbiorów na polskie i ukraińskie, a więc te, na których zatrzymaniu może zależeć Republice Ukraińskiej, musiałby nastąpić przy udziale obydwóch stron zainteresowanych, a zatem drogą utworzenia rewindykacyjnej komisji mieszanej polsko-ukraińskiej.

Od razu bowiem zaznaczymy wyraźnie, że chodzi nam wyłącznie o zabytki polskie, aczkolwiek w naszych zbiorach lwowskich i wogóle kresowych znajdowały się także zabytki obce, zazwyczaj związane jednak ściśle z kulturą polską, która jak każda kultura nie powstawała w oderwaniu od innych cywilizacyj. Jednakże do naszej twórczości jesteśmy szczególnie przywiązani, co jest rzeczą całkowicie zrozumiałą. Zdajemy sobie przy tym sprawę, że pozbawieni tych najszczytniejszych owoców naszej pracy, jakimi są dzieła sztuki i nauki — stalibyśmy się narodem kalekim i upośledzonym. Tkwi w nas wreszcie głęboko zakorzenione przekonanie wynikające z ducha nowoczesnej demokracji, że człowiek ma prawo do owoców swej pracy; tym bardziej ma do nich prawo społeczeństwo i naród.

Tadeusz Dobrowolski.

WSZYSTKIE INSTYTUCJE KULTURALNE, KTÓRYCH DZIAŁALNOŚĆ ZOSTAŁA POMINIĘTA W „DIARIUSZU KULTURY POLSKIEJ 1945 R." DRUKOWANYM W 2-GIM ZESZYCIE „TWÓRCZOŚCI" (LUTY, 1946) SĄ PROSZONE O NADSYŁANIE NA ADRES REDAKCJI UZUPEŁNIEŃ EW. SPROSTOWAŃ, CELEM ZREDAGOWANIA „DODATKU DO DIARIUSZA KULTURY POLSKIEJ 1945".

REDAKCJA

WYKAZ TREŚCI

Str.

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI: Dorota 5
BOGUSŁAW KUCZYŃSKI: Złe dni włoskiego faszyzmu 10
TADEUSZ HOŁUJ: Taka piosenka, Na pewno, O tym wierszu 38
TADEUSZ BOROWSKI: Dzień na Harmenzach 42
KRYSTYN OLSZEWSKI: Transport Sosnowiec-Będzin 61
GRZEGORZ TIMOFIEJEW: Liść, Powrót z pastwiska, Studnia 74
STEFAN OTWINOWSKI: Pomyłka 77
ROMAN BRATNY: Losy 94
ARNOLD SZYFMAN: Wojna za frontem 100

SPRAWY I TROSKI

FRITZ ERPENBECK: „Naród bez przestrzeni" 119

SPRAWOZDANIA

JERZY BROSZKIEWICZ: Koncerty krakowskie 135
STANISŁAW GEBETHNER: Wystawa tkanin i rękodzieła artystycznego w Muzeum Narodowym w Warszawie 146
JANINA PREGERÓWNA: Lutnia Puszkina 151
WILHELM MACH: Niecierpliwe przedwiośnie 156

LISTY

PAWEŁ HERTZ: List z Łodzi 161
BOGDAN ZAKRZEWSKI: Drugi list z Poznania 166
AUGUST GRODZICKI: Katowice w okresie dojrzewania 171
KAZIMIERZ BARNAŚ: List z Wybrzeża 174
EDWARD KOZIKOWSKI: Na Dolnym Śląsku 177

NOTY

MARIA DĄBROWSKA: Audiatur et altera pars 182
TADEUSZ DOBROWOLSKI: Sprawa zbiorów lwowskich 183

WYDAWNICTWA „CZYTELNIKA"

Biblioteka społeczno-polityczna

	zł
STANISŁAW EHRLICH: Strategia zwycięstwa	12.—
WIKTOR GROSZ: Na drogach powrotu	15.—
A. HORAK: Wojna polsko-niemiecka 1939, II wyd.	12.—
STEFAN LITAUER: Zmierzch Londynu	15.—
Kpt. Z. ORANOWSKI: Materiały z dziejów powstania warszawskiego. I. W oczach Londynu	10.—
Chłopska reforma rolna	12.—
JERZY KIRCHMAYER: Geneza powstania warszawskiego	20.—
STANISŁAW TOŁWIŃSKI: Zagadnienie samorządu w świetle doświadczeń demokracji ludowej	130.—

Prawo

JÓZEF GIEBUŁTOWICZ: Odpowiedzialność przestępców wojennych w świetle prawa narodów	70.—
J. NAMITKIEWICZ / A. RAKOWER: Ustawa o majątkach opuszczonych i porzuconych. Komentarz	180.—
J. SAWICKI / B. WALAWSKI: Zbiór przepisów specjalnych przeciwko zbrodniarzom hitlerowskim i zdrajcom narodu	45.—
Kodeks postępowania karnego	100.—
Ustawa o prawie autorskim	20.—

Literatura piękna

HENRYK SIENKIEWICZ: Krzyżacy	120.—
JÓZEF KRASZEWSKI: Stara baśń	80.—
POLA GOJAWICZYŃSKA: Krata (2 wyd.)	85.—
SEWERYNA SZMAGLEWSKA: Dymy nad Birkenau (2 wyd.)	140.—
JERZY ANDRZEJEWSKI: Noc	140.—

	zł
BOY-ŻELEŃSKI: Znasz li ten kraj?	160.—
TADEUSZ HOŁUJ: Próba ognia	140.—
JAN KOTT: Mitologia i realizm. Szkice literackie	190.—
Z. NAŁKOWSKA: Granica (5 wyd.)	140.—
S. ŻEROMSKI: Przedwiośnie	200.—

Biblioteczka młodego Czytelnika

STEFAN ŻEROMSKI: Doktor Piotr	12.—
MARIA DĄBROWSKA: Marcin Kozera	15.—
HELENA BOGUSZEWSKA: Za zielonym wałem	40.—
STEFAN ŻEROMSKI: Siłaczka	15.—
WANDA WASILEWSKA: Pokój na poddaszu	45.—
J. KORNACKI: Oczy i ręce	50.—

Dalsze tomiki w przygotowaniu

Poezja

JULIAN PRZYBOŚ: Miejsce na ziemi	95.—
ANDRZEJ NOWICKI: Podróż do świętej ziemi	25.—
CZESŁAW MIŁOSZ: Ocalenie	170.—
JULIAN TUWIM: Lutnia Puszkina	180.—

Dla dzieci i młodzieży

L. KRZEMIENIECKA: Kariera Franka Żyrafy	50.—
E. ZAREMBINA, H. OŻOGOWSKA, Z. BATOROWICZ: Czytamy I	5.—
E. ZAREMBINA, H. OŻOGOWSKA, Z. BATOROWICZ: Nasza Ojczyzna	15.—
BOHDAN BRZEZIŃSKI: O kaczce, która kaszkę warzyła	220.—
MARIA KOWNACKA: O szewczyku Łukaszku, co szył buty dla ptaszków	40.—
MIRA WIŚNIEWSKA: Marmotek z gór	60.—

	zł
HENRYK SIENKIEWICZ: W pustyni i w puszczy	120.—
J. BRZECHWA: Kaczka-dziwaczka	150.—
„ Tańcowała igła z nitką	120.—

Biblioteka Błękitna

KAROL MAŁCUŻYŃSKI: Od atomu do bomby	5.—

Teki graficzne

Z. TOŁKACZEW: Majdanek	wyczerpane
M. RYGIER: Dni wyzwolenia	75.—

Różne

JÓZEF GRYCZ: Bibliotekarstwo w zarysie	120.—
Dr JADWIGA KOBENDZA / Dr ROMAN KOBENDZA: Materiały przyrodnicze do projektu rozplanowania puszczy Kampinoskiej	55.—
STANISŁAW ŁEMPICKI: Słowo o Grunwaldzie	30.—
T. OSTROWSKI: Czapki zdjąć	wyczerpane
Majdanek — Rozprawa przed specjalnym sądem karnym w Lublinie	wyczerpane
Z. DROŻDŻ / WŁ. MILCZAREK: Zakochani w Pomorzu . . .	15.—
J. DOMINKO: Z minionych lat	15.—
W. RYMKIEWICZ i B. TUHAN: Człowiek o dwóch twarzach .	80.—
HENRYK MOŚCICKI: Tadeusza Kościuszki wskazania obywatelskie (Wybór myśli)	15.—
Kalendarz Samopomocy Chłopskiej	76.—
E. CHROBOCZEK: Ogród warzywny przy domu	5.—
L. WAWRZKIEWICZ: Uprawa morwy i hodowla jedwabników .	40.—

Do nabycia we wszystkich księgarniach

CZY
TEL
NIK